L
187

M. A. LEJKIN.

„Gdzie pomarańcze dojrzewają“

*

„Humorystyczny opis podróży małżonków

Mikołaja Iwanowicza
i Głafiry Siemionowny
IWANOWOWYCH

po Riwjerze i Włoszech“

Nakładem:
Śląskie Zakłady Graficzne i Wydawnicze
POLONIA
S-ka Akc. w Katowicach.

P 8236

450600 II

K-87/5237

Drukiem: Śląskich Zakładów Graficznych i Wydawniczych
„POLONIA" - Sp. Akc. w Katowicach.



I.

Dochodziła godzina 11-ta w nocy. W Marsylji w oczekiwaniu na pociąg, idący z Nicei na Północ, siedziało w poczekalni bufetowej troje Rosjan: petersburski kupiec Mikołaj Iwanowicz Iwanow, mężczyzna średnich lat, dobrze zbudowany, z brzuszkiem zaokrąglonym, żona jego, Glafira Siemionowna, młoda korpulentna kobieta i ich towarzysz, również kupiec petersburski Iwan Kondratjewicz Konurin. Podróżnicy ubrani byli według ostatniej mody paryskiej, nawet brody mężczyzn ostrzyżone były na modę francuską, z giestów jednak i z zachowania się można było łatwo poznać kupców rosyjskich.

Towarzystwo siedziało przy stoliku, na którym stały resztki kolacji i niesprzątniętych jeszcze naczyń i piło czerwone wino. W pobliżu stolika na podłodze leżał ich bagaż ręczny, wśród którego specjalnie wyróżniało się olbrzymie zawiniątko w rzemieniach, zawierające wielką poduszkę w czerwonej powłoczce satynowej. Mężczyźni nie byli zbyt weseli, pomimo, że stały już przed nimi trzy wypróżnione butelki po czerwonem winie i do połowy wypróżniona karafka koniaku. Zbyt byli zmęczeni dłuższą podróżą z Paryża do Marsylji i podczas rozmowy poziewywali od czasu do czasu. Ziewała również i towarzysząca im dama.

W tej chwili właśnie obierała pomarańcze ze skórki i mówiła:

— Jak tylko przyjedziemy do Włoch, zaraz kupię sobie gdzieś, w jakimś sadzie wielką gałęź z pomarańczami, zapakuję ją do kosza i zawiozę do Petersburga na pokaz wszystkim, żeby wiedzieli, żeśmy byli w pomarańczowem państwie.

— A czy pomarańcze rosną we Włoszech? — zapytał Iwan Kondratjewicz, popił czerwonego wina ze szklaneczki, przyczem odbiło mu się troszkę, na co jednak nikt nie zwrócił uwagi.

— A cóżeś ty chciał? — uśmiechnął się Mikołaj Iwanowicz. — Jesteś kolonjalistą, masz w Petersburgu sklep z towarami kolonjalnemi i owocami, a nie wiesz, gdzie rosną pomarańcze. Ach ty, prostaku wiejski!

— A skąd mam wszystko wiedzieć? Przecież ja kupuję

pomarańcze na skrzynki u hurtownika Niemca, Karola Bogdanowicza. Nigdy nie zastanawiałem się nad tem, gdzie rosną pomarańcze. Myślałem, poprostu że w jakimś kraju cudzoziemskim, który się nazywa Pomarańczanja i już.

— Przecież Włochy, to właśnie — Pomarańczanja. Jest tam nawet taka gubernia Pomarańczańska, czy też jakiś powiat Pomarańczański... — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Łżyj, łżyj, ile wlezie! — odezwała się Glafira Siemionowna. — Nikomu się nie śniło, ani o żadnej gubernji Pomarańczańskiej, ani o żadnym powiecie Pomarańczańskim. Pomarańcze rosną we Włoszech i już.

— Za pozwoleniem, Glafira Siemionowna... A w jaki sposób my sprzedajemy w sklepie pomarańcze jerozolimskie? — zapytał Iwan Kondratjewicz.

— To pewno jakieś żydowskie pomarańcze, od szlachty jerozolimskiej.

— Przeciwnie, to najlepszy gatunek.

— Tego już nie wiem, wiem tylko, że pomarańcze rosną głównie we Włoszech i dlatego Włochy nazywają się krajem pomarańcz.

— Właśnie, właśnie... A więc jest Pomarańczanja, powiat Pomarańczański! — wtrącił swoje Iwan Mikołajewicz.

— Czego ty się ze mną sprzeczasz! Żadnej Pomarańczanji niema, stanowczo niema. Uczyłam się geografji na pensji i wiem doskonale, że niema.

— Jeżeli jesteś taka mądra, to niech będzie na twojem, przecież mnie jest wszystko jedno. Byłem wprawdzie w szkole handlowej dwa lata i uczyłem się geografji, lecz do krajów południowych nie doszedłem; mój ojciec wziął mnie ze szkoły i postawił za ladą w sklepie.

— A widzisz. A jednak sprzeczasz się.

Nastała króciutka pauza. Iwan Kondratjewicz Konurin ziewnął apetycznie.

— Co tam teraz moja żona robi? Prawdopodobnie zjadła talerzyk kapuśniaczku z kaszą i kładzie się już spać? — rzekł.

— Co takiego? Kładzie się spać? — uśmiechnęła się Glafira Siemionowna. — Mogę zauważyć z całą stanowczością, że pan się myli... wprost przeciwnie...

— Jakto wprost przeciwnie? Co ma robić teraz w domu o tej porze? Położyła dzieci spać, a sama też pod pierzynkę! — odpowiedział Konurin.

— A jak pan myśli? Która teraz godzina w Petersburgu?

— Jakto ,która godzina? Wiadomo, że ... że noc... 12-ta godzina.

— Właśnie, że wprost przeciwnie. Przecież my teraz jesteśmy na południu... A kiedy na południu jest noc, w Petersburgu — dzień. Nie może więc żona pańska teraz kłaść się spać.

Konurin otworzył usta ze zdziwienia.

— Co też paniusia mówi... Czy to prawda? — zapytał.

— Prawda, prawda! Nie sprzeczaj się z nią... Napewno tak! — wtrącił się Mikołaj Iwanowicz. — Głasza wie napewno. Uczyła się na pensji. Ja też czytałem o tem w kalendarzu. Jeżeli teraz jesteśmy na południu, to w Petersburgu jest zupełnie co innego, ponieważ Petersburg leży na północy.

— A to sztuka! — zdziwił się Konurin. — Nie wiedziałem nawet, że taka mechanika z tego wychodzi. Ach ta zagranica, ta zagranica! Któraż teraz godzina może być w Petersburgu według pani?

Głafira Siemionowna zastanowiła się.

— Która godzina? Napewno nie wiem... Trzebaby zobaczyć w kalendarzu. — Ale myślę, że jakaś godzina 3-cia po południu — rzekła, improwizując.

— Trzecia po południu... Ts... Proszę, proszę... — pokiwał głową Konurin. — Ha, jeżeli teraz trzecia po południu, to pewno żona już zjadła obiad i zabiera się do picia herbaty. Ona zawsze pije herbatę około 3-ciej po południu. Ah, grzechy, grzechy! — westchnął. — Powiedzcie mi, z łaski swojej, gdzie myśmy zajechali, nawet i czas wykręcił się do góry nogami. Ot, do jakich miejsc zajechaliśmy. Gdyby mi kto miesiąc temu powiedział: „Iwan Kondratjewicz, będziesz jeździł po ziemi niemieckiej, francuskiej!" — za nic w świecie nie uwierzyłbym mu, plunąłbym mu w ślepie.

— A my już po raz drugi włóczymy się po zagranicy! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Za pierwszym razem pojechaliśmy na wystawę do Paryża i baliśmy się troszkę... Nie znaliśmy zupełnie tych porządków zagranicznych... A teraz za drugim razem, sam widzisz, błądzimy od czasu do czasu, ale jednak jedziemy, gdzie chcemy. Poduczyliśmy się w domu kilku słów, zabraliśmy książki z rozmówkami, a kiedy pierwszy raz jechaliśmy zagranicę, ja umiałem tylko słowa bufetowe, a ona pokojowe... Kolejowych słów, ani czegoś, coby dotyczyło podróży, nikt z nas nie znał, ani w ząb. Głasza! Pamiętasz, jak za pierwszym razem, jadąc do Berlina, zajechaliśmy w jakieś zupełnie inne miejsce i trzeba było wracać z powrotem i jeszcze karę płacić?

— Naturalnie, że pamiętam! Przecież i teraz, jadąc z Berlina do Kolonji, o mały włos nie trafiliśmy do Hamburga, a to wszystko ty... Nie znasz żadnych słów niemieckich, a ciągle starasz się rozmawiać z Niemcami, Francuzami...

— No nie, teraz ja już umię coś niecoś. Osądź sama, jak mógłbym sam bez ciebie w towarzystwie tylko Iwana Kondratjewicza chodzić po Paryżu, kupić palto i kapelusz sobie i jemu marynarkę, spodnie i kamizelkę krawaty i nawet do fryzjera wstąpić, ostrzydz się i brody oszczypać na sposób francuski? Wszędzie rozumiano mnie doskonale.

— Ładnie cię rozumieli, kiedy z Iwana Kondratjewicza zrobili Napoleona, zamiast tego, żeby mu poprostu skrócić trochę brodę.

— To zwyczajna omyłka... Na to nie było rady. Mówię

do Francuza: „En pe, ale tylko a la franse, jaknajbardziej po francusku!“ Fryzjer był jednak widocznie głuchy, czy co... — cap, cap nożyczkami i oszczypał mu obie szczęki do skóry. A ten trąba siedzi przed lustrem i milczy. Żeby chociaż jedno słowo powiedział, żeby krzyknął: „Poczekaj musje, stój!“

— Jak to milczałem? — zawołał Konurin. — Nawet go złapałem ręką za nożyczki i zakrajałem się w palec, ale to nic nie pomogło, bo Francuz, widocznie ujrzawszy moją brodę, wpadł w taką wściekłość, że nic go nie mogło zatrzymać . w jednej chwili byłem już bez brody. Patrzę w lustro — niema rosyjskiego człowieka, a zamiast niego siedzi jakiś Francuz. Ah! Bardzo mi żal brody, nie mogę zapomnieć o tem! — westchnął żałośnie.

— Napoleon! Zupełnie Napoleon! — roześmiała się głośno Glafira Siemionowna.

— Niech się pani nie śmieje, Glafiro Siemionowno, bo naprawdę czasami człowiekowi chce się zapłakać! — rzekł Konurin.

— A to wszystko twoja wina, Mikołaj Iwanowicz, wieki ci będę to pamiętał. To ty wciągnąłeś mnie do tego fryzjera, ty mi tłumaczyłeś: „Twoja broda-łopata wygląda nieprzyzwoicie!“... A co w tem było nieprzyzwoitego? Broda, jak broda... I zresztą nie była zupełnie jak łopata....

— Daj spokój! Przestań! Czy warto rozmawiać tyle o brodzie. W imię jedności francusko-rosyjskiej można chodzić po świecie i z bródką napoleońską! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Jedność.. Napoleońska... Mnie się zdaje, że to zupełnie nie napoleońska bródka, a poprostu kozia...

— Kto jest patrjotą i czuje w sercu przyjaźń francuską, ten nie będzie się skarżył i na kozią bródkę.

— Tobie tak łatwo mówić, jak tu jesteś z żoną, a moja żona została w Petersburgu. Jak ja się teraz jej pokażę z taką kozią brodą, kiedy zjawię się w domu? Żona może nie uwierzy, że to przez pomyłkę tak mnie ostrzygli. Powie: „Zabawił się, zapił, a mamzelki pijakowi nożyczkami brodę ucięły!“ Czego się śmiejesz? Jej wszystko może przyjść do głowy. Moja żona jest bardzo podejrzliwa.

— Nie bój się! Broda przez ten czas ci odrośnie. Będziemy teraz podróżować po Italji, to broda ci odrośnie w kilka dni, bo tam podobno włosy rosną prędko, jak trawa na łące! — wyśmiewał się z przyjaciela Mikołaj Iwanowicz.

W tym czasie ukazał się portjer stacyjny, zadzwonił i ogłosił, że pociąg gotów i można wsiadać do wagonów. Wszyscy poruszyli się i zaczęli szukać swego bagażu.

— Garson! Peje! Kombian od nas? — krzyczał Mikołaj Iwanowicz na garsona, chcąc zapłacić za kolację.

II.

Toulon, Cannes, Nice, Monaco, Menton, Wentimille! — krzyczał monotonnym głosem portjer kolejowy, wywołując główne stacje, przez które pociąg przechodził i nie przestając dzwonić.

Kelner powoli zapisywał przed Mikołajem Iwanowiczem na papierze franki za wszystko, co podróżnicy nasi zjedli i wypili. Mikołaj Iwanowicz z niecierpliwością potrząsał banknotem 50-frankowym i mówił do żony i towarzysza:

— Napewno się spóźnimy! Napewno pociąg odjedzie! Pospieszcie się chociaż wy i zajmijcie miejsca.

— A co z tego wyjdzie, jeżeli zajmiemy miejsca i odjedziemy bez ciebie! — odpowiedziała Glafira Siemionowna i zwróciła się do kelnera:

— Plu wit, garson! Plu wit! (Prędzej!)

Kelner uspakajał ją, że do odejścia pociągu pozostaje jeszcze dużo czasu.

— Non, non, nu sawon, co to znaczy? W Ljonie też z powodu tego przeklętego rachunku zdążyliśmy ledwie wskoczyć do wagonu i w pośpiechu rozdarłam sobie zupełnie suknię! — mówiła Glafira Siemionowna do kelnera po rosyjsku: — Dobrze jeszcze, że jakiś grzeczny konduktor schwycił mnie wtedy za talję i wepchnął do przedziału, bobym została napewno na stacji.

— Ah, madame! — uśmiechnął się kelner.

— Co, madam! Plu wit, plu wit! I ty też, Mikołaj Iwanowicz: siedzisz tu i głupstwa wygadujesz, zamiast żeby wcześniej rachunek zapłacić! — gniewała się na męża.

Rachunek skończony. Garson zapłacony i zadowolony z napiwku. Tragarz w niebieskiej bluzie dawno stał już przed naszymi podróżnymi z ich bagażem w rękach i czekał, ażeby udać się do wagonu. Skierowano się za nim. Iwan Kondratjewicz taszczył sam swoją ogromną poduszkę i butelkę czerwonego wina, wziętego na drogę na zapas.

— Les russes... — rzekł ktoś głośno wśród publiczności.

— Słyszysz, Mikołaj Iwanowicz? Pomimo naszych francuskich bród wszyscy poznają, że jesteśmy Rosjanie! — zauważył Iwan Kondratjewicz.

— Braciszku, po twojej poduszce poznają. Trzeba było lepiej pierzynę ze sobą zabrać. Tutaj oprócz Rosjan nikt z

poduszkami koleją nie jeździ. W pierwszą naszą podróż zagranicę też zabraliśmy ze sobą poduszki, ale teraz już ucywilizowaliśmy się i zrobiliśmy szlus z poduszkami.

Zajęto miejsca w przedziale wagonu, lecz pośpiech okazał się zbyteczny: do odejścia pociągu pozostawało jeszcze pół godziny, o czem objaśnił konduktor pytającą go łamanym językiem francuskim Głafirę Siemionownę i dla ilustracji swoich słów pokazał palec wskazujący i palcem drugiej ręki oddzielił od niego połowę.

— Widzicie panowie! Kelner nie zelgał. Do odejścia pociągu mamy jeszcze pół godziny! — oznajmiła Głafira Siemionowna swoim towarzyszom podróży.

—Nie może być! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Ot, to mi się podoba! Bez pośpiechu, bez gorączki! To po rosyjsku! Wiesz co, pobiegnę do bufetu i zabiorę na drogę pół buteleczki koniaku. W pośpiechu zupełnie zapomniałem o tem.

— Nie trzeba, siedź, kiedy już siedzisz. Macie przecież butelkę czerwonego wina.

Pod oknami wagonu roznoszono gazety, rozwożono na małym wózku maleńkie poduszeczki, sprzedawane po franku, z napisem: „Les oreillers“ (poduszki).

— Patrz, z jakiemi poduszkami podróżują Francuzi! — wskazał Mikołaj Iwanowicz Iwanowi Kondratjewiczowi. — Kupują ją za franka, prześpią się przez noc, a potem zostawiają w wagonie. A ty taszczysz za sobą po całej Europie pierzynę, która waży pół puda.

— A co ja zrobię, kiedy żona zapakowała mi taką dużą poduszkę! — odpowiedział Konurin. — „Bierz, mówi, bierz, sam potem będziesz zadowolony. Położysz się w wagonie i przypomnisz sobie żonkę!“

Głafira Siemionowna przeczytała napis na wózku z poduszeczkami i rzekła.

— Dziwne rzeczy: na pensji uczyli nas, że poduszki po francusku „kusen“, a tutaj nazywają je „orelje“. Patrz, widzisz napis: „orelje“.

— Widocznie tu zupełnie inna cywilizacja! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Tutaj słowa nowomodne, wypolerowane, a u nas jeszcze wszystko po staroświecku. Przecież i u nas w Rosji też są takie różnice. Weź np. choćby kapelusz mój. W Petersburgu kapelusz taki nazywa się na sposób cywilizowany „melonik“, a pojedź gdzieś do jakiegoś Uglicza, to powiedzą ci na niego „mycka“.

Rzekłszy to, zdjął z głowy twardy kapelusz i wydostawszy z kieszeni miękką czapeczkę podróżną, nałożył ją na głowę.

— Nie rozumię, Iwan Kondratjicz, dlaczego też nie kupiłeś sobie takiej czapeczki podróżnej? Tanio, elegancko i wygodnie!

— Przecież to zupełnie, jak jarmułka żydowska. Z jakiej racji ja, Rosjanin, kupiec prawosławny...

— Przecież i ja jestem Rosjaninem i prawosławnym kupcem, a jednak kupiłem sobie czapeczkę.

— Ty co innego, ty w Paryżu żarłeś ślimaki z muszli, zupę z żółwia, a jabym tego do gęby nie wziął.

— Dziwak jesteś. Wyjechałeś zagranicę, to musisz naśladować cywilizację zagraniczną. Pocoś w takim razie jechał zagranicę?

— A djabli wiedzą, poco? I teraz jeszcze nie wiem, poco mnie tu djabli przynieśli. Oszwabiłeś mnie wtedy u siebie podczas ostatków, kiedy byliśmy u was na blinach. „Pojedziemy i pojedziemy, obejrzymy sobie szynki zagraniczne, zobaczymy, jak sardynki fabrykują!" Po pijanemu zgodziłem się, uderzyliśmy się po rękach, byli świadkowie, a ja nie jestem taki kupiec, który cofa się. Ponadto, kiedy odjeżdżałem też byłem pijany... Prawdę powiedziawszy, pojechałem po pijanemu...

— Czy naprawdę nie podoba ci się zagranicą? Przecież widziałeś Berlin, widziałeś Paryż...

Iwan Kondratjewicz pomyślał i odpowiedział:

— Jakby ci to powiedzieć... Ładne jest, niema co gadać, ale za dużo hałasu, za dużo niepokoju... Spieszymy się ciągle, jakby na jakiś pożar, spokoju żadnego... U nas w domu pod tym względem daleko lepiej.

— Ah, ty szary prostaku!

— Po co zaraz wymyślasz, dlaczego szary. Porządki tutaj zupełnie inne... Pomyśl tylko, teraz wielki post, a my codziennie żremy mięso. Ani łaźni tutaj niema, ani czarnego chleba, ani obwarzanków, ani grzybów, ani pierogów, ani herbaty nie pijemy, jak się należy, bo co to za herbata tutaj, kiedy nawet samowara nie mają!

— Tak! Herbata tutaj kiepska i nie umieją jej zaparzyć, — zgodził się Mikołaj Iwanowicz. — Albo zaparzą na letniej wodzie, albo ugotują...

— A widzisz! Co to za herbata, pijesz i zdaje ci się, że masz w gębie naparzoną miotłę brzozową.

— Zato kawa dobra! — zauważyła Głafira Siemionowna.

— Paniusiu, przecież ja kafę tylko raz na rok, na Boże Narodzenie piję... Co tu gadać, stęskniłem się za domem, mocno stęskniłem, o żonie wciąż myślę, o dzieciach, o interesach. Wprawdzie zostawiłem starszego subjekta, żeby doglądał sklepu, ale starszy subjekt też ma swoje na myśli, przecież wybudował sobie piętrowy dom na wsi, kiedy jeździł na urlop. Piętrowy dom drewniany. Jeżeli przy mnie uciułał pieniędzy na dom drewniany, to bezemnie napewno uciuła sobie na kamienicę. Znam dobrze te sprawy, bo przecież sam też byłem subjektem.

— Pluj na to! Jak się chleb kraje, muszą być okruchy.

— Żebyś się tylko nie rozpluł za bardzo... Głównie stęskniłem się za domem. Czy uwierzysz, że ciągle mi się tylko żona śni, sklepy...

— I zgodziłbyś się teraz, nie zobaczywszy Nicei i Włoch, jechać do domu?

— A niech ich... Plunąłbym na wszystko i poleciał prosto do domu... Ale jak ja sam pojadę, kiedy ani słowa nie umiem po francusku, ani po niemiecku?... Nie wiem nawet, przez jakie miasta muszę jechać... Nie wiem nawet, gdzie teraz jestem...

— W Marsylji... Teraz jesteśmy w Marsylji!

— W Marsylji... Powiedziałeś mi, a za 5 minut już zapomnę. Nie wiem nawet, czy to dalej od Petersburga, jak Paryż, czy bliżej... Nic nie wiem... Eh, zawieźliście mnie, djabły...

— Dlaczego pan zaraz wymyśla? Przy damie to nawet bardzo nieprzyzwoicie! — obraziła się Głafira Siemionowna. — Nikt pana nie zawoził, a pan sam z nami pojechał.

— Czy tak?... Zresztą pojechałem sam, ale pojechałem po pijanemu... Po pijanemu... A wyście wiedzieli o tem i nie powiedzieliście mi, że to tak daleko. Ja jestem człowiekiem prostym, nie wiedziałem, że to tak daleko, myślałem, że Włochy, to gdzieś bliżej, a wyście mi nic nie powiedzieli... To nieładnie z waszej strony.

— Łże pan! Powiedzieliśmy panu, że droga jest daleka i że będziemy w podróży przeszło miesiąc! — rzekła Głafira Siemionowna.

— E-ech! — westchnął Iwan Kondratjewicz i machnął ręką. — Gdyby tak kto przeniósł mnie teraz z tej samej zagranicy choćby w balonie do domu, do Petersburga, na Kliński prospekt, bez targu dałbym tysiąc rubli! Półtora tysiąca dałbym... do tego stopnia sprzykrzyło mi się to wszystko i tak stęskniłem się do domu.

Wskazówka zegaru zbliżyła się do północy.

— En voitures! — rozkazał zawiadowca.

— En voitures! — powtórzyli konduktorzy, zatrzaskując drzwiczki wagonów.

Pociąg ruszył w drogę.

III.

Pociąg pędził. W przedziale wagonu nie było nikogo oprócz małżonków Iwanowowych i Konurina.

— Ot, Mikołaj Iwanowicz, zamiast herbatki połkniemy tę buteleczkę czerwonego do poduszeczki. Poco ma biedactwo wysychać na pułce? — rzekł Konurin, biorąc z półki butelkę i szklankę. — Eh, grzechy, grzechy! — westchnął. — Gdyby ktoś mi powiedział w Petersburgu, że na zagranicznych kolejach nawet szklanki herbaty nie można na stacji dostać, nie uwierzyłbym za nic w świecie.

Butelka — wypita. Konurin zabrał się natychmiast do wyciągania z rzemieni swojej olbrzymiej poduchy i zaczął urządzać się do noclegu.

— Niech się pan nie szykuje tak do chrapania. Może jeszcze będzie jakieś przesiadanie do innego pociągu? — powstrzymała go Głafira Siemionowna.

— Będzie przesiadanie?

— Co tu można wiedzieć? Przyjdzie konduktor sprawdzać bilety, to się zapytam.

Na następnym przystanku wpadł do przedziału konduktor.

— Vos billets, messieurs... — zwrócił się do pasażerów.

Glafira Siemionowna zwróciła się do niego i zaczęła go pytać w swem oryginalnem narzeczu francuskiem:

— Nu... Nis... Szanże wagon u non szanże? (My... Nicea... Zmieniać wagony, czy nie zmieniać?)

— Oh, non madame. On ne change pas les voitures. Vous partirez tout directement. (Państwo dojadą bez przesiadania).

— Bez przesiadania!

— Chwała tobie, Panie! — przeżegnał się Konurin, wziął poduszkę i dodał: — „Wiw la Frans", prawie jedyny frazes, jaki znał po francusku i używał przy Francuzach, gdy chciał wyrazić radość swoją, czy pochwałę.

Konduktor uśmiechnął się i rzekł: — „Vive la Russie". Chciał już odchodzić, kiedy nagle Mikołaj Iwanowicz zawołał:

— Poczekaj... Poczekaj! Głasza! Powiedz panu konduktorowi po francusku, żeby zamknął nas na klucz i nie wpuszczał nikogo więcej do naszego przedziału — zwrócił się do żony. — Powiedz, że wsuniemy mu za to w łapę parę franków.

— Tak, tak... Trzeba naprawdę poprosić! — odpowiedziała małżonka. — Ekute... Niech pan nie wpuszcza... Nie wpusse.. albo nie... co ja wygaduję... nie lese dan la wagon ankor pasażer... nu wulon dormir... A oto dla pana... pur wu... pur buar... wu komprene?

Wsunęła w rękę konduktorowi dwa franki. Ten zrozumiał, o co chodzi i rzekł:

— Oui, oui, madame. Je comprends. Soyez tranquilles... (Zrozumiałem. Proszę być spokojną.)

— A tutaj odemnie parę groszy! Wypij sobie na zdrowie! — dodał pół franka Konurin.

Konduktor zatrzasnął drzwiczki i pociąg pomknął dalej.

— Zadziwiająca rzecz, jak tyś się dobrze obkuła w tej podróży po francusku! — pochwalił żonę Mikołaj Iwanowicz. — Mówisz, jak prawdziwa paryżanka.

— No, naturalnie... Praktyka... Przypominam sobie powoli wszystkie słowa, których nauczyłam się na pensji. A zauważyłeś teraz w Paryżu? Wszyscy subjekci z „magasin de Louvre" i „magasin Au bon Marche" rozumieli mnie doskonale. We Francji dam sobie radę doskonale? Ale zato, jak my będziemy podróżować po Italji, absolutnie nie mam pojęcia. Po włosku umiem tyle, co Iwan Kondratjewicz... — odpowiedziała Glafira Siemionowna.

— Będziemy się porozumiewać przy pomocy rąk. Jak będziemy chcieli co popić, pokażemy palcem na gardło, damy pszyka w kołnierzyk; będziemy chcieli coś zjeść, pokażemy palcem na usta! — mówił Mikołaj Iwanowicz. — Czytałem

w pewnej książce, że żołnierze naszego generała Suworowa podczas pochodu we Włoszech porozumiewali się za pomocą rąk i Włosi doskonale ich rozumieli.

— Rodacy! Posłuchajcie! — zaczął Iwan Kondratjewicz. — Przecież do Włoch trzeba skręcać w bok?

— Tak, no więc co z tego?

— A czy nie lepiej byłoby skręcić jeszcze troszeczkę i wracać wprost do domu? Poco nam ta Italja? Niech ją wszyscy djabli! Widzieliśmy Berlin, widzieliśmy Paryż, wystarczy...

— Za nic na świecie! — zawołała Głafira Siemionowna. — Niech pan zrozumie, że my głównie dla Italji wyjechaliśmy zagranicę.

— Ale co w tej Italji jest pięknego? Słyszałem, że tam tylko wszędzie katarynki i pomarańcze.

— Jakto? Co w Italji jest pięknego? Rzym... A w Rzymie papież... Neapol, w Neapolu ogniem dysząca góra Wezuwjusz. Powiedziałam nawet wszystkim swoim znajomym w Petersburgu, że będę na tej ogniem dyszącej górze. A Wenecja, gdzie na wszystkich ulicach jeżdżą łódkami? Nie, nie. Dopóki nie będę na Wezuwjuszu, nie jadę do domu.

— Ja to samo! — dodał Mikołaj Iwanowicz. — Dopóty nie uspokoję się, dopóki na samym szczycie góry nie zapalę od Wezuwjusza papierosa...

— Wezuwjusz... Papież... A czy my jesteśmy katolicy, czy co? Przecież to tylko katolicy uznają papieża, a my, chwała Bogu, jesteśmy prawosławni... Ja myślę, że to nawet grzech jest przyglądać się papieżowi...

— Nie zawracaj głowy i milcz lepiej! — klepnął Mikołaj Iwanowicz swego przyjaciela po ramieniu. — Powiedz naprawdę, co ci się stało? Sam zgodziłeś się z nami jechać wszędzie ,a teraz chciałbyś się cofać? Kiedyś wlazł pomiędzy wrony, musisz krakać jak i one! Kto chce między wilkami żyć, musi umieć, jak wilk wyć! Kiedy jesteś grzybem, jazda do koszyka!

— Podjechać do granicy samych Włoch i nagle zawracać do domu! — mruczała oburzona Głafira Siemionowna. — To już zupełnie do niczego niepodobne.

— A czy myśmy już dojechali do granicy? — zapytał Iwan Kondratjewicz.

— Naturalnie, żeśmy już podjechali. Jeszcze tylko kawałek w bok i już.

— A jak daleko jeszcze w bok? Ile, dajmy na to, mamy wiorst stąd do Włoch?

— A skąd ja to mogę wiedzieć. Tutaj niema żadnych wiorst. Tutaj drogi inaczej są mierzone, a ponadto jestem tutaj z mężem po raz pierwszy. Przyjedziemy do Nicei, to tam się zapytam, ile mamy jeszcze wiorst do Włoch.

— A czy my teraz jedziemy do Nicei? — dopytywał się Konurin.

— Ah, Iwanie Kondratjewiczu, ile razy już powiedziałam Panu, że do Nicei.

— Czy można wszystko zapamiętać? O tylu miastach mi już pani opowiadała... A co to jest ta Nicea?

— Najbardziej nowomodna miejscowość zagraniczna, gdzie wszystkie nasze arystokratki jeżdżą na kurację. Modniejsza nawet od Paryża. Południe takie, że nawet w zimie gorąco na ulicach.

— Aha... to tak... A więc wody?

— I wody... i wogóle... Kąpią się w morzu i piją wody. Jeżeli naprzykład kto ma nerwy — wspaniale pomaga... Odrazu wszelkie nerwy znikną. Pozatem migrena... Nicea pomaga i na migrenę... Tam płeć damska kąpie się w morzu wobec całej publiczności na wszystkie choroby.

— Naprawdę wobec publiczności? A to bezwstydnice!

— Przecież w kąpielowych kostjumach.

— W kostjumach? Ah, tak... A ja myślałem... Co to za przyjemność kąpać się w kostjumie?... A więc jedziemy teraz do Nicei. Tak, tak... Ale za tą Niceą już zaczynają się Włochy?

— Włochy!

— A jak daleko Włochy od Nicei?

— Z Nicei do Włoch już bardzo blisko.

— Ale jednak dalej jak z Petersburga do Nowogrodu?

— Ah, jaki pan jest nudny, Iwanie Kondratjewiczu! Naprawdę nie wiem.

— A ty, Mikołaju Iwanowiczu, też nie wiesz? — zwrócił się Konurin do towarzysza podróży.

— Żona nie wie, to skąd ja mam wiedzieć! Ja człowiek ciemny, z geografji uczyłem się tylko o morzach i rzekach, do miast nie doszedłem! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Konurin pokiwał głową.

— Zastanówcie się na Boga! Nikt z nas nic nie wie, a jedziemy, djabli wiedzą gdzie! — rzekł i pomilczawszy przez chwilę, znów zapytał. — Paniusiu droga, niech pani się nie gniewa, ale ja już znów zapomniałem... Jak się nazywa to miasto, do którego jedziemy?

— Ah, Boże mój! Do Nicei, do Nicei! — powtórzyła podrażniona Głafira Siemionowna.

— Do Nicei! Do Nicei!... Może już nie zapomnę. Nie wie pani kiedy przyjedziemy do niej?

— Na stacji w Marsylji mówiono, że jutro rano.

— Rano... Tak... tak... Żeby też nie zapomnieć tej Marsylji. Marsylja, Marsylja... Ładnieby wyglądało... Jeździł po zagranicy, oglądał miasta i naraz zapomniał, jak się nazywają... Marsylja, Marsylja... Żona zapyta w domu, w jakich miastach byłem, a ja nie będę mógł nawet odpowiedzieć jej. Trza będzie jutro zapisać sobie. Marsylja, Nicea... A więc w Nicei będziemy jutro rano... i co najważniejsza jedziemy bez przesiadania. Tak... No, jeżeli jutro rano, to będzie się można po-

rządnie położyć, pospać! — mruczał Konurin, poprawił swoją poduszkę i ziewając głośno, zaczął układać się do snu.

Mikołaj Iwanowicz z żoną też wydobyli z walizek swoje niewielkie podróżne poduszeczki jedwabne i zaczęli układać się.

Konurin ziewał w dalszym ciągu.

— Co tam moja żona teraz w domu robi? — przypomniał sobie znowu. — Pewno już trzeci sen widzi, albo nie, co ja mówię?... Pani mówi, Głafira Siemionowna, że kiedy tutaj na południu noc, to tam dzień u nas?

— Tak... Coś w tym rodzaju... — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Druga godzina po północy! — spojrzał Konurin na zegarek. — Tutaj druga po północy, więc w Petersburgu...

— Tam druga godzina po południu! — podpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Jakto? Przecież przed dwiema godzinami mówiła pani, że w Petersburgu była już trzecia po południu.

— W takim razie teraz jest w Petersburgu piąta. Przecież nie mogę tak ściśle panu powiedzieć...

— Piąta po południu... Hm, hm... Prawdopodobnie po herbacie poszła sobie do łaźni... Dzisiaj sobota, dzień łaźni... Oh, oh, oh! A my tu, grzesznicy, bez łaźni żyjemy! — ziewnął jeszcze raz i za chwilę zaczął chrapać.

Zasypiali również Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna.

IV.

Konduktor wziął coprawda dwa i pół franka na piwo i obiecał nie wpuszczać nikogo do przedziału, gdzie siedzieli Iwanowie i Konurin, ale nie dotrzymał słowa. Na jednej z następnych stacji rozciągnięty na ławce Konurin poczuł, że go ktoś rusza za nogę. Otworzył oczy. Stał przed nim jakiś ponury jegomość z dwiema ręcznemi walizami i mówił:

— Je vous prie, monsieur... — podnosił do góry walizy, ażeby je położyć na półce.

— Za pozwoleniem... Tu nie wolno... Tu zajęte... Tu zapłacone!... — zawołał Konurin. — Konduktor, gdzie konduktor?

Pasażer mówił coś w dalszym ciągu po francusku i postawiwszy walizy na półce, usiadł Konurinowi na nogi. Konurin pomimowoli musiał zgiąć kolana.

— Głafira Siemionowna! Co to takiego? Niech pani powie temu drągalowi po francusku, że tutaj jest zajęte! — budził Głafirę Siemionownę, a tymczasem schwycił pasażera za ramię i mówił mu: — Musju... To do niczego niepodobne! Nie wolno siadać komuś na nogi! Wyłaź stąd!

Pasażer czuł się dotknięty i nawet odtrącił rękę Konurina.

Głafira Siemionowna obudziła się i nie odrazu mogła zrozumieć, o co chodzi.

— Niech pan zawoła konduktora! Niech konduktor go wyprowadzi! — rzekła do Konurina.

— Paniusiu złota! Przecież ja jestem bez języka... Jak ja mogę zawołać konduktora, kiedy ani słowa nie umiem po francusku.

— Kondukter! Mosie kondukter! — wyjrzała Glafira Siemionowna przez okno.

Lecz w tej samej chwili rozległ się rozkaz „En voitures" i pociąg ruszył.

— Macie teraz jedność francusko-rosyjską! — mruczał Konurin. — Ładna jedność! „Wiw la Frans, wiw Riusi", wziąć półtora franka, obiecać nikogo nie wpuszczać do wagonu i nagle, proszę bardzo, posadzić jakiegoś Etiopa! To nie jedność, a świństwo! Jeszcze mówi taki drań: „Wiw Riusi"!

— Ja te „Wiw Riusi" jeszcze w Paryżu w restauracji Breban sprawdziłem! — rzekł też rozbudzony Mikołaj Iwanowicz. — I tam garson powiedział „Wiw Riusi", a potem w rachunku napisał sześć franków więcej, niż się należało.

Ponury pasażer siedział w kąciku i wygładzał na kolanie wyjętą z kieszeni czapeczkę podróżną, ażeby ją włożyć na głowę. Jechano tunelem. Pod kamiennemi sklepieniami koła wagonu hałasowały w sposób specjalny.

— Ciągle tunele i tunele... — rzekła Glafira Siemionowna. — Wyjedziemy z tunelu, trzeba będzie okno otworzyć, bo w przedziale jest coraz duszniej! — rzekła i zaczęła odsuwać firankę, przesłaniającą okno.

Właśnie tunel się skończył. W okna wagonu zajrzał świt ranny i oczom pasażerów przedstawił się wspaniały widok. Pociąg jechał brzegiem morza. Z nieba spoglądał zupełnie już wybladły księżyc; na lazurze wody jak białe kropki świeciły żagle statków. Na brzegu tu i ówdzie rosły palmy, w pobliżu samej kolei co chwila migały olbrzymie agawy, rozpościerając swoje dziwaczne, rogate, tłuste liście, to ciemno-zielone, to żółtawe po bokach, ukazała się piękna piętrowa willa murowana, ślicznie zbudowana, otoczona ogródkiem, w którym rosły drzewa pomarańczowe z złocistemi owocami wśród liści... W kąciku przy parkanie stała grupa olbrzymich kaktusów.

— Mikołaj Iwanycz, Iwan Kondratjicz! Patrzcie, co za widok! Co się stało? Gdzie my jesteśmy? — zawołała zachwycona Glafira Siemionowna. — Czyżbyśmy byli już we Włoszech? Przecież to pomarańcze, a pomarańcze rosną we Włoszech?

— Naprawdę pomarańcze! Najprawdziwsze pomarańcze! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Palmy! Patrzcie, palmy! Takie same, jak u nas rosną w oranżerjach i w restauracji „Arkadja". A to cud! Chryste Panie! Nie słyszałam o tem, żeby w Nicei rosły palmy. Kto wie, czy nie omyliliśmy się znowu i zamiast do Nicei nie pojechaliśmy wprost do Włoch?

— A skąd ja wiem, mamusiu! Przecież ty jesteś nasza Francuzka. Ty rozmawiałaś.

— A kto ich tam wie! Rozmawiasz z nimi, rozmawiasz, a koniec końców i tak wszystkiego dokładnie nie rozumiesz. Patrz, patrz, cały las palm! A to historja, jeżeliśmy się omylili.

— A możeśmy przespali Niceę? — wmieszał się do rozmowy Iwan Kondratjewicz. — Przecież pani mówiła, że Włochy są za Niceą. Przespaliśmy tę Niceę i zajechaliśmy do Włoch. Ot i wszystko.

— W głowie mi się to nie mieści! — rozkładała ręce Głafira Siemionowna, zachwycając się widokami. — Patrzcie, patrzcie, jakaś skała a na skale domek. Zupełnie jak jakaś dekoracja z baletu.

— Zupełnie dekoracja! — zgodził się Iwan Kondratjewicz. — Teatr! Jedno słowo — teatr!

— Jezu Chryste! Płot z kaktusów! Cały płot z kaktusów! — wołała Głafira Siemionowna. — A tu las cytrynowy! Cały las cytrynowy! Napewno zajechaliśmy do Włoch.

— Przespaliśmy tę Niceę! — rzekł Iwan Kondratjewicz. No to i co? Pluńmy na tę Niceę! Przyjechaliśmy do Włoch to i lepiej, zawsze będzie bliżej do domu. Ale dlaczego nie widzę kataryniarzy? Przecież mówią, że we Włoszech każdy ma katarynkę, a patrzcie, tam idą jacyś ludzie bez katarynek.

— Boże! Patrzcie, ci chłopi mają prawdziwe włoskie kapelusze, rozbójnicze kapelusze. Stanowczo zajechaliśmy do Włoch! — mówiła w dalszym ciągu Głafira Siemionowna.

— Zapytaj się tego Etiopa, który nam wlazł do przedziału! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — To tutejszy, napewno wie, gdzieśmy przyjechali.

Głafira Siemionowna kaszlnęła i zaczęła:

— Monsje... se Itali? — pokazała ręką przez okna? — U som nu aprezan? (Gdzie teraz jesteśmy?)

— Tout de suite nous serons a Cannes, madame! (Zaraz będziemy w Cannes.) — odpowiedział pasażer, uśmiechając się lekko i unosząc czapeczkę podróżną.

— Więc co? Przespaliśmy Niceę? — zapytał Mikołaj Iwanowicz żonę.

— Poczekaj... Nic nie rozumiem. Trzeba jeszcze raz się zapytać... Ale... gdzie Nicea? Monsje? Nis? Nu zawon dormi i nie sawon rjan... Nis?... Nu sawon pa se Nis? (Spaliśmy i nie wiemy. Czy to Nicea?)

— Ah, non, madame. A Nice nous serons a six heures du matin. (W Nicei będziemy o szóstej rano).

— Chwała Bogu, nie przejechaliśmy! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Oh, tak się przestraszyłam.

— Wypytaj się Głasza porządnie!

— Me se nie pa Itali? — znów zwróciła się Głafira Siemionowna do pasażera.

— Non, non, madame! Soyez tranquile. L'Italie c'est encore loin. (Proszę się uspokoić; do Włoch jeszcze daleko).

— Miersi, monsje. Nie, nie, nie przejechaliśmy. W Nicei będziemy o szóstej godzinie rano. Ale zauważcie, proszę, jaki

tu klimat. Zupełnie Włochy. Palmy, pomarańcze, cytryny, kaktusy. I twarze włoskie... Patrz tam jakiś chłop idzie. Zupełnie Włoch...

— Bez katarynki, to nie Włoch! — zauważył Konurin.

— Niech pan lepiej milczy, Iwanie Kondratiwiczu! Co pan się na tem zna. Nigdzie pan w życiu nie wyjeżdżał z Petersburga, żadnej książki o zagranicy pan nie czytał, skąd pan może coś wiedzieć o Włochach! — odgryzła się Głafira Siemionowna, w dalszym ciągu zachwycając się przyrodą i widokami. — Wodospad! Wodospad! Mikołaju Iwanoyczu, patrz, jaki wodospad bije ze skały!

Tymczasem nad morzem wschodziła zorza słoneczna i lśniła purpurą na ciemnym błękicie spokojnych majestatycznych wód. Zaczynał się jasny, pogodny ranek. Przez otwarte okno do wagonu sączyło się świeże życiodajne powietrze.

— Ah, jak tu dobrze! Ah, jak tu pięknie! — odzywała się od czasu do czasu Głafira Siemionowna.

— Nie nadarmo tu nasi panowie pieniądze rosyjskie przywożą! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Cannes! — krzyknął konduktor, kiedy pociąg stanął na stacji.

Wkrótce pociąg znów ruszył i znów zaczęły się widoki coraz piękniejsze, coraz bardziej dekoracyjne. Już dawno ukazało się słońce i wyzłociło całą ziemię. Na prawo widać było morze z wystającemi z niego na brzegu olbrzymiemi skałami, na lewo ciągnęły się wille bez końca, przepiękne wille, otoczone wspaniałą roślinnością. Wszędzie widać było różowe kwiatki drzew migdałowych, czereśnie pokryte były całe jakby puchem białym.

— Boże! I to w połowie marca! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — A u nas pod Petersburgiem co teraz? Śnieg na półtora metra i sanna.

Przejechano znów jakąś stację. Znów na prawo morze, a na lewo wille bez końca, przylepione prawie do pionowych skał. Wreszcie pociąg znów wjechał do tunelu i po kilku minutach wyskoczył na szeroką polanę. Ukazało się miasto. Jeszcze pięć minut, lokomotywa zaczęła zwalniać, wjeżdżano na olbrzymi, kryty dworzec. Pociąg zatrzymał się.

— Nice! — krzyknęli konduktorzy.

— Nicea! — powtórzyła Głafira Siemionowna i zaczęła krzątać się koło bagażu.

— — — — — — — — — — — — — —

Przed dworcem stali tłumnie portjerzy hotelów w czapkach z galonami i głośno wykrzykiwali nazwy swych hoteli, proponując karteki hotelowe. Małżonkowie Iwanowowie i Konurin zatrzymali się niezdecydowani.

— Dokąd, do jakiego hotelu jechać? — pytała Głafira Siemionowna męża.

— Ach, mamusiu, a skąd ja wiem? Skąd ja to mam wiedzieć?

— Jednak trzeba...

— Najmodniejsze teraz słowo „Wiw la Frans". Wobec tego walmy do hotelu Frans. Czy jest tu hotel de Frans? — zapytał Mikołaj Iwanowicz po rosyjsku.

Portjerzy milczeli. Widocznie nie było hotelu pod taką nazwą, lub też karetka jego nie wyjechała na dworzec.

— Hotel de Frans?... — powtórzył głośniej Mikołaj Iwanowicz.

— Poczekaj, poczekaj. Zapytaj lepiej, w jakim hotelu mają samowar rosyjski. Tam staniemy, bo nigdzie dotąd nie piliśmy porządnej herbaty — zatrzymał go Konurin i z kolei zapytał głośno po rosyjsku:

— Hej, chłopcy! Który z was w swojej knajpie posiada samowar rosyjski?

Naturalnie nikt z portjerów języka rosyjskiego nie znał.

— Samowar rosyjski, pur te... (do herbaty!) — powtórzył znów Mikołaj Iwanowicz, starając się wytłumaczyć to, co mówi, rękami, lecz napróżno...

— Nic nie rozumieją, osły! — pokiwał głową z pogardą. — Głasza! Czego stoisz, jak drewniana! Przetłumacz im to po francusku!

— Samowar riuss, samowar riuss... pur lo bulian, pur te... eske wu zawe samowar dan la hotel? Do gotującej wody. Czy macie samowar w waszym hotelu?) — pytała Głafira Siemionowna.

— Ach! Madame desire une bouilloire! (Pani żąda aparat do gotowania) — domyślił się jeden z partjerów.

— Nie, nie buluar, a samowar riuss z węglami.

— Samowar! — krzyknął z całych sił Konurin.

— Mais oui, monsieur... samovar russe c'est une bouilloire.

— Co ty ciągle z tem „bulwar i bulwar"! Potrzebujemy nie bulwar, możemy wziąć pokój nawet od maleńkiej uliczki, poco nam bulwar, ale zato nam daj pokoik z samowarem.

— Iwan Kondratjicz, czego pan się wtrąca! Niech pan da spokój... Ani pan ich, ani oni pana nie rozumieją! — powściągała Konurina Głafira Siemionowna.

— Obowiązani są rozumieć, kiedy nasze rosyjskie pieniądze chcą brać.

— Co tu będziemy ich uczyć! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Co się tyczy samowarów, to zupełnie dziki naród ci Włosi. Daj spokój, Iwan Kondratjicz i właź do pierwszej lepszej karetki! Jak popadnie, na los! Do jakiego hotelu nas zawiozą, ten będzie dobry. Przecież my i tak nie wiemy, który hotel jest lepszy, a który gorszy. Patrz, tam stoją karetki! Wal z poduszką do karetki!

Iwan Kondratjewicz podbiegł do pierwszej lepszej karetki

i rzekłszy: „Ta karetka wygląda troszkę porządniej", siadł do niej. Po nim wleźli i małżonkowie Iwanowowie.

Na dach karetki zwalono wkrótce kufry naszych podróżników, dobyte z wagonu bagażowego i karetka hotelowa ruszyła, mijając pyszny skwer, znajdujący się przed stacją. Wśród klombów rosły drzewa pomarańczowe z złocącemi się wśród liści owocami, palmy, agawy, oleandry i jaskrawie kwitły olbrzymie kamelje.

— Boże mój, gdzieśmy zajechali! — zachwycała się Głafira Siemionowna. — Oranżerje pod otwartem niebem! Patrzcie, patrzcie, cytryny! Całe drzewka z cytrynami.

Iwan Kondratjewicz spojrzał ponuro z pod oka i rzekł:

— Cytryny, dranie, mają a samowarów nie mogą kupić.

— Spójrzcie, panowie, spójrzcie! Odwróćcie się! Patrzcie, jaka góra! — mówiła dalej Głafira Siemionowna. — Patrzcie tam osieł ciągnie w wózku kalafiory! Tutaj już mają świeże kalafiory, a u nas co? Przed wyjazdem posadziłam cebulę w skrzyneczce na oknie, może po powrocie będzie szczypiorek? Ale kto wie! Patrz jeszcze osieł... dwa osły... Patrz, panie tutejsze w marcu w cienkich batystowych sukienkach chodzą po ulicach. Widzicie, jaka tu temperatura.

Przejeżdżali właśnie przez Avenue de la Gare, długą aleję, obsadzoną olbrzymiemi drzewami. Było jeszcze bardzo wcześnie, życie uliczne rozpoczynało się dopiero: otwierano sklepy, kawiarnie; kucharki w kapeluszach słomkowych z koszyczkami w rękach szły po prowizję; ukazał się jakiś Anglik wolno idący, długi, chudy, cały w białym płaszczu, z zielonym wualem na korkowym chełmie. Iwan Kondratjewicz natychmiast zwrócił na niego uwagę i zapytał towarzyszów podróży:

— Patrzcie, jak dziwnie ubrany! To pewno tutejszy pop włoski.

— Nie! To Anglik! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Myśmy już takich dużo w zeszłym roku widzieli na wystawie w Paryżu.

Wreszcie omnibus zajechał na podwórze hotelu i zatrzymał się. Na podwórzu znów drzewa pomarańczowe i cytrynowe, kwitnące mirty a przy wejściu dwa grube jak słupy telegraficzne kaktusy stały majestatycznie, sięgając trzeciego piętra. Szwajcar zadzwonił w wielki dzwon: ukazał się jakiś starszy jegomość z bródką hiszpańską i ołówkiem za uchem.

— Proszę pokój o jednem łóżku i pokój o dwóch łóżkach! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. Głasza, przetłumacz po francusku!

— Paniusiu, niech pani się jednocześnie potarguje, żebyśmy mogli za cenę czynszu korzystać bezpłatnie z pomarańczy, które rosną w ogrodzie! — rzekł Mikołaj Kondratjewicz.

Jegomość z hiszpanką poprowadził podróżników, pokazał pokoje, rzekł cenę i zaproponował im zgodzić pokoje z jedzeniem.

— Nous avons deux dejeuners, dinner a sept heures... (Mamy dwa śniadania a obiad o siódmej) — mówił.

Głafira Siemionowna zrozumiała słowo „pension", o którem wspomniał Francuz, zupełnie inaczej.

— Jakto pansion? Koman pansion? Mikołaj Iwanowicz, wyobraź sobie, ten nam jakiś „pansion" proponuje. Widocznie wyobraża sobie, że mamy dzieci i chcemy je posyłać na pensję? — Non, non, mosje! Purkua pur nu pansion? — rzekła do Francuza. — Nu navon pa anfan. Pansion!

— Si vous prenez la pension, madame,ca vous sera a meilleur marche. (Jeśli państwo weźmiecie z jedzeniem, będzie kosztować taniej).

— Znów z tym pansionem! Czego on się uczepił nas z tym pansionem?

— Prawdopodobnie jakiś nauczyciel! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Przecież widzi, że nie mamy dzieci?

— A może tutaj mają takie pensje dla dorosłych, którzy się chcą uczyć po francusku? Zapytaj się go, jaką tu pensję ma? Przecież możesz się zapytać! Na tyle się chyba wykułaś francuskiego?

— Wszystko jedno, żadnej pensji nam nie potrzeba... Bierzemy te pokoje? Za jeden ośm franków, za drugi dwanaście na dzień? — mówiła Głafira Siemionowna.

— Dwanaście złotówek po 40 kopiejek, to będzie 4 ruble 80 kopiejek na nasze pieniądze? — przeliczył Mikołaj Iwanowicz. — Dość drogo, ale co robić.

— Nicea... Nic na to nie poradzisz! Tutaj jeżdżą ludzie po to tylko, żeby wyrzucać pieniądze. Najmodniejsze miejsce ze wszystkich zagranic! Chcesz widzieć, jak pomarańcze rosną, płać. Bierzemy te pokoje? — mówiła dalej Głafira Siemionowna.

— Czekajcie, nie spieszcie się tak! Możeby mu tak podpuścić „wiw la Frans", to spuści co z ceny w imię jedności francusko-rosyjskiej? — doradzał Konurin.

— Akurat! To tylko u nas ta jedność ma jakąś cenę, tutaj nie zwracają na nią najmniejszej uwagi. Pamiętasz tego konduktora w nocy? Wziął półtora franka, obiecał nikogo nie wpuszczać do przedziału i zaraz ci jakiegoś pasażera na nogi posadził. Nie, nie! Nasza strata! Trzeba brać. Bierzemy, musje, te pokoje! — zadecydował Mikołaj Iwanowicz i klepnął Francuza z hiszpanką po ramieniu.

— Avec pension, monsieur? — znów zapytał Francuz.

— A to się przyczepił! Non, non! U nas non anfan. Przyjechaliśmy tutaj bez anfanów. Wuala! Patrz, to że, to ma łam, a to kupiec kolonjalista z Klińskiego prospektu — to wszystko!

Mikołaj Iwanowicz pokazał na siebie, na żonę, a potem na Konurina.

VI.

Przebrawszy się i umywszy małżonkowie Iwanowowie i Konurin wyszli z hotelu, ażeby obejrzeć miasto. Glafira Siemionowna ubrała się w nowe stroje, zakupione w Paryżu i na głowę włożyła taki dziwaczny kapelusz z olbrzymim rajskim ptakiem, że zwróciła na siebie uwagę nawet Francuza z hiszpanką, który przed dwiema godzinami wynajmował im pokoje. Siedział on za stołem w biurze hotelu, znajdującym się na dole przy wejściu i obliczał coś. Ujrzawszy schodzących ze schodów podróżników, natychmiast zatknął ołówek za ucho, podszedł do nich i nie spuszczając oka z kapelusza Glafiry Siemionowny, zaczął mówić coś po francusku.

— Głasza, co on mówi? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Tłumaczy, że mają tutaj w hotelu dobry tabeldot i że śniadanie podają o dwunastej, a obiad o siódmej.

— A niech go! Myślałem, że co innego mówi, bo tak jakoś dziwnie patrzy na ciebie...

— Kapelusz mój podobał mu się, dlatego tak patrzy.

— Ale, bo też kapelusz! Prawdziwy kapelusz! — rzekł Konurin i mlasnął językiem. — Nie to pieróg jakiś, nie to okręt! Gdyby pani w Petersburgu poszła w takim kapeluszu, wszystkie psy zbiegłyby się i zaczęły szczekać.

— Proszę, proszę tylko bez głupstw! Naturalnie, gdyby pańska żona włożyła taki kapelusz, kobieta prosta i z wielkim brzuchem, to naturalnie...

— Żona moja nie włożyłaby za nic na świecie takiego kapelusza! Mogłaby ją pani ozłocić, nie włożyłaby.

— Czegoś ty bransoletkę z brylantami władowała na rękę? Przecież nie idziemy do teatru? — rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony.

— Jak ja mogę bez bransoletki wyjść na ulicę? Przecież tutaj w Nicei największa arystokracja mieszka.

Małżonkowie i ich towarzysz wyszli na ulicę, przeszli około ogrodów i nagle zobaczyli w wylocie ulicy morze.

— Morze, morze!... — zawołała Glafira Siemionowna. — Tutaj właśnie na brzegu morza wszyscy się zbierają. W jednym romansie czytałam o Nicei. Najartystyczniejsza publika, najmodniejsze stroje...

Przyspieszyli kroku i wkrótce znaleźli się na brzegu, na Jette Promenade. Na brzegu rosły palmy, widać było nieskończoną dal niebieskiego morza, zlewającego się z takiem samem niebem. Na horyzoncie lśniły białe żagle samotnych statków, woda była prześliczna. Oślepiające jaskrawe słońce nie pozwalało zupełnie patrzeć na białe płyty chodników. Lekki wietrzyk wyrzucał na brzeg piaszczysty i kamienisty niewielkie fale, pieniące się przy uderzeniu o piasek. Na samym brzegu widać było praczki, piorące bieliznę i suszące ją na kamieniach. Towarzystwo zatrzymało się i zaczęło się zachwycać widokiem.

— Jeszcze ładniejsze od naszego Oranienbauma! — rzekł wreszcie Konurin.

— Boże! Czy może być jakieś porównanie! — zawołała Głafira Siemionowna. — Już jak pan co powie, Iwan Kondratjicz! Patrzcie, patrzcie, tam jakiś budynek stoi na palach na morzu. To pewno jakiś ratusz, albo izba skarbowa.

— Zabrakło im ziemi, więc zaczęli budować na palach na morzu! — rzekł z pogardą Mikołaj Iwanowicz.

Skierowali się ku budynkowi na palach. Była to rzeczywiście prześliczna budowla w bardzo dziwacznym stylu. Widać było tutaj i kopułę maurytańską i przylepioną do niej wieżę chińską. Co chwila wymijali naszych podróżników spacerujący ludzie. Wszyscy prawie mężczyźni mieli parasole kolorowe: szare, bronzowe, nawet czerwone.

— Patrzcie, na Boga, co tutaj za moda! — zawołał Konurin. — Nawet mężczyźni ukrywają się przed słońcem, jak kobiety.

— Kupimy sobie także parasole! Też będziemy naśladować modę! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Jak już kupować, to kupmy czerwone! Przyjadę do domu do Petersburga, podaruję żonie parasol, powiem jej: „Patrz z jakiemi parasolami udawaliśmy z Mikołajem Iwanowiczem w Nicei kobiety"!... A co tam moja żona teraz robi w domu? — przypomniał sobie Konurin o żonie, spojrzał na zegarek i dodał: — Jeżeli liczyć czas tak, jak powiedziała Głafira Siemionowna, to żonka moja teraz je kolację. Połknęła, kochanie, kieliszek jarzębinówki i zabrała się do kapuśniaczku... A my co? Napiliśmy się rano jakiejś kafy i już. A ona tam kolację już je!

Rozmawiając w ten sposób doszli do budowli na palach, która okazała się wielkim gmachem, otoczonym tarasami, na których stały maleńkie stoliki. Z wybrzeża prowadził szeroki most z poręczami, zamknięty żelaznemi sztachetami, w których było kilka wejść. Przy jednem z nich stał portjer, była budka kasjerska i na niej napis: „Entree 1frc."

— Nie, to nie ratusz! — rzekła Głafira Siemionowna. — Patrzcie, biorą za wejście.

— A może tu u nich i za wejście do ratusza biorą, jeżeli ktoś chce posłuchać, jak się kłócą radni miejscy! — domyślał się Konurin. — Przecież tutaj wszystko do góry nogami: u nas w Petersburgu teraz kolację jedzą, a tutaj jeszcze nikt śniadania nie jadł, jak się należy; u nas w Petersburgu mróz szczypie w nos, a tutaj słońce przypieka, jak w lipcu.

Zdjął kapelusz, wyjął chustkę z kieszeni i zaczął wycierać pot z czoła i z szyi.

— Keskese se sa? — zapytała Głafira Siemionowna portjera, pokazując na gmach.

— Theatre et restaurant de Jette Promenade, madame! — odpowiedział portjer.

— Teatr i restauracja! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Słyszę, słyszę... — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — A ty zaraz ratusz, izba skarbowa! Ja na pierwszy rzut oka poznałem, że to nie może być ratusz. Z jakiej racji mieliby ratusz na wodzie budować.

— A z jakiej racji mają budować na wodzie teatr?

— Przecież słyszysz, że tutaj oprócz teatru jest i restauracja, a restauracje to i u nas budują na wodzie.

— Gdzie?

— A restauracja na przystani parostatków przy „Letnim Ogrodzie", t. zw. „Popławek". Naturalnie, u nas restauracja pływa, a tutaj stoi na palach, ale zawsze podobne... Mamy też restaurację „Popławek" na wyspie Wasiljewskiej. A ty zaraz: ratusz! Zawsze ci coś przyjdzie do głowy... Z jakiej racji ratusz miałby stać na wodzie?

— A z jakiej racji restauracja?

— Paniusiu, Głafira Siemionowna, jakto z jakiej racji? — wtrącił się Konurin. — Dla rozmaitości!... Wyobraźmy sobie człowieka, który już pił na ziemi w szynku, pił, pił i nic mu już do gardła nie idzie, a przeniesie się na wodę — znów ma pragnienie. Zmiana — to wielka rzecz! Nieraz u nas w Petersburgu, pijemy nieraz z kieliszków, pijemy i wreszcie znudzi się, zupełnie już pić nie możemy... Nagle przyjdzie komuś do głowy: a możeby tak zacząć pić z pokrywki od samowara?... I znów się pije, jak po maśle... Musimy stanowczo dzisiaj pójść do tej restauracji. Jeszcze nigdzie zagranicą nie zdarzało nam się jeść na wodzie.

— A kto się z panem sprzecza, Iwan Kondratjewicz? Nie potrzebuje pan tak gorąco tłumaczyć mi, żebyśmy jedli śniadanie na wodzie! Na wodzie, to na wodzie! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. Nagle zatrzymała się, spojrzała w kierunku brzegu i dodała szybko: — Patrzcie, tam się coś stało. Patrzcie, publiczność zebrała się na samym brzegu i coś ogląda. Tak, tak... Coś leży na piasku. Może topielca wyciągnęli z wody?

— Bardzo możliwe, że topielec! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Napewno topielec! — zgodził się Konurin. — Zejdźmy na dół i popatrzmy. Może to nawet ktoś z tej restauracji rzucił się do wody? Po pijanemu człowiek wszystko zrobi! Przyszło mu coś do głowy, towarzysze mogli mu coś powiedzieć i nieszczęśliwy buch do wody... Kiedy byłem jeszcze młody, też kiedyś na Czarnej Rzeczce wybiegłem z szynku i bęc do do wy... Dobrze jeszcze, że rzeczka błotnista, wody do kolan. A wszystko dlatego, że towarzysze zaczęli się sprzeczać ze mną przy pijatyce. Chodźmy, Mikołaj Iwanowicz, obejrzymy!

— Chodźmy! Można obejrzeć. Mamy czas, interesy nas nie zatrzymują. Po to przecież przyjechaliśmy, żeby różne sztuki oglądać. Idziesz z nami, Głasza Siemionowna?

— Idę, idę. Gdzie tutaj można zejść na dół? — rozglą-

dała się. — Patrzcie, tam można będzie zejść. Tam są schody. Poszli pospiesznie w kierunku schodów i zaczęli iść do brzegu. Iwan Kondratjewicz mówił:

— Co się tyczy wypitki na morzu, to nie można powiedzieć, bardzo przyjemna rzecz! Ale jeżeli napijesz się już do tego stopnia, że białe słonie zaczynają ci zaglądać do kieliszka, wtedy oj, oj, oj! Wtedy bida! — powtarzał.

VII.

Na gruboziarnistym piasku, złożonym jakby z maleńkich, pięknych kamyczków kolorowych, leżało rzeczywiście coś, co przypominało zdaleka topielca. Głafira Siemionowna pierwsza przecisnęła się przez tłum i z okrzykiem:

— Aj, krokodyl! — cofnęła się wstecz.

— Chodźmy stąd, chodźmy! Chodźmy, Mikołaj Iwanowicz, nie podchodź! Iwan Kondratjewicz! Chodźcie stąd! Ładnie zostawiać damę samą! — wołała do swych towarzyszów, stojąc już na schodkach kamiennych.

— Przecież to nie żaden krokodyl, tylko ogromna bieługa! — odezwał się znowu Konurin.

— Co za bieługa? Prędzej olbrzymi sum... Patrz, jaka tępa morda! A bieługa przecież ma ostrą mordę! — tłumaczył Mikołaj Iwanowicz. — Głasza, chodź tutaj! To sum! Sum olbrzymi!

— Nie, nie! Za nic na świecie! Widziałem zęby... Straszne zęby — dolatywało ze schodów. — Brrrr...

— Przecież już nie żyje...

— Nie, nie! Za nic nie pójdę.

Około wydobytego z wody olbrzyma morskiego dwóch rybaków w perkalowych bluzach, opalonych jak skórka z chleba razowego, śpiewało jakąś monotonną piosenkę, a trzeci podobny do nich podsuwał każdemu spektatorowi w tłumie spodeczek, prosząc:

— Deux sous pour la représentation! Deux sous... (Dwa su za pokazanie).

Podszedł i do Iwana Kondratjewicza i podsunął spodek, mrugając okiem:

— Czego chcesz, mordo arabska? — zapytał Konurin.

— Prosi o datek za pokazanie zwierza. Daj mu miedziaka! — podpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Co takiego? Za co? Akurat mu zapłacę. Tu nie teatr żaden a brzeg.

— Daj, daj! O co ci chodzi, nie chcesz, to dam za ciebie!

Mikołaj Iwanowicz rzucił na spodek dwa miedziaki po 10 centymów.

— Iwan Kondratjewicz! Pan mówi, że ten krokodyl już nie żyje? — odezwała się znów ze schodów Głafira Siemionowna, która, usłyszawszy śpiew, nabrała nieco odwagi.

— Zabity, martwy!... Chodź tutaj!... — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Ale czy naprawdę?

Głafira Siemionowna zaczęła znów zbliżać się do tłumu i ze strachem spojrzała na leżącą na brzegu rybę.

— Mówiłam, że to krokodyl! Brrr... Jaki straszny! — mówiła półgłosem. — Czy to naprawdę tutaj go złapali? Patrz, jakie zęby straszne...

Około Głafiry Siemionowny stał wysoki, dobrze zbudowany elegancki pan z bakami, w jasnem, szarem eleganckiem ubraniu i takiego samego koloru miękkim kapeluszu. Uśmiechnął się i zwracając się do Głafiry Siemionowny, odezwał się po rosyjsku:

— To absolutnie nie krokodyl... To rekin, dzikie zwierzę, które żywi się umarlakami, jeżeli ewentualnie jakaś katastrofa z okrętem nastąpi, albo coś takiego... Tutejsi rybacy łapią takie dość często, a potem ewentualnie pokazują publiczności.

Usłyszawszy mowę rosyjską nieznajomego, Głafira Siemionowna aż wydała okrzyk ze zdziwienia.

— Ah! Pan jest Rosjaninem — zawołała.

— Rosjaninem! Pierwszy sort! Można nawet powiedzieć, absolutnie wybitny Rosjanin! — odpowiedział nieznajomy.

— Ah, jak to przyjemnie! Tak dawno podróżujemy zagranicą i prawie zupełnie nie spotykaliśmy Rosjan. Miło nam będzie poznać się... Iwanowowa Głofira Siemionowna.. Ato mój mąż, Mikołaj Iwanowicz, handlowiec, a ten pan...

— Iwan Kondratjew Konurin, kupiec petersburski drugiej gildji! — przerwał Konurin.

Podano sobie ręce, nieznajomy zarekomendował się, jako Kapiton Wasiljewicz i mruknął jakieś nazwisko, którego nikt dobrze nie zrozumiał.

— Podróżuje pan dla własnej przyjemności? — pytała go Głafira Siemionowna, z kokieterją patrząc na niego swojemi maleńkiemi oczkami.

— Nie! Nie zupełnie! Ewentualnie przyjechałem na odpoczynek. Jesteśmy tutaj już od grudnia.

— Nawet od grudnia! Doprawdy... Czytałam, że tutaj zupełnie niema zimy.

— Absolutnie niema... Ewentualnie zawsze taka sama proporcja jak i dzisiaj. To jest czasami w nocy bywa chłodno, ale i w nocy, jeżeli zdarzało mi się czasami w samej tylko kamizelce wybiegać na ulicę, kiedy posyłano mnie...

— Jakto: posyłano? — zapytała Głafira Siemionowna. — Pan tu pracuje?

Elegancki pan z baczkami zmieszał się nieco.

— To jest... ewentualnie... ja dla swojej przyjemności... pur, jakby to powiedzieć?... pur plezir i nic więcej... Absolutnie dla własnej przyjemności... — odpowiedział wreszcie. — Zdarza się jednak czasami wieczorem wybiegnąć ewentualnie! W[illegible]ody nawet w grudniu w samej kamizelce, jeżeli absolutnie z pośpiechem..

— Czy naprawdę tutaj w zimie nie jeździ się saniami? — zapytał z kolei Konurin.

— Jak tu jeździć saniami, kiedy nawet śniegu nie było?

— No i powiedzcie państwo, co to za imperja! Nawet w zimie nie mają śniegu.

— Iwan Kondratjicz, przecież i u nas na Krymie nigdy nie jeżdżą saniami.

— No a te palmy, te drzewa pomarańczowe, nawet i w grudniu są zielone i mają liście? — wypytywał Mikołaj Iwanowicz pana z baczkami.

— Tak samo, absolutnie w tym kierunku... Jeżeli nawet ewentualnie idzie się w południe na brzeg, słońce przypieka plecy, że aż ha... Zupełnie jak teraz...

— Boże, co za wspaniały klimat! Poprostu wierzyć się nie chce! — westchnęła Głafira Siemionowna.

— Za miedziaka można kupić różę na bulwarze w grudniu, więc czego jeszcze ewentualnie państwo chcą. Kupisz sobie za miedziaka różę na bulwarze i ofiarujesz jakiej panience. My już tu po raz trzeci... trzeci rok egzystujemy tu w zimie! — opowiadał pan z baczkami. — W zimie tutaj, a na lato do Petersburga ewentualnie.

— Ach, to pan też z Petersburga?

— Absolutnie z samego Petersburga.

— A czem się pan tam zajmuje? — zaczął Mikołaj Iwanowicz. — Służy pan widzę, urzędnik?

— Nie, ja absolutnie sam, sam dla siebie...

— Pewno pan handluje? Pewno też kupiec, jak i my?...

— Ewentualnie zdarza się różnie... różne mam interesa! — odpowiedział pan z baczkami wykrętnie.

Iwanowie i Konurin zaczęli wchodzić po schodach na bulwar, pan z baczkami im towarzyszył.

— Bardzo przyjemnie, bardzo przyjemnie spotkać się za granicą z Rosjaninem! — powtarzała Głafira Siemionowna. — Byliśmy w Berlinie, w Paryżu i niech pan sobie wyobrazi, ani jednego Rosjanina.

— Zato w tutejszych palestynach jest absolutnie dużo Rosjan! — odpowiedział pan z baczkami.

— Nie może być! A my dopiero pana pierwszego... Coprawda dopiero przyjechaliśmy. Gdzie pan się tutaj w Nicei zatrzymał? W jakim hotelu?

— Ja absolutnie nie w Nicei mieszkam... W Montekarlo. Dwadzieścia wiorst koleją żelazną. Coś w rodzaju, jakby z Petersburga ktoś pojechał do Pawłowska. Do Nicei przyjechałem dziś ewentualnie w pewnej sprawie.

— Jak się nazywa to miasto, gdzie pan mieszka? — dopytywał się Mikołaj Iwanowicz.

— Montekarlo!

— Montekarlo?... Nie słyszałem, nic słyszałem o takiem mieście.

— Jakto? Niech pan daruje! Czy można nie słyszeć

ewentualnie o Montekarlo? Z powodu tego Montekarlo wszystkie panny przyjeżdżają tutaj. Montekarlo jest najważniejszym absolutnie punktem tutejszej egzystencji. Można nawet powiedzieć główny gwóźdź. W Montekarlo panowie grają w ruletkę.

— W ruletkę? Słyszałem, słyszałem! Nie wiedziałem tylko, że to się tak nazywa! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Wie pan przez tę samą ruletkę brat stryjeczny mojej żony wrócił do Petersburga zupełnie goły, pomimo, że wziął ze sobą trzy tysiące rubli, a jeszcze pięć tysięcy wysłali mu przez pocztę. A więc to tutaj ta ruletka? Trzeba będzie pojechać i zobaczyć.

— Absolutnie trzeba! — potaknął pan z baczkami. — To jest tutaj coś najbardziej pierwszy sort. Najbardziej, że się tak wyrażę, e x t r a w a g a n t y l n e...

— Jak się to miasto nazywa?

— Montekarlo! — podpowiedziała mężowi Głafira Siemionowna. — Dziwię się, że nie wiesz! Ja tyle razy w książkach czytałam o Montekarlo i o ruletce i znam to doskonale.

— Dlaczegoś mi nic o tem nie powiedziała, kiedyśmy tutaj jechali?

— Poprostu zapomniałam! Człowiek inteligentny, jeżeli czyta książki, nie może nie znać ruletki i Montekarlo.

— Absolutnie muszą tam państwo chociaż raz pojechać... Bardzo ciekawe! — mówił pan z baczkami i natychmiast dodał. — Kto raz jeden pojedzie tam i sprobuje szczęścia w tę kręciołkę, tego pociągnie później i po raz drugi, i po trzeci, i po czwarty. Będzie stale jeździł znajomą już dróżką.

Krok za krokiem przeszli przez cały prawie bulwar, nazywany „Jette Promenade" i szli teraz już bulwarem „Promenade des Anglais", gdzie spacerowała elegancka publiczność.

VIII.

— Tutaj w Nicei i w okolicznych miastach na brzegu bardzo duża liczba Rosjan mieszka! — opowiadał Kapiton Wasiljewicz, gładząc się z powagą po bokobrodach. Niektórzy z arystokratów, czy z bogatego kupiectwa czy bankierstwa nawet ewentualnie własne wille tu mają. Jedni całą zimę mieszkają, inni absolutnie w styczniu po Bożem Narodzeniu przyjeżdżają.

— Wile? — zapytał zdziwiony Konurin. — A poco im te wile?

— Iwan Kondratjicz, niech pan się nie kompromituje! — szarpnęła go za rękaw Głafira Siemionowna. — Przecież willa to dom, letnie mieszkanie!

— Letnie mieszkanie? Tfu! A ja słucham i myślę: „poco im jakieś wile? Myślałem już, że to może on tak nazywa widły żelazne. *)

*) „Widły" po rosyjsku „wiły", a „wille" — też „wiły".

Biblioteka Śląska

— Ha, ha, ha! — roześmiał się Kapiton Wasiljewicz. — Tę anegdotę trzeba będzie absolutnie opowiedzieć naszemu guwernerowi, żeby opowiedział hrabiemu.

Konurin obraził się.

— A skąd ja mogłem wiedzieć, co to jest te wile, kiedy po francusku ani w ząb...

— Przecież i ja braciszku po francusku ledwo, ledwo.... więcej tylko bufetowe słowa i jeżeli coś do zjedzenia... a jednak zaraz zrozumiałem, co to są „wile"! — wstawił swoje słowo Mikołaj Iwanowicz.

— No, a ja nie zrozumiałem i już! Czy jestem obowiązany wszystko rozumieć. A pan już chce o tem jakiemuś hrabiemu opowiadać. Co mnie obchodzi pański hrabia. Taki hrabia napewno był przez jakichś dziesięciu nauczycieli w różny sposób edukowany, a ja na wsi w powiecie Poszechońskiem za miedziane pieniądze u starej baby uczyłem się czytać i pisać. Niech pan mówi hrabiemu... W nosie mam pańskiego hrabiego...

— Iwan Kondratjicz! Niech pan przestanie... Przecież to żart. Inteligentny człowiek z panem żartuje, a pan zaraz się gniewa! — powściągała Konurina Glafira Siemionowna.

— Pardon panu, jeżeli pana ewentualnie obraziłem, ale jak Boga kocham, wyszło to absolutnie bardzo wesoło! — klepnął Konurina po ramieniu Kapiton Wasiljewicz. — Wile i widły! Ha, ha, ha....

— Pan ma znajomego hrabiego? Jak się nazywa ten hrabia? — zainteresowała się Glafira Siemionowna.

— Jest tutaj taki jeden... Tutaj dużo hrabiów, ot, nawet naprzeciwko nas idzie teraz jeden rosyjski hrabia. To oficer. Bywa często u nas.

— Jakto oficer? Przecież ubrany po cywilnemu?

— Nawet — pułkownik. A dlatego w cywilnem ubraniu, że tu absolutnie nie wolno im w mundurach chodzić. Jak wyjechałeś zagranicę, absolutnie trzeba się przebrać w cywilną marynarkę.

— No, no, nic o tem nie wiedziałem.

— Nie wolno, nie wolno! Do granicy jedzie w mundurze, a jak tylko na granicy — zaraz absolutnie przebieraj się. A jak im trudno przyzwyczajać się ewentualnie do cywilnego ubrania! To samo z moim. Ubiera się i mówi: „Te cywilne ubranie dla mnie, to jakby siodło na krowie". Podasz mu marynarkę, kapelusz, rękawiczki, laskę, a on zapomina się i absolutnie szuka szabli, żeby przypiąć.

— To pański znajomy hrabia też wojskowy?

— Nawet generał.

— Pan z nim prawdopodobnie razem mieszka?

— Tak.. w sąsiedztwie. Pani niby ze względu na tę... marynarkę?... Ewentualnie od czasu do czasu... z grzeczności... Bardzo szanowny człowiek, więc, żeby mu pomóc się ubrać!... — rzekł Kapiton Wasiljewicz. — A oto jeszcze jeden

Rosjanin idzie. A tam Rosjanin siedzi na ławce. Tutaj się spotyka absolutnie dużo Rosjan, ale nie przyznają się do tego, że są Rosjanie, jeżeli ktoś mówi dobrze po francusku...

— Dlaczego?

— Różnie bywa... Po pierwsze, żeby w hotelach nie brali za drogo. Jak się dowiedzą, że jest Rosjanin, zaraz absolutnie wszystko trzy razy droższe, zdzierają... Po drugie nie przyznają się również dlatego, żeby absolutnie jakiś rodak nie poprosił ewentualnie pożyczki... Oto znów idzie Rosjanin z żoną.

— Pan ma jednak dużo znajomych? — zauważyła Głafira Siemionowna. — Dlaczego się im pan nie kłania?

— Właśnie dlatego samego absolutnie nie kłaniam się. On myśli, żebym czasami u niego ewentualnie nie poprosił pieniędzy, a ja znowu myślę, żeby on mnie nie poprosił. Tak lepiej, a że przed państwem przyznałem się do tego, że jestem Rosjaninem, to jedynie dlatego, że absolutnie bardzo podobały mi się fizjognomje państwa! — opowiadał Kapiton Wasiljewicz.

— Miersi panu! — uśmiechnęła się Głafira Siemionowna grzecznie. — Co się tyczy pieniędzy, może pan być spokojny. My nie poprosimy pana o pożyczkę.

— Na bulwarze Promenade des Anglais wybudowane były trybuny drewniane z ławkami i lożami, zwrócone ku jezdni ulicy. Na parkanach na widocznych miejscach rozklejone były olbrzymie afisze.

— Co to takiego? Czy tu będzie jakieś przedstawienie? — zapytała Głafira Siemionowna.

— To znaczy absolutnie nie przedstawienie, a specjalna zabawa... bitwa kwiatowa! — odpowiedział Kapiton Wasiljewicz.

— Jakto bitwa? — spytali jednogłośnie zdziwieni nasi podróżnicy.

— Absolutnie tak... bitwa... Będą rzucali jedni w drugich kwiatami. Jedni będą jechać ewentualnie w powozach i rzucać w siedzących tutaj na galerjach, a znów siedzący na galerjach będą walić kwiatami w jadących. Każdy się będzie starać, żeby jaknajmocniej ewentualnie trafić w fizjomordę jakiejś osoby. „Fet de prentan“ tak się to nazywa po francusku i zawsze to bywa w czasie postu, w półpoście. Po naszemu się to nazywa półpoście, a według nich „mikarem“. Radzę absolutnie kupić bilety i popatrzeć. To już jutro będzie to zdarzenie.

— Koniecznie trzeba wziąć bilety! — rzekła Głafira Siemionowna. — Mikołaj Iwanycz słyszysz?

— Weźmiemy, weźmiemy! Dlaczego nie wziąć? Po to jeździmy, żeby wszystko zobaczyć. Awantura z kwiatami — to bardzo ciekawe!

— Lubię każdą awanturę i każdą walkę! Nawet lubię patrzeć, jak się chłopcy na ulicy biją! — dodał Konurin. — Gdzie sprzedają bilety?

— Ot, tam kasa. Ja również naumyślnie dlatego absolutnie przyjechałem do Nicei. Prosili mnie, abym wziął ewentualnie cztery pierwsze miejsca — rzekł Kapiton Wasiljewicz.

— Ach, więc i pan będzie? Weźmiemy miejsca razem! — rzekła Glafira Siemionowna.

— Nie, ja nie będę! Ja muszę jutro absolutnie do jednego... posła... Poważne sprawy... Biorę miejsca dla hrabiego. Hrabia prosił mnie, żebym wziął dla niego cztery miejsca. Człowiek absolutnie szanowny, znakomitość... Dlaczego nie postarać się?

— Ach, jaka szkoda, że pan nie będzie! Naprawdę mógłby pan przyjechać... Jakoś się pan może przecież wykręcić od tego posła. — prosiła Kapitona Wasiljewicza Glafira Siemionowna.

— Nie mogę absolutnie... Do posła muszę koniecznie... Koniecznie. Zresztą widziałem to zdarzenie w zeszłym roku, a państwo niech zobaczą, bardzo ciekawe absolutnie. Niejeden tak celnie zapali drugiemu w fizjomordę, że nawet krew... Absolutnie.

— Co pan mówi!

— Absolutnie naprawdę. Oprócz tego będą rozmaite przebierańce jeździć w wozach, jedni w maskach, drudzy od stóp do głowy w mące i w białej peruce, ten się za djabła przebierze, a damy wszystkie absolutnie jak nimfy...

— A więc nawet i maskarada? Ach, jakie to ciekawe. I nie chce pan przyjechać?

— Poseł turecki będzie absolutnie mnie oczekiwał. Zgodzi się pani, że ewentualnie taka osobistość... Jeżeli jednak państwo mają taką przyjemność, to mogę się z nimi spotkać pojutrze na prawdziwej maskaradzie. Pojutrze będzie tutaj maskarada w Kasino... To będzie prawdziwa maskarada w salonie. Wszyscy muszą być na biało ubrani.

— Za pozwoleniem... jakto u nich maskarady w poście? — zapytał Konurin. — Przecież w czasie postu nie wolno urządzać maskarad?

Tutaj wszystko absolutnie do góry nogami. Jak tylko post, zaraz zaczynają się różne kręciołki i sztajerki... A karnawał już się skończył... Boże, Boże! Po wszystkich ulicach wszyscy biegali w maskach, olbrzymie wozy z rozmaitemi przebierańcami... Kto ukaże się na mieście bez maski, zaraz błotem w niego walą: nie chodź, gdzie cię nie proszą.

— No a ten hrabia, pański znajomy?

— Wylazł na ulicę bez maski i zaraz mu nos rozbili. Tutaj jeżeli naród ma taki paroksyzm maskaradowy, to wszystko mu jedno: nawet hrabia to dla nich nic, absolutnie.

— Nie może być? Co za porządki! Wszyscy w maskach?

— Wszyscy, wszyscy!

— Żona moja za nic na świecie nie włożyłaby maski na twarz! — rzekł Konurin, wyjął zegarek i zaczął zastanawiać się. — A jednak kochane państwo już jest czas kanoniczny. Trzebaby robaczka zalać! — dodał.

— Dežene? Awek plezir! — odpowiedział Kapiłon Wasiljewicz. — Kupimy bilety i możemy pójść ewentualnie na śniadanie.

Kupiono bilety.

— Gdzie pójdziemy na śniadanie? Gdzie tutaj jest restauracja? — pytał Konurin.

— Najlepiej chodźmy tam na pale! Do tej restauracji, co stoi na palach. Dotąd ciągleśmy jedli i pili na ziemi, na lądzie, a teraz dla rozmaitości spróbujemy na wodzie! — poradził Mikołaj Iwanowicz.

Całe towarzystwo udało się do restauracji na Jette Promenade.

IX.

Budowla na palach, dokąd skierowało się towarzystwo na śniadanie, była wewnątrz również wspaniale urządzona, składała się z wielkiej sali w stylu maurytańskim, sali teatralnej z lożami i restauracji, udekorowanej w stylu chińskim. Wszędzie rzeźby, obrazy, złocenia, freski. Iwanowie i Konurin z wielkiem zaciekawieniem oglądali obrazy na ścianach i na suficie.

— Ale te knajpy zagranicą! Zachwyt!... — zawołał zdziwiony Konurin. — Nasza Moskwa słynie ze swoich knajp, ale gdzie Moskwie do zagranicy.

— Czy można nawet porównywać! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Żadnego porównania! Moskwa — to wieś, a tutaj — europejska cywilizacja. Popatrz-no na tę nimfę... Co, portrecik akuratny, a patrz, jak te kupidonki chlastnięte!

— Co tu mówić! Zachwyt!

— Widzi pan, a ciągle pan skarży się, że pojechał z nami zagranicę! — wstawiła swoje słowo Głafira Siemionowna, zwracając się do Konurina. — Skarży się pan, wymyśla nam, żeśmy tak daleko pana zawieźli. Z powodu samych knajp warto jechać zagranicę.

— Lokale wszędzie do utraty przytomności, ale zato jedzenie — pod psem. Niech pani daruje! Jeździmy, jeździmy po tych różnych zakładach, po osiem i dziesięć francuskich złotówek płacimy za obiady od osoby, a nigdzie nas nie poczęstowali kapuśniaczkiem, jak się należy, pierożka nigdzie z mięsem, ani z kapustą nie dali. Nawet ogórka małosolnego nie podali nam nigdy do pieczeni. A o porządnej naszej zupie rybnej ze śmietaną, to nawet ani nie słyszeli.

— Tutaj francuska gastronomja! Tutaj są inne zwyczaje! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— No, a dlaczego przekąsek przed obiadem nie dają?

— Jakto nie dają? A zapomniał pan, jak w Grand Hotelu w Paryżu dostaliśmy na śniadanie na przekąskę i kiełbasę, i sardynki, i masło, i rzodkiewkę.. .

— Za pozwoleniem... czy to przekąska? Ja mówię o przekąsce, jak się należy, jak u nas w porządnych restauracjach

dają. Zażądasz przekąski, przyniosą ci 30 półmisków z różną różnością, a oprócz tego, oprócz zimnych przekąsek, dadzą jeszcze salatereczkę forszmaku na gorąco, parówki w sosie pomidorowym, wątróbkę w kawałeczkach w sosie i to wszystko smaczne, ach, smaczne. Nie, co się tyczy jedzenia, to u nas daleko lepiej.

Rozmawiając w ten sposób, towarzystwo siadło przy stole. Garson z bokobrodami, z lokiem na czole, w smokingu i z białą serwetą od pasa do butów i z złożoną serwetką na ramieniu, dawno już stał w pozie wyczekującej i oczekiwał rozkazu.

— Katr dežene (4 śniadania)! — rozkazał Kapiton Wasiljewicz.

— Oui monsieur. Quel vin desirez-vous? (Jakie wino pan sobie życzy).

Zamówiono wino, przyczem Kapiton Wasiljewicz dodał:

— E odewi riuss!

— Vodka russe? Oui, monsieur! — ukłonił się garson.

— Nie może być? Mają tu rosyjską wódkę? — zawołał radośnie Mikołaj Iwanowicz.

— Absolutnie mają! Zaraz nam podadzą „Wdowę Popowę". *)

— Powiedzcie państwo!; W Paryżu ze trzy razy pytaliśmy się o wódkę rosyjską i nigdzie nam jej nie dano. Potem już wcale nie pytaliśmy, wszędzie zamiast wódki bawiliśmy się koniakiem.

— To Paryż, a to absolutnie Nicea. Tutaj Rosjan, jak w moździerzu i dlatego wszystko dla nich trzymają. W restauracji Londongaus możecie państwo nawet dostać chleba razowego, świeży kawior, siomgę. Wódka rosyjska jest tu absolutnie prawie że we wszystkich restauracjach! — opowiadał Kapiton Wasiljewicz.

Oblicze Konurina rozjaśniło się i nawet przeżegnał się z radości.

— Chwała Bogu! Wreszcie po długim poście łykniemy wódeczki rosyjskiej! — rzekł. — A ja już myślałem, że do ruskiej ziemi nie zobaczymy jej.

— Jest, jest! Zaraz pan zobaczy, tylko ewentualnie drogo za nią liczą.

— A niech liczą! Nie przyjechaliśmy tu, żeby zarabiać, ale wydawać. Niech tylko dadzą.

— O, już niosą butelkę.

— Niosą! Niosą! To ona, kochaneczka. Po butelce poznałem, że to ona!

Konurin wesoło zacierał ręce. Garson postawił kieliszki i zaczął otwierać butelkę.

— A czem zakąsić? — pytał współtowarzyszów Kapiton Wasiljewicz. — Ewentualnie może rzodkiewką, kiełbasą?

*) W Rosji była znana rektyfikacja, własność wdowy Popowej.

— Co tu zastanawiać się nad przekąską, kiedy nareszcie dobraliśmy się do wódeczki! Pierwszy kieliszek można chociażby tą bułeczką przekąsić! — odpowiedział Konurin, biorąc kieliszek. — Kochaneczka, wódeczka, rosyjska! Dwa i pół tygodnia nie widzieliśmy się już ze sobą. Czy aby tylko nie oduczyłem się już pić ciebie, kochanie ty moje? — mówił dalej uśmiechnięty.

— Co pan Iwan Kondratjicz mówi do siebie, jak pijak! — zwróciła mu uwagę Głafira Siemionowna.

— Nie pijak, mamusiu, a poprostu przyzwyczajenie takie mam do wódeczki... Dwadzieścia lat pod rząd nie siadałem do stołu bez kieliszka wódki, aż nagle wyjechałem zagranicę i stop maszyna. Teraz za tą wódkę z przyjemnością powiem: Wiw la Frans!

Mężczyźni trącili się i wypili.

— Nie, nie oduczyłem się! Doskonale wypiłem! — rzekł Konurin, pchając do ust kawałek białego chleba, i znów nalał wódki do kieliszków. — Panowie! Teraz wypijemy za tego rekina, cośmy go widzieli niedawno na brzegu. Trzeba wspomnieć nieboszczyka.

Garson w tym czasie podał rzodkiewkę, masło i kiełbasę, pokrajaną w plasterki. Powtórzono kolejkę. Konurin mówił nieustannie.

— Teraz już przez całe życie nie zapomnę, że jest takie miasto Nicea! A dlaczego? Dlatego, że znaleźliśmy w niej naszą rosyjską, prawosławną wódkę. Boże! Po trzecim? Nalewam trzeci kieliszek!

Współtowarzysze nie odmówili.

Garson podał omlety.

— Odnieś! Odnieś, panie garson z powrotem! — machnął ręką Konurin.

— Dlaczego? Przecież to jajecznica? — rzekł Kapiton Wasiljewicz.

— Wiemy, wiemy! W Paryżu nam do takiej jajecznicy ostryg pieczonych dodali. Dobrze jeszcze, że na brzegu półmisek udekorowali ostrygami w muszelkach, więc domyśliliśmy się.

— Ależ to jest absolutnie zwyczajna jajecznica z szynką. Przecież pan widzi czerwoną wędzoną szynkę! — próbował przekonać Konurina Kapiton Wasiljewicz.

— A kto mi zaręczy, że to nie żaba wędzona? Nie, dałem sobie słowo ,że żadnej mieszaniny nie będę jadł zagranicą.

— I ja nie będę jadła! — odpowiedziała, pokręciwszy głową, Głafira Siemionowna i skrzywiła usta .

Jedli tylko Mikołaj Iwanowicz i Kapiton Wasiljewicz.

— Mikołaj Iwanycz, przecież ty naumyślnie, tylko mnie na przekór jesz tę jajecznicę? — rzekła żona do męża.

— Dlaczego na przekór? Poprostu lubię naśladować cywilizację. Jak jestem zagranicą, chcę jeść jak człowiek zagraniczny.

Na drugie danie podano rybę w sosie. Glafira Siemionowna znów skrzywiła usta i nie dotknęła się do ryby. Nie dotknął się i Konurin, mówiąc:

— Jakieś kawałeczki i w sosie... Nie wiesz, co jesz. Kto wie ,może to ten rekin, którego pokazywano tam na brzegu.

— Co pan absolutnie mówi?... To tiurbo... najlepsza ryba tutejsza! — namawiał ich Kapiton Wasiljewicz, ale napróżno.

— Nie, nie! Nie będę jadł! Wódki się z wami napiję, ale przekąszę bułką! — rzekł Konurin.

— A nawet żeby naprawdę rekin?! — odezwał się Mikołaj Iwanowicz. — Ja dla zagranicznej cywilizacji gotów jestem nawet kawałek rekina zjeść, jeżeli tutaj jadają rekiny.

I przysunął do siebie półmisek.

Skończyło się na tem, że Glafira Siemionowna i Konurin jedli na śniadanie tylko rozbef, ser i owoce. Konurin, czerwony od wypitej wódki, mówił:

— Tylko apetyt podrażniłem a sytności z tego żadnej. Ach, z jaką przyjemnością zjadłbym teraz porcję moskiewskiej solanki z jesiotrem! Ach, coby to było! Piękna jest ta Nicea, ale niezupełnie. Ot, żeby tak do wódki podali jeszcze solankę, to co innego. Zastanawiam się, że nie warto nawet pamiętać, że jest takie miasto Nicea.

— Zapomnij o niem, zapomnij! — mówił mu Mikołaj Iwanowicz.

Całe towarzystwo bawiło się doskonale.

X.

Wypiwszy po pięć kieliszków wódki i po butelce piwa, panowie poczerwienieli na twarzy, rozweselili się i głośno rozmawiając, zabierali się do wyjścia z restauracji.

— Po ile wzięli za wódkę? — pytała Glafira Siemionowna.

— Po francuskiej złotówce za kieliszek! — odpowiedział Konurin. — Cenią tu naszą rodzimą wódeczkę rosyjską, cenią!

— Czy warto było pić? Przecież na nasze pieniądze, to po 40 kopiejek, a doskonały koniak francuski kosztuje tu tylko 25 centymów.

— Co innego koniak, a co innego, paniusiu, nasza prosta wódeczka rosyjska! Przed jedzeniem na całym świecie niema nic lepszego od naszej oczyszczonej.

— Ale każdy z panów wypił wódki za dwa ruble.

— Gdzie nasz człowiek nie traci. — Machnął ręką Konurin. — Zato naszą matuszkę-Rosję wspomnieliśmy, jak się należy. Co tu liczyć i liczyć. Nie dobrze jest ciągle liczyć. Od tego, mówią, ludzie usychają!

Przechodząc przez salę, zauważyli rozstawione stoły i zgrupowaną przy nich publiczność.

— Co oni tam pokazują? Może znów jakieś zwierzę? — zapytał Mikołaj Iwanowicz Kapitona Wasiljewicza.

— A to może państwa absolutnie zainteresować, jeżeli

chcecie ewentualnie spróbować szczęścia. Tu jest taka gra w koniki i kolej żelazną.

— Jakto gra w koniki? — zawołał Konurin.

— Absolutnie zwyczajnie. Po tutejszemu nazywa się to „ren" — wyścigi, a nasi Rosjanie nazywają to „grą w koniki". Proszę się przyjrzeć. Postawisz dwa franki, a możesz wziąć absolutnie 14.

— Ruletka? — zapytali nagle wszyscy: Konurin i małżonkowie Iwanowowie.

— Nie, nie ruletka! Prawdziwa ruletka jest w Montekarlo, a tutaj coś na tę samą modę. Absolutnie też urządzili dlatego, żeby od publiczności pieniądze ewentualnie wyskrobać. Zwykle podróżni na tych konikach uczą się gry w prawdziwą ruletkę, i potem znowu do koników wracają, kiedy się absolutnie w prawdziwą ruletkę zgrają do płótna w kieszeni. W ruletce najmniejsza stawka absolutnie 5 franków, a tutaj na koniki można ewentualnie dwa franki postawić, a na kolej żelazną, ewentualnie jeden frank. Stawiaj i ciesz się, jeśliś się w czepku rodził! — opowiadał Kapiton Wasiljewicz, prowadząc towarzystwo do stołu.

Na okrągłym zielonym stole, ogrodzonym barjerką, kręciło się ośm metalowych koników z żokejami, przymocowanych do specjalnego mechanizmu, który wprowadzał je w ruch. Przed każdą rozgrywką poruszał ten mechanizm siedzący przy stole krupier z zakręconemi wąsami. Drugi krupier, wygolony jak Anglik, z czerwonym nosem obchodził z tacką publiczność i sprzedawał bilety z numerami koników, biorąc po dwa franki za bilet.

— A to sztuka! — rzekł Konurin. — Jak się w to gra?

— Niech pan weźmie bilecik za dwa franki, ewentualnie się pan dowie! — odpowiedział Kapiton Wasiljewicz.

— Cóż, można sprobować! Niech mi się zdaje, że za dwa franki 2 kieliszki oczyszczonej połknąłem. Eh, musje! Dawaj bilet, masz tu dwie złotówki!

Krupier z czerwonym nosem wziął od Konurina dwa franki i sprzedał mu bilet.

— Czwarty numer! — rzekł Konurin, oglądając bilet. — Co to znaczy, rodaku?

— Zaraz zakręcą maszynę i koniki ruszą. Jeżeli konik z numerem czwartym zatrzyma się, wyprzedziwszy inne, to wygra pan 14 franków! — objaśnił Kapiton Wasiljewicz.

Krupier puścił w ruch mechanizm. Koniki ruszały, prześcigając jeden drugiego. Konurin i małżonkowie Iwanowowie śledzili uważnie. Koniki zatrzymały się.

— Sept! — zawołał wąsaty krupier.

— Co to znaczy? — zapytał Konurin Kapitona Wasiljewicza.

— Wygrał siódmy numer. Konik pod nr. 7-ym absolutnie przyszedł pierwszy.

— A ja?

— A pan przegrał za swoim 4-tym numerem.

Konurin skrzywił się.

— Masz tobie, na dwie francuskie złotówki znów obrali kupca rosyjskiego! — rzekł do siebie. — Co teraz robić?

— Odejść absolutnie ,albo wyjąć jeszcze dwa franki i odegrać się.

— Trzeba się odegrać. Było nie było. Jakbym cztery kieliszki wódki wypił. Masz tu jeszcze dwa franki, musju. Hej, jak tam się do ciebie mówi! Musju ,czerwony nosek, daj tu bilecik! — wołał do siebie Konurin krupiera z czerwonym nosem.

Koniki znów ruszyły i zatrzymały się.

— Czwarty numer wygrał! — przetłumaczył Kapiton Wasiljewicz. — A pan, rodaku, jaki ma numer?

— A niech was! A ja mam piąty. Na cztery złotówki francuskie ograbili kupca! Trzeba jeszcze raz spróbować! Nie mogę przecież stracić 4 złotówek. Czerwony nos! Komenzi... Jeszcze bilet!

Konurin znów przegrał.

— Co to takiego? Znów przegrana? — zawołał. — Na sześć złotówek już mi łuterko wyczyścili. Ładny interes! Tak być nie może! Trzeba się odegrać. Cały pułk zamorzę głodem ,a muszę postawić na swojem. Bilet, musju! Ruszaj się. Gdzie tu zmienić złotą monetę?

— A ta pani w kapturku na głowie wygrała już dwa razy pod rząd po 14 franków! — zwróciła mu uwagę Głafira Siemionowna. — Ta ma szczęście!

— A co mnie obchodzi dama z kapturkiem, mamusiu! Wiem tylko, że nie jadłem, nie piłem i już sześć złotówek wyciągnęli odemnie.

Znów zakręciły się koniki i zatrzymały.

— No i co? — zapytała Głafira [illegible] Konurina, stojącego z biletem w ręku.

Ten splunął w odpowiedzi.

— A żeby ich! Ja mam trzeci numer, a tu wygrywa drugi. Już nie mam, mamusiu, złotówek. Ale nie mogę im darować. Musju, gebenzi.

— Czego pan po niemiecku ciągle do nich? Przecież to Francuzi.

— Zrozumie! Nawet świńskim językiem można do niego gadać. Jak zobaczy pieniądze, zrozumie!...

Znów przegrał.

— Czy djabli nadali! Już złotej monety mi brakuje! — wołał Konurin. — Ale nie daruję!

— Będziemy, rodaku, absolutnie grać do spółki. Pan da frank i ja frank. Może na moje szczęście lepiej pójdzie, ewentualnie? — zaproponował mu Kapiton Wasiljewicz.

— Zgoda! Masz franka! A jednak dla siebie wezmę też i osobny bilet.

— Stanowczo tylko damy mają szczęście! — rzekła Gła-

fira Siemionowna. — Patrzcie, znów inna dama wygrała 14 franków. Za dwa franki czternaście franków, to 12 franków wygranych. Wcale nieźle. Mikołaj Iwanycz, chciałabym też sprobować, skoro tutaj damy mają takie szczęście. Już rozumię doskonale tę grę! Daj mi kilka franków.

— Masz pięć franków.

Mikołaj Iwanowicz dał żonie srebrną 5-frankówkę.

— Bilie! Done mua le bilie! — zawołała do krupiera Glafira Siemionowna.

Wzięto bilety, koniki ruszyły. Glafira Semionowna przegrała. Koło niej przeklinał pod nosem Konurin. Też przegrał.

— Nie, to musi być jakieś oszukaństwo! — mówił Konurin. — Dama wygrała! Dama! A skąd ja wiem, co to za dama? Może to jakaś wspólniczka? Napewno wspólniczka! Patrzcie nawet miga okiem na tego z czerwonym nosem, który bilety sprzedaje.

Grano w dalszym ciągu. Oprócz wziętych pięciu franków Glafira Siemionowna dostała jeszcze jeden frank.

— Jakie to dziwne! Jak tylko zaczęłam ja grać, zaraz mężczyźni zaczęli wygrywać. A to niepowodzenie! — mruczała do męża, kupiwszy od krupiera trzeci bilet.

— Stanowczo tu jest jakieś zwyczajne kieszonkowe złodziejstwo, nic więcej! Poprostu oszukują durniów i już! — potaknął jej mąż i dodał: — Poczekaj, ja też spróbuję i kupię sobie bilet. — Musju! Musju! Ankor bilie! — krzyknął do krupiera.

Koniki ruszyły i zatrzymały się.

— Huit! — rozległ się głos krupiera przy stole.

Glafira Siemionowna spojrzała na swój bilet i zawołała nagle na cały głos:

— Wygrałam! Wygrałam! Mikołaj Iwanycz ja wygrałam! Wit! Ósmy! Ja mam numer ósmy! Znów szczęście przeszło do dam!

Machała przed oczami krupiera swoim biletem. Krupier wyliczył jej 14 franków.

XI.

— Dwie złote monety mi wypaproszyli! Dosyć! Nie kradłem pieniędzy! Grając w ten sposób, można wkrótce zobaczyć płótno w kieszeni! — rzekł wreszcie Konurin, odchodząc od stołu z konikami.

— i mnie naciągnęli na ośm franków! — dodał Mikołaj Iwanowicz. — Na pierwszy raz dosyć!

— Na pierwszy raz? Nie, braciszku, mnie nawet już piernikiem nie zamanisz do tego stolika z konikami. Dwie złote monety, to szesnaście rubli na nasze pieniądze.

— Przecież w „stukułkę" *) w domu przegrywałeś nieraz

*) Gra w karty, podobna do labeta.

więcej?

— „Stukułka" i koniki! Co za porównanie? Tam gra poważna, gra naprawdę, a tu jakaś zabawa dziecinna. Niech ją djabli wezmą... Niech się zapadnie pod ziemię. Rodaku! Mam u pana 12 franków. 12 razy grał pan ze mną do spółki! — zwrócił się Konurin do Kapitona Wasiljewicza.

— Z absolutną przyjemnością oddałbym panu natychmiast, ale, wie pan, przyjechałem dziś tutaj bez pieniędzy. To znaczy wziąłem tylko tyle pieniędzy, ile było potrzeba na bilety, na jutrzejszą uroczystość i ewentualnie na kolej. Proszę absolutnie wybaczyć... Przy pierwszem spotkaniu oddam panu: i za przegraną oddam i za śniadanie oddam. Ile pan zapłacił, Mikołaj Iwanycz?

— Co tu o tem gadać? To tak, dla pierwszej znajomości! Czy warto mówić o takich głupstwach? — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Absolutnie przepraszam... Przyjaźń przyjaźnią, a pieniążki na stół. Przy pierwszem spotkaniu oddam panu, albo, jeszcze lepiej, przywiozę panu do hotelu. Gdzie państwo się ewentualnie zatrzymało?

— Niech pan mnie nie obraża! Nie wezmę za nic na świecie! Jestem bardzo zadowolony, że na obczyźnie spotkałem rosyjskiego człowieka, a pan odrazu pogardza moim chlebem - solą. Proszę mi nawet nie mówić o tem!

— Ha, w takim razie absolutnie miersi!

— Głasza! A ty co zrobiłaś w te koniki? — zwrócił się Mikołaj Iwanowicz do żony.

— Wyobraź sobie, wygrałam na czysto dwa franki. Naprawdę, ja powinnam stale grywać i wogóle zauważyłam, że tutaj powodzi się tylko damom. Patrz, ta umalowana w tym małym kapelusiku na czubku głowy wygrała przeszło 50 franków. Muszę koniecznie grać! Koniecznie! Zapewne wieczorem znów tu przyjdziemy?

— Wieczorem powinno państwo absolutnie pójść do Kasina! — poradził Kapiton Wasiljewicz.

— A co to jest to Kasino?

— Taka sala, jak ta, ale tam grają w koniki i w kolej żelazną. Oprócz tego jest tam koncert, śpiewają, grają, absolutnie wspaniała oranżerja... To ewentualnie niedaleko ztąd... Tam, gdzie hale targowe i najpiękniejsze magazyny... Napewno państwo już przechodziło ewentualnie tamtędy. Można każdego się zapytać i każdy absolutnie powie. Proszę pamiętać tylko: Kasino.

— Nie potrzebujemy nawet zapamiętywać. W Paryżu byliśmy w Kasino na balu i rzucaliśmy w publiczność kawałeczkami papieru. Bardzo zajmujący bal! Bal ku czci czerwonego nosa. Na środku sali wisiał olbrzymi nos trzymetrowej wielkości i wszyscy z publiczności mieli olbrzymie czerwone nosy z papieru. A damy w czasie tańców zadzierają nogi wyżej od głowy... — opowiadała Glafira Siemionowna.

— Wiem, wiem! Absolutnie wiem! — odpowiedział Kapiton Wasiljewicz. — I tutaj są takie bale. A tańce takie nazywają się: „kankan".

— Właśnie, właśnie... Naturalnie w Petersburgu nie wypadałoby zamężnej kobiecie patrzeć na takie tańce, ponieważ, pan wie, jakie to damy takie tańce tańczą, ale tutaj, zagranicą nikt mnie nie zna? A oprócz tego byłam nie sama, a z mężem...

Towarzystwo odeszło od stołu, gdzie grano w konika.

— No, w jaką stronę teraz skierujemy swoje kroki? — pytał Mikołaj Iwanowicz. —

— Przecież państwo nie widzieli jeszcze ewentualnie drugiego stołu, gdzie grają w kolej żelazną? — odpowiedział Kapiton Wasiljewicz. — Ta gra jest więcej zajmująca. To tam!

— Nie, nie! Niech ją djabli wezmą! — zamachał rękami Konurin. — Już i tak dwa dukaty przegrałem, a teraz przy drugim stole mogę jeszcze ze 3 dodać.

— Można tylko popatrzeć.

— Dziękuję! Za te dwa dukaty, które tutaj przegrałem, żona w domu mogłaby kupić 4 pudy mrożonego sandacza do galarety.

— Przecież pan, Iwanie Kondradjiczu, poto tu z nami przyjechał, żeby zobaczyć, co tu jest ciekawego! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Znam to patrzenie! A podejdziesz i zaczniesz na nowo grać. Serce nie kamień!

— W takim razie tylko ja z Mikołajem Iwanyczem zobaczymy, a pan niech nie podchodzi. Chodźmy, Mikołaj Iwanycz! Chodźmy, Kapiton Wasiljewicz.

— Z absolutną przyjemnością!

Kapiton Wasiljewicz zręcznie podał rękę Głafirze Siemionownie i prawie biegiem puścili się na drugi koniec sali, gdzie przy zielonym stole grano w kolej żelazną.

— Straszny prostak z tego znajomego kupca! — szepnął Kapiton Wasiljewicz do ucha Głafirze Siemionownie, mówiąc o Konurinie. — Absolutnie cały składa się z najbardziej niewykształconej prostoty. Grę porównuje ewentualnie z mrożonym sandaczem.

— Tak, to straszne! — zgodziła się z nim Głafira Siemionowna. — Wzięliśmy go ze sobą zagranicę i już żałujemy tego. W żaden sposób nie może się wypolerować. Zupełnie prosty kupiec.

— Przecież pani pochodzi także ze sfery kupieckiej, jak to mi pani opowiadała, a jednak jeszcze niedawno wziąłem panią absolutnie za hrabinę. Myślałem sobie, to napewno ewentualnie jakaś hrabina.

— Miersi panu! — uśmiechnęła się Głafira Siemionowna, zerknęła kokieteryjnie i mocno uścisnęła rękę Kapitona Wasiljewicza. — Ja jestem zupełnie innej sorty. Ja uczyłam się

na pensji u madam Zatrawkinej, miałam nawet 3 przyjaciółki, które były córkami generała.

— Absolutnie zaraz znać. Patrzę i patrzę i widzę, że pani ma zupełnie inny polerunek, pański, szlachecki.

Podeszli do stołu. Dopędził ich Mikołaj Iwanowicz. Iwan Kondratjewicz pomimo, iż powiedział, że nie pójdzie patrzeć, jak grają w kolej, też znalazł się wkrótce przy stole.

Stół był dłuższy i szerszy. Pośrodku stołu był specjalny mechanizm, za pomocą którego posuwał się po szynach maleńki parowóz blaszany z kilkoma wagonami. Szyny stanowiły koło, rozdzielone na poszczególne wycinki kolorowe, na których były napisy: Paryż, Petersburg, Berlin, Rzym, Lizbona, Londyn, Wiedeń, Moskwa, Konstantynopol. Oprócz tego pomiędzy wycinkami były jeszcze pola, które oznaczone były numerami. Z boków sukno było podzielone na kwadraty i na kwadratach tych były wypisane nazwy tych samych miast, co w kole. Oprócz tego były kwadraty z napisami po francusku: para, niepara, białe, czerwone. Grający, stojąc wokół stołu, kładli pieniądze na owe kwadraty. W pobliżu szyn, po których posuwał się pociąg, siedziało dwóch krupierów: jeden puszczał w ruch mechanizm pociągu, drugi zbierał przegrane stawki i wypłacał wygrane. W szufladce leżały przed nim słupki srebrnych monet frankowych, dwufrankowych i pięciofrankowych.

— Co to za Judasz tam siedzi ze srebrnikami? — zapytał Iwan Kondratjewicz po cichu Kapitona Wasiljewicza.

— To jest krupier - kasjer! Trzyma bank.

— Zupełnie Judasz! Nawet mordę ma rudą.

— Ta gra jest absolutnie ciekawsza! — opowiadał Kapiton Wasiljewicz. — Po pierwsze można tutaj stawiać, począwszy od jednego franka...

— Wszystko wezmą!.. Wszystko wezmą, co durnie postawią! — mruknął Konurin.

— Po drugie i rozmaitość jest większa. Można stawiać absolutnie, na jakie się chce miasto, na Paryż, na Petersburg, na Londyn, potem można stawiać na „per", albo „enper", t. zn. po naszemu na „cetno", albo „licho", a oprócz tego na czarny kolor, albo biały.

— Ah, to naprawdę bardzo interesujące! — zawołała Glafira Siemionowna. — Mikołaj Iwanycz, zrozumiałeś? Ta gra daleko bardziej zajmująca, niż koniki!

— Trzeba się dobrze przypatrzyć, mamusiu, to i ja dojdę do punktu! — odpowiedział mąż.

— Faites vos jeux, messieurs et mesdames! — zawołał krupier ponurym głosem z wielce poważną miną.

Stojący przy stole zaczęli kłaść frankówki, dwufrankówki i 5-cio frankówki na kwadraty, wymalowane na stole.

Drugi krupier pociągnął za maleńką dźwignię i puścił w ruch pociąg, który zaczął posuwać się po szynach.

— Poczekajcie, ja też chcę franka gdzieś postawić! — zawołała Głafira Siemionowna i wyciągnęła rękę z monetą.

Krupier zauważył ten ruch i wyciągnął grabki na długim kiju, ażeby zatrzymać jej rękę, mówiąc:

— Rien ne va plus!

— Dlaczego mojej stawki nie chce przyjąć? — zapytała zdziwiona Głafira Siemionowna.

— Teraz absolutnie nie wolno! Pociąg już zatrzymuje się. Postawi pani za następnym razem! — objaśnił Kapiton Wasiljewicz.

Pociąg zatrzymał się na Lizbonie.

XII.

Przy stole znów rozległ się okrzyk pierwszego krupiera:

— Faites vos jeux!

— Niech pani stawia, niech pani stawia prędzej! — doradzał Kapiton Wasiljewicz Głafirze Siemionownie.

— A na jakie miasto postawić?

— Niech pani na razie nie stawia na miasto, proszę postawić na cetno, albo licho.

— Postawię na licho. Urodziłam się jedenastego.

Głafira Siemionowna rzuciła franka na „impaire". Pociąg zatrzymał się.

— Paris, rouge et impaire (Paryż, czerwone i niepara)! — ogłosił krupier.

— Niech pani bierze, niech pani bierze... Pani wygrała! — zawołał Kapiton Wasiljewicz.

— Nie może być? Ah, jakie to ciekawe! Mikołaj Iwanycz, patrz, od pierwszego razu wygrałam.

— Kurczęta, mamusiu, liczą dopiero na jesieni! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Krupier dorzucił do franka Głafiry Siemionowny jeszcze jeden frank.

— Chcę teraz postawić dwa franki! — rzekła Głafira Siemionowna do Kapitona Wasiljewicza. — Przecież drugi już jest wygrany. Czy można?

— Absolutnie można!

— Ale teraz postawię na „cetno", bo imieniny moje są 26 kwietnia.

Przesunęła dwa franki na „paire" i znów wygrała. Krupier dorzucił jej dwa franki.

— Mikołaj Iwanycz, już trzy franki wygrałam! Można będzie teraz postawić na miasto? — zwróciła się do Kapitona Wasiljewicza.

— Niech pani postawi, teraz już można. Ale niech pani nie stawia absolutnie więcej, jak jeden frank.

— A na jakie miasto?

— Na jakie pani chce. Niech pani postawi na Petersburg. Petersburg ewentualnie dawno nie wychodził.

— Doskonale! Urodziłam się w Petersburgu! To moja ojczyzna!

— A drugi frank niech pani postawi na cetno.

Jak się powiedziało, tak się stało. Pociąg ruszył na szynach i zatrzymał się. Glafira Siemionowna przegrała na Petersburg i wygrała na cetno.

— Jest pani przy swojem. Niech pani dalej stawia na Petersburg po franku, a na cetno niech pani postawi dwa franki.

Znów wygrała na cetno i przegrała na Petersburg.

— Mikołaj Iwanycz! Cztery franki już wygrałam!

— Niech pani stawia, niech pani stawia na Petersburg! Niech się pani nie boi. Niech pani postawi nawet dwa franki! — doradzał Kapiton Wasiljewicz i tym razem rada była dobra.

— Petersbourg! — ogłosił krupier, puszczając w ruch kolej.

Drugi krupier przysunął Glafirze Siemionownie porządną kupkę frankówek.

— Mikołaj Iwanycz! Patrz, ile wygrałam!

— A niech cię... Mają jednak ludzie szczęście! — mruknął Iwan Kondratjewicz.

— Niech pani stawia, niech pani stawia prędzej. Niech pani postawi na Berlin! — doradzał Kapiton Wasiljewicz.

— Nie, ja chcę na Rzym! Rzym też dawno nie wychodził.

Pociąg ruszył.

— Stój! Stój! — zawołał Konurin na całe gardło, zwracając ogólną uwagę. — Musje! Czy macie tutaj Poszechonje? *) Stawiam dwa franki na powiat Poszechoński.

Wyciągnął dwa franki.

— Rien ne va plus! — odpowiedział krupier i odsunął rękę jego grabkami.

— Rodaku! Co on mnie kijem szturcha? Chcę postawić na powiat Poszechoński! — zwrócił się Konurin do Kapitona Wasiljewicza. — Gdzie jest Poszechonje?

— Niema tutaj takiego miasta i oprócz tego gra się już absolutnie zaczęła.

— Dlaczego niema? Powinni mieć! A jest tu gdzieś Tambow?

— Czy nie rozumiesz, że tutaj tylko są europejskie miasta? Miasta Europy! — wyjaśnił mu Mikołaj Iwanowicz.

— W takim razie stawiam na Europę! Gdzie tu Europa, musju?

— Przecież nie chciałeś już grać? Nie chciałeś wcale do stołu podchodzić?

— Dziwny z ciebie człowiek! Czy nie widzisz, że mnie to poruszyło? Mówiłem ci, że serce nie kamień! Ludzie wygrywają, więc i ja mogę... Gdzie tu Europa?

*) Mała mieścina pod Petersburgiem.

— Mikołaj Iwanycz! Znów cztery franki wygrałam na licho! — rozległ się głos Glafiry Siemionowny.

— Na Europę! — krzyczał Konurin. — Macie tu trzy franki.

— Niema tutaj żadnej Europy! Jest Petersburg, Moskwa, Londyn, Rzym.

— Rzym? To tam, gdzie papież rzymski mieszka?

— Tak, tak Rzym.

— Dobrze! Stawiam na papieża! Stawiam na szczęście papieża! — mruczał Konurin, kiedy pociąg posuwał się już po szynach.

— Moskwa! Wygrałam na Moskwę! — zawołała radośnie Glafira Siemionowna.

Krupier znów przysunął do niej kupkę pieniędzy.

Konurin był zagniewany.

— I papież nie pomógł! Ładna gra, niech ją wszyscy djabli wezmą!

— Tak nie można, Iwan Kondratjicz! Odrazu chce pan wygrać! Trzeba cierpliwości! — rzekła do niego Glafira Siemionowna.

— A pani odrazu wygrała, za pierwszym razem i za drugim i za trzecim i za siódmym.

— Tfu, tfu, tfu! Gotów mnie pan uroczyć. Niech pan przestanie.

— Rodaku! Czy niema tutaj jakiegoś miasta z okolic Muchojedowa? Postawiłbym na szczęście tatarskiego murzy... Albo nie... Na co postawiła Glafira Siemionowna? Na co ona postawi, ja też postawię.

— Niech pan tego nie robi! Zepsuje mi pan całe moje szczęście! Mikołaj Iwanycz, zdejm jego pieniądze! To do niczego niepodobne! To świństwo! Pan nie ma żadnego szacunku dla damy! Dobrze! W takim razie ja przestawię na inne miasto.

Wyciągnęła rękę do swojej stawki, lecz pociąg już zatrzymał się.

— Londres! — ogłosił krupier i przygarnął do siebie grabkami stawkę Glafiry Siemionowny i Konurina.

— To naprawdę świństwo! Przez niego przegrałam! Za pozwoleniem, czy tu wolno grać na cudze szczęście? — — mruczała zagniewana Glafira Siemionowna.

Konurin drapał się po głowie.

— Postawię na jakieś tureckie miasto, na szczęście muszy z Muchojedowa. A jak nie wygram, nawet nie spojrzę nigdy na te przeklęte stoły! — mówił. — Jak miasto tureckie się nazywa?

— Konstantynopol! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Stawiam piątkę na Konstantynopol! Musie! Gdzie tu Konstantynopol?

— Poczekaj! Postawię i ja pięć franków na Konstantynopol!

Mikołaj Iwanowicz też rzucił pięć franków na stół. Kapiton Wasiljewicz długo szukał w kieszeni od kamizelki, lecz nie znalazł nic i rzekł do Głafiry Siemionowny:

— Może mi łaskawa pani pożyczy ewentualnie 5 franków! Chcę również postawić na licho. Przy pierwszem spotkaniu absolutnie oddam! Albo nie... Niech pani da mi lepiej dziesięć franków dla równej liczby ewentualnie.

Głafira Siemionowna dała. Grali wszyscy, lecz wygrała tylko ona trzy franki, które postawiła na cetno. Rzekłszy „dosyć" odeszła od stołu.

— Wiele wygrałaś? — zapytał mąż.

— Wyobraź sobie: 87 franków na czysto! Koniecznie muszę grać! Jutro jedziemy do Monte-Carlo. Chcę spróbować w ruletkę. Iwan Kondratjicz, ile pan przegrał?

Konurin miast odpowiedzi machnął gniewnie ręką.

— Żeby się ziemia zawaliła pod tą grą przeklętą razem z tem stołem i z tą koleją! — zaklął.

XIII.

Małżonkowie Iwanowowie i Konurin prawdopodobnie graliby jeszcze dłużej przy stołach, tembardziej, że oprócz już znanych nam koników i kolei był jeszcze bilard pochyły, lecz Kapiton Wasiljewicz, spojrzawszy na zegarek, zaczął śpieszyć się, ażeby nie spóźnić pociągu do domu. Pożegnał się ze wszystkimi.

— Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy? — uprzejmie rzekła mu Głafira Siemionowna. — Będziemy w Nicei jeszcze kilka dni.

— Naturalnie! Absolutnie naturalnie! Przyjadę ewentualnie do państwa do hotelu. Przecież muszę oddać państwu absolutnie swój dług. Oprócz tego ewentualnie poznam państwa z jednym hrabią. O, to bardzo wesoły, wspaniały towarzysz!

— Bardzo, bardzo prosimy... Wie pan, zagranicą wogóle tak przyjemnie spotkać się z Rosjanami... Proszę pana, a może pan też jest hrabią? Niech pan się przyzna! — zapytała go Głafira Siemionowna.

— Jakby to ewentualnie pani powiedzieć... — uśmiechnął się Kapiton Wasiljewicz... — Wielu ludzi bierze mnie absolutnie za hrabiego... Ale nie jestem hrabią, chociaż mam ewentualnie mnóstwo znajomych książąt i hrabiów. A więc moje uszanowanie!... Jutro nie mogę być u państwa, ponieważ muszę być absolutnie u posła.

— My również jutro nie będziemy w domu... Jutro jedziemy do Montekarlo. Przecież pan mówi, że to bardzo niedaleko, a ja chciałabym koniecznie spróbować w ruletkę. Zauważył pan, jak mi się poszczęściło? Wygrałam wcale porządną sumkę. W Montekarlo mogę więcej wygrać. Pan

mówi, że w Montekarlo gra jest wyższa, a jeżeli kto ma szczęście, może wygrać grubszy grosz.

— Ale zato można przegrać ewentualnie więcej.

— No to co? Przegram tylko te pieniądze, które wygrałam dzisiaj. Mam teraz zapas i niczem właściwie nie ryzykuję. Zatem do widzenia! Jutro będziemy w Montekarlo.

— Jak my, mamusiu, możemy być jutro w Montekarlo, kiedy wzięliśmy bilety na jutro, żeby zobaczyć tę bijatykę na bulwarze, jak ludzie będą rzucać w siebie kwiatami? — wtrącił się Mikołaj Iwanowicz.

— Ah, prawda... prawda... W takim razie do Montekarlo pojedziemy pojutrze! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Dlaczego pojutrze? Przecież państwo mogą absolutnie i jutro po bijatyce kwiatowej zdążyć do Montekarlo! — rzekł Kapiton Wasiljewicz. — Bijatyka kwiatowa zacznie się o godzinie 2-giej, a po jakiejś godzinie, około czwartej mogą państwo absolutnie jechać koleją do Montekarlo. Pociągi chodzą co godzinę. Jeszcze raz dowidzenia.

Rozmawiając w ten sposób, całe towarzystwo znalazło się na bulwarze. Kapiton Wasiljewicz uścisnął wszystkim ręce, jakoś specjalnie melancholijnie spojrzał w oczy Głafirze Siemionownie i oddalił się.

— Ah, co za miły człowiek! — rzekła Głafira Siemionowna, patrząc za oddalającym się. — Mikołaj Iwanycz, czy nieprawda?

— A kto go tam wie, kochanie... Tak sobie... Żeby się przekonać, co to za człowiek, trzebaby z nim najprzód beczkę soli zjeść.

— Ty zawsze powiesz coś takiego... Ty zawsze tak... A dlaczego? Bo jesteś zazdrośnik! Myślisz, że nie widziałam, jak to patrzałeś na mnie, jak wilk, kiedy Kapiton Wasiljewicz wziął mnie pod rękę i zaprowadził do stołu, gdzie grają w pociągi.

— Ani nie myślałem... Nawet mi przez myśl to nie przeszło.

— Proszę, proszę... Lepiej daj spokój, doskonale zauważyłam! Przez cały czas śledziłeś go z pod oka, kiedy ze mną rozmawiał szeptem przy stole. Dlatego teraz nie chesz przyznać, że to jest miły człowiek.

— Przecież ja nic nie mówię. Czegoś ty się do mnie przyczepiła?

— A te twoje głupie przysłowia o soli? Kapiton Wasiljewicz jest miłym człowiekiem, to można poznać i bez soli. Przedewszystkiem zaraz poznać, że to człowiek z towarzystwa arystokratycznego. Przypomnijcie sobie tylko, jakie on ma znajomości! Książęta, hrabiowie, generałowie, posłowie. On napewno sam jest urzędnikiem jakiegoś poselstwa.

— Zgadzam się! Masz rację! — machnął ręką Mikołaj Iwanowicz.

— Możesz nie machać ręką! Jakbyś się chciał odczepić

od jakiejś głupiej! Jakbyś chciał powiedzieć: „głupia jesteś, gadaj sobie, co chcesz, niech będzie po twojemu!“ Ja jednak stanowczo twierdzę, że Kapiton Wasiljewicz jest arystokratą. Przypomnijcie tylko sobie jego bokobrody, przypomnijcie sobie, jakie wytworne perfumy czuć od niego.

— Poprostu rodak i już! Co tu dużo mówić! Mojem zdaniem, to jest nasz brat, zwyczajny kupiec, albo jakiś wojażer. Przypominam sobie, że nawet powiedział nam: „Mam tu rozmaite interesy“! Napewno coś sprzedaje, coś kupuje...

— Gdyby nawet tak było, to też nic nie znaczy. Przecież teraz i arystokraci zajmują się interesami handlowemi? Pomimo wszystko widać zaraz, że to arystokrata. A pan, Iwan Kondratjicz, co na to powie! — zwróciła się Glafira Siemionowna do idącego za nimi ponurego Konurina.

— A niech go jasna cholera! — słychać było z tyłu mruknięcie.

— Boże! Co za wyrażenie! Mógłby się pan troszeczkę powstrzymać! Przecież pan jest w Nicei, w najbardziej arystokratycznej miejscowości. Słyszał pan niedawno, że tu jest mnóstwo Rosjan... Może kto posłyszeć...

— A niech posłyszy! Za swoje pieniądze tu przyjechałem, nie za cudze! Mogę jeszcze raz powtórzyć: „niech go jasna cholera!“

— Ale za co pan na niego wymyśla? Miły człowiek, trzy—cztery godziny z nami chodził, opowiadał, tłumaczył...

— A po co mnie namówił do tej przeklętej gry? Przecież przez niego przeszło półtorej setki francuskich złotówek z za cholewy wyjąć musiałem... I sam 18 złotówek odemnie wyciągnął.

— Wyciągnął? Co to znaczy? Czy pan jest małe dziecko, czy co?

Konurin nie odpowiadał. Szli wzdłuż wspaniałego skweru, oślepiającego swoją pięknością. Ogromne krzewy kamelji usypane były kwiatami, wśród ciemno-zielonych liści złociły się pomarańcze i cytryny, chwiały czubami palmy, wyciągały swe liście-rogi agawy, na klombach kwitły fjołki, tulipany i snuły przeróżne słodkie wonie różnokolorowe hjacynty.

— Ach, jak tu pięknie; Ach, jak tu cudownie! — zachwycała się Glafira Siemionowna. — A pan, Iwan Kondratjicz, nawet nie patrzy na nic. Czy naprawdę to pana nic nie zajmuje? W marcu pod otwartem niebem takie wspaniałe kwiaty! — zwróciła się do Konurina, chcąc go pocieszyć.

— Czego tu się cieszyć? Przeszło półtorej setki złotówek z własnej kabzy w ciągu godziny wywaliłem, a prawdopodobnie w domu subjekci, korzystając z mojej nieobecności, taką samą sumkę ściągnęli... Oni się teraz cieszą, że właściciel-idjota zostawił sklepy i po różnych zagranicach się włóczy! — odpowiedział Konurin.

— Niech mi pan powie szczerze, poco pan z nami pojechał?

Jakto poco? Otumaniliście mnie i pojechałem! Idjota byłem i pojechałem!

Wyszli ze skweru i znaleźli się na wybrzeżu górnej rzeczki Pallion, która bystro toczyła swe mętne wody szerokiem kamienistem łożyskiem. Konurin nachylił się przez poręcz i rzekł:

— Ładna rzeka! Mówią — arystokratyczne nowomodne miasto, a taka rzeka! Wstyd, a nie rzeka! Przecież to gorsze od naszej Karpówki, albo nawet i Ligówki. Tfu!

— Czego pan pluje Jaką rzekę komu Pan Bóg dał, taką ma! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— A poco dla takiej rzeczki wybudowali tak bogaty bulwar kamienny? Szkoda było pieniędzy! Taka rzeka nie warta jest takiego bulwaru.

— Jak widzę, to pan wszystko widzi dzisiaj w czarnych kolorach?

— Nietylko w czarnych, ale nawet w rudych, w kratkę, mamusiu, będzie pani widziała wszystko, jak się pani wstawi w moje położenie. Włóczę się po tej głupiej Nicei, a dusza moja tam, w Petersburgu, na Klińskim prospekcie... Djabli mnie tu zanieśli do tej zagranicy!

— Znów?

— Co znów? Wcale nie przestawałem... Co tam teraz moja kochana żona robi w domu? — westchnął Konurin i dodał: — Pewno teraz herbatę pije...

— Coś bardzo często pańska żona herbatę pije? O jakiej godzinie pan o niej wspomni ,zawsze widzi pan ją przy herbacie.

— Cóż z tego? Lubi moja żonka herbatkę, oł i wszystko. Często pije herbatkę. Jak tylko nudzi się, zaraz zabiera się do herbaty i pije, pije, dopóki, jak się to mówi, para z za cholewy nie pójdzie. Co tu zresztą mówić! Uważam, że rozsądniej jest pić herbatę w domu, niż włóczyć się, jak głupi, po zagranicach! — dodał Konurin i znów umilkł.

XIV.

Towarzystwo szło krok za krokiem. Ukazał się gmach w rodzaju rosyjskich hal targowych z galerją sklepów. Towarzystwo weszło w galerję i zaczęło przyglądać się wystawom, zapełnionym różnemi towarami, przeważnie modami damskiemi, różnemi drobiazgami pamiątkowemi z drzewa lakierowanego w rodzaju portcygarów, przyrządów do pisania, torebek, portmonetek z napisami „Nice", od czasu do czasu widać było cukiernie, w których oknach stały koszyczki z czekoladkami i owocami smażonemi w cukrze, któremi słynie Nicea. Na wszystkich towarach widać było ceny. Głafira Siemionowna była zachwycona.

— Boże, jak tutaj tanio! — mówiła od czasu do czasu. — Patrz, Mikołaj Iwanycz! Co za prześliczna torebka! A ta

szkatułka z drzewa palmowego! Tylko trzy franki! Portmonetka, patrz ta portmonetka! Półtora franka... To poprostu za darmo! Koniecznie trzeba będzie kupić!

— Poco ci to, kochanie? Przecież już w Paryżu nakupiłaś mnóstwo różnej tandety? — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— To co innego... To w Paryżu. Jakie ty głupie pytania zawsze mi zadajesz... Na pamiątkę! Chcę z każdego miasta kupić sobie coś na pamiątkę. Komuś ze znajomych trzeba jakiś prezent zrobić. Przyjdą do nas ludzie w Petersburgu, nawet nie będzie się czem pochwalić. A tak będę mogła powiedzieć: „Patrzcie, ten przyrząd do pisania z drzewa kosztuje tylko 5 franków". Powinieneś go sobie kupić!

— Na jakiego djabła?

— Nie chcesz, to ja ci kupię! Przecież wygrałam dzisiaj, mam dosyć pieniędzy. I tych owoców smażonych trzeba będzie kupić kilka koszyczków.

— Też na pamiątkę?

— Głupi dowcip! — krzyknęła na męża. — Wiesz, że tego nie lubię! Wiesz, że nie jestem taka głupia, abym myślała, że smażone owoce kupuje się na pamiątkę. Ale chciałabym sobie taki koszyczek przywieźć do domu, żeby pokazać znajomym, jak tutaj smażą owoce. Patrz, cały ananas, cała pomarańcza, cytryny...

Zaczęła wstępować do sklepu i kupować różne niepotrzebne drobiazgi.

— Przeszło 30 rubli na nasze pieniądze wygrałam, mogę śmiało wszystko stracić! — mruczała niezadowolona.

— Przecież chcesz jechać do Montekarlo, więc będziesz potrzebowała pieniędzy! —ostrzegał Mikołaj Iwanowicz.

— W Montekarlo jeszcze więcej wygram. Czuję, że przyszła moja szczęśliwa gwiazda.

— Tylko się nie chwal z góry!

— Nie, nie! Ja znam swoją naturę! Jak już mi idzie, to idzie. Pamiętasz podczas ostatków w Petersburgu? A pamiętasz w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia u Konicynych na wieczorku? Wygrałam w stukułkę 14 rubli i potem stale wygrywałam, przez wszystkie wieczory. Jeżeli w Montekarlo wygram, możesz wiedzieć, zaraz połowę wygranej wydam na rozmaite drobiazgi. Żebyś pamiętał!... Wygrałam 80 fr., więc nie potrzebuję się krępować.

— Wcale nie wygrałaś 80 fr., ponieważ ja przegrałem 24 franki.

— To się nie liczy! Ty grałeś osobno, a ja osobno. Iwan Kondratjicz, możebyś pan też coś kupił na pamiątkę swojej żonie! — zwróciła się do Konurina.

— Nie warto! Nie zasłużyła na to! — machnął ręką Konurin.

— Jakto? A co żona pańska zawiniła? Przed chwilą wspominał pan o niej z wzruszeniem, a teraz...

— A dlaczego nie zatrzymała mnie w Petersburgu?... Kupiłem przecież jej w Paryżu szal koronkowy za dwa dukaty?

— To było w Paryżu, a tutaj jest Nicea! Mógłby pan kupić żonie tę szkatułkę! Niech pan patrzy, jaka piękna i tylko 4 fr. kosztuje... No, niech pan wydusi pieniądze.

Wkrótce Mikołaj Iwanowicz miał pełne ręce różnych paczek. Nagle Głafira Siemionowna krzyknęła, ujrzawszy szyld:

— Boże! „Restaurant Russe!“ Rosyjska restauracja!

— Nie może być? — zawołał zdziwiony Konurin. — Można będzie pewno rosyjskiego kapuśniaku sprobować?

— Tego nie wiem! Ale wyraźnie stoi: restorant riuss.

— Naprawdę restorant riuss. To i ja umiem przeczytać po francusku! — potwierdził Mikołaj Iwanowicz. — Trzeba będzie wstąpić tutaj na obiad. Akurat dobry czas.

Weszli do restauracji, do olbrzymiej sali, wybitej drzewem w stylu gotyckim, z witrażami w oknach i drzwiach, zastawionej maleńkiemi dębowemi stolikami z marmurowemi blatami.

Konurin rozglądał się i mówił:

— Wygląda na niemiecką restaurację prędzej, a nie na rosyjską. Przypomina trochę naszą niemiecką restaurację w Petersburgu. Patrzcie tam w rogu siedzą nawet Niemcy przy piwie.

— Nie chodzi braciszku o widok, a o jedzenie! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Możebyśmy się tak zapytali o zupę rybną. Miasto stoi nad morzem i pewno ryb tu mają dosyć.

— Nie, nie! Ryby nie będę jadła za żadne pieniądze! Bóg wie, jakie tu ryby są. Jeszcze mogą nakarmić nas jakiemi żmijami! — odezwała się Głafira Siemionowna.

— Obstalujemy rosyjskie ryby, każemy sobie podać sterlad, albo siga, okonia, sandacza...

— Mówiłem o zupie rybnej, więc zatrzymamy się na zupie tymczasem.

Siedli przy stoliku. Podszedł garson, wylizany na głowie, z ołówkiem za uchem i zatrzymał się w pozie wyczekującej.

— Chcielibyśmy zupki jakiej rybnej porządnej, braciszku! — rzekł Konurin, zwracając się do kelnera.

Kelner patrzył zdziwiony. Zdziwił się i Konurin.

— Jakto? Nie umiesz mówić po rosyjsku? — zapytał wreszcie.

— Comprends pas, monsieur...

— Nie mówi po rosyjsku... Rosyjska restauracja i nie umieją mówić po rosyjsku! W takim razie zawołajcie kogoś, kto mówi po rosyjsku! My jesteśmy Rosjanie i dlatego przyszliśmy do rosyjskiej restauracji! Nie rozumiesz? Aj, aj, braciszku, musju, nieładnie! Macie nazwę rosyjską, a nauczyć się po rosyjsku nie chcecie? Teraz jest moda i u nas i u was na „Wiw la Frans“ i „wiw la Riuss“, więc obowiązani jesteś-

cie się nauczyć. Glafira Siemionowna, niech mu pani powie po francusku, żeby zawołali jakiegoś rosyjskiego służącego! Czego tu stoi, jak bałwan?

— Done nu, ki parl riuss (Proszę nam dać kogoś, kto mówi po rosyjsku!) — rzekła Glafira Siemionowna. — Garson, ki parl riuss!

— Personne ne parle russe chez nous ici, madame! (nikt u nas nie mówi po rosyjsku).

— Co on mówi? — pytał Konurin.

— Mówi, że tu nikt nie mówi po rosyjsku!

— Ładna rosyjska restauracja! A to sztuka! A rosyjskie potrawy można tu dostać?

— Manże riuss jest tutaj? — zapytał Mikołaj Iwanowicz. — Kapuśniak, solanka, kulebiaka?...

Garson uśmiechnął się i odpowiedział:

— Oh, non, monsieur!

— Winszuję! I kapuśniaku niema i solanki niema i kulebiaki niema. Co to za rosyjska restauracja? Głasza! Przetłumacz to po francusku. Może on nie rozumie, co do niego mówię. Jak solanka po francusku?

— Tego nas na pensji nie uczono!

— No, a kapuśniak? Przecież o kapuśniaku, chyba uczyłyście się?

— Jakby to powiedzieć... Wu zawe sup o szu? (Czy macie zupę na kapuście?)

— A present non, madame!... Pour aujourd hui nous avons consomme, potage au riz avec des pois (Dziś mamy rosół i zupę ryżową z grochem).

— Nie mają kapuśniaku!

— Ażeby ich!... Zapytaj się dobrze o zupę rybną, przecież zupę rybną muszą mieć.

— Sup o puason. Eske wu zawe sup o puason? (Czy macie zupę na rybie?)

Garson potrząsnął głową i podał kartę obiadową, wyliczając potrawy:

— Potage, mayonnaise de poisson, poitrine de veau! (Rosół, majonez z ryby, mostek wołowy!)

— Nie chcemy twojej głupiej karty! — odrzucił kartę Mikołaj Iwanowicz. — Może macie prosiaka z chrzanem? Przecież chociaż jedno danie rosyjskie musi być w rosyjskiej restauracji! Koszon! Pti koszon...

Garson znów uśmiechnął się i znów potrząchał głową.

— Nic nie mają! Ale za to wabią Rosjan szyldem rosyjskim! Żeby was wszyscy djabli wzięli!

— Pewno i wódki rosyjskiej nie mają? — spytał Konurin.

— Vodka russe? Oh, oui, monsieur! — zrozumiał garson i pobiegł po wódkę.

— Nie trzeba! Nie trzeba! — wołał za nim Mikołaj Iwanowicz. — Sądzę, że za oszustwo, za to, że oszukali nas szyl-

dem swoim głupim, nie powinniśmy tutaj zostawać dłużej? — zwrócił się do żony i Konurina.

— Naturalnie! Nie warto tutaj zostawać! Trzeba nauczyć oszustów! — odpowiedział Konurin i pierwszy wstał z za stołu.

Iwanowowie zrobili to samo i skierowali się ku wyjściu.

XV.

Iwanowowie i Konurin znów zaczęli wałęsać się po ulicach, zatrzymując się przed oknami magazynów i oglądając towary. Od czasu do czasu Głafira Siemionowna wstępowała do sklepów i zakupywała różną niepotrzebną tandetę. Teraz już musiał nosić paczki i Iwan Kondratjewicz, ponieważ Mikołaj Iwanowicz był już objuczony jak wielbłąd. Zakupiono fotografje Nicei, cukierki, imitacje przeróżnych różnokolorowych kamyków, któremi usiany jest brzeg zatogi nicejskiej, kilka różańców z jakiegoś specjalnie pachnącego drzewa, składane lusterko podróżne, flakon z perfumami. Mikołaj Iwanowicz stopniowo tracił dobry humor.

— Zaczynam żałować, że nie zjedliśmy obiadu w tej rosyjskiej restauracji! — rzekł. — Nie trzeba było kaprysić z powodu tego, że nie było tam rosyjskich potraw. Przecież i tak nie dostaniemy tutaj nic rosyjskiego.

— Przecież Kapiton Wasiljicz wspominał nam, że jest jakaś restauracja, gdzie można dostać nawet rosyjskiego kapuśniaku, kaszy i kulebiaki — zauważyła Głafira Siemionowna. — Powiedział nawet, jak się ta restauracja nazywa, ale zapomniałam.

— A może pani zapyta się policjanta. Policjant napewno wie, gdzie jest taka restauracja! — zaproponował Konurin i dodał: — Już wielki czas, żeby coś zjeść! Kiszki zaczynają grać mi marsza w brzuchu.

— A gdzie tutaj można znaleźć policjanta? Zdaje się, że w tem mieście wcale niema policjanta. Tyle czasu już chodzimy, a nie widziałem jeszcze ani jednego.

— Prawda! Nie widziałem ani jednego policjanta! — potwierdził Mikołaj Iwanowicz.

— To niemożliwe, żeby miasto było bez policjantów! — zaprzeczył Konurin. — Poprostu nie zauważyliśmy. Bez policjantów niema miast. A na wypadek bijatyki jakiej? Albo jeżeli pijany...

— Iwan Kondratjicz, pan zapomina, że tutaj zagranica! Tutaj niema pijanych.

— Teraz może nie, ale podczas świąt, w niedzielę napewno muszą być... Policjanta trzeba szukać na rogu, na skrzyżowaniu ulic. Chodźcie, chodźcie tam jest róg ulicy, tam musi być policjant!

Skierowano się na róg, gdzie krzyżowała się ulica, lecz policjanta i tam nie było.

— Dziwne, dziwne... — rzekł Konurin. — Patrzcie, nawet

na stacji dorożkarzy niema policjanta. Widzicie, dorożki stoją.

Całe towarzystwo zbliżyło się do stacji dorożek, lecz i tam nie było policjanta.

— Ładne miasto, niema co mówić? Ładne porządki! — rzekł Konurin. — Ładnie tu musi być w nocy? Napadnie cię ktoś w nocy, możesz krzyczeć, ile ci się podoba „policja", a nikt ci na pomoc nie przybiegnie. I wierz tu w ich cywilizację!

— Pewno tutaj na nikogo nie napadają w nocy.

— To nic nie szkodzi... Policja powinna być! Co za porządki! Wyobraźcie sobie, że wlezę gdzieś do takiego miejsca, gdzie nie wolno chodzić? Kto mnie zatrzyma? Albo naprzykład dorożkarze zaczną się kłócić pomiędzy sobą i wymyślać sobie, albo zaczepiać spacerujących...

— Dorożkarze tutaj są też politurowani. Niech pan się popatrzy! To wszystko dorożkarze, nawet nie mają liberji na sobie, jak dorożkarze francuscy. Ubrani są tak samo, jak pan i Mikołaj Iwanycz: marynarkowe ubrania, meloniki na głowie, zegarek, dewizka...

— Czy to aby naprawdę dorożkarze? — dziwił się Konurin.

— Naturalnie! Widzi pan stoją przy dorożkach, karmią konie. Niech pan patrzy, jeden siedzi na koźle i czyta gazetę.

— A niech cię... A ja myślałem, że to nie dorożkarz... W okularach nawet... Co on tam ma? Gazetę? Naprawdę gazetę czyta! Gazetę sobie czyta, drań jeden. Patrzcie, patrzcie, a tamten dorożkarz ma nawet jasne ubranie w kratkę i granatowy krawat.

— Takiego krawatu nawet żaden z was nie ma! — podrażniła Glafira Siemionowna Konurina.

— No, no, no... proszę pani... w Paryżu kupiłem sobie pół tuzina krawatów...

— Widzi pan... Nic panu nie powiedziałam, a pan już na mnie, „no, no, no"... Jestem pewna, że ten dorożkarz nie powie damie „no, no, no". Z tego wynika, że dla takich polerowanych dorożkarzy niepotrzebni są policjanci.

— Paniusiu droga, przecież ja nie mówiłem ze złością tego „no, no, no", a pani się zaraz obraża... Ja to przez sympatję... — tłumaczył się Konurin.

— A dorożkarz tutejszy nawet przez sympatję nie powie do damy „no, no, no".

— Ale naprawdę ci tutejsi dorożkarze!... Nie odróżnisz takiego eleganta od prawdziwego pana! — dziwił się Mikołaj Iwanowicz.

— Ktoby odróżnił? — potwierdził Konurin. — Popchniesz takiego w tłumie niechcący, nawet „pardon" mu powiesz.

— A jednak, panowie, — mówcie co chcecie, musimy iść na obiad! — rzekła Glafira Siemionowna. — Nawet ja jestem już głodna. Patrzcie, już się robi ciemno, już niedługo siódma...

— Tak, tak... Trzeba jakąkolwiek restaurację wyszukać! — zgodzili się mężczyźni.

— Siądźmy poprostu do dorożki i każmy się zawieść do najlepszej restauracji.

— Dlaczego zaraz do najlepszej? W najlepszsej restauracji napewno obedrą nas. — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

— Ach Boże! Co to znaczy? Przecież wygrałam na palach przeszło 80 franków. Poco udajesz sknerę?

— Co ty ciągle powtarzasz: „wygrałam i wygrałam"? Powiedz lepiej, ile ci zostało z tych 80 franków? Nakupiłaś już całą górę rozmaitych głupstw...

— Sknera! A tego nie liczysz, że jestem dla ciebie i dla Iwana Kondratjicza tłumaczką po całej zagranicy? W Paryżu żyd jakiś proponował nam swoje usługi, a ja odprawiłam go i wszędzie sama mówiłam za was. Musiałbyś zapłacić żydkowi przynajmniej po 5 fr. na dzień, a oprócz tego karmić go i poić, a dzięki mnie obeszliście się bez żyda... Kosze! — zwróciła się Glafira Siemionowna do najbliższego dorożkarza. — Nu, szerszon bon restaurant (Szukamy dobrej restauracji). Wu sawe? Montre nu!

— Och, oui, Madame!...

Dorożkarz grzecznie uchylił kapelusza i wlazł na kozioł.

— Siadajcie panowie, siadajcie! — dyrygowała Glafira Siemionowna.

Wszyscy siedli do dorożki i pojechali. Po krótkiej drodze dorożkarz wjechał na plac Du Jardin Publique i zatrzymał się przed znaną restauracją „London - House".

XVI.

Restauracja „London-House" była najlepszą i najdroższą w Nicei. Wybudowana specjalnie dla cudzoziemców, słynna była nietylko z francuskiej kuchni, lecz także z potraw dla Rosjan i Anglików. Rosjanom dawano tutaj siomgę, bałyk, świeży kawior, kapuśniak, barszcz, kaszę czarną, pierogi, nawet chłodnik pomimo, iż barszcz, który do niego dodawano, przypominał raczej lemonjadę; Anglicy dostawali krwawy rozbef i przeróżnego rodzaju pudingi.

Kiedy małżonkowie Iwanowowie i Konurin zajęli stolik i wytresowana służba usłyszała ich rosyjską mowę, natychmiast podszedł do nich dyrektor restauracji z ołówkiem i notesikiem w ręku, we fraku i zaproponował im: „Bortsh", „Chasha", „Koulibiaka" et „Ikra russe". Glafira Siemionowna nie zrozumiała odrazu, o co chodzi i zdziwiona patrzyła na dyrektora, który musiał jeszcze raz wyliczyć wszystkie dania rosyjskie.

— Panowie, proponuje nam zarządzający rosyjski barszcz, kaszę gryczaną i kulebiakę... Tutaj mają rosyjskie potrawy! — zwróciła się do męża i Konurina.

— Nie może być? — zawołał Konurin. — We francuskiej restauracji?

—Po pierwsze, to nie francuska restauracja, a angielska. Widzi pan na karcie napisano „London-House", a Londyn, to miasto w Anglji. Zarządzający mówi, że nawet kawior mają... Chcecie?

— Naturalnie! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Angielska restauracja!... Dzielni ludzie z tych Anglików! Nie lubiłem ich dotąd, a teraz zaczynam ich szanować.

— Możesz nam podać, musju, kapuśniaku, kaszy i kulebiaki? — z radością zwrócił się do zarządzającego Konurin, a gdy ten kiwnął w odpowiedzi głową, poklepał go po ramieniu, wyciągnął doń rękę i rzekł:

— Miersi, musju! Wal, wal prędko wszystko, co masz w rosyjskim deseniu! Wódka rius też jest??

— Mais oui, Monsieur!

— Doskonale! Jeszcze raz daj rękę!

Zarządzający dał znak garsonowi i ten zaczął uwijać się koło stołu, porządkując nakrycie.

Podano wkrótce butelkę wódki w kuble z lodem, salatareczkę kawioru również na lodzie, siomgę; następnie podano kapuśniak, coprawda troseczkę przekwaszony octem, ale zawsze kapuśniak, kaszę gryczaną i porządny kawał odgrzanej kulebiaki, przypominającej coprawda więcej pasztet, niż pieróg rosyjski. Iwanow i Konurin chciwie rzucili się na jedzenie.

— Widzicie! Aniście się nie spodziewali i trafiliśmy na rosyjskie potrawy! — mówił Konurin. — Zuch z tego z dorożkarza, który nas tu przywiózł! A czy to nie dziwne: wstępowaliśmy do rosyjskiej restauracji i nie dano nam nic rosyjskiego, a trafiliśmy do angielskiej i mamy wszystko, o co prosimy.

— Patrzcie, panowie, nawet razowy chleb podali! — zwróciła im uwagę Głafira Siemionowna.

Mikołaj Iwanowicz spróbował i rzekł:

— Co to za chleb razowy, piernik jakiś...

— A jednak zagranicą nigdzie nam nawet takiego nie podano.

Zarządzający restauracją co chwila podchodził do stołu i ofiarował coraz to nowe potrawy rosyjskie. Głafira Siemionowna tłumaczyła.

— Mówi, że tutaj w ich restauracji można nawet dostać blinów z kawiorem, ale trzeba zamówić wcześniej!

— Bliny z kawiorem? Doskonale! Przyjdziemy, przyjdziemy... Koniecznie musimy tu przyjść jutro! — odpowiadali mężczyźni.

— Et holodnik russe, monsieur...

— Chłodnik? Jutro przychodzimy na chłodnik! Ach ci Anglicy, Anglicy! Uszanowali kupców rosyjskich. Niech ich gęś kopnie, ale uszanowali... — mruczał Konurin. — Nie wie-

działem nawet, że Anglicy to taka dzielna nacja. Wino czerwone mają jakieś dobre, z perfumami...

— To już sami wybrali dla nas. Powiedziałam im tylko „bon ven", ażeby dali dobre wino, — tłumaczyła Glafira Siemionowna.

— Szato-Margo! Przypuszczam, że nie będziemy się zanadto kiwali, jeżeli poprosimy jeszcze o jedną buteleczkę tego samego! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Musimy pokazać się w „Londonhuzie".

— Wal! Wal na całego! Zadowolony jestem, że dostałem się nareszcie do rosyjskiego jedzenia! — zgodził się Konurin. — Coprawda to rosyjskie jedzenie troszeczkę jest zrobione na fason francuski, ale i to dobre.

Mikołaj Iwanowicz i Konurin, popijając czerwone winko, lśnili z zadowolenia...

Przy rachunku nastąpiło rozczarowanie. Kiedy Glafira Siemionowna zażądała rachunek, okazało się, iż wszystko było wyliczone jak w aptece po olbrzymich cenach.

Rachunek wynosił przeszło 80 franków; nawet za chleb razowy policzono 5 franków.

— Fiu, fiu, fiu! — zagwizdał Konurin. — Na nasze pieniądze przeszło 35 rubli. Za trzy potrawy rosyjskie i troszkę kawiorku na przekąskę — 35 rubli. Drogo tu jednak cenią rosyjskie potrawy. To nawet drożej, jak u naszego petersburskiego Kiuby, a ten przecież jest znanym zdziercą. Pięknie, panowie Anglicy! A ja jeszcze chwaliłem ich nację angielską i chciałem im nawet powiedzieć „Wiw Angliczan"! Po 12 rubli z nosa musimy wybulić i nawet nie jedliśmy ani pieczystego, ani nic słodkiego.

— Ja zjadłam pomarańczę i porcję lodów! — zauważyła Glafira Siemionowna.

— Co znaczy pomarańcza tutaj? Tutaj pomarańcze są tańsze, jak u nas rzepa parzona. Nie braciszku, nawet psami mnie tutaj nie zapędzicie. Cóż mi z tego, że dajecie tutaj bliny i chłodnik. Za bliny i chłodnik zedrą pewno tutaj tyle, że potem do domu, do sławnego miasta Petersburga będę musiał na piechotę dymać...

— Za wino po 12 franków za butelkę ściągnęli! — mówił Mikołaj Iwanowicz przeglądając rachunek.

—Nie może być? A niech ich mucha kopnie! Coprawda wino znakomite, można nawet powiedzieć — wspaniałe, ale cena rozbójnicza. W Paryżu takie sami piliśmy, albo i lepsze po 2 franki.

— Przecież tłumaczyłam panom, że zamówiłam najlepszego wina, więc zarządzający wybrał nam najlepsze! — wtrąciła się znów Glafira Siemionowna.

— Naturalnie! I cieszył się, skorzystał ze sposobności, żeby nas okraść, oszust jakiś.

— Dziwię się doprawdy panu, Iwanie Kandratjiczu! —

rzekła Głafira Semionowna. — Chce pan, żeby zagranicą spełniali pańskie życzenia, wyszukuje pan rozmaite specjalności i nie chce za to płacić. Po co pan żądał rosyjskich potraw?

— Jakto nie chcę płacić? Muszę płacić! Jak nie zapłacę, gotowi jeszcze zaprowadzić nas na policję.

— A więc poco pan wymyśla?

— Mam nawet nie wymyślać za moje własne pieniądze, paniusiu? Kiedy zdzierają ze mnie siedm skór, muszę się chociaż cokolwiek odbić i wymyślać im choć trochę?

— Nie trzeba było mu pozwolić samemu wybierać wino! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Rano w restauracji na palach piliśmy doskonałe wino po 3 franki.

— Ach Boże! Wiecznie jesteście niezadowoleni! — rzekła Głafira Siemionowna. — Zresztą o co wam chodzi? Wygrałam dzisiaj rano i wino biorę na swój rachunek.

— Znowu z tą wygraną!... Najprzód policz, ile ci jeszcze zostało z tej wygranej? Całe wygrane pieniądze dawno już straciłaś w sklepach na rozmaite głupstwa. Garson! Prene!

Mikołaj Iwanowicz wyjął portfel i zaczął płacić.

— Ile dać kelnerowi na piwo? — zapytał Konurina. — Chociaż nas tu ograbili, ale nie możemy psuć swojej renomy rosyjskiej i trzeba będzie jakąś złotówkę francuską dać na piwo? Niech wiedzą, że tu Rosjanie byli.

— Daj mu dwa franki!

— Co takiego? Ja myślę, że i pięć zamało? Przecież lokaj kręcił się tutaj jak oparzony, gdy dowiedział się, że Rosjanie przyszli. Patrz, jak patrzy na nas, aż mu się morda rozpływa. Pomyśl tylko, ile ta jego fryzura kosztuje!... Rachunek wynosi 83 franki i pół... Dam mu 6 i pół franków? Niech wie, że Rosjanie byli... Nie wypada mniej. Rosjanie zagranicą są specjalnie szanowani i słyną z tego, że dają dobre napiwki. Iwan Kondratjicz, idzie?

— Wal! Gdzie nasze nie przepadło! — machnął ręką Konurin.

Mikołaj Iwanowicz rzucił garsonowi na talerz 90 franków i rzekł:

— A resztę prene pur buar!

Z restauracji małżonkowie Iwanowowie i Konurin pojechali do domu do hotelu, pozostawili tam swoje zakupy przedobiednie i wkrótce wyszli ponownie, aby odszukać ów dom gry, „Casino", o którem mówił im Kapiton Wasiljewicz. Przypuszczali, że będzie tam wesoło, jak w paryskiem Casinie. Konurin z początku nie chciał iść z małżonkami, tłumacząc się, że lepiej pójdzie spać, ponieważ nie spał całą noc, lecz Głafira Siemionowna namówiła go do pójścia.

— Proszę Pana, kto śpi zagranicą po obiedzie? Przecież musimy obejrzeć miasto i to, co w niem jest zajmującego! — mówiła mu.

— Znam te zajmujące rzeczy! Ten rodak mówił mi, że

tam znów na całego idzie zabawa w te idjotyczne karuzelki. Znowu trzeba będzie, jak rankiem, dać im kieszeń do wyładowania.

— Dziwny z pana człowiek... Przecież może pan nie grać.

— Łatwo powiedzieć: nie grać! Człowiek jest słaby. Chyba, że nie wezmą zupełnie portmonetki?

— Niech mi pan da swoją portmonetkę! — zaproponowała Głafira Siemionowna.

— Ma pani rację, niech pani weźmie! — zgodził się Konurin, oddał jej portmonetkę i poszedł razem z małżonkami.

Na dworze panowała cicha noc gwieździsta. Ulice były słabo oświetlone. W Nicei wcześnie kończy się handel w sklepach, które już były zamknięte i gaz w oknach magazynów, stanowiący główne oświetlenie ulic, był już prawie wszędzie zgaszony. Przechodniów spotykano rzadko. Prawdopodobnie wszyscy w tym czasie byli już w teatrach, albo w domach gry. Na morzu z tarasów pawilonu Jette Promenade puszczano rakiety i ognie sztuczne. Słychać było huk, trzask i ogniste gwiazdy wybuchały na ciemnem tle nieba. Słychać było z tej strony dźwięki orkiestry. Iwanowowie i Konurin zatrzymali się i przyglądali się fajerwerkom.

— Widzisz, jak przyciągają durniów do tego młyna szulerskiego! Fajerwerki puszczają na przymankę „Komenzi, panowie, nieście tu swoją krwawicę! Obierzemy was na czysto!“ — mówił Konurin. — Nie, musju, popatrzymy się z daleka, ale do środka do was nie pójdziemy.

— Trzeba będzie iść w kierunku hali targowej. Kapiton Wasiljicz mówił, że tam jest to Casino! — rzekła Głafira Siemionowna i pociągnęła mężczyzn za sobą.

Wejście do Casino było efektownie oświetlone. Już zdaleka widać było wielki napis „Casino“, więc znaleźć nie było go trudno. Przy wejściu tłumnie stali sprzedawcy owoców, laseczek trzcinowych, albumów z widokami Nicei, kwiatów i mnóstwo ulicników, którzy gwizdali i śpiewali na cały głos. Jeden z nich z powodzeniem wyśpiewywał na całe gardło arję torreadora z „Carmeny“, kilku ulicników siedziało w kucki na ziemi i grało w kamienie na pieniążki miedziane.

— Patrz. Iwan Kondratjicz! Nawet takie małe andrusy grają już na pieniądze. Ładne miasto ta Nicea. Całe miasto jedna szulernia! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

Zapłaciwszy za wejście po 2 fr., Iwanowowie i Konurin weszli do sali Casino, oświetlonej elektrycznością. Sala wyglądała jak wspaniała oranżerja. Wszędzie olbrzymie palmy, sięgające czubami szklanego sufitu; na ścianach bluszcz i różne rośliny pnące; w gazonach zwracały uwagę jaskrawe kwiaty w koszykach, pięknie pachnące. Pośród palm i gazonów ustawione było mnóstwo maleńkich stolików, przy których siedziała publiczność, piła lemonjadę, wodę sodową z koniakiem, mocne wino Marsalę i słuchała śpiewu chóru męskie-

go, stojącego na estradzie, przybranej roślinami egzotycznemi. Na sali widać było mnóstwo kobiet z wyczernionemi oczami i wymalowanemi policzkami, w kapeluszach o wygiętych i zagiętych rondach z całemi górami kwiatów i piór; na pierwszy rzut oka można było odróżnić Anglików w białych ubraniach płóciennych, szczerzących zęby, z rozczesanemi bokobrodami na twarzach, przypominającemi płetwy rybie. W dwóch, trzech miejscach, gdzie na stolikach był koniak, Iwanowowie i Konurin usłyszeli mowę rosyjską.

— Rosjanie!... — uśmiechnęła się Glafira Siemionowna. — Prawdę powiedział Kapiton Wasiljicz, że tu w Nicei jest mnóstwo Rosjan. Ale, czy zauważyliście — dodała — że jak tylko gdzie siedzą Rosjanie, to zaraz piją koniak.

— Nie wypada prawosławnym ludziom nalewać się limonadą! Od limonady niema żadnej wesołości, ani nic wogóle... Po limonadzie będziesz chodził po sali, jak jakaś mumja egipska! — odpowiedział Konurin. — Proponuję nawet, abyśmy z małżonkiem pani połknęli po jakimś kieliszeczku koniaku.

— Naturalnie... Poczekajcie chociaż trochę, pozwólcie obejść przynajmniej salę i przyjrzeć się porządnie publiczności. Widzę, że damy ubrane są tutaj bardzo elegancko. Patrzcie, patrzcie, jak tam grają... — zajrzała do jakiejś sali obok. — Patrzcie, ile publiczności.

W zalanych światłem galerjach, podzielonych na oddziały i przylegających do sali oranżerji w samej rzeczy odbywała się gra. Przy stołach z kręcącymi się konikami i pociągami kolejowemi tłumnie stała publiczność i co chwila słychać było okrzyki krupierów: „Faites vos jeu, messieurs“ i „Rien ne va plus”.

— Mikołaj Iwanycz, jak chcesz, ale ja zaryzykuję jakieś 10 franków! — rzekła Glafira Siemionowna. — Trzeba wykorzystać szczęście! Rano wygrałam, można będzie i wieczorem coś wygrać.

— Daj spokój!...

— Nie, nie! Proszę cię, nie sprzeciwiaj się. Jeżeli nawet przegram jakeś 10 fr., to przecież to będzie z rannej wygranej?

— Nosisz się z tą ranną wygraną, jak kura z jajem! Przecież ranną wygraną zostawiłaś w sklepach na różne głupstwa.

— Nie, nie! Mam jeszcze coś z wygranych pieniędzy. Boże! Ile tutaj tych stołów do gry? Daleko więcej, niż w tym pawilonie na palach dziś rano. Zauważyłam już pięć. Raz, dwa, trzy... pięć... sześć... Wiecie panowie co? Zamiast nudzić sie tu przy mnie, idźcie z Iwanem Kondratjiczem i wypijcie sobie po kieliszku koniaku. Widzę, że nudzicie się tutaj ze mną o suchem gardle. A ja tu zostanę... Przecież koniaku będziecie umieli i bezemnie zażądać.

— Jeszcze by też... Słowa bufetowe znam doskonale po francusku! — pochwalił się Mikołaj Iwanowicz. — Jeżeli chodzi o co innego, to czasami trudno mi jest o coś się zapytać, ale

jeżeli chodzi o wypitkę, to mogę lepiej od innych. Tylko, Głasza, nie wdaj się zanadto w tę grę... Nie więcej nad 10 franków:

— Nie, nie... Jak tylko przegram 10 franków — dosyć!

— Pamiętaj!... Chodźmy, Iwan Kondratjicz, połkniemy po kieliszeczku.

Małżonkowie rozstali się. Głafira Siemionowna podeszła do jednego ze stołów, a Mikołaj Iwanowicz i Konurin poszli do sali głównej, ażeby kazać sobie podać koniaku.

Po jakiejś godzinie Mikołaj Iwanowicz zbliżył się do stołu, przy którym zostawił Głafirę Siemionownę i nie znalazł jej tam. Zaczął szukać przy innych stołach i wreszcie przy jednem z nich ujrzał ją bladą, z spoconem obliczem. Stawiała duże stawki. Olbrzymi paryski kapelusz przechylił się jej na tył głowy, nad czołem zwieszały się spocone loki. Ujrzawszy męża, drgnęła, zwróciła się do niego i przygryzając spieczone usta, zaczęła mrugać bliska płaczu.

— Wyobraź sobie... Przegrałam już przeszło 200 franków... — wyrzekła wreszcie.

— Nie może być?!

— Przegrałam! Stanowczo tu musi być jakieś oszukaństwo. Napewno jakieś oszukaństwo. Dwa razy wygrałam na Lizbonę, powinnam była otrzymać pieniądze, a krupier zaczął sprzeczać się i nie oddał mi pieniędzy. Raz wygrałam na Londyn, lecz jakiś plugawy staruszek z kozią bródką zaczął się sprzeczać ze mną, że to on wygrał, zgarnął pieniądze i uciekł. To świństwo! Czy nie można na tych oszustów poskarżyć się gdzie? Trzy wygrane zrabowali mi poprostu. Gdybym miała te pieniądze, nigdybym nie przegrała dwustu franków i byłabym teraz przy swoich.

— A skądżeś ty, kochanie, wzięła dwieście franków? Przecież po rannych zakupach pozostało ci zaledwie w kieszeni 20 fr., — dziwił się Mikołaj Iwanowicz.

— Wzięłam z portmonetki Iwana Kondratjicza. Sam djabeł mu podsunął myśl, żeby mi oddać portmonetkę na przechowanie!

— Przegrałaś pieniądze Konurina?

— Oto chodzi! Z całych jego pieniędzy został się tylko jeden dukat złoty i jedna duża srebrna pięciofrankówka... Trzeba będzie oddać... Oddaj mu, Kola!

— Ach Głasza, Głasza! — pokiwał głową Mikołaj Iwanowicz.

— Co Głasza! Jeszcze mi dogaduj! Sama już dostatecznie się zmartwiłam... Ale to jest oszukaństwo! Zrabować trzy wygrane! Ładna Nicea! Ładne arystokratyczne miasto! Gdzie Konurin? — zapytała nagle Głafira Siemionowna.

— Wyobraź sobie, też gra. Gra w pochyły bilard i w żaden sposób nie mogę go wyciągnąć ztamtąd. Stawia ciągle na numer 13 i uparł się, że na ten „djabli tuzin“ rozbije bank...

Przegrał już też przeszło dwieście franków.

— A skąd wziął pieniądze? Przecież jego portmonetka była u mnie?

Rozmienił banknot 500-frankowy. Oddał ci portmonetkę, ale portfel z papierami miał w kieszeni, — opowiadał Mikołaj Iwanowicz i dodał: — Przestań grać! Pluń na przegraną i pomóż mi odciągnąć Konurina, bo gotów zgrać się do nitki, zwłaszcza, że już ma porządnie w czubie, co chwila każe sobie podawać koniak i ciągle podwyższa stawkę.

— Widzisz, Kola... Muszę się odegrać chociaż trochę.

— Potem się odegrasz... Jeszcze tu przyjdziemy... Teraz musimy Konurina odciągnąć od tego przeklętego bilardu. Może ciebie posłucha, bo ty masz wpływ na niego.

Głafira Siemionowna posłuchała męża, poprawiła kapelusz na głowie i odeszła od stołu, przy którym grała. Razem z mężem podeszła do stołu, przy którym zgrywał się Konurin.

XVIII.

Okazało się, iż nie łatwo było odciągnąć Konurina od stołu gry nawet przy pomocy Głafiry Siemionowny. Kiedy Iwanowowie zbliżyli się do niego, Konurin już nie stał przy stole, lecz siedział. Przed nim leżały słupki i kupki rozmienionego srebra. Za krzesłem jego, opierając się ręką o poręcz, a drugą ująwszy się z fantazją w bok, stała wystrojona i mocno wymalowana paniusia z czarnym wąsikiem na górnej wardze, pilśniowym kapeluszu z szerokiem rondem i olbrzymiem piórem strusiem. Pióro było tak długie, że koniec jego spadał na obnażone plecy właścicielki kapelusza. „Paniusia“ rozporządzała się pieniędzmi Konurina, uczyła go, jak stawiać stawki i pomimo, iż mówiła po francusku, Konurin doskonale rozumiał ją i słuchał wskazówek.

— Voyons, mon vieux russe... A present numero trois! — mówiła ciemnem gardlanem kontralto.

— Nomer trua? Dobrze!... Niech będzie!... — odpowiadał Konurin. — Trua, tak trua!

Kulka bilardu pochyłego toczyła się pod górę po zielonym suknie i spadała z powrotem... Konurin przegrał.

— C'est dommage, que nous avons perdu... Mais ne pleures pas... Mettez encore. (To nieszczęście, znów przegraliśmy... Niech Pan nie płacze... Proszę postawić znów).

Wzięła ze stołu dwie srebrne monety i rzuciła je ponownie do przedziałki pod nr. 3. Znów przegrała.

—Ażeby cię!... — splunął Konurin. — Nie trzeba było, madam - mamzel stawiać na ten sam numer. Niech pani wali trzynastkę... Niech pani wali na „djabli tuzin“... Przecież na „djabli tuzin już wygraliśmy dwa razy.

— Oh non, non... Laissez moi tranquille... (Proszę pozostawić mnie w spokoju). — uderzyła go po ramieniu i znów rzuciła stawkę na nr. 3.

— W takim razie wypijmy chociaż madam-mamzel grzesznego koniaczku po jednym kilonku na szczęście... — proponował Konurin, patrząc jej przymilnie w oczy.

— Assez! (Dosyć!) — pokręciła głową.

— Co to asse? Ja nie chcę żadnego asse. Ja wypiję!... Kelner! Koniak!... Dawaj koniaku!... — kiwnął na garsona, stojącego w pobliżu z karafeczką koniaku i kieliszkami na tacce.

Garson podskoczył i nalał kieliszek. Konurin wypił.

— Perdu... — oznajmiła paniusia.

— Znów perdiu? A żeby was gęś kopnęła! — zawołał Konurin.

W tej chwili zbliżyła się Glafira Siemioniowna i rzekła:

— Iwan Kondratjicz... Niech pan przestanie grać!... Podobno pan strasznie dużo przegrał...

— Aha nasza petersburska madam podjechała! — rzekł Konurin, zwracając do niej zaczerwienione oblicze i maleńkie, zapite oczy. — Poczekaj, poczekaj, mamusiu... Oto z pomocą tej paniusi zaczynam się już odgrywać. Przed chwilą 52 franki na „djabli tuzin" złapaliśmy. No, pani mamzel-strikazel, teraz na katr... na numer katr... Nech pani swoją rączkę postawi! — zwrócił się do wymalowanej paniusi.

— Niech pan przestanie, Iwan Kondratjicz! — mówiła dalej Glafira Siemionowna. — Niech pan zmieni chociaż stół... Może inny stół będzie szczęśliwszy... Przylepił się pan do tego przeklętego bilardu, chodźmy do stołu z pociągami...

— Za pozwoleniem... — protestował Konurin. — Poznałem się właśnie z tą Czarnuszką i odrazu zaczęło mi iść lepiej. Wygraliśmy na katr, mamzel? Naprawdę wygraliśmy? — zapytał nagle z radością, widząc, że krupier przysunął mu kupkę srebrnych pieniędzy. — Miersi mamzel, miersi pani. Wiw la Frans pani! Rączkę!

Schwycił Francuzkę za rękę i mocno nią potrząsnął. Paniusia uśmiechnęła się.

— Widzicie, co to znaczy, kiedy łyknąłem kieliszek koniaku! Poczekajcie... Teraz pójdzie u nas inaczej! — mówił sam do siebie.

— Wygrałeś stawkę, schowaj do kieszeni i chodź... Mógłbyś chociaż stół zmienić! — mówił do niego Mikołaj Iwanowicz. — Zupełnie jesteś pijany... Nie wiesz nawet, co to zajedna ta wymalowana baba.

—Francuzeczka... Sama podeszła. „Riuss? mówi, ja mówię „Rius!..." Poznaliśmy się. Bardzo piękna kobieta, tylko głos ma jakiś basowy...

— A ty myślisz, że ona za darmo się tak z tobą poznała. Chce coś zarobić, chce coś wyciągnąć od ciebie i napewno wyciągnie.

— Coo, za pozwoleniem. Ja dobrze pilnuję swojej krwawicy... Trua! Na numer trua!

— Chodźmy do innego stołu! — zawołała Głafira Siemionowna, schwyciła Konurina za rękę i zaczęła go siłą ciągnąć z krzesła.

— Za pozwoleniem... Proszę bez żartów! — sprzeciwiał się Konurin. — Mamzel, postaw na trua.

— Nie trzeba trua, niech pan zabiera pieniądze i chodźmy do innego stołu.

Głafira Siemionowna trzymała Konurina za rękę i ciągnęła go od stołu. Mikołaj Iwanowicz zaczął zgarniać jego pieniądze. Francuzka błysnęła oczami na Głafirę Siemionownę i zaczęła mówić do niej coś po francuska, czego ta nie rozumiała, lecz z samego tonu mowy domyśliła się, że nie były to słowa uprzejme.

Konurin sprzeciwiał się w dalszym ciągu; nie chciał iść.

— Przecież muszę chociaż za koniak zapłacić?! — wykręcał się.

— Zapłacę za ciebie... Bądź spokojny... — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Garson! Kombian?

Garson podał przeraźliwą liczbę wypitych koniaków. Mikołaj Iwanowicz zaczął się z nim rozliczać. Głafira Siemionowna ciągle jeszcze trzymała Konurina pod rękę i namawiała go, żeby odszedł od stołu.

— Dobrze, już dobrze! — zgodził się wreszcie, lecz po chwili dodał: — Ale niech mamzel - strikazel też idzie z nami! Mamzel! Komenzi! — machnął ku niej ręką.

— Pan widocznie zwarjował, Iwan Kondratjicz! — oburzyła się Głafira Semionowna. — Kobieta zamężna idzie z panem pod rękę, a pan jakąś malowaną osobę zaprasza ze sobą! To do niczego niepodobne! Chodźmy, chodźmy...

— Eh, na starość kupiec petersburski, Iwan Kondratjew Konurin umizgnął się do francuskiej madamy, a tutaj... tfu! Przeszkadzają!... Przecież ona nic takiego... Grzeczna... Madam! — zawrócił się Konurin do Francuzki, odchodząc już od stołu.

— Ja nie dopuszczę jej do pana!... Chodźmy!...

Francuzka szła z tyłu i mówiła coś nieprzyjemnego pod adresem Głafiry Semionowny. Nagle podskoczyła do Konurina i wzięła go z drugiej strony pod rękę. Widocznie bardzo nie chciało się jej rozstać z jej kawalerem.

— Precz! — krzyknęła na nią Głafira Siemionowna, patrząc ze złością.

Francuzka ze swej strony krzyknęła na Głafirę Siemionownę i chociaż cofnęła rękę z podramienia Konurina, jednak w dalszym ciągu tłumaczyła coś gorąco, gestykulując zawzięcie.

— Widzi pan, jaka grzeczna... Żąda od pana połowę wygranej! Mówi, że grała z panem do spółki! — przetłumaczyła Konurinowi Głafira Siemionowna to, co zrozumiała z przemówienia Francuzki.

— Jaka tam u djabła wygrana? Zgrałem się jak gąbka grecka: Przez cały wieczór tylko trzy razy padło na mój numer... Non, madam, non!... Ja przegrałem, mamzel... Przegrałem... Rozumiesz? Ja przegrałem... Ja perdiu... Zupełnie perdiu! — zwrócił się Konurin do Francuzki, która nie przestawała pomimo to w dalszym ciągu coś głośno mówić.

— Ona w dalszym ciągu zapewnia, że grała z panem do spółki... — tłumaczyła Głafira Siemionowna. — Nie można się odczepić od tej bezczelnej kobiety! Niech pan jej da cośkolwiek, żeby się odczepiła.

— Na piwo za grzeczność mogę jej coś dać, ale na granie do spółki się nie zgadzam... Z nikim do spółki nie grałem...

Zatrzymał się i zaczął szukać w kieszeniach pieniędzy.

— Mikołaj Iwanycz ma pańskie pieniądze, które zabrał ze stołu! — mówiła do Konurina Głafira Siemionowna.

— Miałem w kieszeni kilka dużych srebrnych talarów.

Wynalazł wreszcie jakąś, spoczywającą w głębi kieszeni, monetę pięciofrankową i dał ją Francuzce.

— Masz... Weź na piwo... Pamiętaj, że to na piwo... za grzeczność. Na piwo... A do spółki z nikim nie grałem! Niech pani jej przetłumaczy, mamusiu, że to ja jej na piwo daję...

— A niech ją! Nie wypada mi z taką wymalowaną flondrą nawet rozmawiać.

Francuzka, otrzymawszy monetę pięciofrankową, uśmiechnęła się z politowaniem, podrzuciła monetę na rękę i znów zaczęła coś mówić do Konurina. Oczy jej błyszczały wściekłością.

— A to bezczelność! Mówi, że jej mało!... Jeszcze chce... — znów przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Dosyć, mamzel... Wystarczy! Nie proś o więcej... I tak zgrałem się, jak skrzypce! — machnął Konurin ręką, odwrócił się od Francuzki i poszedł pod rękę z Głafirą Siemionowną.

Chwiał się na nogach. Głafira Siemionowna z trudem tylko prowadziła go. Wkrótce dopędził ich Mikołaj Iwanowicz i wziął Konurina pod drugie ramię. Skierowali się ku wyjściu sali oranżeryjnej. Pochód ten obserwowała publiczność zdziwionym wzrokiem. W kilku miejscach słychać było uwagi:

— Les russes!

XIX.

Na drugi dzień Konurin obudził się w numerze z silnym bólem głowy. Przypomniał sobie wypadki wczorajszego wieczoru i zaczął monologować.

— Porządnie wczoraj nałykałem się tego przeklętego koniaku! A to wszystko ta Nicea! Żeby się zapadła! Widocznie takie pijackie miasto! Pijackie i szulerskie... Ile to ja

wczoraj przegrałem mamony w te głupie kręciołki. Z pozoru wygląda to na zabawki dziecinne, a ile pieniędzy człowiekowi potrafią wyciągnąć! Dorosły człowiek właściwie nie powinien nawet patrzeć na takie głupstwa... A wszystko przez tę chciwość, tfu!

Splunął, wstał z pościeli i zaczął liczyć pieniądze, które oddał mu wczoraj już w numerze Mikołaj Iwanowicz. Była to reszta z zmienionego banknotu pięćsetfrankowego. Wszystkiego było 352 franki i trochę miedzi.

— 148 fr. zasiałem na pomarańczarskiej ziemi! — monologował w dalszym ciągu. — Rano tego samego dnia, taką samą preporcję puściłem w domku na palach. Oj, oj, oj!... Prawie trzysta franków zabrali kataryniarze. 300 franków — to na nasze pieniądze 120 rubli. Ładna Nicea! W jeden dzień zrabowali trzysta francuskich złotóweczek... A co będzie dalej? Nie! Dosyć tego... Dosyć!

Umył się, wylał sobie na głowę cały dzban wody, ubrał uczesał brodę i zaczął pukać do numerów Iwanowowych, ażeby dowiedzieć się, czy już wstali.

— Chodź pan, chodź pan! Pijemy już herbatę!... — usłyszał głos Glafiry Siemionowny.

— Herbatę? W jaki sposób? — zapytał zdziwiony Konurin, wchodząc do numeru. — Przecież tutaj nie mają samowara?

— Daliśmy sobie radę! — odpowiedziała Glafira Siemionowna, siedząc przy stole. — Widzi pan, dali nam imbryk platerowany i lampkę spirytusową. W tym czajniku zagotowaliśmy wodę, a herbatę zaparzyłam w szklance i przykryłam spodeczkiem, zamiast pokrywki. W ten sposób mamy herbatę. Mówiłam parę razy lokajowi, żeby przyniósł nam dwa czajniki — nie przyniósł. Herbata, nasza, jeszcze ta, którą zabraliśmy z Petersburga.

— Znakomicie! Znakomicie! Dajcie mi państwo też szklaneczkę jaknajmocniejszej. Głowa mi pęka poprostu po wczorajszem! — rzekł Konurin, siadając przy stole.

— Ładnie się pan wczoraj spisał...

— Niech już pani lepiej nie przypomina! — westchnął Konurin. — Rózgami powinni mnie obić, starego durnia.

— Damę-wspólniczkę pan sobie znalazł? W jaki sposób pan sobie ją wyszukał?

— Wcale nie szukałem. To ona mnie wyszukała! — uśmiechnął się zawstydzony Konurin.

Zaczęła się znowu mowa o wczorajszej przegranej.

— Niech pan sobie wyobrazi, że ja wczoraj też przeszło dwieście franków przegrałam! — mówiła Glafira Siemionowna. — Wzięłam pańską portmonetkę z pieniędzmi na przechowanie, ażeby uniemożliwić panu przegraną, a sama te pieniądze pańskie przegrałam. Mikołaj Iwanycz zaraz odda panu.

— Co tu mówić! Całe miasto, to jedna szulernia! — odpowiedział Konurin.

— Dobrze pan powiedział! Szulernia i mordownia! Oszuści i rabusie!

Głafira Siemionowna opowiedziała, jak jakiś staruszek przyswoił sobie jej wygraną, jak krupier dwa razy zakwestjonował jej wygraną i t. d.

— Widzi pani! A przecież pani ciągle powtarza, że Nicea to arystokratyczne miasto! — zauważył Konurin. — Ale dosyć! Od dzisiaj nawet nie spojrzę na te wszystkie kręcioiki dziecinne. Dosyć! Czas przestać udawać durnia. Dorosły mężczyzna, poważny i naraz gra w jakieś dziecinne zabawki. Wstyd poprostu!

— Ma pan rację!... Dzisiaj idziemy na „Święto kwiatów". Przypomina pan sobie, żeśmy wzięli bilety, żeby zobaczyć, jak na bulwarze będą rzucać w siebie kwiatami.

— W zasadzie też zabawa dziecinna! — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

— Skoro tu taka moda! Kto wlazł pomiędzy wrony, musi krakać, jak i one! — odpowiedziała Głafirą Siemionowna. — Ale przynajmniej taka zabawa nie kosztuje tyle

Ktoś lekko zapukał w drzwi.

— Antre! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz i z dumą spojrzał na żonę, zadowolony, że nauczył się znów jednego słowa po francusku.

Wszedł zarządzający hotelem z bródką napoleońską, ołówkiem za uchem, ukłonił się i zaczął coś mówić po francusku. Mówił dość długo. Konurin i Mikołaj Iwanowicz słuchali, nic nie rozumiejąc i patrzyli mu na usta. Słuchała i Głafira Siemionowna i też prawie nic nie rozumiała.

— Głasza! Co on gada? — zapytał żonę Mikołaj Iwanowicz, kiwając ręką na Francuza, mówiącego w dalszym ciągu.

— Znów trajkocze coś o śniadaniu i obiedzie w hotelu. Mówi, że mają tutaj tabeldot.

— A to natrętny z temi obiadami! Wuj, wuj, musju! Wiemy... Jak będziemy chcieli jeść u was, przyjdziemy.

— Skarży się, że wczoraj nie jedliśmy obiadu, ani śniadania w hotelu.

— Dziwne. Przyjechaliśmy do nowego miasta, więc przedewszystkiem musimy obejrzeć restauracje i knajpy.

— Właśnie, właśnie... Teraz dopiero zrozumiałam, o co mu chodzi. Wyobraź sobie, on mówi, że jeżeli dzisiaj nie będziemy u nich jeść śniadania ani obiadu w hotelu, to będzie musiał powiększyć ceny za numery.

— Co takiego? Przecież to szantaż! — Non, non, musju... Nie zgadzamy się. Powiedz mu, Głasza, że nie zgadzamy się! Niech nie myśli, że my jesteśmy tacy głupi! Tak mu powiedz!

— Jak ja mogę mu to powiedzieć, kiedy nie wiem, jak „szantaż" po francusku. Tego słowa nie uczyli nas na pensji.

— No to powiedz mu jakoś inaczej. Powiedz mu, że hotelów tu jest dużo. Jeżeli ci się, musju, nie podoba, możemy

zaraz przeprowadzić się do innego. Wolenzi to wolenzi, a nie wolenzi, to jak pan chce. Kompriene?

— Czego ty bełkoczesz, kiedy on i tak nie rozumie tego.

— Przecież mówię do niego po zagranicznemu. Peje ankor non! Dežene i dine — też non! — rzekł Mikołaj Iwanowicz do Francuza, robiąc protestacyjny gest ręką i dodał: — Napewno zrozumie, a teraz ty mu jeszcze objaśnij to, jak należy.

— A niech go! Zróbmy mu przyjemność i zjedzmy tu dzisiaj śniadanie. Będzie to nas napewno taniej kosztowało, niż w restauracji. Mówi, że śniadanie tutaj kosztuje 3 fr.

— Nie chciałbym mu ustępować, podlecowi. Czy oni nam ustępują kiedy co? My im ciągle „wiw la Frans!" i t. p., a oni nie chcieli nam nawet drugiego czajnika dać. Wstyd! W szklance musimy herbatę parzyć! — wskazał Mikołaj Iwanowicz palcem na szklankę z esencją i dodał: — Ładna jedność franko-rosyjska! Według mnie, jeżeli ma być jedność, to powinni w hotelach zaprowadzić przedewszystkiem samowary dla Rosjan i czajniki do zaparzania herbaty.

— Więc cóż mu mam powiedzieć? — pytała Głafira Siemionowna.

— Niech go djabli wezmą! Zjedzmy dziś u nich śniadanie. Przynajmniej tu w hotelu nie natkniemy się znów na jakąś kręciołkę szulerską. A wyjdziemy na ulicę, zaczniemy szukać restauracji, napewno znów zabłądzimy do jakiejś szulerni z kręciołkami! — zadecydował Konurin.

Mikołaj Iwanowicz nie protestował.

— Wuj, wuj!... Nu deženon ożurdiui sze wu! — (Będziemy dziś jeść u was śniadanie). — rzekła Głafira Siemionowna do Francuza.

Ten ukłonił się i wyszedł.

XX.

Zjadłszy śniadanie w hotelu, jak to było umówione, małżonkowie Iwanowowie i Konurin wyszli na brzeg morza, ażeby skierować się na wiosenną zabawę kwiatową. Na bulwarze Jette Promenade, zalanym oślepiającem słońcem, zebrało się mnóstwo publiczności; wszędzie zakwitły różn kolorowe parasole. Tłumy dążyły w kierunku Promenade des Anglais, gdzie właściwie odbywała się walka kwiatów i gdzie wybudowane były trybuny dla publiczności. Prawie każdy człowiek z tłumu miał w dziurce od marynarki butonierkę z różą, wielu nosiło w rękach olbrzymie bukiety róż. Wszyscy mieli kwiaty. Nawet wózki dziecięce, w których niańki woziły dzieci, miały kosze i szprychy kół ubrane kwiatami. Kwiatami przystrojone były uprzęże koni przejeżdżających powozów, meloniki dorożkarzy, a nawet obroże piesków pokojowych, idących w towarzystwie swych właścicieli. Balkony domów, wychodzących na brzeg morza, przybrane były

girlandami zieleni i przepełnione publicznością, wśród której niby jaskrawe plamy jaśniały kolorowe parasole i wazony, czy bukiety kwiatów. Wszystkie okna były otwarte i w nich również było widać stłoczone głowy publiczności i kwiaty. Sprzedawcy i sprzedawczynie kwiatów stali na każdym kroku i głośno proponowali swój towar.

— Będziemy musieli sobie też kupić po różyczce do dziurki, żeby nie wyglądać, jak strachy w polu! — rzekł Konurin i zakupił za pół franka trzy butonierki z różami, z których jedną zaproponował elegancko Głafirze Siemionownie.

Oto i Promenade des Anglais i trybuny, przystrojone girlandami zieleni. Konurin i Iwanowowie pokazali bilety, siedli na krzesła i zaczęli patrzeć na ulicę, przygotowaną dla tłumów, jadących powozami, i udekorowaną dwoma szeregami gwardzistów narodowych, stojących w miedzianych hełmach z końskiemi grzywami, spadającemi na plecy i staremi historycznemi karabinami. Środkiem ulicy biegały setki wysmukłych uliczników, czasami nawet i starszych mężczyzn i kobiet z koszyczkami kwiatów i wykrzykiwały swoje towary, proponując publiczności ich zakupywanie.

— Un franc la corbeille! Cent bouquets pour un franc! (Koszyk za franka; sto bukietów za franka!) — słychać było gardlane głosy, krzyczące po francusku, lecz z wyraźnym akcentem włoskim.

— Boże! Ile tu kwiatów! — pokiwał głową Konurin. — Czy tylko aby nie urządzą tutaj znowu jakiejś gry w kwiaty, w rodzaju tych koników, czy pociągów? Mówię z góry, że nie postawię ani franka.

— Co pan mówi, Iwanie Kondratjiczu... Co za gra mogłaby być w kwiaty? — odezwała się Głafira Siemionowna.

— Mamusiu! Oni tu wszystko wymyślą!... Specjaliści! Niechby mi kto powiedział w Petersburgu, że mogę przegrać 300 fr. w jakąś głupią dziecinną grę w koniki i pociągi, za nic w świecie nie uwierzyłbym... A jednak przegrałem je...

Nagle rozległ się wystrzał armatni; zaczęła grać orkiestra... Ulicą zaczęła przeciągać procesja. Na przodzie szła orkiestra strzelców alpejskich w granatowych mundurach i granatowych beretach, potem niesiono różnokolorowe sztandary, chorągwie, przejechał wóz jakiś, naładowany i przybrany kwiatami od uprzęży końskiej, aż do kół i wreszcie ukazały się powozy, w których jechali elegancko ubrani panowie i panie. W każdym powozie widać było koszyczki z kwiatami. Niektórzy z jadących byli w białych kostjumach pierotów, inni przebrani byli za markizów i markize z białemi perukami na głowach. W niektórych powozach siedziały samotne kobiety, w białych, czerwonych i czarnych dominach i półmaskach. Skoro tylko na ulicy ukazały się powozy, z trybun posypał się na nie istny deszcz kwiatów. Z powozów też odpowiedziano kwiatami. Kwiaty latały w powietrzu, padały do powozów, na miedziane hełmy stojących żołnie-

rzy, na bruk uliczny. Żołnierze zbierali kwiaty i ponownie rzucali je w publiczność, siedzącą na trybunach, lub jadącą w powozach. Kwiaty, które upadały na drogę, zbierała w tej chwili cała sfora ulicznków, wkładała do koszyków i znów sprzedawała kupującym. Wszystko nagle ożyło, zakotłowało się; wszyscy przerzucali się kwiatami. W ten sposób odbywała się sławna nicejska walka kwiatowa.

Porwani ogólnem ożywieniem, Iwanowowie i Konurin, zaczęli również odrzucać kwiaty, któremi w nich rzucano. Nagle ktoś rzucił w Konurina dość dużym bukietem i zrzucił mu kapelusz.

— Ach, wy dranie! Kapelusz zrzucać komuś! Poczekajcie! — zawołał, podnosząc kapelusz i naciskając go mocno na głowę. — Poczekajcie, barankowie mili, odpłacę wam za to! Trzeba kupić koszyczek kwiatów, ale żeby jakiś pokaźniejszy, coś w rodzaju miotełki... Ej garson! Albo jak tam ciebie? Kwiaciarz! Tutaj! Albo ty chodź tutaj,, wąsata garsonko! — denerwował się, zwołując do siebie sprzedawców kwiatów. — Ile za cały koszyk? Za pół franka... Syp tutaj za pół franka... Mamzel garsonka syp tutaj też za pół franka. Twoje kwiatki wydają mi się twardsze w łodygach.

Nakupiwszy kwiatów, Konurin zaczął z zapałem rzucać niemi w przejeżdżających, starając się trafiać koniecznie w twarze. Iwanowowie naśladowali przyjaciela.

— Wal w niego, Mikołaj Iwanow! Wal go! Wal mu prosto w mordę! — krzyczał Konurin. — Patrz, tam Anglik z zielonym woalem jedzie, wal go w kichadło! To ten drań zrzucił mi kapelusz przed chwilą! Poczekaj!... Ja ci teraz, małpo angielska, pokażę, co znaczy kupiec rosyjski!...

Wybrawszy dość okazały bukiet pięknych lewkonji z twardemi łodygami, Konurin cisnął nim w twarz Anglika z taką siłą, że ten natychmiast złapał się rękami za nos.

— Achaaa! Poczułeś, braciszku! A tu masz na przekąskę jeszcze! Dosyp mu coś, Mikołaj Iwanow, dosyp mu coś od siebie! — krzyczał w dalszym ciągu Konurin.

— Iwanie Kondrátjiczu, niech pan zauważy, że Anglikowi leci krew z nosa. Pan mu rozbił nos do krwi! — zauważyła Głafira Siemionowna.

— Bardzo dobrze! Niech ma za swoje! Jeżeli przejedzie jeszcze raz, przygotuję mu tutaj bukiecik w rodzaju porządnej miotły. Zamaluję go tak w jadaczkę, że zębów się nie doliczy! Chryste Panie! Patrzcie! Moja wczorajsza mamzelka w powozie jedzie! Masz, mamzel strikazel! — wykrzyknął nagle Konurin i rzucił w nią dużym bukietem polnych kwiatów, dodając: — Masz tu herbatki z pierniczkiem! Wczoraj 5 fr. na piwo wyżebrałaś, a dzisiaj masz kurzą ślepotę *) w ślepie! Głafira Siemionowna! Widzi pani? Zdaje się, że to ona?

---

*) Jest polny kwiatek tej nazwy.

— Widzę, widzę... Rzeczywiście to pańska wczorajsza dama, która uczyła pana stawiać stawki na bilardzie pochyłym.

Francuzka, otrzymawszy uderzenie bukietem Konurina w piersi, uśmiechnęła się i w odpowiedzi rzuciła na niego całą garścią maleńkich bukiecików. Konurin znów odpowiedział bukietem.

— Anglik! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz. — Anglik jedzie z powrotem! Iwan Kondratjicz uważaj!

— Gdzie? Gdzie? — zawołał Konurin. — Trzeba mu będzie teraz fizjomordę z drugiej strony poprawić. Acha, jedzie! Wal w niego, Mikołaj Iwanow! Wal! Masz tu bukiet, nie bukiet, a miotła... Ja takim samym w niego zapalantuję!

— Panowie! Panowie! Czyż tak można się bawić? Czy tak można rzucać jak wy? Trzeba być eleganckim, a wy zaraz do krwi... — powściągała męża i Konurina Glafira Siemionowna.

— Butem bym w niego rzucił, a nie bukietem, ale boję się, że zdejmę but, rzucę, a ulicznicy złapią i ukradną. Ech, szkoda, żeśmy nie zabrali ze sobą z hotelu jakiejś pustej butelki... Pokazałbym mu, jak się rzuca.

— Jak pan się nie wstydzi nawet mówić tak? Przecież rzucanie butelkami to już chamstwo. Ludzie urządzają święto, ażeby elegancko i delikatnie obrzucać się kwiatami, a pan wyjeżdża z butelką!?

— Ładna delikatność, kiedy komu kapelusz zrzucają z głowy! Masz djable zębaty!

Konurin rzucił i znów trafił ciężkim bukietem w twarz Anglika. Mikołaj Iwanowicz zamachnął się i trafił go w kapelusz. Kapelusz zleciał mu z głowy i upadł na bruk pod koła powozu.

— Pomszczony sankt-petersburki kupiec, Iwan Kondratjewicz, syn Konurin! Widzisz, draniu, odpłaciłem ci piękne za nadobne! — zawołał z tryumfem Mikołaj Iwanowicz.

— A to ci, musju Angliku, na dodatek w same ryło! To już uważaj za procent od kapitału! — krzyczał Konurin, rzucając bez końca bukietami w Anglika.

Anglik stał w powozie, trzymając się ręką za kozieł i starał się uśmiechnąć do swoich przeciwników. Nos miał zakrwawiony. Po gładko wygolonej brodzie też ciekła krew... Ulicznik jakiś podawał mu podniesiony z bruku zgnieciony cylinder.

XXI.

Powozy, jadące jeden za drugim wzdłuż trybun, zaczęły zwolna rzednąć. Publiczność też powoli skierowała się ku wyjściom. W niektórych powozach, które jeszcze przejeżdżały, zabrakło już materjału kwiatowego do rzucania. W ten sposób walka kwiatowa kończyła się. Jeszcze gdzieniegdzie ktoś rzucał resztkami bukiecików, już nie tak, jak z

początku bezmyślnie, na prawo i na lewo, lecz wybierając tylko znajome osoby, lub wybitne osobistości. To samo, co się działo na ulicy, można było zaobserwować i na trybunach. Publiczność jakby zmęczyła się walką. Ulica pomiędzy trybunami była zasiana kwiatami, lecz ulicznicy nie podnosili ich, gdyż zabrakło naraz kupujących. Coraz więcej ludzi zaczęło się cisnąć do wyjść. Konurin, który przygotował sobie jeszcze około pół tuzina najbardziej ciężkich bukietów, ażeby zachować to jako efekt ostateczny dla okrwawionego Anglika, nie mógł się go doczekać i też zaczął się nudzić. Ziewnął wreszcie i Mikołaj Iwanowicz.

— Nudy! Co tu będziemy siedzieć. Chodźmy lepiej do bufetu! — rzekł. — Zachciało mi się pić. Głasza napije się lemonjady, a my połkniemy jakąś buteleczkę czerwonego winka.

— Przyjemne słowa, przyjemnie słuchać! — odpowiedział Konurin, wstając i oczyszczając ubranie z płatków kwiatowych. — A gdzie tutaj bufet?

— Co za bufet? Tutaj niema żadnego bufetu! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— To niemożliwe!... Zabawa, można powiedzieć nawet całe przedstawienie, uroczystość i, żeby bufetu nawet nie urządzili? To niemożliwe. Napewno tutaj gdzieś jest. A gdzie publiczność sobie gardło odświeży? Bez odświeżenia gardła nie można walczyć nawet kwiatami! Przecież napewno wszystkich teraz pali w gardle po tej bitwie.

— Zapomina pan, że jesteśmy na ulicy, a nie w żadnym teatrze!

— To nic nie znaczy. Obowiązani są nawet i na ulicy mieć bufet, jeżeli urządzają takie historje...

— Zapytajmy lepiej! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Musju! Gdzie tutaj bufet pur buar? — zwrócił się do staruszka kapeldynera, który miał kolorową kokardkę na marynarce.

— Trinken!... — dodał Konurin i pszyknął się palcem po gardle.

Staruszek z kokardą uśmiechnął się i zaczął mówić coś po francusku.

— Gła[illegible]! Co on mówi? — zapytał Mikołaj Iwanowicz żony.

— Mówi to samo, co i ja wam mówiłam. Tutaj niema żadnego bufetu.

— A może ty nas okłamujesz? Może on co innego mówi?

— A to niedowiarek! Idź sam i szukaj sobie bufetu!

— To do niczego niepodobne! To całkiem idjotyczne! Urządzają zabawę, a nie pomyślą o bufecie! I to się nazywa zagranica!

— Będziemy przechodzili koło domu na palach, tam macie bufet! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Na pale? — zawołał Konurin. — Moje uszanowanie pani! Za żadne pieniądze! Żeby znów przegrać ze dwie setki

francuskich złotówek w jakieś głupie koniki? Nawet mnie pierniczkiem nie zamani nikt do tej szulerni. Dosyć mają mojej krwawicy. Przegrałem już prawie całą beczkę rafinady...

— Co za rafinady?

— No tak... Przegrałem tyle ,ile kosztuje beczka cukru rafinowanego do sklepu.

— Ach, to pan o sklepie! — rzekła Głafira Siemionowna. — Ale co z tego wynika? Jednego dnia się przegra, a drugiego dnia można wygrać. Wczoraj — nieszczęście, dzisiaj — szczęście. Gdyby ludzie zawsze po pierwszem niepowodzeniu kończyli na tem, to każdy byłby zawsze przegrany. Nie wiem, jak pan, ale ja bardzo chciałabym się dzisiaj odegrać.

— Głasza! Nawet nie myśl o tem! — wtrącił się Mikołaj Iwanowicz.

— Proszę cię! Proszę cię, nie podnoś głosu! Ja się ciebie nie przestraszę! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Nie pozwolę ci grać, rozumiesz! Ja wiem, co mówię! Wczoraj przegrałaś dwieście franków. Sama mówisz, że tu wszystko polega na oszukaństwie i teraz znów grać?

— Przedewszystkiem przegrałam nie dwieście franków, a zaledwie jakieś sto dwadzieścia i trochę drobnych... Zapominasz, że rano na palach wygrałam 80 franków... Zato teraz będziemy uważać oboje. Ja będę grała, a ty stój koło mnie i pilnuj.

— Kiedy ja wcale nie życzę sobie, żebyś grała. Nawet nie chcę, żebyś się odgrywała. Zrezygnowałem już z tych przegranych dwustu franków. Niech je djabli wezmą.

— Jakto? Nawet nie chcesz, żebym w Montekarlo sprobowała swego szczęścia? W takim razie pocóżeśmy przyjechali do Nicei? Słyszałeś, co wczoraj opowiadał Kapiton Wasiljicz? Powiedział, że do Nicei przyjeżdża się tylko z powodu Montekarlo; wszyscy arystokraci jeżdżą tutaj, ponieważ w Montekarlo w ruletkę można, jeżeli przyjdzie szczęście, odegrać nawet koszty całej podróży. Nie wygrałam w koniki i pociągi, to może właśnie wygram w ruletkę. Jak chcesz, ale ja muszę w Montekarlo zaryzykować przynajmniej jakieś 20 franków.

— To jeszcze zobaczymy!

— Co zobaczymy? Jak nie pozwolisz mi sprobować mego szczęścia w ruletkę, to możesz sobie szukać tłumaczki! — zagroziła Głafira Siemionowna. — Nie będę ci nic tłumaczyła po rosyjsku, co mówią Francuzi, i nie będę mówiła z nimi po francusku. Staraj się sam rozumieć i sam mówić! To będzie nagroda za twoje znęcanie się nademną.

Głafira Siemionowna mówiła to już ze łzami w oczach. Szli po bulwarze wśród tłumu spacerującej publiczności. Przechodnie dawno już zwrócili uwagę na podwyższony ton rozmowy małżonków, a kiedy Głafira Siemionowna podniosła do oczu chusteczkę, kilka osób zatrzymało się i z współczuciem

popatrzyło na biedną kobietę. Konurin zauważył to i chciał zmienić temat rozmowy...

— Co za parszywe miasto ta Nicea! Na każdym kroku tylko gra w rozmaite zabawki! — zaczął. — Dorośli, nieraz nawet starzy ludzie grają w koniki, jak małe dzieci, albo bawią się pociągami. Jak pomyślę o tem, to wstyd mnie bierze... Albo choćby ta bitwa kwiatowa, na której byliśmy przed chwilą... Przecież to też zabawa dziecinna. Zupełnie dziecinna. Czy kto z poważnych ludzi powinien nawet pomyśleć o tem, żeby rzucać w kogoś kwiatami? A jednak rzucali w siebie, ludzie dorośli rzucali, nawet staruszkowie... Nawet myśmy się rozpalili.

— I jakeśmy się rozpalili! — dodał Mikołaj Iwanowicz. — Zwłaszcza ty. Przypomnij sobie tego Anglika... Pamiętasz, jak z nosa zrobiłeś mu fontannę. W każdym bądź razie ja rozumiem taką zabawę w kwiaty. Po pierwsze tu wykazuje się pewna politura towarzyska, a pozatem nikt nic nie przegrywa. Taką grę możnaby nawet zaprowadzić i u nas w Pemujące a przedsiębiorca zarobiłby kupę grosza. Wziąłby pieniądze za miejsca na trybunach, a wydatków żadnych. Nie trzeba płacić ani aktorom, ani nikomu, bo publiczność sama się bawi. Nieprawda, Iwan Kondratjicz?...

— Doskonały pomysł! Możnaby dobrze zarobić! — odpowiedział Konurin. — Trybunę możnaby wybudować z desek, posmarować bylejak kredą i zgarniaj pieniądze. Trzeba będzie o tem przypomnieć sobie w Petersburgu. Pomimo, że zajmuję się głównie towarami kolonjalnemi, przystąpiłbym do takiego interesu w Petersburgu...

— I ja do spółki! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Urządzimy taką bitwę kwiatową, że w niebie będzie ciepło. Kwiatów coprawda mamy mało w Petersburgu, ale możemy małe miotełki brzozowe puścić w ruch. Wspaniały interes; walka kwiatowa pierwszy sort.

— Tylko, czyby wam w Petersburgu pozwolili urządzić taką walkę? — odezwała się Głafira Siemionowna.

— Dlaczego? Nowość, elegancja, komfort! — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Tutaj i elegancko i komfort, a u nas wyjdzie zupełnie inaczej.

— Dlaczego?

— Dlatego, że u nas naród jeszcze szary. Tutaj cywilizacja, wykształcenie, a u nas szare barbarzyństwo. Porównajcie choćby siebie! Przed chwilą Iwan Kondratjicz żałował, że nie zabrał ze sobą butelki z hotelu, chciał nawet butem rzucać...

— No tak, ale to tylko Iwan Kondratjicz, ja nie..

— To wszystko jedno. Iwan Kondratjicz jest takim samym Rosjaninem, jak i ty. Za co rozbiliście nos biednemu Anglikowi? Naumyślnie wybieraliście bukiety z twardemi łodygami, ażeby kogoś mocno poczęstować.

— A dlaczego on mi kapelusz zrzucił z głowy?

— Głupstwo! To niczego nie dowodzi! Nawet pan nie zauważył, kto panu zrzucił kapelusz A nawet gdyby on?... Cóż z tego, że zrzucił panu kapelusz? Czy wolno zaraz za to komuś krew z nosa puszczać... U nas w Petersburgu, jeżeliby pozwolono na taką bitwę kwiatową, wyszłoby jeszcze gorzej. Przyjdą pijani, przyniosą ze sobą kamienie, zaczną się rzucać kamieniami, puszczą w ruch kije, laski, zamiast kwiatów, polecą krzesła i stoły! Nie, na coś podobnego u nas nie mogła by policja pozwolić! — zakończyła Głafira Siemionowna.

— Ładna krytyka! — machnął ręką Mikołaj Iwanowicz i zapytał żonę: — Ale gdzie my teraz idziemy?

— Na dworzec kolejowy, żeby jechać do Montekarlo! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

XXII.

Dowiedziawszy się, że Głafira Siemionowna prowadzi jego i Konurina na dworzec kolejowy, ażeby jechać natychmiast do Monte-Carlo, Mikołaj Iwanowicz znów zaprotestował, lecz robił to tylko przez wrodzony upór. Samemu też chciało mu się pojechać do Monte-Carlo i przyjrzeć się głośnej grze w ruletę. Naturalnie Głafira Siemionowna nie posłuchała męża, z czego ten nie był bynajmniej niezadowolony. Mruknął jeszcze parę słów i wreszcie rzekł:

— Ale dajmy sobie, moi państwo, słowo, że nie będziemy grać w tę przeklętą ruletkę!

— Zupełnie nie grać? To niemożliwe! — rzekła Głafira Siemionowna. — Poco w takim razie jechać do Montekarlo, jeżeli nie chcemy sprobować, co to jest ta ruletka? Mówisz, że jest to przeklęta ruletka, a skąd wiesz, że ona jest przeklęta? Kto wie, może ją jeszcze będziesz bardzo chwalił. Lepiej dajmy sobie słowo, żeby dużo nie przegrać! Dajmy sobie słowo, że każdy przegra najwyżej 10 fr.? Przegrasz, odchodź od stołu...

— Nie, nie! A niech ją... tę ruletkę!... Jak państwo chcą, ale ja za nic na świecie!... — zamachał rękami Konurin. — Jechać, pojadę z wami na koniec świata, ale grać — basta, dosyć!

— W takim razie my z tobą, Mikołaj Iwanycz zaryzykujemy po 10 fr. Nie bój się, tylko po 10 fr.! Zgadzasz się? Zrób mi tę przyjemność. Czy nie służę ci wiernie, jako tłumaczka?

Głafira Siemionowna z uśmiechem spojrzała na męża, ten też uśmiechnął się do niej, kiwnął głową na znak zgody i rzekł:

— Skusiła jednak Ewa Adama! Zawsze się tak kończy!

Głafira Siemionowna spojrzała na zegarek i zawołała:

— Ach Boże! Spóźnimy się na pociąg! Trzeba się śpieszyć! Trzeba będzie chyba jechać! Na piechotę nie zdążymy... Kosze! — kiwnęła na przejeżdżającego dorożkarza i kiedy ten podjechał, zaczęła pospieszać męża i Konurina. — Siadajcie, siadajcie prędzej!

— A la gar... Pur partir Montekarlo! (Na dworzec... ażeby jechać do Monte Carlo) — rozkazała dorożkarzowi.

Ten ściągnął batem konia i pojechał. Po przejechaniu jakiegoś ćwierć kilometra zwrócił się do Głafiry Siemionowny i zaczął coś mówić:

— Non, non,, non... Alle!... Zdążymy! — nie zgadzała się Głafira Siemionowna.

— Co takiego? O co chodzi? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Mówi, żeśmy się już spóźnili na pociąg, ale napewno łże. Mamy jeszcze dziesięć minut do odejścia pociągu.

Głafira Siemionowna patrzała na swój zegarek, dorożkarz pokazywał jej swój zegarek, zwracając się do niej i kiedy przejeżdżali koło stacji dorożek, wskazał biczem na parokonną dorożkę i znów zaczął coś mówić w tonie przekonywującym:

— Przecież on lepiej wie od nas, czyśmy się spóźnili, czy nie! — zauważył Konurin.

— Głupstwo! Poprostu chce oberwać z nas franka, nie zawożąc nas na dworzec. Pokazuje nam na parokonną dorożkę i namawia, żebyśmy jechali do Montekarlo nie koleją, lecz końmi. — Alle! Alle! — mówiła dalej, kiwając ręką dorożkarzowi.

Tymczasem dorożkarz zatrzymał się przy stacji dorożek i zaczął wzywać jednego ze swych kolegów:

— Leon! Voila messieurs et madame! — krzyczał.

— Patrzcie, jaki uparty! Koniecznie chce, żebyśmy jechali końmi do Montekarlo. Proponuje parokonny powóz! — mówiła Głafira Siemionowna. — Zapewnia, że to będzie bardzo przyjemna przejażdżka.

— A może ma rację? To nie byłoby najgorsze!... — Przynajmniej po drodze można będzie wstąpić do jakiegoś jednego i drugiego szynczku i odświeżyć troszkę gardła! — odezwał się Konurin.

— A ile to będzie kosztować? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Trzeba się będzie zaraz zapytać. Kombien a Montekarlo? — zwróciła się Głafira Siemionowna do otaczających ją dorożkarzy parokonnych i natychmiast przetłumaczyła mężowi ich odpowiedź: — Żądają 20 fr. Mówią, że trzy godziny jazdy.

— Piętnaście! Kenz! Chcesz, musju, kenz, to bierz! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz do jakiegoś młodego dorożkarza, palącego cygaro w bardzo ładnej piankowej cygarniczce. — To znaczy tam i z powrotem? — zwrócił się do żony.

— Nie, tylko w jedną stronę. Z powrotem dorożkarz nasz radzi jechać koleją!

— Jak wezmą piętnaście franków, to jedziemy! Przynajmniej obejrzymy porządnie okolicę... W kolejach już mi się

sprzykrzyło jeździć. Powąchamy przynajmniej powietrze dobrze po drodze! — mówił Konurin.

— Naturalnie... jabym pana nie znała... Rozumiem, jakie powietrze chce pan wąchać w szynczkach po drodze? Znów się pan chce urznąć?

— Kto myśli o urznięciu? No, kenz... Bierz kenz... Piętnaście franków, to przecież pieniądze! Według naszego kursu, to sześć rubli! — mówił Mikołaj Iwanowicz do dorożkarza.

— Voyons messieurs! Dix-huit! — odezwał się jeden z dorożkarzy.

— Jeden z nich proponuje za 18! — przetłumaczyła Glafira Siemionowna.

— Możemy jeszcze dodać jednego franka. No, musju... sez... Sez franków, szesnaście... Wieź nas za szesnaście... Po drodze wstąpimy coś wypić, to i ciebie poczęstujemy. Glasza! Przetłumacz mu, że po drodze poczęstujemy go czem.

— Także pomysł! Będę jeszcze z dorożkarzem mówiła o pijaństwie!

— A kto mówi o jakiem pijaństwie! Dobrze już dobrze... W takim razie ja sam... Sez, musju... Sez i po drodze wen róż buar dostaniesz. Komprene? Nic nie komprene, żeby go wszyscy djabli!

— Jeden z nich jedzie za siedemnaście! — rzekła Glafira Siemionowna.

— Jak sądzicie? Dać mu siedemnaście? — zapytał Mikołaj Iwanowicz. — Przyjemnie byłoby przejechać się końmi... Główna rzecz, to względem tego powietrza... Konurin! Jak sądzisz, dać?

— Daj, gdzie nasze nie przepadło! Lepiej dać dorożkarzowi, niż przegrać pieniądze w jakąś kręciołkę! — zgodził się Konurin.

Zapłacili dorożkarza, z którym przyjechali, przesiedli się do dwukonnego powozu i ruszyli równą, gładką jak po stole drogą do Monte-Carlo. Droga szła pod górę. Wkrótce ujrzeli prześliczny widok na morze i na góry; wszędzie wille, otoczone palmami, mirtami, drzewami pomarańczowemi, laurami. Nowy dorożkarz, człowiek w średnim wieku, z bródką szpakowatą, w czerwonym krawacie-fontaziu, uważał za stosowne być jednocześnie i przewodnikiem swoich pasażerów. Co chwila zwracał się do nich i pokazując biczem na rozmaite spotykane po drodze wille i widoki, mówił coś bez przestanku. Mówił źle po francusku, z włoskim akcentem. Glafira Siemionowna mało go rozumiała, a towarzysze jej, naturalnie, ani słowa. Nagle Glafira Siemionowna zaczęła bacznie przyglądać się dorożkarzowi. Twarz jego wydała jej się nagle znajomą...

— Mikołaj Iwanycz! Pomyśl tylko! Ten dorożkarz, to ten sam staruszek, który wczoraj wieczorem w Kasino ukradł mi moją wygraną, kiedy trafiłam na Lizbonę.

— Nie może być?

— On, on napewno! Przyjrzałam mu się teraz dobrze... Ten sam krawat, ta sama plugawa bródka, ten sam pierścionek na palcu... Postawiłam na Lizbonę dwa franki, a on na Londyn. Wyszła Lizbona, a on zaczął sprzeczać się ze mną, że to on postawił na Lizbonę, złapał wygraną i uciekł.

— Nie może być? — powtórzył Mikołaj Iwanowicz.

Dorożkarz tymczasem, usłyszawszy słowa „Lizbona" i „Londyn", też powoli poznał Głafirę Siemionownę i zaczął jej mówić o wczorajszej grze w Casino, uniewinniając się i zapewniając ją, że to on wygrał wczoraj na Lizbonę, a nie ona.

— Widzisz, widzisz! On nawet nie zaprzecza, że to on! Nie zaprzecza, że ukradł moją wygraną! Ośmiela się mówić, że to on wygrał na Lizbonę, a nie ja. A to bezczelny dorożkarz! A to bezczelny złodziej! — krzyczała Głafira Siemionowna. — Ukradł mi około 20 fr.

— Ładni tu dorożkarze! Nawet się wierzyć nie chce... Razem z panami grają w szulerni w kręciołki... Ładna zagranica! — pokiwał głową Mikołaj Iwanowicz. — Konurin, słyszysz!

— Cywilizacja! Co na to poradzisz?

XXIII.

Droga wiodła pod górę. Widoki z każdą chwilą stawały się coraz piękniejsze. Po lewej stronie ciągnęły się spadziste skały, na których jak gniazda przylepione były prześliczne, do bombonierek podobne wille, w dole widać było morze nieskończenie niebieskie. Bieliły się żagle łódek, z wysokości drogi wyglądające jak skorupki od orzechów, poruszały się statki-zabawki z kłębami dymu przy kominie. Podróżnicy nasi zwolna mieli przed oczami całą zatokę. Dorożkarz pokazał biczem na dół i rzekł:

— Villefranche!... Villafranca!

— Znów willa! — zawołał Konurin. — Ciągle mi wilają temi wilami! Na górze wille, na wodzie willa.

— Przecież już panu tłumaczyłam, że willa, to po tutejszemu to samo, co letnie mieszkanie! — zauważyła Głafira Siemionowna.

— A poco on biczem pokazuje na morze, a nie na budynek?

W dole u podnóża góry na samym brzegu morza ukazał się sunący pociąg kolejowy i za chwilę zniknął w tunelu, pozostawiając po sobie tylko smugę dymu. Widok na morze zagrodził nagle ogród, złożony z pomarańczowych i cytrynowych drzew, których owoce złociły się wśród liści i odgrodzony od drogi żywopłotem z agaw.

— Patrzcie, co za przyroda! — zachwycała się Głafira Siemionowna.

— Więc cóż, że przyroda! Przyrodą przyrodą, a prawdę powiedziawszy, tośmy jeszcze ani razu nie popili pod poma-

rańczowem drzewkiem! — rzekł Konurin. — Patrzcie, napisane: „taverne!“ — wskazał na szyld.

— Jakto? Nauczyłeś się już czytać po francusku? — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Żuch z mojego Konurina!

— Poczekajcie, poczekajcie! Jeszcze nie jedna taverna będzie po drodze! — powściągała ich Głafira Siemionowna.

Skończył się ogród i znów widać było przepaść z morzem na dnie, znów pociąg, wyskakujący z tunelu.

— Patrzcie na pociąg! — pokazywała Głafira Siemionowna. — Tutaj z góry zdaje się, że pełznie jak żółw, a tymczasem napewno pędzi on jak strzała.

— Madam! Chce pani zagrać na ten pociąg? Stawiam franka, że zatrzyma się w Berlinie... — żartował Konurin, zwracając się do Głafiry Siemionowny, mając na myśli grę w pociągi.

— Miersi panu! Kto ma wygrać w prawdziwą ruletkę montekarlowską, ten nie będzie stawiał ani grosza na żadne pociągi.

Znów ciągnęły się szeregiem wspaniałe wille, przylepione do wzgórza, lub stojące wzdłuż drogi, tonące w zieleni roślin podzwrotnikowych.

— Widzisz, jak się zabudowali! Coś w rodzaju naszej Nowej-Wsi! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Patrzcie, tam nawet coś w rodzaju naszej restauracji „Arkadji“ widać.

— W rodzaju Nowej-Wsi? Już jak ty coś powiesz, to powiesz! — strofowała męża Głafira Siemionowna. — Tutaj mirty, kwitnące migdałowe drzewa, laurowe rosną jak u nas w lesie, a on śmie mówić: Nowa-Wieś.

— Laury? Laurowe drzewa? Czy aby naprawdę? — dziwił się Konurin.

— Naturalnie, że drzewa laurowe.

— Laurowe drzewa? To listki bobkowe z tych drzew pochodzą? Te do rosołu?

— Te same!

— A to sztuka! Powiedzcie państwo, w jakie to miejsca zajechaliśmy! A możeby tak narwać trochę tych liści i przywieźć żonie na pamiątkę. Ach, moja żona, moja żona! Co ona tam, biedactwo, teraz robi w domu? Pewno siedzi przy stole, pije herbatę i myśli: „Gdzie teraz kości mojego głupiego męża spacerują?

— Coś za często ta twoja żona herbatę pije? — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Taka już baba! Strasznie łakoma na herbatę. Ale, czy ja naprawdę nie jestem idjotą. Po jakiego djabła, pytam się was, oderwałem się od handlu i włóczę się tutaj po tych palestynach.

— Znowu zaczynasz! Odpolerujesz się za to zagranicą.

— Patrzcie, znów taverna! Patrzcie, szyld! Stój, dorożkarz! Stój! — zawołał Konurin.

— Dostrzegł pan? Bardzo dobre ma pan oczy na te szyldy! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Mamusiu, kochanie, w gardle mi zupełnie zaschło. Niech pani tylko pomyśli: w Petersburgu nieraz pięć razy na dzień chodzi się do szynku na herbatę. Po dwadzieścia szklaneczek nieraz połkniemy sobie z nudów, a tutaj musimy bez tej trawy chińskiej żyć...

Dorożkarz zatrzymał się przed małą szarą taverną, mieszczącą się w maleńkim domku; przed wejściem stały drewniane zielone stoły i krzesła. Wybiegł właściciel taverny bez marynarki, w kamizelce, w dzierganej mycce w pasy na głowie.

— Wen róż, musju! I pomarańcze na przekąskę, dla madame — zakomenderował Konurin.

— Oranż, oranż! — poprawiła Głafira Siemionowna.

— Oh, oui, madame!

— De butel! Trzeba dwie butelki! — krzyczał Mikołaj Iwanowicz. — Obiecaliśmy dorożkarzowi, że go poczęstujemy.

— Temu szulerowi? Temu szulerowi, co ukradł mi wczoraj w Kasynie szesnaście franków, które wygrałam na Lizbonę? Nie życzę sobie, żebyście go częstowali! — zaczęła Głafira Siemionowna.

— Nie wypada, Głasza... Obiecaliśmy mu... Nie trzeba było w takim razie z nim jechać... Skoro już pojechaliśmy...

Mężczyźni wyszli z powozu, ażeby wyprostować nogi. Głafira Siemionowna siedziała w powozie. Zeskoczył z kozła i dorożkarz i zapalił fajkę. Oberżysta podał wino. Mężczyźni zaczęli pić.

— Nalej wen róż i dla kosze! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, pokazując oberżyście dorożkarza. — Wen pur kosze!

Zaczął pić i dorożkarz.

— Votre sante, messieurs, et madame!... — kłaniał się dorożkarz. — Vous etes les russes... Oh, nous aimons les russes! (My kochamy Rosjan).

Napiwszy się wina, dorożkarz stał się śmielszy, podszedł do Głafiry Siemionowny i zaczął przepraszać ją za wczorajszą nieprzyjemność w Kasynie, dowodząc, że zaszło nieporozumienie, że właściwie stawkę on wygrał i zupełnie słusznie zabrał pieniądze.

— Alle, alle!... Że ne we pa parle awek wu! — machała rękami Głafira Siemionowna i wołała mężczyzn. — Panowie, weźcie tego dorożkarza do siebie! Czego on do mnie lezie?

— Musju! Chodź tutaj. Tutaj, pij! — krzyknął mu Mikołaj Iwanowicz, który już zdążył razem z Konurinem zasiąść przy zielonym stoliku.

— Mille pardon, madame! — ukłonił się dorożkarz i odszedł od powozu.

Znów droga, to opadająca w dół, to wznosząca się pod górę, znów na lewo wspaniałe wille, a na prawo morze nie-

bieskie. Dorożkarz po wypiciu wina z jeszcze większym zapałem zaczął pokazywać swym pasażerom różne szczegóły.

— Villa Pardon! — wskazał na budującą się willę. — Villa Crenon! Villa Scholz...

Opowiadał nawet, kto jest właścicielem jakiej willi, skąd pochodzi, na czem zrobił pieniądze, kto jest fabrykantem, kto bankierem, kto i ile pieniędzy wydaje na taką i taką artystkę, lecz nikt go nie słuchał.

— Mrucz sobie, mrucz, musju! I tak cię nie rozumiemy zupełnie! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Ja doskonale wszystko rozumiem — przerwała Głafira Siemionowna, — lecz nie chcę słuchać rozmów dorożkarza!

Ukazała się wspaniała willa z bulwarem, z pięknym ogrodem, otoczona żelaznemi sztachetami. Przed domem wśród kwitnących klombów biła fontanna. Oto i brama willi z kamiennemi słupami, spowitemi bluszczem. Przed bramą stał wysoki, pięknej budowy lokaj bez kapelusza, w niebieskim fraku, ze złotemi guzikami, w aksamitnych krótkich spodniach pluszowych i czarnych pończochach i pantoflach ze wstążkami. Stał z powagą, wystawiwszy naprzód prawą nogę i palił cygaro, wypuszczając dym z ust kółkami. Głafira Siemionowna spojrzała na lokaja i drgnęła. Poznała nagle Kapitona Wasiljewicza, z którym wczoraj razem z mężem i Konurinem jadła śniadanie i grała w sali na palach. Spojrzał na lokaj i Konurin i rzekł:

— Hm, hm... A to sztuka!... Rodak nasz wygląda, jak koguf... Powiedzcie państwo, jest lokajem, a myśmy go...

— A myśmy go zrobili hrabią, sekretarzem poselstwa... Kochana moja żoneczka oświadczyła wprost, że uważa go za arystokratę, i nawet, widząc się z nim po raz pierwszy w życiu, fruwała z nim po sali pod rączkę! — przerwał zaalterowany Mikołaj Iwanowicz.

— Mógłbyś milczeć!... Sam mnie przecież z nim poznałeś! — odgryzła się Głafira Siemionowna, mrugając płaczliwie oczami, a jednocześnie krzyknęła na dorożkarza: — Alle, kosze! Alle plu wit!

Dorożkarz palnął z bicza i konie pomknęły naprzód. Przed oczami podróżnicy nasi mieli wysoką górę, a na niej olbrzymi zamek. Zbliżano się do Monaco. Jeszcze wyżej na drugim [illegible] sie stało Monte Carlo z jego znanym domem gry.

XXIV.

Przed samem Monte-Carlo dorożkarz zaczął palić z bicza i popędzać konie. Konie mknęły jak strzała i po dwuch minutach powóz podjechał przed dom gry. Zaczynało się już zmierzchać, kiedy Iwanowie i Konurin wyszli z powozu. Dorożkarz też zeszedł z kozła i, zdjąwszy melonik, prosił „pur buar". Mikołaj Iwanowicz zapłacił. Dorożkarz był bardzo zadowolony i żegnając się, rzekł:

— Bonne chance, monsieur!

— Głasza! Co on mówi? Czy mało mu dwuch franków na piwo? — zapytał żonę Mikołaj Iwanowicz.

— Winszuje ci szczęścia w grze!

— A skąd on wie, że będziemy grać?

— Ach Boże! Przecież poto tylko ludzie tutaj przyjeżdżają.

Dorożkarz posunął się jeszcze dalej i zbliżywszy się do Głafiry Siemionowny, zaczął jej doradzać, uśmiechając się do niej życzliwie, w jaki sposób ta ma grać w ruletkę:

— Przedewszystkiem nie radzę się denerwować... — mówił po francusku. — Główna rzecz spokój... Pierwszą stawkę radzę postawić na czerwone, albo na czarne! — mówił swym łamanym francusko-włoskim językiem.

Głafira Siemionowna odskoczyła.

— Zwarjował! Robi mi uwagi, jak mam grać w ruletkę! — rzekła do męża, obrzucając surowem spojrzeniem dorożkarza.

— Stop, musju! Wróć! Dostałeś na piwo i skończona zabawa! — krzyknął na niego Mikołaj Iwanowicz i natychmiast dodał, zwracając się do żony: — To twoja, mamusiu, wina!... Zadajesz się przy stołach, Bóg wie z kim... Przecież to twój wczorajszy partner, nic dziwnego, że uważa cię za swojego partnera.

— Czy to moja wina, że tutaj dorożkarze włóczą się po restauracjach, gdzie tylko porządna publiczność powinna chodzić?

Tymczasem Konurin zadarł głowę do góry i oglądał wejście do domu gry.

— Patrzcie, jakie wspaniałe wejście! Niejeden pałac ma gorsze! — mówił.

— Za krwawicę durniów wybudowany. Durnie tutaj pieniążki przynieśli! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Durnie? Przecież tutaj cała Europa gra? — zaprotestowała Głafira Siemionowna.

— To nic nie znaczy! Domeczek ten wybudowali za pieniążki europejskich durniów. Czy mądrzy ludzie będą tu grać? Mądry człowiek za nic na świecie nie będzie grał w ruletkę!

— Naturalnie! U ciebie wszyscy durnie! Dlaczego nie nazywasz durniami tych, którzy grają w stukułkę, albo winta.

— W stukułkę, to nie to samo, co w jakąś głupią, dziecinną wierciołkę! — odezwał się Konurin. — Jak pani może, Głafira Siemionowna, tak mówić. W stukułkę masz karty w ręku i widzisz całą muzykę, a tutaj ci, jak się nazywają... markierzy, czy jak tam, którzy siedzą przy kręciołkach...

— Krupierzy!

— Właśnie, krupierzy puszczają jakąś maszynkę i musisz wierzyć, że to jest sprawiedliwie. Przecież może puścić prędzej, albo wolniej, umówić się z jakimś szulerem i grać z nim do spółki... Gdybym np. wiedział, że maszynka będzie się kre-

dla prędzej, albo wolniej, też miałbym jakiś swój pomysł i mógłbym coś skombinować.

— Przecież pan jeszcze nie widział, jak tutaj kręciołkę puszczają w ruch i sądzi pan tylko według tego, co pan widział w Nicei. Tutaj Montekarlo... Sławne na całą Europę... Tu zupełnie inne porządki...

— Przecież pani też jeszcze nic nie widziała?

— Nie widziałam, ale czytałam dużo o ruletce... Ale dlaczego nie wchodzimy do środka, Mikołaj Iwanycz? Stoimy przed wejściem, rzeczywiście jak idjoci... — mówiła Glafira Siemionowna.

— Pozwól, mamusiu, chociaż obejrzeć gmach. Zdążysz im jeszcze oddać swoje pieniążki. Niema co mówić. Piękny dom, ale jednej rzeczy brakuje... — rzekł z ironją Mikołaj Iwanowicz.

— Ach, co za znakomity architekt się znalazł! Czegóż brakuje?

— Na domu tym powinien wisieć szyld z napisem we wszystkich językach europejskich: „Poszukuje się durniów!"

— Przestań już. To wcale niedowcipne! Ciągle tylko durnie i durnie... Mógłby ktoś pomyśleć, że naprawdę jesteś najmądrzejszym człowiekiem.

— Ja? Ja jestem najgorszym durniem, bo gdybym był mądry, to wcalebym tutaj nie przyjechał.

Rozmawiając w ten sposób, przeszli wzdłuż domu gry, popatrzyli z góry na dół, gdzie w strzelnicy przegrani w ruletkę gracze mszczą się na niewinnych gołębiach i znów wrócili do głównego wejścia.

— Biedne gołąbki! — wzdychała Glafira Siemionowna.

— Tutaj, kochanie, ludzie nie mają litości! Tutaj i ludzi nie żałują! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Dziwię się, że nie zabronią strzelania do biednych gołębi. I co to za przyjemność!

— Tu niczego nie zabraniają. Tutaj i ludzi doprowadzają do tego, że sami do siebie strzelają. Mojego krewnego tutaj trzy lata temu rozebrali prawie do butów, sama wiesz o tem.

— Ach, ciągle jedno i to samo. Może wejdziemy jednak do środka!

Weszli. Już było dość ciemno i wszędzie zapalono elektryczność. Wspaniały hal domu gry oświetlony był a giorno. Wszędzie tłumy eleganckiej, strojnej publiczności, która jednak nie rozmawiała ze sobą... Wszyscy mieli poważne twarze... Iwanowowie i Konurin nie zauważyli ani jednego uśmiechu, żadnej wesołości. Jeśli nawet ktoś rozmawiał z kimś, to mówił szeptem. Jedynie przy kasie słychać było głośniejszą rozmowę.

— Trzeba będzie pewno kupić bilety jakieś? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Naturalnie... Widzisz, ludzie kupują! — odpowiedziała Glafira Siemionowna i zaprowadziła męża i Konurina do biura.

— Kombien peję? — pytał Mikołaj Iwanowicz jakiegoś jegomościa w okularach, z piórem za uchem. — Kombien antre?

— Votre carte, monsieur! — zapytał ten i zaczął coś mówić, oglądając uważnie Mikołaja Iwanowicza przez okulary.

Naturalnie Mikołaj Iwanowicz nic nie zrozumiał.

— Głasza! Co on za fajerwerki tu przedemną puszcza?

— Prosi o twoją kartę wizytową. Pyta się, skąd jesteśmy i gdzie mieszkamy?

— A co mu do tego, draniowi? Ludzie mu pieniądze niosą, a on śledztwo tu jakieś prowadzi! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, dobywając kartę wizytową i podając ją urzędnikowi, dodał:

— I tak, musju, nic nie zrozumiesz, bo to po rosyjsku.

Urzędnik wziął kartę, obejrzał z jednej i z drugiej strony, odłożył na stronę i znów zaczął coś mówić.

— I mię i nazwisko twoje chce wiedzieć! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna i sama odpowiedziała urzędnikowi: — Nikola Iwanow de Petersburg awek madam la fam, Głafir...

— Chryste Panie!... Przecież to zupełnie, jak u sędziego śledczego. Powiedz mu jeszcze przy tej sposobności, że w sądach nie stawałem, i w więzieniach nie odsiadywałem i że wyznaję religię prawosławną.

— Daj spokój, Mikołaj Iwanycz... Przeszkadzasz mi słuchać, co on mówi. Uj, uj, monsje, nu son wojażer... Koman? W Nicei... Uj, uj, Nis... Ach Boże, czy mam mu powiedzieć i hotel, w którym stanęliśmy?

Głafira Siemionowna powiedziała nazwę hotelu. Urzędnik wszystko zapisał do olbrzymiej księgi polinjowanej.

— Śledztwo... Zupełne śledztwo... — mruczał Mikołaj Iwanowicz. — Powiedz mu również, że jestem kupcem petersburskim, drugiej gildji... kawaler orderu... 43 lata od urodzenia. A swoje lata też mu powiesz?

— Przestań żartować! — obruszyła się Głafira Siemionowna.

— Co za żarty, mamusiu, przecież to formalne śledztwo. Może mu lepiej nasz paszport pokazać, będzie przynajmniej wiedział, że jesteś moja prawdziwą żoną, a nie jakaś przypieczona z boku.

— To naprawdę jakieś śledztwo! — zgodziła się wreszcie i Głafira Siemionowna. — Pyta się jeszcze, czy będziemy tutaj w Montekarlo jeden dzień, czy więcej... En żur, monsje. En żur! Po co im to wszystko? — dziwiła się.

Urzędnik pisał już coś na jakimś bilecie zielonego koloru.

— Wiesz co, Głasza? — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Zaczynam się obawiać... Niech ich djabli wezmą! Chodźmy lepiej stąd. Badają nas, jak jakichś zbrodniarzy.

— Przecież już skończone, już wszystko skończone.

— Ładnie skończone! Przecież to wstyd! Kupca, kawalera orderu, właściciela domu, znanego handlowca ze starą firmą, badają, jak jakiegoś złodzieja...

— Nic na to nie poradzimy! Takie tu widać porządki! — odrzekła Glafira Siemionowna, biorąc od urzędnika bilet wejścia do sali gry i zapytała: — Kombian peje? Rien? — zapytała ponownie i usłyszawszy odpowiedź urzędnika, dodała, zwracając się do męża: — Widzisz, jak elegancko? Dali bilet i nie zażądali ani kopiejki.

— Ładna delikatność, ładna elegancja! Skompromitowali nas zupełnie. Dobrze jeszcze, że nie zapytali, do jakiej łaźni chodzimy w Petersburgu.

Przyszła kolej na Konurina, który westchnął ciężko i podszedł do biurka.

— Twoja kolej, Iwan Kondratjew! I ty stawaj przed sędzią, kiedyś wlazł do tej Montekarli przeklętej! — rzekł Konurin i wprost podał urzędnikowi swój paszport zagraniczny. — Włościanin guberuji Jarosławskiej. powiatu Poszechońskiego, czasowo kupiec sankt-petersburski, drugiej gildji, żonaty, lecz żonę w domu zostawił. Zresztą w paszporcie pan to wszystko tu przeczyta! — dodał, zwracając się do urzędnika. — Ot, tu ma pan dwie pieczęcie, z konsulatu austrjackiego i niemieckiego. Bądź spokojny, braciszku: nie złodzieje żadne i do sociwalistów się nie zaliczamy!

Wydano bilet i Konurinowi.

XXV.

Mając bilety, Iwanowie i Konurin skierowali się do sali gry. Zanim się tam znaleźli, musieli przejść przez wspaniałą salę balową, przeznaczoną prawdopodobnie dla spoczynku po przegranej, obstawioną pod ścianami miękkiemi kanapami. Spacerowało w niej około 50 osób. Byli to mężczyźni i kobiety. Mężczyźni palili. Wszyscy mieli jakieś dziwne twarze. Prawie wszyscy siedzieli i spacerowali samotnie. Gdzieniegdzie stała para i szeptała coś do siebie półgłosem. Nigdzie najmniejszego żartu, najmniejszego uśmiechu; wszyscy byli jakby czemś zajęci i nawet stąpali po posadzce jakoś ostrożnie, ażeby nie narobić hałasu. Tak stąpają zwykle ludzie w domu, w którym leży nieboszczyk, albo ktoś bliski ciężko chory. Smętek jakiś i powaga panowały wszędzie. Nawet wspaniałe przybranie sufitu i ścian nie sprawiało na wchodzących żadnego wrażenia.

— A niech was... Jakoś mi się robi nieswojo. Co tutaj wszyscy chodzą i milczą? — rzekł Konurin, zwracając się do Glafiry Siemionowny.

— A skąd ja mogę wiedzieć? — odpowiedziała Glafira Siemionowna podrażnionym tonem. — Przecież nie wypada w arystokratycznem towarzystwie krzyczeć.

Smutny ton i na nią podziałał w sposób przygnębiający.

— Patrzcie, tam jakaś paniusia z ptaszkiem na kapeluszu siedzi skurczona w kąciku i nawet płacze. Pewno mocno przegrała! — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

— Zaraz płacze. Ty zawsze wszystko do góry nogami musisz przewrócić!

— Napewno płacze. Nie widzisz łez w oczach? Mruga oczami i łzy kapią... Napewno przegrała...

— A może ją tylko mąż rozdrażnił?

— W takim razie pocoby trzymała portmonetkę w rękach i liczyła pieniądze. Widzisz srebro? Wszystkiego razem ma jakieś trzy fr. i kilka centymów. Zaraz widać, że to resztka. Zgrała się do suchej nitki.

— Rzecz zadziwiająca, jak ty lubisz zawsze wszystko widzieć w najgorszem świetle.

Tymczasem Mikołaj Iwanowicz nie spuszczał oczu z damy. Była to młoda kobieta, elegancko i kokieteryjnie ubrana. Miała naprawdę łzy w oczach. W pewnej chwili schowała portmonetkę, ciężko westchnęła i zamyśliła się, patrząc na kolumnę, stojącą przed nią. W ten sposób przesiedziała parę sekund, poczem spojrzała na swoją prawą rękę, namacała bransoletkę i zaczęła zdejmować ją z ręki. Po chwili wstała z kanapy i szukała kogoś wzrokiem po sali. Wzrok zatrzymał się na jakimś czarnym wąsatym jegomościu, który spacerował po sali, założywszy ręce za plecami i gryząc w zębach dymiące cygaro; ubrany był w długi tużurek angielski. Dama skierowała się wprost do niego. Jegomość zatrzymał się, wyjął z ust cygaro i będąc wysokiego wzrostu pochylił się nad nią, jakby chciał ją dziobnąć swym długim haczykowatym nosem wschodniego typu. Zaczęli rozmawiać. Dama podała mu bransoletkę. Jegomość wziął bransoletkę, ukłonił się zimno i odszedł, poszukując z kolei kogoś innego w sali. Za chwilę podbiegł do niego niski, tłusty człowieczek z nieporządną szpakowatą bródką w sakpalcie bronzowem. Odeszli na stronę i zaczęli coś szeptać, oglądając co chwila bransoletkę. Po pewnej chwili wąsaty jegomość kiwnął na damę i schowawszy bransoletkę do kieszeni, wydobył portmonetkę i zaczął liczyć pieniądze.

— Głasza, Głasza! Patrz, ta dama, która płakała, teraz zastawia bransoletkę! Oddała temu wąsaczowi bransoletkę, a teraz pieniądze otrzymuje! — rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony.

— Co znowu wymyśliłeś?

— Patrz sama! Patrz, tam pod kolumną... Widzisz? Oddała mu bransoletkę i pieniądze wzięła. Widzisz, teraz wąsacz pisze jej pokwitowanie.

Wąsaty jegomość w samej rzeczy wyjął z kieszeni notes napisał coś w nim ołówkiem, poczem wyrwał z notesu kartkę i wręczył go damie. Dama szybko schwyciła kartkę i pobiegła prawie do drzwi, prowadzących do sali gry, przy których stali szwajcar i kontroler.

— No co, przekonałaś się? — pytał żonę Mikołaj Iwanowicz i dodał: — Widzisz, jakie gniazdo szulerskie! Nawet chodzące lombardy utrzymują!

— Czy mało jest na świecie rozmaitych idjotek? — odpowiedziała Glafira Siemionowna.

Konurin też obserwował operację zastawiania bransoletki.

— Zręcznie! Niema, jak cywilizacja! — mlasnął językiem i pokiwał głową. — I co najważniejsze, że czynią to zupełnie jawnie. Nie wstydzą się zupełnie! Szulernia i lombard... Bardzo dobrze obmyślane.

— Trafiliśmy w ładne miejsce! — westchnął Mikołaj Iwanowicz i zapytał: — A gdzie tu grają? Gdzie jest szulernia? Gdzie ruletka?

— Pewno za temi drzwiami? Wszyscy tam idą! — kiwnęła Glafira Siemionowna na drzwi, za któremi zniknęła przed chwilą dama z bransoletką. Całe towarzystwo skierowało się ku tym samym drzwiom.

Szwajcar i kontroler zażądali pokazania biletów. Kontroler bardzo uważnie przejrzał bilety, przeczytał głośno a niezdarnie nazwisko Konurina i wreszcie oddał bilety, mówiąc: „Entrez, messieurs!“ Szwajcar otworzył drzwi.

— Nareszcie wpuścili do raju! — rzekł Konurin. — Ludzie niosą im krwawicę na pożarcie, a oni przy drzwiach rogatki poustawiali.

Oczom Iwanowowych i Konurina przedstawił się rząd olbrzymich i długich sal, oddzielonych jedna od drugiej szerokiemi arkadami. Pośrodku sali stały duże stoły i przy nich tłoczyła się publiczność. Damy przeciskały się przez tłum mężczyzn, wyciągając ręce ze stawkami. Mężczyźni nie ustępowali im z drogi i też pchali się do stołu, starając się postawić pieniądze na wybrane numery. Jeżeli nastąpił ktoś komu na nogę, albo kopnął kogoś, nie uważał nawet za stosowne przepraszać go. Nad wszystkiem górował hazard. Wszędzie zaczerwienione twarze, wszędzie ciężkie oddechy, zburzone uczesania; nikt na to nie zwracał uwagi; uwaga wszystkich skierowana była tylko na grę. Tak samo, jak w sali balowej i tutaj nikt nie mówił głośno; słychać było wszędzie tylko jakieś szepty, przerywane od czasu do czasu znanemi już nam wykrzyknikami krupierów: „Faites vous jeux“ i „Rien ne va plus“.

Iwanowowie i Konurin przeszli przez sale, obchodząc stoły i obserwując zgromadzoną przy nich stojącą i siedzącą publiczność. Przy jednym ze stołów usłyszeli naraz głośniejszy wykrzyknik w języku rosyjskim:

— Biją dranie! Biją i nawet odetchnąć nie pozwolą!

— Słyszałeś? Naszego Rosjanina oczyszczają! — mruknął Konurin do Mikołaja Iwanowicza. — Wpadł biedak w sieć!

— A po co tu lezie? Sam sobie winien! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— A jednak są tutaj i tacy, którzy wygrywają! — zauważyła Glafira Siemionowna. — Sama czytałam w gazetach, że jakiś kelner z restauracji wygrał tutaj cały majątek.

— No, no, takich tu jest niewielu. Pomyśl sama, gdyby tu wielu wygrywało, zaco wybudowałby taki pałac? Przecież to prawdziwy pałac... Patrz na ten świecznik pod sufitem! Przecież to cały majątek.

Od jednego ze stołów wstał jakiś już nie czerwony, lecz przeciwnie blady mężczyzna z czarną brodą, przegarnął rękami włosy, siadł na maleńkiej kanapce pod ścianą i oparłszy ręce na kolana, patrzył nieprzytomnym wzrokiem przed siebie.



— Tego też pewno wygolili! — zauważył Konurin.

— Patrz, widzisz tę staruszkę? Widzisz, jak ciężko dyszy! — pokazał Mikołaj Iwanowicz. — Napewno ją też oszczypali... Patrzcie, kapelusz zjechał jej zupełnie na bok i nawet nie widzi tego. Grzech, babciu, na stare lata grać w jakieś kręcioiki. Mogłabyś się lepiej modlić do Pana Boga!

Głafirę Siemionownę zaczęły gniewać te rozmowy mężczyzn.

— Ach, jak wyście mi się sprzykrzyli. Jak wyście mi się znudzili z temi waszemi rozmowami! — rzekła, zwracając się do męża i Konurina. — Chcę sprobować szczęścia, a tu jeden i drugi, z dwóch stron: — ten — ogolili; ten — oszczypali... To do niczego niepodobne!... Przy grze nie wolno mówić takich słów, a zwłaszcza przed grą. Trzeba dodać odwagi człowiekowi, a nie odbierać mu wszystkiej energji...

— A jak ty masz zamiar grać, kiedy nie wiesz nawet, jak się tu gra? — zauważył mąż.

— Oj, oj! Nie święci garnki lepią! Podejdziemy do stołu, przypatrzymy się i zrozumiemy, o co chodzi. Patrzcie, przy tamtym stole niema tylu ludzi. Chodźmy tam!

Głafira Siemionowna przysunęła się do stołu, mąż i Konurin skierowali się za nią.

XXVI.

Rzuciła im się w oczy korpulentna figura krupiera z czerwonem szerokiem obliczem, obramionem rzadkiemi bokobrodami i wąsami. Jego łysina, szyldkretowe binokle na nosie, kupki złota i monet pięciofrankowych. Banknoty leżały złożone osobno. Drugi krupier, młody, z kwaśno-słodką fizjognomją tenora operetkowego, z lokiem nad czołem, puszczał w ruch ruletkę. Pięciu, czy sześciu graczy, w tej liczbie jakaś starsza pani w żałobie, siedziało koło stołu; reszta stała. Siedzący koło stołu gracze grali większemi stawkami. Przed nimi również leżały kupki srebra i złota. Jeden z nich, blondyn w starszym wieku z ołowianemi oczami bez wyrazu, podobnemi do rybich, specjalnie denerwował się, stawiał stale złoto, po kilka stawek od razu. Inny również bardzo zdenerwowany gracz był bardzo młody, uczesany, ulizany, jakgdyby zeskoczył z stronicy żurnalu mód, w szerokich spodniach, w pasy, z brylant. szpilką w krawacie i spinkami przy mankietach wielkości małego podstawka. Również grał na złoto, siedział przy stole jakoś bokiem, po każdej przegranej uderzał się po biodrze i szeptał do siebie coś pod nosem. Dama w żałobie grała na złoto i srebro, systematycznie stawiając złotą monetę na numer, a pięć franków na czarny, albo czerwony kolor i stale przygryzała blade wargi. Kilkakrotnie wygrała niewielkie sumy; wtedy podnosiła się z krzesła i nie czekając, aż krupier przysunie do niej grabkami wygraną, sama zgarniała pieniądze ze środka stołu i natychmiast podwajała stawkę.

— Rzecz zadziwiająca... i tutaj szczęście dopisuje kobietom! — rzekła Głafira Siemionowna, obserwując grę.

Konurin i Mikołaj Iwanowicz milczeli i uważnie śledzili przebieg gry.

— Teraz przypominam sobie. Zupełnie taką samą ruletkę widziałam u Komołowowych w Petersburgu, ale tamta była maleńka. — mówiła Głafira Siemionowna. — Najwięcej się wygrywa, jeżeli się trafi na numer. Nie wiem jednak, ile tu płacą, jeżeli się wygra na numer. Mikołaj Iwanycz postawię na czerwone? — szepnęła do męża.

— Poczekaj!... Nie gorączkuj się! — była odpowiedź.

— Hm! Granie — nie żarty! Z małą stawką lepiej tutaj nie włazić! — szepnął Konurin.

— Dlaczego?... Niema się tutaj z kim ceremonjować! I najmniejszą stawkę zabiorą i nawet nie podziękują! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Róż! — rzekła nagle Głafira Siemionowna i rzuciła dwufrankową monetę na kolor czerwony.

Grający odwrócili się do niej i uśmiechnęli. Otyły krupier-kasjer przysunął jej z powrotem dwufrankową monetę i zaczął coś mówić po francusku.

— Komman? — zdziwiła się Głafira Siemionowna. — Mikołaj Iwanycz, patrz nie chcą odemnie wziąć stawki! —

zwróciła się do męża, ciągle jeszcze nie rozumiejąc o co chodzi.

Krupier-kasjer, usłyszawszy rosyjską mowę, pokazał Glafirze Siemionownie monetę pięciofrankową.

— Acha... Widzisz, krupier pokazuje ci, że najmniej można stawiać pięć franków! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Ale jeżeli postawię pięć franków, to z asygnowanych na przegranie pieniędzy będę miała zaledwie na cztery stawki.

— Więc cóż z tego? Jak przegrasz, to odejdziesz i już!

— Co to za gra na cztery stawki. Daj mi jeszcze jedną złotą monetę.

— Przegraj najprzód swoje cztery stawki...

Konurin stał przy stole i mruczał.

— Widzisz, jak się zbałamucili, djabły przeklęte! Nie chcą brać dwóch franków. Jakby dwa franki to nie były pieniądze. Dwa franki, to przecież 80 kopiejek po naszemu. U mnie w Petersburgu w moim sklepie za te pieniądze można kupić ćwierć funta dobrej herbaty i dwa funty cukru.

— Mikołaj Iwanycz! Postawię pięć franków na czerwone! Próbuję?... — rzekła Glafira Siemionowna.

— Stawiaj, jak chcesz, co mi do tego. Ja zastanawiam się nad tem, co znaczy, kiedy kładą pieniądze na numer, a na linijce pomiędzy numerami. Patrz, ten elegant z lokiem nad czołem obstawił cztery linijki koło jego numeru... Koman, musju, jeżeli na linijkę?... Kombien można otrzymać? — zwrócił się Mikołaj Iwanowicz do stojącego opodal jakiegoś brodacza w okularach, lecz ten nie zrozumiał pytania i pokręciwszy głową, postawił pięć franków na numer.

— Rien ne va plus! — krzyknął krupier, odsuwając z powrotem stawkę.

— Głasza! Zapytaj tę starą w żałobie po francusku, co znaczy, jak się stawia na linijkę przy numerze — rzekł Mikołaj Iwanowicz do żony, lecz Glafira Siemionowna schwyciła go za rękę powyżej łokcia i szepnęła mu z radością:

— Wygrałam na czerwone, pięć franków wygrałam! Teraz postawię na numer.

— Przecież jeszcze nie wiesz, ile płacą za wygrany numer.

— A po co mi wiedzieć? W razie czego będę miała większą radość, przecież chyba tutaj przy świadkach nie oszukają mnie? Postawię na siódemkę. Siódmego listopada było nasze wesele....

— Zrozumiałem! Zrozumiałem, co znaczy, kiedy stawiają na linję! — szeptał Konurin, uderzając się pięścią w czoło. — To znaczy, że stawka idzie na dwa numery, na numer na lewo i na numer na prawo. W ten sposób pięć franków stawia się na pół, po dwa i pół franka na każdy z numerów. Zawsze to pewna oszczędność. Postawię piątkę? — zwrócił się do Mikołaja Iwanowicza. — Piątka, to dwa ruble, a więc

funt herbaty... A niech ich! Niech zeżrą mój funt herbaty, żeby się udławili!

Położył „piątkę" na linijkę pod dwoma numerami i — o dziwo — krupier przysunął mu pokaźną kupkę srebra.

— Widzieliście! Wygrałem! — zawołał Konurin wśród ogólnego milczenia tak, że zwrócił na siebie uwagę wszystkich obecnych. — Poczekajcie kochankowie! Teraz z wygranych mogę już stawiać. Ile mi tu dali?

Zaczął liczyć wygraną.

— Daj spokój... nie licz... to niedobrze... To psuje szczęście! — zatrzymał go Mikołaj Iwanowicz, który też wydobył portmonetkę i postawił pięć franków na linijkę pomiędzy dwoma numerami.

W ten sposób grała już cała trójka.

— Mikołaj Iwanycz, ja już ze złotej monety ostatnią piątkę postawiłam! — ciągnęła za rękaw męża Głafira Siemionowna. — Daj mi jeszcze jedną złotą monetę... Przecież nie można tutaj grać na grosze. Sam widzisz, jaka gra idzie. Będę za to we Włoszech oszczędną i nie kupię słomkowych kapeluszy, o których ci mówiłam. Wiesz co, daj mi dwie złote monety, daję ci słowo, że we Włoszech...

— Masz, masz... Nie przeszkadzaj mi... Czy nie widzisz, że sam gram.

Mikołaj Iwanowicz dał żonie dwie dwudziestofrankówki.

— Uważaj, wygrałeś! — wskazała Głafira Siemionowna mężowi.

— Nie może być?!

Krupier podsunął Mikołajowi Iwanowiczowi kupkę srebra. Bohater nasz zajaśniał na twarzy.



— Powiedzcie państwo, jak my z Konurinem dzisiaj szczęśliwie gramy... — mówił półgłosem. — Konurin na pierwszą stawkę wygrał, a ja na drugą... Niema jak stawiać na linję.

Głasza! Stawiaj na linje. Co ty ciągle grasz na te głupie kolory! — szepnął do żony... Tutaj zupełnie inaczej się gra... Tutaj daleko lepsza gra, niż w Nicei...

— Szlachetniejsza! — dorzucił Konurin. — Nawet wśród publiczności niema tutaj takich zakazanych mord, jak w Nicei. Na judaszowem miejscu pan krupier inaczej wygląda, niż tamten... twarz miła... widać zaraz, że to człowiek z zasadami, a nie jakiś łotr... Trzydzieści franków. Trzeba będzie teraz obstawić numery dokoła. Po pięć franków na każdą linijkę... Ten z rybiemi oczami zrobił to przed chwilą i wygrał mnóstwo pieniędzy.

— Obstaw!

— Tak też zrobię, mam z czego, bo wygrałem. Raz kozie śmierć i basta.

Konurin postawił cztery monety na linjach, ograniczających numery.

— Mikołaj Iwanycz... wygrałam! Drugi dukat był daleko szczęśliwszy.

— Nie przeszkadzaj!... Graj dla siebie, a ja dla siebie! — odpowiedział mąż, zajęty grą. — Iwan Kondratjicz, jak tam idzie, co słychać z obstawionym numerem.

— Pożarli djabły, żeby ich zadusiło. Spróbuję jeszcze raz, może się uda.

— Ja też obstawię numer! Mam z czego, z wygranej...

Konurin i Iwanowowie uważnie śledzili kulkę.

— Hurra! — krzyknął nagle Konurin.

— Cicho! Zwarjowałeś, czy co! — uspakajał go Mikołaj Iwanowicz. — Wszyscy patrzą na ciebie.

— Pluję na wszystkich.

Krupier przysunął mu dużą kupę srebra i nieco złota.

— Mikołaj Iwanycz! Znów wygrałam!

XXVII.

Gra zbliżała się ku końcowi. Krupierzy poziewywali od czasu do czasu ze zmęczenia. Graczy było coraz mniej. Odchodzili zwolna od stołu z opróżnionemi kieszeniami. Niektórzy z nich obliczywszy na boku resztkę pieniędzy, wracali znowu do stołu, przegrywali i znów odchodzili. Jakiś elegancki jegomość z brodą i wspaniałą czupryną wydobył z kieszeni resztę miedziaków, doliczył się pięciu franków postawił i też przegrał. Zagryzł wargi, odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali.

Iwanowowie i Konurin grali w dalszym ciągu, ale już bez humoru. Wreszcie Mikołaj Iwanowicz przegrał postawioną stawkę i rzekł:

— Basta! Morza nie zasypiesz. Tutaj też każdy musi przegrać.

Przeciągnął się i odszedł od stołu.

— Rzeczywiście już dawno nikt nie wygrywa, tylko te przeklęte djabły-krupierzy zabierają wszystkie pieniądze! — odezwała się Głafira Siemionowna, kiwając głową na krupierów.

— Odejdź już Głasza! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Poczekaj! Jeszcze jedną stawkę... Jestem troszkę wygrana.

— Jak ty możesz mówić o wygranej, kiedy twój mąż przegrał przeszło 400 franków. Przecież pieniądze z jednej kieszeni! Daj spokój, Iwan Kondratjicz, przestań! — rzekł do Konurina.

— Trzeba przestać, bo możemy bez butów do domu wrócić! — odpowiedział Konurin i odszedł od stołu, przeliczając resztki pieniędzy.

Głafira Siemionowna grała w dalszym ciągu.

— Głasza! — zawołał po raz drugi Mikołaj Iwanowicz.

— Zaraz, zaraz!... Jeszcze tylko ostatnią staweczkę.

— Schowaj pieniądze chociaż na bilet kolejowy i na dorożkarza. Ja mam w kieszeni już tylko przekaz na bank i ani grosza...

— Na kolej mi wystarczy!

Głafira Siemionowna pokazała słupek pięciofrankówek na dłoni. Mąż wziął ją mocno za rękę, odciągnął od stołu i rzekł z gniewem:

— Zabraniam ci więcej grać! Dosyć!

— Jak to pięknie rozmaite tureckie brutalności i znęcanie się nad żoną prezentować przy cywilizowanej publiczności! — zauważyła żona, lecz odwróciła się od stołu. — Ja jednak wygrałam! Przeszło 25 franków.

— Nie mów mi ani słowa o tej twojej wygranej.

Szli w milczeniu przez pokoje do gry, kierując się ku wyjściu.

— Czy tylko zdążymy na pociąg? Może już za późno? rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Mówiono ci przecież, że ostatni pociąg odchodzi po ukończeniu gry. Pytałam się... — odpowiedziała Głafira Siemionowna i dodała: — Ach jaka szkoda, że nie przestałam grać przed pół godziną, byłam wygrana 170 franków. A to oślica ze mnie...

— Co tu się sprzeczać, kto jest oślicą, a kto osłem! — machnął ręką Konurin. — Wszyscy osły! Mądrzy ludzie nie podchodzą do tych stołów.

Kiedy podróżnicy nasi wyszli z domu gry, w ogrodzie przed domem ujrzeli tłum ludzi. Ktoś krzyczał i płakał głośno. Z kawiarni, znajdującej się po drugiej stronie, iluminowanej lampionami wybiegł garson w białym fartuchu ze szklanką wody w ręku, bez tacy. Iwanowowie i Konurin podeszli do tłumu. Na ścieżce leżała młoda, elegancko ubrana kobieta w ataku histerji. Płakała, krzyczała i śmiała się. Ktoś dawał jej wody do picia. Była to ta sama pani, która w obec-

ności Mikołaja Iwanowicza i Konurina zastawiła w salonie bransoletkę.

— Dograłaś się, mamusiu! Widzisz, do czego doprowadza gra! Poleż sobie teraz za to na piaseczku... Dobrze ci tak! — rzekł Konurin.

Podróżnicy nasi przyjechali do Monte-Carlo końmi i nie wiedzieli teraz, jak należy iść na stację. Glafira Siemionowna pytała się przechodniów.

— La gar? U e la gar? La stacion?

Wskazano im kierunek.

Część publiczności z domu gry biegła już na pociąg w obawie spóźnienia, wobec czego i nasi podróżnicy przyspieszyli kroku, biegnąc za innymi... Jakieś weiście... Nagle przed samym nosem drzwi się zamknęły.



— Mikołaj Iwanycz... Co to takiego? Nie wpuszczają... Spóźnimy się na ostatni pociąg!... — mówiła Glafira Siemionowna.

— Spóźnimy się, doskonale! Dobrze nam tak, paniusiu! Przenocujemy sobie tutaj na trawce! Należy się nam to za nasze głupstwa! — odpowiedział Konurin z ciężkiem westchnieniem. — Durniów trzeba uczyć, och, jak trzeba uczyć!

— Dlaczego „na trawce"? Przecież są tu hotele. Przed chwilą widziałem trzy szyldy z napisem „Hotel"! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz .

— Jak tam państwo chcą, ale ja na trawce... Nie mam wcale zamiaru płacić za dwa numery, za jeden tutaj, a za drugi w Nicei. Niedość, że zgrałem sie, jak skrzypce, jeszcze mi każą płacić za dwa mieszkania. Ja sobie tutaj na trawce, albo na ławeczce. Jeszcze powinienem sobie samemu w skórę dać!

Przed zamkniętemi drzwiami zebrało się więcej publiczności. Glafira Siemionowna denerwowała się i do wszystkich zwracała się z pytaniami w rodzaju:

— Me, koman don? Nu wulon siur la gar... Le dernie tren... Nu wulon partir a Nis i nagle zatrzaskują nam drzwi przed nosem! U e la gar?

Uspakajano ją. Jakiś młody człowiek w popielatym kapeluszu, czerwonym krawacie i czerwonych rękawiczkach starał się wytłumaczyć po francusku, że wszyscy zdążą, że zamknięto przed nimi tylko drzwi windy, która za chwilę powróci z powrotem na górę i drzwi znów otworzą, lecz Głafira Siemionowna nic nie rozumiała.

Drzwi windy wreszcie zostały otworzone. Głafira Siemionowna schwyciła męża za rękę i ze słowami: „Prędzej, prędzej", wciągnęła go do windy. Wskoczył za nimi i Konurin. Winda szybko napełniła się i zaczęła się opuszczać.

— Boże! To winda! To znowu ta djabelska winda! — zawołała Głafira Siemionowna. — Znów trafiliśmy nie tam, gdzie potrzeba.

— Stój! Stój! — krzyczał Mikołaj Iwanowicz do stojącego przy maszynie urzędnika w czapce mundurowej i schwycił go nawet za rękę. — My musimy na pociąg. Gar... gar... tren...

Winda nie zatrzymywała się.

— Ażeby was wszyscy djabli! Gdzie oni nas spuszczają, poco to nam? Nie chcemy wcale! My chcemy do Nicei. Do Nicei. Do Nis... G'asza! Przetłumacz temu idjocie, że my musimy do Nicei jechać!

— Na co się to zda? Poco im tłumaczyć, kiedy i tak już nas zawiozą gdzieś w głąb ziemi. Trzeba będzie znowu wyłazić stamtąd.

— A to wszystko ty!... — rzekł z wymówką Mikołaj Iwanowicz.

— Ja? Jakto ja?

— Bo ty mnie za rękę wciągnęłaś do tej głupiej windy. Nie zapytałaś się nawet, o co chodzi i ciągniesz mnie! Iwan Kondratjicz, co będziemy robić? My musimy do Nicei na pociąg, a nas pakują gdzieś do jakiegoś piekła.

Konurin narazie nic nie odpowiedział.

— To wszystko nic za nasze grzechy! — mruknął wreszcie po chwili.

Tymczasem mechanik windy wsuwał im bilety i żądał od nich po pół franka od osoby.

— Co? Jeszcze pieniądze chcecie brać? Siłą nas gdzieś do piekła wciągacie i jeszcze żądacie pieniędzy za to? — wołał rozdrażniony Mikołaj Iwanowicz. — Ani kopiejki nie dostaniesz.

— Mais, monsieur... — zaczął mechanik.

— Precz! Nie wyciągaj ręki, bo ci odpowiem po mojemu! My musimy do Nicei, a ty nas gdzieś do djabła na rogi ciągniesz... Miersi... Ani grosza...

Maszyna zatrzymała się, otworzono drzwi. Głafira Siemionowna wyjrzała i zawołała:

— Daj mu, Mikołaj Iwanycz... Trafiliśmy dobrze. Spuścili nas windą do samej kolei... Patrz, tutaj są szyny, patrz, tam stacja i kasa biletowa. Zapłać mu!

— Czem mam zapłacić, kiedy zgrałem się do ni ki? Zapłać sama!

Głafira Siemionowna wsunęła mechanikowi dwufrankową monetę i pobiegła do kasy po bilety. Pociąg już zbliżał się do stacji. Jak dwoje oczu błyszczały dwie latarnie na lokomotywie.

— Kto ich wiedział, że tutaj trzeba jechać windą, ażeby trafić na pociąg! — mruczał Mikołaj Iwanowicz.

Po dwuch minutach wszyscy siedzieli już w pociągu.

XXVIII.

Pociąg szedł bardzo wolno, co chwila zatrzymywał się na przeróżnych maleńkich przystankach. W przedziale wagonu, gdzie siedzieli Iwanowowie i Konurin znajdował się i ów młody człowiek, ze spinkami u mankietów wielkości podstawków, którego widziano przy stole gry. Siedział w kąciku i drzemał, zdjąwszy kapelusz z głowy. Marynarkę miał rozpiętą i na kamizelce wisiała złota gruba dewizka z całym pękiem drogich breloków. Ten koniec dewizki, do którego zwykle przyczepiany bywa zegarek, wypadł z kieszeni i wisiał bez zegarka. Głafira Siemionowna zauważyła to natychmiast i szepnęła do siedzącego obok, pogrążonego w ponurych rozmyślaniach, męża:

— Patrz, ten młody człowiek nawet zegarek przegrał... i nie gniewa się, nie robi strasznej miny, a ty wyglądasz, jakby cię jakieś nieszczęście spotkało. Widzisz dewizka mu zwisa bez zegarka.

— Czy mało durniów na świecie? — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Czybyś chciała, żebyśmy i my pozastawiali swoje rzeczy w tej szulerni?

— O tem nie mówię... Chcę ci jednak zwrócić uwagę na to, że gra jest zmienna... Dzisiaj przegrałeś, jutro możesz się odegrać... Czy można wymagać, żeby od pierwszego razu wygrać zaraz majątek.

— Chcesz może, żebym się jutro odgrywał? Nie, mamusiu, nie doczekasz się tego. Przyznaję się, byłem skończonym osłem, kiedy dałem ci się skusić, ale więcej już ci się to nie uda. Dosyć! W ciągu dwuch dni wyrzuciliśmy razem z tobą przeszło sześćset franków z kieszeni. Dosyć! Pluję na tę całą Niceę! Jutro rano wyjeżdżamy!

— Kochani moi! Aniołowie stróże moi! Wywieźcie mnie jaknajprędzej z tego przeklętego miasta! — prosił Konurin. — We dwójkę przebębniliście sześćset franków, a ja sam, sam jeden w te głupie kręciołki i pieski przewaliłem przeszło osiemset.

— Jakie pieski? — zapytała Glafira Siemionowna.

— Czy to nie wszystko jedno... Koniki, pociągi, kręciołki... Zaklinam was na Boga, wywieźcie mnie stąd, przecież ja jestem człowiek familijny, mam żonę, dzieci...

— A w domu pan nie gra w stukułkę? Nie przegrywa pan nieraz większych sum? — zauważyła Glafira Siemionowna.

— W domu co innego, mamusiu! Co innego dom, a co innego gdzieś na obcej ziemi... Tu można się do tego stopnia spłukać, że nie będziemy mieli za co wrócić do domu.

— Co do tego, może pan być zupełnie spokojny. Razem przyjechaliśmy, razem wyjedziemy. W ostateczności mogę sprzedać swoją dużą bransoletkę brylantową i za te pieniądze możemy nawet do Chin dojechać, a nie tylko do Petersburga.

— Jutro wyjeżdżamy, Iwan Kondratjicz! Jutro!... Uspokój się!... — rzekł z powagą w głosie Mikołaj Iwanowicz.

— A sześćset franków poświęcisz nawet bez chęci odegrania się? — zapytała męża Glafira Siemionowna.

— A niech ich... Co z woza spadło, to przepadło! Nie żal mi już!... Pragnę tylko jaknajprędzej wydobyć się z tego gniazda szulerskiego.

— Masz rację, Mikołaj Iwanycz! I ja nie żałuję! Przegrałem — będę miał naukę na przyszłość! — potakiwał mu Konurin.

— Podziwiam panów, jacy wy jesteście bogaci! Ile wy macie pieniędzy do wyrzucenia. Musicie mieć widocznie kopalnie złota, że nie żal wam zupełnie pieniędzy. Przecież osiemset franków i sześćset franków, to tysiąc czterysta... — rzekła Glafira Siemionowna.

— Pluję na nie! Żeby tylko Pan Bóg zlitował się i wyciągnął nas z tego przeklętego miasta w całości! — machnął ręką Konurin i dodał: — Kochanie, Mikołaj Iwanycz, nie słuchaj kuszenia baby, jedziemy jutro!

— Jedziemy! Jedziemy!

Rozmawiając w ten sposób, przyjechano do Nicei. Razem z nimi jechała pociągiem i owa panienka, która miała atak histerji na skwerze przed domem gry. Nasi podróżnicy zobaczyli ją na dworcu. Prowadziło ją pod rękę dwóch mężczyzn: wysoki młodzieniec w cylindrze i jakiś starszy pan w miękkim kapeluszu. Glafira Siemionowna obejrzała ją od stóp do głowy i rzekła:

— Ani bransoletki, ani zegarka na piersiach, ani kolczyków w uszach, a jednak trzyma się i nie rozpacza.

— Jakto nie rozpacza, jeżeli nawet doszło już do histerji? Czego ci jeszcze więcej potrzeba? — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Ataku histerycznego można dostać i nie grając w żadną grę. I zły mąż może doprowadzić do tego.

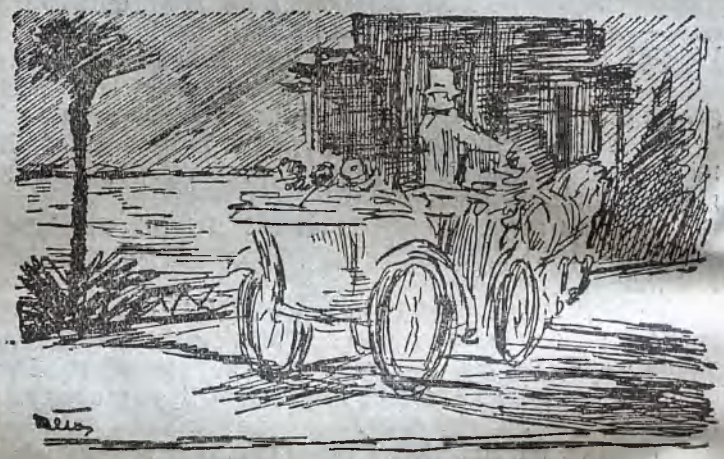
— Przestań Glafira Siemionowna! A to się zawzięło babsko. Prawdę powiedziano, że upartej baby nawet w

moździerzu nie potłuczesz! Skąd się w tobie wziął taki hazard? Nie mogę zrozumieć tego! Powiedz lepiej, czy masz pieniądze na dorożkarza? Przegrałem wszystko, co miałem przy sobie: złoto, srebro i papiery. Mam tylko czek bankowy i nic więcej.

— Mam, mam! Nie płacz! Zostało mi jeszcze 14 franków.

Na stacji podróżnicy nasi siedli do dorożki i pojechali do hotelu.

Była cudowna noc, cicha, spokojna, księżyc zalewał wszystko srebrem, w powietrzu unosiły się przecudne zapachy pomarańcz i cytryn, rosnących na skwerze przed stacją. Pachniały również młode drzewka laurowe.



— Ach, co za cudna noc! — zachwycała się Głafira Siemionowna. — Co za zapachy tutaj, co za nadzwyczajny klimat... A oni chcą odjeżdżać stąd... Powinniśmy chociaż z tydzień tutaj posiedzieć! Pomyślcie, u nas teraz mrozy, początek marca, ludzie jeżdżą przez Newę na sankach, a my tutaj bez palt... Ja mam tylko lekką pelerynę jedwabną...

— Nie kuś, Ewo, nie kuś! — oburzał się Mikołaj Iwanowicz.

— Jedziemy jutro? — jeszcze raz zapytał Konurin.

— Jutro, jutro!... Niech djabli wezmą wszystkie zapachy, kiedy te zapachy naumyślnie tutaj zaprowadzili, ażeby wciągnąć ludzi do szulerni i ogrywać.

— Brawo, Mikołaj Iwanycz! Dziękuję ci, przyjacielu! Widzę, że z ciebie porządny chłop!... Co tam teraz moja kochana żona w domu robi? — westchnął Konurin.

— Herbatę pije! — uśmiechnęła się Głafira Siemionowna.

— Nie, pewno śpi... Pewno już trzeci sen widzi... A jednak takie spokojne żony, które siedzą w domu, takie nierogate baby, to jeszcze gorsze... Przecież to ona winna, że nie zatrzymała mnie w domu... To ona, oślica jedna pozwoliła mi

wyjechać do tej głupiej zagranicy. Gdyby stanęła dęba, bodnęła porządnie, siedziałbym sobie teraz w Petersburgu, nie wydałbym pieniędzy na drogę, nie spłukałbym ośmiuset franków na kręciołki i pieski... Ale nie! Mówi mi oślica: „jedź kochanie, jedź, zobacz, jak w zagranicznych ziemiach ludzie żyją, opowiesz mi potem“... Osiemset franków przegrać w jakieś głupie kręciołki. Każdy rozsądny człowiek powie ci, że to trzysta dwadzieścia rubli. Ile za te pieniądze mógłbym kupić ryb, mięsa i słoniny dla rodziny, dla domowników?...

— Ach, Iwanie Kondratjiczu! Czego pan ciągle stęka? Co za dziwna przyjemność zatruwać komuś ciągle życie swoim stękaniem! — zawołała Głafira Siemionowna. — Ach, jak mi się już pan sprzykrył... strasznie! Stęka pan i piszczy, jak jakiś pies...

— Wymyślaj mi, mamusiu, wymyślaj! Na Boga, proszę cię, wymyślaj porządnie, wart jestem za moje postępowanie jeszcze gorszej reprymendy... Nie pies jestem, a jeszcze gorzej... Wymyślaj!... Prawdę powiedziawszy, to nie mam tu nikogo, ktoby mi choć nawymyślał jak należy...

Konurin znów westchnął.

— Ech, gdyby chociaż tak telegraficznie żona nawymyślała mi porządnie, zawsze by człowiekowi lżej było na duszy! — dodał.

Dorożkarz przywiózł ich do hotelu.

Mikołaj Iwanowicz dotrzymał słowa. Rano, kiedy Głafira Siemionowna jeszcze spała, zdążył być w banku, otrzymał pieniądze na czek i wróciwszy do hotelu, zażądał rachunek, ażeby zapłacić i wyjechać z Nicei do Włoch.

XXIX.

Podczas rannej kawy Głafira Siemionowna znów zaczęła silnie protestować z powodu tak szybkiego wyjazdu z Nicei i tłumaczyła Mikołajowi Iwanowiczowi, że trzeba być ostatnim osłem, żeby nie pojechać raz jeszcze do Monte-Carlo i nie spróbować się odegrać, ale Mikołaj Iwanowicz był bez litości. Popierał go Konurin, który przyszedł ze swego pokoju do Iwanowowych na kawę.

— Musimy, paniusiu, wyjechać, musimy koniecznie, bo możemy tutaj zupełnie sobie łeb skręcić! — tłumaczył.

— Przecież nawet nie widzieliśmy dobrze Nicei? — broniła się Głafira Siemionowna.

— A niech ją Pan Bóg kocha, tę całą Niceę! Dosyć! Nie trzeba dobrych rzeczy używać za dużo... Widzieliśmy niebieskie morze, widzieliśmy, jak rosną pomarańcze, widzieliśmy, jak dorosłe osły grają w dziecinne zabawki, i wyrzucają pieniądze... Wszystkośmy widzieli, czego pani jeszcze chce? Po jakiego djabła mamy tu jeszcze dłużej siedzieć?

— A nie widzieliśmy, jak damy kąpią się w morzu wo-

bec publiczności? — probowała Głafira Siemionowna zaciekawić swoich towarzyszów... — Choćby tylko z powodu tych kąpiących się dam powinniśmy zatrzymać się jeszcze na jeden dzień.

— Także coś... Warto z powodu kąpiących się dam zostawać! — odezwał się Mikołaj Iwanowicz. — To można i u nas pod Petersburgiem widzieć. Wyjedź z miasta gdzieś w okolice, w każdej rzeczce zobaczysz, jak się baby kąpią...

— Co za porównanie. Tam jakieś baby wiejskie, a tutaj arystokratki... w kostjumach kąpielowych.

— Głasza, kochanie, nie znasz się na tem. Bez kostjumów, to nawet jeszcze ciekawszy widok. Ot, zwyczajnie, onatiurel...

— W każdym bądź razie trzeba być skończonym prostakiem, żeby wyjeżdżać z miasta, nie zwiedziwszy go jak się należy... Dzisiaj naprzykład jest tutaj maskarada. Wszyscy powinni być ubrani na biało: w białych dominach, w białych czapkach błazeńskich... Nazywa się to Korso Blan. Czy i to was nie interesuje?

— My już tak, kochana paniusiu, mamy na głowach czapki błazeńskie... Nie darmo przegraliśmy półtora tysiąca franków w dziecinne zabawki... — odpowiedział Konurin.

— Już półtora tysiąca! Musiał się pan przerachować o sto franków... A ja, jakby naumyślnie dzisiaj w nocy miałam sen... Przez całą noc śniła mi się cyfra „22" — mówiła w dalszym ciągu Głafira Siemionowna. — To niby dwie białe kaczki pływają po morzu, to jakby dwa znaki ogniste u Mikołaja Iwanowicza na czole... Trzeba wyprobować tę cyfrę...

— Nie kuś, mamusiu, nie kuś! Śnij sobie, o czem chcesz, ale mnie nie kuś! — podniósł głos Mikołaj Iwanowicz. — Przejrzyj lepiej rachunek hotelowy, skoro już jesteś naszą tłumaczką francuską. Zdaje mi się, że porządnie nas tu chcą obedrzeć...

Podał jej rachunek.

— Jestem pewna, że po takich snach wygrałabym dzisiaj mnóstwo pieniędzy. I ty napewno wygrałbyś, gdyż u ciebie właśnie na czole widziałam cyfrę „22". Iwan Kondratjicz teżby wygrał, gdyż i u niego widziałam cyfrę ognistą, tylko nie 22, a 33...

— Trzydzieści trzy? Czy być może? Trzydzieści trzy, to ulubiona liczba mojej żony... Właśnie ma trzydzieści trzy lata! — rzekł Konurin.

— A widzi pan! A na szczęście żony pewno pan ani razu nie postawił stawki.

— Stawiać, stawiałem, ale tak bezmyślnie... Więc pani mówi, że na mojem czole ognista cyfra?...

— Proszę posłuchać... Stoi pan niby przedemną w białem domino, w takim płaszczu białym, jakie widzieliśmy w oknach magazynów, przygotowane na tę maskaradę dzisiejszą... Stoi pan przedemną w białym płaszczu — komponowała Głafira Siemionowna — a na piersiach palą się panu dwie cyfry „33".

A z głowy pańskiej wychodzą jakby jagieś promienie...

— A niech cię!... Mikołaj Iwanycz, słyszysz?

— Słuchaj, słuchaj! Ona ci powie! Wszystko ci opowie, byle tylko zostać jeszcze pograć.

— Jakiś ty głupi, że mi nie wierzysz... Przecież to sen... We śnie można wszystko zobaczyć.

— Masz rację, Mikołaj Iwanycz! We śnie wszelkie głupstwo można zobaczyć! — zgodził się Konurin. — Ale często jednak sny się sprawdzają... Kiedyś w nocy przyśniło mi się, że jakiś pies mnie chciał ugryść w nogę, a na drugi dzień dostałem w Paryżu list od żony. Wiadomo, że pies to we śnie zwykle znaczy list...

— Naturalnie, ale tutaj już nie żaden pies, ale wyraźnie cyfra „33"... Mojem zdaniem, to nawet grzech jest nie skorzystać z takiego snu...

— Może pani ma i rację, ale już za dużo przegraliśmy... Nie, jedziemy do Włoch! — machnął ręką Konurin. — Trzeba jaknajprędzej objeździć te wszystkie włoskie palestyny i wracać do siebie do domu na postną zupkę i kaszę niekraszoną. Przecież u nas teraz wielki post, a my tu, grzesznicy, w tych zagranicznych ziemiach zapomnieliśmy zupełnie o tem. Trzeba by wrócić do domu i rozpocząć pokutę.

— Przejrzyj Głasza prędzej rachunek. Bóg wie, co nam tutaj ponawypisywali! — podał Mikołaj Iwanowicz żonie rachunek.

— Pokoje policzono nam drożej o trzy franki na dzień! — wyjaśniła Głafira Siemionowna. — Potem jeszcze serwis... Za służbę policzono nam po dwa franki od osoby na dzień.

— A jakie mieli prawo, dranie, liczyć, kiedyśmy się umówili... Hej kelner, czy jak was tam...

Mikołaj Iwanowicz rozgniewał się i zaczął dzwonić na służbę.

— Za gorącą wodę w czajniku i lampkę spirytusową, na której gotowaliśmy wodę do naszej — własnej herbaty — wzięli cztery franki! — tłumaczyła dalej Głafira Siemionowna.

— Rubel sześćdziesiąt kopiejek! — zawołał Konurin. — Przecież to rozbój!

— Pewnego dnia zażądałam dzban ciepłej wody, ażeby po podróży wymyć się lepiej... Policzono franka...

— Nie zapłacę! Za żadne pieniądze nie zapłacę więcej, jak umówiliśmy się! — gorączkował się Mikołaj Iwanowicz i kiedy zjawił się służący, oświadczył mu, pokazując palcem na rachunek: — Koman to? Keskese? Pur szambr było 12 franków umówione, duz frank, a tutaj kenz. Przecież to zwyczajne oszustwo, musju. I pur lo i pur samowar... Po jakiego djabła samowar! Lampka spirytusowa i czajnik, a nie samowar... To rozbój!.. Głasza! Jak rozbój po francusku? Możebyś mu to przetłumaczyła po francuskiu?

— Ja nie wiem, jak rozbój po francusku! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Ja wiem! Ty naumyślnie! Mścisz się za to, że nie chcę zostać tutaj dłużej w tej szulerni nicejskiej i wyjeżdżam? Dobrze... dobrze... sam sobie dam radę.

— Zapewniam cię, Mikołaj Iwanycz, że nie wiem, jak jest rozbój po francusku. O żadnych rozbojach nie uczono nas przecież na pensji. Na naszej pensji były nawet córki generałów, więc jak można było takim pannom mówić o jakichś rozbojach.

— Dosyć! Milcz już. Tak, braciszku! — zwrócił się znów do kelnera. — To rozbój! To jest to samo, co komuś portmonetkę z kieszeni wyciągnąć! Zupełnie to samo! Komprene? Wuala, co to jest... — krzyczał Mikołaj Iwanowicz i gestami pokazywał, jak złodziej wyciąga komuś portmonetkę z kieszeni. — Jak złodziej po francusku? — zwrócił się do żony.

— Le woler.

— Le woler tak robią! Komprene? Le woler!



Zdziwiony lokaj wycofywał się ku drzwiom. Kiedy wreszcie i Konurin zawołał na cały głos „Le woler", a nawet pokazał lokajowi pięść, przestraszony służący uciekł z numeru i po minucie zjawił się w towarzystwie zarządzającego hotelem, z owym starszym Francuzem z siwą kozią bródką i ołówkiem za uchem.

Rozpoczęła się rozmowa z zarządzającym, w której wzięła również udział i Glafira Siemionowna. Konurin w dalszym ciągu pokazywał pięść i wtrącał się.

— My wam „wiw la Frans"... z całej duszy, a wy do rabunku się zabieracie? To takie sprawy? Co to za jedność w takim razie, jeżeli wy jesteście rabusie?

Zarządzający słuchał ze spokojem; zrozumiał on dobrze, o co chodzi i wreszcie zaczął się tłumaczyć.

— Głasza! Co on mówi? — pytał Mikołaj Iwanowicz.

— Mówi, że dlatego policzono drożej za pokoje, żeśmy u

nich nie brali ani deżene, ani dine, to znaczy, nie jedliśmy obiadów i śniadań, o czem nas uprzedzał.

— Jakto nie jedliśmy obiadów i śniadań? Przecież naumyślnie rano wczoraj jedliśmy tu śniadanie, żeby im zamknąć gębę. Łżesz, musju! Wczoraj myśmy deżene, wszyscy trua deżene! Przetłumacz mu, Głasza!

— Tłumaczę, lecz on mówi, że jeden raz to się nie liczy.

— Ładne miasteczko! Zupełnie nas chcą ograbić! W szulerniach ogrywają, w hotelach rabują! Przypomnijcie sobie choćby tę angielską restaurację, gdzieśmy onegdaj jedli obiad... też nas ograbili... Non, non! Nie dam żadnego dodatku za pokoje... Rien pur szambr! — machał rękami Mikołaj Iwanowicz. — My krzyczymy „wiw la Frans", wy krzyczycie „wiw la Riuss", a potem świństwa nam robicie?... Duz frank pur szambr i rien!...

Głafira Siemionowna starała się przetłumaczyć to wszystko. Zarządzający powoli zmiękł i zgodził się ustąpić po franku na dzień. Mikołaj Iwanowicz targował się w dalszym ciągu. Zgodzono się na dwa franki; utargowano również jeden frank za gorącą wodę.

— Ach, rabusie, rabusie! Ach, łotry! — wykrzykiwał Mikołaj Iwanowicz, rzucając pieniądze na stół. — Za to nie dam ani kopiejki na piwo ani garsonom, ani szwajcarowi, ani pokojówkom.

Po godzinie jechali omnibusem z walizami na stację kolejową. Głafira Siemionowna siedziała smutna w kącie i widać było, że gniewa się na męża. Nie chciała za żadne pieniądze jechać, nie odegrawszy się. Przeciwnie, Konurin był zadowolony, wesoły, żartował, patrzył przez okno karetki i wykrzykiwał:

— Żegnaj sławne miasto, Nicea! Żeby się ziemia zapadła pod tobą na sto sążni!

XXX.

Iwanowowie i Konurin podjeżdżali do jakiejś stacji.

— Co ja widzę? Przecież to jest ta sama stacja, na którą przyjechaliśmy z Marsylji i z Montekarlo! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Czyś powiedziała w hotelu, żeby nas zawieźli na tę stację, z której trzeba jechać do Włoch? — zapytał żonę.

— Naturalnie, że powiedziałam. Powiedziałam wyraźnie: „La gar pur Rom".

— A czy Rzym, to po francusku tak samo, jak rom (rum)? — zapytał zdziwiony Konurin.

— Tak, tak! Rzym po francusku Rom! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— A niech was kaczki zdzioblą! Święte miasto, a ma

taką alkoholową nazwę: rom. Prawdopodobnie rum żółty i czerwony z tego miasta pochodzi?

— A skąd ja mogę wiedzieć. Iwan Kondratjicz? O wódkach nie uczyłam się na pensji.

— Ta sama kolej prowadzi do Rzymu i do Montekarlo... Teraz widzę doskonale... — mówił dalej Mikołaj Iwanowicz, wyjmując z kieszeni mapę kolejową i rozglądając ją starannie. Zajrzała do mapy i Głafira Siemionowna i rzekła:

— Masz rację! Oto Nicea, skąd wyjeżdżamy! — pokazała palcem na mapie. — Tutaj za tą czerwoną linją — Włochy. Widzisz, napisane: „Italie"! Tędy pojedziemy do Włoch, bo drugiej drogi niema. Po drodze będziemy przejeżdżać przez Montekarlo. Widzisz, napisane wyraźnie: „Monte-Carlo".

— Musimy koniecznie jechać koło tej szulerni? — zapytał Konurin.

— Musimy!

— To dobrze! Z przyjemnością splunę na stacji!

— Ja z tobą! — dodał Mikołaj Iwanowicz.

— Ach, jakie to mądre! Zupełnie jak dzieci! — rzekła Głafira Siemionowna. — Jak dziecko upadnie i stłucze się, to później pluje na to samo miejsce. Zupełnie jak brodate dzieci!

— Zatrzymano się na stacji. Tragarze zanieśli bagaż. Portjer, jadący z nimi z hotelu zapytał, do jakiego miasta ma wyprawić bagaż.

— Rom, Rom, Rom!... — powtórzyła kilkakrotnie Głafira Siemionowna.

— Do romu, albo do koniaku, wszystko mi jedno, byle tylko jaknajprędzej uciekać z tego sławnego miasta Nicei! — dodał śmiejąc się Konurin.

Portjer z hotelu zaprowadził ich do kasy, oddał bagaż, kupił bilety do Rzymu i zaczął coś mówić.

— Na granicy włoskiej trzeba będzie się przesiadać do innych wagonów! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna. — Ale bilety ważne są na czternaście dni, więc, jeżeli chcemy, możemy się po drodze zatrzymywać na każdej stacji! — dodała wesoło.

Przyszło jej do głowy, że w czasie drogi może zdoła namówić męża i Konurina, ażeby zatrzymali się na parę godzin w Monte-Carlo i pozwolili jej odegrać się w ruletkę.

— Poco się mamy zatrzymywać! — machnął ręką Mikołaj Iwanowicz. — Prosto do Rzymu! Z Rzymu do Neapolu, z Neopolu do Wenecji i hajda do domu.

— Tak, tak... Do tego Rzymu, który się „romem" nazywa, musimy koniecznie pojechać i spróbować rumu! — dodał

Konurin: — Zupełnie nie przypuszczałem, że Rzym to takie pijackie miasto.

Portjer z hotelu, spełniwszy swoją misję, zaprowadził Iwanowowych i Konurina do sali pierwszej klasy, postawił przy nich ich małe walizki i pledy z poduszkami i zdjąwszy czapkę, stanął w oczekującej pozie.

— Czego chcesz? Pewno chcesz na piwo? Pur buar? — zapytał z uśmiechem Mikołaj Iwanowicz. — A poco rabujecie podróżnych w swoim hotelu? My riuss. wy — franse, więc powinniśmy żyć w zgodzie, ponieważ jesteśmy przyjaciółmi. A jak wy rozumiecie „wiw la Riusi?" Masz tutaj pół franka, więcej nie dam! Nie zasłużyliście nawet na to.

Dał mu drobną srebrną monetę.

Po kilku minutach przyszedł pociąg z Marsylji, kierujący się ku granicy włoskiej. Małżonkowie Iwanowowie i Konurin siedli do wagonu. Kiedy pociąg ruszył, Konurin przeżegnał się.

— Z żadnego miasta nie wyjeżdżałem jeszcze w życiu z taką przyjemnością, jak z tej szulerni! — rzekł.



— Ma się pan czem chwalić! Lepiejby pan milczał, przecież przez pana przemawia zwyczajny szary prostak i nic więcej! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Ludzie ze wszystkich stron przyjeżdżają tutaj na odpoczynek, dziękują Panu Bogu, że trafili do takiego raju, a pan się cieszy, że wyjeżdża.

— Mam się nie cieszyć? Mam się nie cieszyć, że wyjeżdżam z miasta, gdzie posiałem tyle pieniędzy za nic?.. Gdybym tu został dłużej, to wyszedłbym bez spodni.

— A skąd pan wie? Bywały wypadki, że ludzie przegrywali do ostatniego rubla, a potem szczęście odwracało się i z tego ostatniego rubla robili majątki. Czytałam o tem wielokrotnie w różnych powieściach.

— Paniusiu, przecież powieści to łgarstwo?

— Co się pan na tem zna! A czy pan sam nie obserwował, że czasami w czasie przegranej nagle szczęście się odwraca?

— Naturalnie, zdarzało się...

— Widzi pan! A w Montekarlo graliśmy tylko przez jeden wieczór... Czy można po jednym razie sądzić...

— Ma pani rację... Zdarza się... Nie można powiedzieć... Ale kiedy już odjeżdżamy, to chwała Bogu!

— To nic nie znaczy, że odjeżdżamy... Będziemy jechać koło Montekarlo, możemy się zatrzymać. Bilety nasze są ważne na czternaście dni. Niech mi pan tylko pomoże namówić mojego baszy-buzuka! — rzekła z uśmiechem do Konurina.

— Nie kuś, Głasza, nie kuś! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

Pociąg pędził brzegiem morza, wpadając co chwila do tunelów i znów wyskakując na światło dzienne. Widoki były wspaniałe i bardzo urozmaicone: na prawo błękit morza, zlewający się z błękitem nieba, na lewo góry skaliste i przylepione do nich wille, tonące w zieleni.

— Ile tu tych tunelów! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Jedziemy dopiero pół godziny, a już minęliśmy siedem tunelów.

— A gdzie my, kochana paniusiu, zjemy śniadanie? — pytał Głafirę Siemionownę Konurin. — Gdzie uświęcimy godzinę posiłku? W żołądku mi już coś gra na basetli.

— Ot, choćby w Montekarlo! Najlepiej w Montekarlo!

— A czy tam pociąg stoi tak długo?

— A co to nas obchodzi? Przecież pan słyszał, że bilety ważne są na czternaście dni. Wysiądziemy z pociągu z walizkami, zjemy śniadanie i pojedziemy następnym pociągiem. Przecież tutaj pociągi chodzą prawie co godzina.

— Nie kuś, Głasza, nie kuś! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Domyślam się, o co ci chodzi.

— O nic mi nie chodzi! Przecież musimy gdzieś zjeść śniadanie, a z naszemi biletami możemy to zrobić wszędzie, gdzie się nam podoba. Nie zechcesz nas chyba morzyć głodem? Wyjdziemy w Montekarlo...

— Dlaczego koniecznie w Montekarlo? Czy innych stacyj nie mamy po drodze?

— Inne stacje będą może maleńkie i nie wiadomo, czy mają pożądne bufety. A Montekarlo już znamy i wiemy, że tam są wspaniałe restauracje, wytworne kawiarnie... Napijecie się koniaku, zjecie coś smacznego...

— Za nic na świecie! Wolę już zatrzymać się na jakiejkolwiek innej stacji. Poco mamy szukać jakichś wspaniałych restauracyj? Kiełbasę i bułkę znajdziemy na każdej, a to nam wystarczy. Żałuję tylko, żeśmy ze sobą do wagonu nie wzięli kiełbasy. Ani kiełbasy, ani wina... Zawsze bierzemy coś ze sobą do wagonu, a tym razem jedziemy bez niczego.

— To twoja wina! Przecież to ty tak odrazu wszystko urządziłeś. „Jedziemy i jedziemy"... Jak chciałeś, tak się stało: spieszyliśmy się, jakby na pożar. Montekarlo to duże miasto! W Montekarlo możemy się zatrzymać, zakupić różnych przekąsek, kiełbasy, wina, koniaków... Wszystkiego możemy nakupić. Musimy się zatrzymać w Montekarlo.

Mikołaj Iwanowicz rozgniewał się.

— Zwarjowałaś, czy co? Chcemy jaknajprędzej wyjechać z tego szulerskiego gniazda, zostawić go jaknajdalej za sobą, a ty koniecznie chcesz się tam zatrzymywać! — zawołał.

— Szulerskie gniazdo?... Przecież my się zatrzymamy nie z powodu szulerni, lecz żeby coś kupić do jedzenia...

— Wiemy, wiemy... A od restauracji 10 kroków do szulerni! — wtrącił się Konurin.

— Ach Boże! Mam wrażenie, że rozmawiam z dziećmi! Czy nie umiecie się powstrzymać od gry?

— Ech paniusiu! Człowiek jest słabem stworzeniem i nosi w piersiach serce, a nie kamień.

— Ja wam nie pozwolę grać!...

— Ty? Ha, ha, ha! — roześmiał się Mikołaj Iwanowicz. — Przecież ty jesteś najpierwszym szulerem wśród nas.

Pociąg zaczął zwalniać i zbliżał się do stacji.

— Monte-Carlo! — krzyczeli konduktorzy, którzy wyskoczyli już na platformę.

— Oto Montekarlo! Prędzej, panowie, bierzcie walizki i poduszki, jeśli chcecie zjeść śniadanie! – zaczęła krzątać się Glafira Siemionowna, schwyciła swoją walizeczkę i wyskoczyła na platformę.

— Glasza! Glasza! Lepiej na innej stacji... Na następnej stacji... — wołał Mikołaj Iwanowicz, lecz Glafira Siemionowna nie słuchała go. Raz jeszcze wpadła do przedziału i wyskoczyła z poduszką Konurina.

Widząc to, Konurin wziął walizę i też zaczął wychodzić z wagonu.

— Iwan Kondratjicz! Czego wychodzisz z wagonu? Przecież to Montekarlo! — starał się mu wytłumaczyć Mikołaj Iwanowicz.

— Cóż robić. Z pomocą boską może nic się nam nie stanie. Strasznie mi się chce jeść, przecież wczoraj wieczorem grałem do późna w ruletkę i poszliśmy spać bez kolacji, więc przynajmniej śniadanie mi się porządne należy! — odpowiedział Konurin.

— A ja nie wyjdę! — Jak chcecie, ale ja zostaję w wagonie! Jadę dalej... Za żadne pieniądze...

— Przestań, Mikołaj Iwanycz! Stałeś się kapryśny, jak dziecko. Pójdziemy przecież do restauracji, a nie na ruletkę! Wychodź z wagonu!

— Glasza! Przecież to jest świństwo takie postępowanie! Jak chcecie, zostawajcie w Montekarlo, a ja jadę dalej.



— Możesz jechać, ale bilet ja mam przy sobie! Jedź bez biletu!

— Głasza! Czy ty się Boga nie boisz?...

— Wychodź, wychodź prędzej z wagonu!... Pociąg już rusza!

— Djabli wiedzą, co wy ze mną robicie! — zawołał Mikołaj Iwanowicz, wyrzucił na platformę jeszcze jedną niewielką walizkę i pled i wyskoczył z wagonu.

Pociąg zwolna odchodził ze stacji.

XXXI

Oddano bagaż na stacji... Mikołaj Iwanowicz mruczy coś pod nosem, lecz Głafira Siemionowna nie zwraca na to już uwagi, jest zadowolona z siebie. Konurin ciężko wzdycha i zastanawia się, co tam żona jego robi teraz w Petersburgu... W ten sposób zbliżają się do windy, wciągającej podróżników na skałę, w bliskie sąsiedztwo domu gry.

— Pomyślcie tylko! Na taką wysokość trzeba w windzie jechać, płacić za to i wszystko po to, żeby zostawić pieniądze w tej ruletce przeklętej... A ludzie idą... Idą jak mrówki! — zastanawiał się głośno Konurin.

— Można iść i na piechotę. Połowa pasażerów, którzy przyjechali, poszła na piechotę... Ale chyba nie chcecie włazić pod górę? — tłumaczyła Głafira Siemionowna.

— A możeby taka podróż na piechotę przyniosła nam szczęście? Coś w rodzaju pokuty... Może lepiej pójść na piechotę?

W trakcie tej rozmowy znaleźli się już w windzie, zamknięto drzwi i maszyna ruszyła.

— Mam jednak nadzieję, Iwan Konurin, że jedziemy tylko na śniadanie! — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

— Naturalnie, że na śniadanie! — odpowiedział Konurin.

Bo mi się zdawało, że zaczynasz mówić w ten sposób, jakbyś miał już zamiar zasiąść do gry?

— Co takiego? Za żadne skarby! Dosyć przegranych półtora tysiąca! Przecież nie kradniemy pieniędzy.

— Co pan ciągle powtarza, półtora tysiąca i półtora tysiąca. Przegraliśmy przecież tylko tysiąc czterysta i to nie rubli, a francuskich franków! — przerwała Głafira Siemionowna.

— Tobie się wydaje, że to mało? — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Tyle nas kosztowała cała podróż z Petersburga do Paryża, a tutaj w jednem przeklętem Montekarlo straciliśmy w ciągu paru godzin...

— Łżesz! W Montekarlo i w Nicei wszyscy razem w trójkę przegraliśmy tylko tysiąc czterysta franków, nie rubli... Franków!

— Ale francuski frank kosztuje czterdzieści kopiejek.

— A kto się z tobą sprzecza? Jeżeli kto chce tak ciągle liczyć i liczyć i udawać sknerę, to lepiej siedziałby w domu i nie jeździł zagranicę... Przyjechaliśmy tutaj, aby wydawać pieniądze, a nie zarabiać. Trzeba było jechać gdzieś na wieś... Ale i na wsi u nas też trzeba za wszystko płacić, za darmo nic nie dadzą...

Winda zatrzymała się i otworzono drzwi, prowadzące do wspaniałego ogrodu. Powietrze przepojone było zapachem cyprysów, topniejących w wiosennem słońcu. W szpalerach kwitły białe i czerwone kamelje; w ciemno-zielonej gęstwie liści błyszczały cytryny. Iwanowie i Konurin szli po alei.

— Rozejrzyj się lepiej, co za przyroda! — mówiła do męża zachwycona Głafira Siemionowna. — Mruczysz jak niedźwiedź, zamiast cieszyć się, żeśmy się tu zatrzymali.

— Zrozum Głasza, że ja nie gniewam się na przyrodę, ale obawiam się, że znów zaczniemy bawić się w durniów i przegrywać pieniądze w szulerni. Ja kocham przyrodę...

— I ja kocham przyrodę! Zwłaszcza, żeby tak można pod pomarańczowem drzewkiem wypić wódeczki na skórkach pomarańczowych! — wtrącił się Konurin i dodał: — Dlaczegośmy ani razu nie zażądali wódki na skórkach pomarańczowych? Napewno muszą tutaj mieć taką wódkę?

— Chodźmy do restauracji i zapytajmy! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

Towarzystwo nasze podeszło do głównego wejścia do domu gry. Na lewo widać było elegancką restaurację z wielkim tarasem. Przy wejściu do domu gry i przed restauracją spacerowała publiczność: na tarasie wielu ludzi jadło śniadanie i piło wino.

— Do tej restauracji? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Poczekaj trochę, pospacerujmy... Chciałabym zobaczyć dobrze suknię tej pani, która idzie przed nami! — rzekła

Głafira Siemionowna. — Bardzo oryginalna suknia. Widzicie, weszła tam do tej palmowej alei. Przy tej sposobności zobaczymy palmową aleję. Patrzcie, klomby z różami... W marcu róże kwitną. Patrzcie, jakie wielkie kaktusy rosną wprost w gruncie! Taki kaktus napewno ma przeszło sto lat! I ta palma ma pewno przeszło sto lat. Lata palm trzeba liczyć według obciętych liści...

— Niech pani prędzej przyjrzy się tej sukni, bo chciałbym być już w restauracji i sprobować wódki na skórkach pomarańczowych... — rzekł Konurin.

— Niech się panu nie spieszy! Przecież nie mogę tak odrazu podejść do nieznajomej damy i wybałuszyć na nią oczy. Trzeba elegancko. Obejdziemy tę aleję i z tamtej strony wyjdziemy do restauracji. Mikołaj Iwanycz, zachwycaj się przyrodą, oddychaj wspaniałem powietrzem, przecież powiedziałeś przed chwilą, że kochasz przyrodę. Patrzcie, jaki śliczny klomb z lewkonjami. Zachwycaj się... — starała się Głafira Siemionowna wkraść w łaski męża.

— Zachwycam się, zachwyçam! — mruknął w odpowiedzi Mikołaj Iwanowicz.

Aleja skończyła się, suknia obejrzana... Podróżnicy nasi weszli na taras restauracji i siedli przy stole.

— Paniusiu! Na skórkach pomarańczowych!... — przypominał szeptem Konurin.

— Zaraz! — odpowiedziała Głafira Siemionowna i zwracając się do garsona zapytała: — Eske wu zawe o-de-wi oranż? Zupełnie zapomniałam, jak skórki po francusku!... Na skórkach... Wu komprene: oranż... żółta skórka... żon...

— Sznaps trinken! — pszyknął Konurin palcami w kołnierzyk.

Garson nie domyślał się, o co chodzi.

— Aporte mua oranż! — rzekła wreszcie Głafira Siemionowna.

Garson uśmiechnął się, przyniósł girydon z pomarańczami. Głafira Siemionowna oderwała kawałek skórki pomarańczowej i pokazała garsonowi.

— Wuala... O-de-wi komsa...

Garson wzruszył ramionami i coś mruknął.

— Nie rozumie! Widzicie panowie, jak się staram dla was, a ten osieł nic nie rozumie.

— Daj spokój! Nie warto! Niech przyniesie zwyczajnej wódki rosyjskiej! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Jest o-de-wi riuss? Wu zawe?

— Qui, monsieur...

— I przekąski, przekąski Hor dewr... — wydawała rozkazy Głafira Siemionowna. — A la riuss .. O-de-wi, hor dewr... A apre — dežene pur trua person (wódka i przekąski, a potem śniadanie na 3 osoby).

— Jakie to dziwne. Żyją w kraju pomarańcz, a wódki na skórkach pomarańczowych nie mają, dranie! — pokiwał głową Konurin.

— Zdaje się, że staram się dla panów, ale takiej wódki widocznie nie mają! — tłumaczyła się Głafira Siemionowna. — Zresztą napijecie się i czystej... Mikołaj Iwanycz, pozwalam ci wypić dzisiaj więcej, ponieważ prawdopodobnie we Włoszech już rosyjskiej wódki nie znajdziemy. Napewno nie znajdziemy. To tylko tu w Nicei i w Montekarlo, gdzie jest dużo Rosjan, trzymają rosyjską wódkę. Nawet w Paryżu nie wszędzie ją mają. Pamiętasz, podczas pierwszej naszej wycieczki do Paryża, nawet na wystawie nie było wódki rosyjskiej.

— Czego ty jesteś dzisiaj dla mnie taka uprzejma? — dziwił się mąż.

— Chcę ci sprawić przyjemność! — odpowiedziała żona.

Śniadanie było doskonałe i kosztowało zaledwie po cztery franki od osoby. Mężczyźni wypili butelkę smirnowskiej wódki i pokrywszy ją lakierem, to znaczy czerwonem winem, byli w doskonałych humorach.

— Głasza! Z wielkiego zadowolenia, że wyjeżdżamy dzisiaj z tej pięknej miejscowości, chcę postawić butelkę szampana! Niech stracę! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Ależ postaw! Jak chcesz, napij się szampana!

— I ja butelkę szampana stawiam! Też jestem bardzo zadowolony, że już ztąd wyjeżdżamy! — dodał Konurin.

— Szampań! De butel szampań! — rozkazał Mikołaj Iwanowicz, pokazując garsonowi dwa palce. — Szampań sek i frape! Komprene? Widzicie, jak ja bufetowe słowa francuskie znam doskonale! — pochwalił się. — Innych słów ani w ząb, ale bufetowe słowa — pirsza klasa.



Szampan wypity.

— No, a teraz do waszych i szlafen: trzeba odpocząć... —

rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Zapytaj się, Głasza, czy prędko pociąg odchodzi.

— Pytałam się już. Za dwie i pół godziny. Mamy dużo czasu. Garson przyobiecał przygotować nam na drogę bułeczki z serem i wędliną i czerwonego wina. Widziecie, jak ja się dla was staram i jak o wszystkiem myślę.

— Miersi, kochanie, miersi... Ty jesteś naprawdę bon fam... A czekać trzeba jeszcze długo... Możeby... Możeby jeszcze buteleczkę szampana wypić?

— Dosyć, Kola! Wypiliście już dosyć. Rozweseliliście się... Lepiej weźcie ze sobą do wagonu, wypijecie po drodze.

— Ale co my będziemy tu robić?

— Chodźmy do domu gry i zobaczymy, jak tam grają.

— Co takiego? Do domu gry? Do ruletki? — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Przecież nie po to, żeby grać, a tylko zobaczyć, jak inni grają.

— Nie, nie! Za nic na świecie. Domyślam się, o co ci chodzi!

— Zapewniam cię...

— Basta... Półtora tysiąca franków wyrzuciliśmy na wiatr... Dosyć!

— Tłumaczyłam ci już, że nie półtora tysiąca, a tylko tysiąc czterysta, a ty wciąż swoje półtora i półtora... Jeżeli ci o to chodzi, to daj mi sto franków, żeby naprawdę było półtora tysiąca... Głupie sto franków... Kto wie, może z tych stu franków odegram się i wygram jeszcze drugie półtora? — namawiała męża Głafira Siemionowna.

— Nie mogę, Głasza, nie mogę!

— Żałujesz dla żony stu franków? Nie chcesz mi zrobić przyjemności? A przed chwilą nazywałeś mnie bon fam.

— Nie o pieniądze mi idzie, kochanie, ale nie chcę durnia strugać ze siebie.

— To daj pięćdziesiąt... Pięćdziesiąt franków dasz ty, a pięćdziesiąt Konurin. Zaryzykuję tylko pięćdziesiąt franków... Dziesięć stawek. Głównie chodzi mi o to, żeby sprawdzić ten sen, który miałam dzisiaj w nocy, pamiętasz, śniła mi się cyfra dwadzieścia dwa... Wyraźnie: dwadzieścia dwa... Przecież taki sen coś musi znaczyć?

— A to się baba przyczepiła! — westchnął Mikołaj Iwanowicz, jakby ustępując.

— A dla mnie pani naprawdę widziała cyfrę: trzydzieści trzy? — zapytał Konurin, uśmiechając się.

— Trzydzieści trzy! Trzydzieści trzy!

— Wiesz co, Mikołaj Iwanycz, a może naprawdę sprobować? Po pięćdziesiąt franków damy, przegramy najwyżej setkę. Ale ten sen trzebaby wyprobować. W razie przegranej zaokrąglimy sumę do półtora tysiąca? — rzekł Konurin. — Co do mnie, ja wierzę w sny... Może to wskazówka...

— Ależ ona lże o tym śnie! Wymyśliła sobie...

— Jak Boga kocham, nie kłamię! Jak matkę kocham! Kochany Kola, zrób mi przyjemność, nie opieraj się. Przecież ja dbam o twoje przyjemności.

Głafira Siemionowna wzięła męża pod rękę i zaczęła ciągnąć go w stronę domu gry. Ten opierał się słabo.

— Skąd się nagle u ciebie wzięły takie szulerskie przyzwyczajenia? Porządna kobieta i odrazu staje się szulerem jakimś! — mówił z uśmiechem.

— Ach, Kola, przecież jabym chciała ten sen tylko sprawdzić! Chodź, kochanie! Idziesz? Kiedy tak, to miersi! miersi! — mówiła radośnie, widząc, że mąż się już zupełnie nie opiera.

Zbliżali się do domu gry. Z tyłu za nimi szedł i Konurin.

XXXII.

Była godzina 10 rano. Pociąg poranny wyszedł z Monte-Carlo, dążąc ku francusko-włoskiej granicy. W pociągu, w przedziale pierwszej klasy siedzieli Iwanowowie i Konurin. Resztę dnia wczorajszego spędzili w Monte-Carlo przy ruletce i nie zdążyli na żaden pociąg, idący ku granicy. Musieli nocować w Monte-Carlo, w hotelu i wyjechać dopiero rannym pociągiem. Każdy siedział w osobnym kącie, zdaleka jedno od drugiego i milczał. Po twarzach można było odrazu poznać, że nadzieje na odegranie się nie spełniły się i że przegrana prawdopodobnie powiększyła się znacznie. Nie zachwycali się nawet widokami z okien i Mikołaj Iwanowicz siedzał nawet zupełnie odwrócony plecami do okna. Głafira Siemionowna sprobowała rozpocząć rozmowę.

— Nie piliśmy dzisiaj nawet ani herbaty, ani kawy. Tak spieszyliśmy się na pociąg... Właściwie, nie wiadomo po co... Dwie godziny musieliśmy wałęsać się po stacji! — zaczęła, starając się mówić jaknajbardziej miłym i przyjemnym głosikiem. — Może chcesz coś wypić i przekąsić? Mam wczorajsze bułeczki z wędliną i ze serem, które nam przygotowano w restauracji? Wino też jest! Chcesz?

— Odejdź odemnie! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz i nawet zamknął oczy.

Głafira Siemionowna milczała przez czas jakiś i znów zwróciła się do męża.

— Napij się czerwonego winka zamiast herbaty. Zrobi ci się lepiej!

— Odejdź!

— Czy to ładnie tak się z żoną obchodzić!

— Zasłużyłaś nie na to.

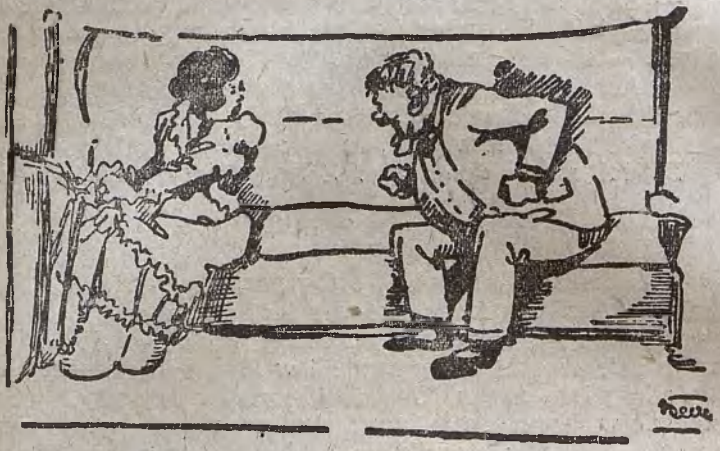
— A co ja jestem winna, żeś przegrał. Kiedy przyszło takie nieszczęście, pasa taka nieszczęśliwa, nie trzeba było wcale grać. Trzeba było stanąć przy stole i patrzeć, jak inni grają. Właściwie to o tobie nie było wcale w śnie, żebyś grał...

— Czy ty będziesz cicho?

— Naturalnie, że o tobie nic w śnie nie było. Mnie się przyśniła cyfra dwadzieścia dwa w postaci dwuch kaczek i ja wygrałam...

— Czy ty będziesz cicho o tej swojej wygranej?

Mikołaj Iwanowicz łypnął oczami i zacisnął pięści. Głafira Siemionowna nawet drgnęła przestraszona.



— Pfuj! Zupełnie jak turecki baszy-buzuk! — rzekła.

— Może być jeszcze gorzej, jak nie będziesz milczeć! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz i zgrzytnął zębami.

— Dlaczego ja mam milczeć? Przecież ja wygrałam! Niewiele, ale wygrałam! — mówiła w dalszym ciągu. — Wygrałam na czysto 35 franków... Pocoś ty wsuwał się do gry i przegrał czterysta franków?.. Ileś ty przegrał: czterysta, czy czterysta pięćdziesiąt?

— Głafira! Uprzedzam cię, że przejdę do innego wagonu, jeżeli nie przestaniesz chwalić się swoją głupią wygraną.

— Głupią? Dlaczego głupią? Wczoraj trzydzieści pięć, przedwczoraj dwadzieścia pięć i osiemdziesiąt franków w Nicei... Razem sto czterdzieści franków... Gdybyś ty nie wlazł ze swoją grą, bylibyśmy wygrani...

Mikołaj Iwanowicz był doprowadzony do osłateczności:

— Głafira Siemionowna, co ja mam z panią zrobić?

— Ja z tobą nie rozmawiam! Ja rozmawiam z Iwanem Kondratjiczem. Nie masz prawa zabraniać mi z nim rozmawiać. Iwan Kondratjicz, przecież pan do tej chwili, kiedy zapalili światło, był wygrany?... Trzeba było odejść... — zwróciła się do Konurina.

— Chciałem ten pani sen sprawdzić, jak się należy, paniusiu... Pani posłuchałem! — odpowiedział Konurin z westchnieniem. — Te przeklęte 33, które pani widziała u mnie na piersi są przyczyną tego. Byłem już wygrany 170 franków i myślałem, że odegram to, co przegrałem przedwczoraj.

— I ile pan przegrał?

Konurin machnął ręką i zamknął oczy.

— Niech się pani lepiej nie pyta! Powinienem ciężko za to odpokutować.

Nastąpiła pauza. Głafira Siemionowna wydobyła z pułki pół butelki koniaku.

— Nie rozumiem zupełnie, dlaczego ty się gniewasz na mnie, Mikołaj Iwanycz! — zaczęła znowu po chwili. — Przecież ja nie namawiałam cię do grania. Namawiałam Iwana Kondratjicza, ażeby zaryzykował pięćdziesiąt franków... i byliśmy oboje wygrani... A potem ty wsunąłeś się do gry i wszystko popsułeś.

— Odejdź odemnie, babo przeklęta! Mówiłem ci już!.. Co ja mam z tą babą zrobić! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Niepotrzebnie się irytujesz! Masz babę delikatną, staranną, pracowitą, grzeczną... — mówiła Głafira Siemionowna, nie zrażając się gniewem męża. — Widzisz, nawet pomyślałam o tem, żeby wziąć koniak na drogę... Może chcesz trochę koniaku, żeby ci się humor poprawił.

Mikołaj Iwanowicz odepchnął ręką butelkę. Konurin otworzył oczy.

— Ma pani koniak? — zapytał. — Niech pani pozwoli. Może jakoś zapomnę o swojem zmartwieniu.

— Dawno już trzeba było... Ma pan tutaj kieliszek... — podała Głafira Siemionowna kieliszek Konurinowi. — Właściwie to niema czem się znowu tak marstwić. A mój Mikołaj Iwanycz, ten całą noc sadził djabłami i dogadywał mi... Więc cóż żeście przegrali... Mało ludzi przegrywa i nie martwi się tak. Przecież nie przegraliście wszystkich pieniędzy, przegraliście to, cośmy mieli na zapas, ot i wszystko... We Włoszech będziemy teraz żyć oszczędniej i już.

Konurin wypił duszkiem trzy kieliszki koniaku, jeden po drugim, odchrząknął i zapytał:

— Niech mi pani tylko jedno powie! Czy w tych miejscach, gdzie jedziemy, nie będzie znowu tej ruletki i tych koników?

— We Włoszech? Nie, nie. Takie gry są tylko w Montekarlo i w Nicei, i nigdzie więcej na całym świecie! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— W takim razie uspokoiłem się! — odpowiedział Konurin. — Gdzie nasze nie przepadło! Chwała Bogu, że wyjechaliśmy szczęśliwie z tego Montekarla! Mikołaj Iwanow! Pluń! Zawiń zmartwienie w chustkę i napij się koniaku! — klepnął po ramieniu Mikołaja Iwanowicza. — Nie będziemy o tej Montekarli więcej wspominać.

— Przecież to jej przeklęty język ciągle miele i miele — kiwnął Mikołaj Iwanowicz na żonę. — „Nie powinieneś był grać!“ „O tobie nie śniło mi się!“... A już najgorzej drażni mnie ta jej ciągła gadanina o wygranej. Graliśmy za moje

własne pieniądze, przegraliśmy dużo pieniędzy, a ona jak sroka ciągle trzepie o swojej wygranej...

— Dobrze, dobrze... Już ani słowa nie powiem. Nie wspomnę ani słowem ani o mojej wygranej, ani o Montekarlo... — rzekła Głafira Siemionowna i zwracając się do męża, dodała: — Przestań kaprysić jak dziecko. Napij się koniaczku, to ci uspokoi nerwy i doda otuchy.

— Daj!...

Konurin pił z Mikołajem Iwanowiczem dla towarzystwa.

— Menton! — zawołał konduktor, kiedy pociąg stanął na stacji.

— Ach, to sławna Mentona! — zawołała Głafira Siemionowna. — To miasto, do którego przywożą suchotników z całego świata na wyzdrowienie, ale zdaje się, że nie bardzo to pomaga. Ach, co za widok cudowny, co za piękny widok! Cytryny... Cały las drzew cytrynowych. Patrz, Mikołaj Iwanycz!

— Pluję na cytryny! Co mnie cytryny obchodzą? Kicham na cytryny!

— Jak się taki suchotnik ma tutaj poprawić, kiedy pod bokiem ma tę szulerską Montekarlę! — zauważył Konurin. — Pojedzie sobie taki chory, poruletkuje, pogładzą go pięknie pod włos panowie krupiery i... kładź się do trumny. Te krupiery mogą nawet zdrowego człowieka doprowadzić do suchot. Niema co mówić, ładne miejsce wynaleźli dla suchotników.

— Po co pan znów przypomina, Iwan Kondratjicz? Nie przypominajmy sobie już o grze! — wtrąciła Głafira Siemionowna. — Przecież umówiliśmy się, że nie będziemy już wspominali ani o grze, ani o Montekarlo.

Pociąg znów ruszył. Znów zaczęły się tunele, jeden za drugim. Powietrze w wagonach było coraz bardziej zepsute, zgniłe, stęchłe; chwilami nawet czuć było w powietrzu zapach zgnilizny. Pociąg tylko chwilami wyskakiwał z tunelu,



przedziały oświetlały się słońcem i znów wpadał w mroki i zgniliznę. Oto długi tunel Mentony, oto krótki tunel Rochet-Rouge, nieco dłuższy tunel Dogana, znów krótki tunel cypla Mortol, tunel Marie i wreszcie najdłuższy tunel przed Ventimille.

— Czy nie będzie końca tych przeklętych tunelów! — rzekł wreszcie Konurin, tracąc cierpliwość. — Ciągle jedziemy jakby pod ziemią.

— A tobie zdaje się, że z szulerni to tak łatwo można wydostać się na światło dzienne? Z piekła łatwiej się wydobędziesz, niż z szulerni! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Oto znów blask słońca.

— Ventimille! Changez les voitures! — krzyczeli konduktorzy.

— Wentimile! Trzeba przesiadać do innych wagonów! — przetłumaczyła Glafira Siemionowna. — Przyjechaliśmy na granicę włoską. Tutaj komora celna... Będą oglądać nasze rzeczy. Mikołaj Iwanycz, schowaj proszę do kieszeni paczkę tych koronek, które kupiłam w Paryżu, bo mogą zobaczyć w walizce i będę musiała zapłacić cło.

— Nie chcę! Nie warta jesteś tego!

— Przecież to ty cło będziesz musiał zapłacić?

— Ani kopiejki nie zapłacę! Niech ci odbiorą koronki.

— Ach, jak to pięknie z twojej strony! Przecież to za twoje pieniądze kupiłam te koronki w Paryżu? Kosztują pięćset franków, z jakiej racji mają nam je zabrać.

— Pluję na twoje koronki! Osioł byłem, że ci kupiłem.

— Niech pani mnie da... Ja schowam do palta! — zaproponował Konurin i Glafira Siemionowna oddała mu paczkę z koronkami.

Do przedziału wagonu wciskali się tragarze w niebieskich bluzach, proponując swoje usługi.

XXXIII.

Minięto granicę włoską. Urzędnicy celni byli łagodni i odprawa celna nie zepsuła humoru naszym podróżnikom. Przyjemne wrażenie wzmocniło się jeszcze po krótkiej wizycie w dobrym, a niedrogim bufecie na stacji pogranicznej, gdzie wszyscy zjedli z przyjemnością śniadanie. Czuć już było Włochy; do mięsa dodali makaron. W zupie również był makaron. Jajecznica, którą im podano była też z jakiemiś zaciereczkami, czy makaronami podrobionemi. Do zupy, którą jadła Glafira Siemionowna, podano zamiast chleba jakieś cienkie pałeczki w rodzaju makaronów. Zaczynało się królestwo makaronu.

— Makaron w czterech rodzajach! Zauważyliście panowie! Zaraz można poznać, że to Włochy! — zwróciła uwagę Glafira Siemionowna. — A jacy urzędnicy grzeczni. Nie grzebali w walizach... Najbardziej bałam się o ten jedwab na suknię, który wiozę z Paryża. Położyłam go do walizeczki ręcznej pod bu[illegible] z wędliną i pomarańcze, a na wierzchu była

butelka wina... Urzędnik nawet nie zajrzał... Zauważył, że na wierzchu leży butelka i bułki... zapytał: „Manżata?“ Ja odpowiadam: „Manżata!“ Zaraz mi nalepił karteczki i nic nie oglądał. Jaki łatwy język: odrazu zrozumiałam. Po francusku jedzenie — manże, a po włosku — manżata.

— Rzeczywiście, że łatwe! A więc jeżeli po francusku pieniądze — arżan, to po włosku będzie — arżanta? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Pewno, że tak!

Od czasu wyjazdu z Monte-Carlo Mikołaj Iwanowicz po raz pierwszy mówił spokojnym tonem. Grzeczna odprawa celna, dobry i niedrogi bufet, dosyć długi przystanek na stacji, wszystko to wprowadziło go w dobry humor.

— Tylko frank tutaj już nie nazywa się frank, a „lir“! Pamiętajcie! — mówiła dalej Głafira Siemionowna.

— Tak, tak!... Kiedy płaciłem rachunek w bufecie, mówię do garsona: frank, a on mi odpowiada: lira, lira. Zaraz domyśliłem się, co znaczy ta „lira“! Ale koniak tutaj drogi. Dotychczas we Francji płaciliśmy pół franka za dwa kieliszki, a tutaj przeszło franka zdzierają za to samo.

— A więc „wiw la Frans“ zupełnie się już skończyło? — zapytał Konurin.

— Skończyło się! Teraz zaczęły się Włochy, prawdziwe Włochy. Zauważ tylko, poważni ludzie... nie biegają, nie krzyczą, nie spieszą się, pociąg stoi pół godziny na stacji! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz, coraz bardziej przychodząc do siebie.

Rozległ się dzwonek. Tragarz wziął bagaż i zaczął wołać Iwanowowych i Konurina, aby siadali do wagonu, pokazując ręką na peron i mrucząc coś po włosku.

— Idziemy, idziemy!... — odpowiedziała mu z przyjemnym uśmiechem Głafira Siemionowna.

Skierowano się do wagonów. W pobliżu pociągu na peronie stało dwuch opalonych brunetów, grało na mandolinie i gitarze i śpiewało.



— Prawdziwa Italja! Makaroniarze już śpiewają! — zauważył Konurin.

— To i lepiej... Lepiej gdy śpiewem wyciągają od ludzi gotówkę, niż mieliby ogrywać głupich podróżnych w różne kręciołki i koniki! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Zawsze przynajmniej gardło drze, stara się, widzisz nawet przytupuje. Masz tutaj, musju, lira. Wypij sobie... Daję ci to na pamiątkę tego szczęśliwego zdarzenia, żeśmy się nareszcie wydostali szczęśliwie z tej szulerni przeklętej! — rzekł, rzucając monetę brunetowi.

— Tu już nie mówi się musju, lecz sinior! — poprawiła go Głafira Siemionowna.

Pociąg ruszył. W przedziale było wygodnie siedzieć. Iwanowowie i Konurin znów dostali osobny przedział. Mijano stacje włoskie, otoczone wspaniałą roślinnością: Bordigera, Ospedaletti, San-Remo, Porto Maurizio, Onello i t. p. Tunele stały się rzadkiem zjawiskiem. Widoki na morze i na góry wciąż były wspaniałe. Wszędzie winnice, ogrody owocowe, w których pracowały opalone brudne Włoszki z potarganemi włosami na głowie. Takie same Włoszki widać było i na stacjach z koszykami pomarańcz i czerwonem winem Chianti w bardzo ładnych pękatych butelkach, oplecionych słomą i przystrojonych pomponami z czerwonej wełny. Konurin i Iwanowowie prawie na każdej stacji kupowali buteleczki i wypijali ich zawartość. Na każdej stacji brzęczały mandoliny i w okna wagonów wsuwali swoje kapelusze dziurawe muzykanci z czarnemi wąsami, olbrzymiemi oczami i prosili o drobne datki. Chłopcy i dziewczynki małe, bez kapeluszy, na bosaka roznosili świeżą wodę w glinianych dzbankach i proponowali podróżnym. Niektórzy chłopcy tańczyli przed oknami wagonów i prosili o datki. Podróżnicy rzucali im drobne pieniądze, o które chłopcy walczyli pomiędzy sobą. Dziewczynki rzucały do okien wagonów bukieciki kwiatków i też prosiły o datki. Urzędnicy kolejowi tolerowali tych wszystkich odartych muzykantów i brudnych handlarzy i żebraków i chłopców i dziewczęta. Rzucało się to jaskrawie w oczy, zwłaszcza w porównaniu z porządkiem, jaki panował na kolejach niemieckich i francuskich.

Ściemniało się. Pociąg zbliżał się do Genui. Zmęczony podróżą i wypitem winem chianti Konurin wyciągnął się jak długi na kanapie i chrapał. Drzemał i Mikołaj Iwanowicz. Przymykały się oczy Głafirze Siemionownie, która przeglądała książeczkę z rozmówkami włoskiemi i powtarzała po cichu pod nosem.

— Zupa — minestra, pieczeń cielęca — arosto di witello, kartofle — patate, szynka — proskiuto, kiełbasa — salami, ciasto — krostata di frutti, pomarańcza — aranczio, albo portogallo.

Przeczytawszy całą stronicę zaczynała znów od początku... Mikołaj Iwanowicz zbudził się i zapytał:

— No, jak tam idzie?

— Po trochu idzie! To wszystko dla was tak się staram, a wy wcale nie jesteście mi za to wdzięczni.

— Zdaje się, że język łatwy. Manże — manżata, arżan — arżanto! Jak czerwone wino po włosku?

— Wino nero.

— Wino nero! Wino nero! Widocznie wino u nich tak samo, jak po rosyjsku. Nawet podobne do naszego.

— A jak białe wino?

— Wino bianko.

— Wino bianko? Bardzo łatwe. Odrazu zapamiętam to sobie.

— Jabłka po francusku — pom, a po włosku — pomi. Ser po francusku fromaż, a po włosku— formażio.

— A więc będziesz umiała prędko mówić po włosku?

— Zdaje się, że już umiem sporo. Rzeczywiście język nie jest trudny. Bardzo wiele słów podobne jest do francuskich. Tylko hotel nie nazywa się „Hotello", lecz „Albergo". Albergo, albergo!... To najważniejsza rzecz, żeby nie zapomnieć. Garson — botega!

— Jak?

— Botega!

— Botega! Botega! A niech was... Do tego się trzeba przyzwyczaić... Dopiero co przyzwyczailiśmy się do garsona, a teraz znów trzeba się przyzwyczaić do botegi.

— Można także wołać na garsona — kameriere. Po włosku garson ma dwie nazwy:

Konurin mówił coś przez sen. Widocznie śniła mu się ruletka:

— Ruż... Ruż... Piątkę na ruż... I piątkę na enper... — mruczał przez sen.

— Rien ne wa plu! — krzyknęła mu głośno Głafira Siemionowna, przedrzeźniając wykrzyknik krupiera, lecz Konurin nie obudził się.

XXXIV.

Genua pozostała w tyle. Zciemniło się zupełnie. Konurin i Mikołaj Iwanowicz dzięki taniemu winu Chianti, którego na poprzednich stacjach wypili dużo, spali obecnie mocnym snem. Nie mogli ich zbudzić ani mandoliniści, brzęczący na każdej stacji, ani chłopcy-żebracy, cisnący się do okien wagonów, ani przeróżni handlarze i handlarki, wykrzykujący swoje towary. Mężczyzn nie interesowało nawet, kiedy przyjadą do Rzymu. Jedna Głafira Siemionowna czuwała. Przeżywała ona poważne obawy. Z przeczytanych romansów przypomniała sobie, że Włochy — to kraj rozbójników, bandytów i przyszło jej do głowy, że w nocy może być jakiś napad na pociąg. Od stacji Spezia zaczęli gromadzić się na stacjach jacyś Włosi o ponurym wyglądzie, w kapeluszach z niezmiernie szerokiemi rondami, w kolorowych koszulach, bez kamizelek i kafta-

nów, bardzo przypominający tych bandytów, których widziała na obrazkach. Zdawało się jej nawet, że rozmawiając pomiędzy sobą, zerkali oni w jej stronę, jakby wskazując sobie okna ich przedziału. Włoch-konduktor, obejrzawszy dwa razy bilety naszych podróżników i upewniwszy się w ten sposób, że bilety są kupione do Rzymu, nie zaglądał już więcej do przedziału. To też wydało się Głafirze Siemionownie bardzo podejrzane. Przyszło jej do głowy, że konduktor jest w porozumieniu z Włochami w kapeluszach o szerokich rondach i kolorowych koszulach.

— Naumyślnie nie zagląda do nas do przedziału, żeby bandyci mogli wtargnąć do nas i obrabować nas! — przychodziło jej do głowy.

Nadomiar złego jeden z owych Włochów, podobnych do bandytów, z czerwoną wstążką na kapeluszu i z wąsami na ćwierć łokcia długiemi oraz z dawno niegoloną brodą, okrytą czarną szczeciną, trzy razy przeszedł się pod oknem przedziału, w którym jechali nasi podróżnicy. Prawdopodobnie jechał on w tym samym pociągu, lecz Głafirze Siemionownie wydało się, że człowiek ten w ten sposób śledzi ją, jej męża i Konurina i jedynie oczekuje na odpowiedni moment, żeby napaść na nich. Wreszcie zdenerwowała się do tego stopnia, że zbudziła męża.



— Co takiego? Czyśmy przyjechali do Rzymu? — zapytał przez sen Mikołaj Iwanowicz, wstając i przecierając oczy.

— Gdzieśmy tam przyjechali! Nie wiadomo nawet, kiedy tam przyjedziemy! — odpowiedziała prawie z płaczem. — Pytam się na każdej prawie stacji przechodzących kolejarzy: „Rom maten, czy suar“ (Rzym rano, czy wieczorem)? — nic nie odpowiadają. — Nie wiem nawet, czy przyjedziemy dziś w nocy, czy jutro rano, czy też w południe. Pytam się, a oni machają mi rękami

— Widocznie nie rozumieją po francusku, może byś tak sprobowała po włosku... Nie umiesz?

— Nie umiem, dotąd zdążyłam się nauczyć tylko słów jadalnych.

— Więc nie wiesz nawet, jak „rano“ i „wieczorem“ po włosku?

— Nie wiem! Dopiero umiem coś niecoś o jedzeniu.

— Zobacz w słowniku.

— Kiedy ciemno, a druk taki drobny, jakby na złość. Przy tem oświetleniu w wagonie nic nie mogę przeczytać.

Oczy Głafiry Siemionowny napełniły się łzami.

— Jakoś dojedziemy! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, uspakajając ją i zaczął znów kłaść się na kanapę. — Jak krzykną „Rom“, znaczy się, przyjechaliśmy do Rzymu.

— Ty znów chcesz spać? — zapytała podrażnionym tonem Głafira Siemionowna.

— A co mam robić! Nie uwierzysz, jak mi się przyjemnie drzemie.

— Mógłbyś przestać z tem wiecznem chrapaniem! Zapomniałeś, że jedziemy po Włoszech, a nie w jakiem innem państwie.

— Więc co, że po Włoszech?

— Osieł! Zupełnie osieł!

— Czego ty mi wymyślasz?

— Jedziemy w kraju bandytów, gdzie na każdym kroku, sądząc z opisów, powinni być rozbójnicy, a ty z Konurinem chrapiesz w najlepsze.

— Nie może być? — zapytał przestraszonym głosem Mikołaj Iwanowicz.

— Zaraz widać, że nic nie czytasz, dlatego nic nie wiesz! Gdzie mieszkają bandyci? W jakiem państwie? Czy ty naprawdę nic nie słyszałeś o bandytach? Przecież Włochy, to najpierwsze gniazdo rozbójnicze na całym świecie.

—Słyszeć — słyszałem, nawet czytałem coś... Ale przecież w pociągu...

— I u nas w pociągach rabują, a cóż dopiero we Włoszech. Wskoczy do przedziału, zasypie ci oczy tabaką, złapie za gardło, wydrze pieniądze i zegarek!... Ładna przyjemność.

Głafira Siemionowna powiedziała mężowi o podejrzanych osobistościach, które zdążyła już zauważyć na stacjach, opowiedziała, jak jeden z nich z czarną szczeciną na brodzie i z czerwoną wstążką na kapeluszu zupełnie wyraźnie śledzi ich. Mikołaj Iwanowicz zdenerwował się i zaczął budzić Konurina.

— Iwan Kondratjicz! Wstawaj! Zbudź się!

Konurin ani się nie budził, ani nie wstawał.

— Trzy piątki... tylko trzy piątki na enper postawię! — mruczał przez sen.

— I przez sen gra, drań, w ruletkę! Ale teraz nie czas na ruletkę! Tutaj coś gorszego nam grozi. Wstawaj, mówię ci!

Oboje zaczęli budzić Konurina, poczem opowiedzieli mu, o co chodzi. Z początku nic nie rozumiał i słuchał, przecierając oczy zaspane.

— Tutaj jest dużo rozbójników! Jedziemy teraz taką miejscowością, gdzie jest bardzo dużo rozbójników! — starała się wytłumaczyć mu Glafira Siemionowna.

— Rozbójników?

— Tak, tak bandytów! Napadają i rabują...

— A—ach! — przeciągnął się Konurin. — W ładne miejsce zajechaliśmy! A pytam się was ciągle, po jakiego djabła włóczymy się po tych palestynach? Zamiast spokojnego, porządnego żywota, włóczymy się po jakichś rozbójniczych wertepach! Trzeba będzie pieniądze do buta schować!

Zaczął zdejmować obuwie.

— Nie trzeba spać, trzeba czuwać! To najlepsza obrona! — mówiła Glafira Siemionowna. — A panowie śpicie, jak susły.

— Dlaczegoś nas nie uprzedziła. Ja wiedziałem, naprawdę wiedziałem, że we Włoszech są ci tak zwani bandyci, ale zupełnie zapomniałem o tem! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i też zaczął zdejmować buty, dodając: — Jak schowamy pieniądze do obuwia, zawsze będziemy spokojniejsi! Gdzie masz swoją brylantową bransoletkę, Glasza?



— W walizeczce ręcznej.

— Wyjmij ją ztamtąd i wsadź za gorset. Wepchnij głębiej!

— Masz rację! Pierścionki i kolczyki też tam schowam... — rzekła Glafira Siemionowna.

— Schowaj! Schowaj! Zadziwiająca rzecz, że nam ci bandyci wcześniej do głowy nie przyszli! — mruczał Miko-

łaj Iwanowicz, wypróżniając portmonetkę i portfel ze złota i banknotów i chowając to wszystko do skarpetki.

Głafira Siemionowna wyjęła z walizeczki swoje biżuterje i ukryła wszystko na piersiach.

— Od góry, Głasza, musisz to zakryć chustką od nosa! Porządnie przykryć! — doradzał żonie Mikołaj Iwanowicz.

— Wiem już, wiem... Tylko nie śpijcie mi teraz.

— Jak możemy spać, kiedy takie niebezpieczeństwo nam grozi! — odpowiedział Konurin. — Głafira Siemionowna, niech pani schowa u siebie i mój pierścionek brylantowy, bo nie mogę go w żaden sposób wsadzić do buta; strasznie uwiera mnie w palce.

— Kiedy ja już mam wszystko zapełnione, niech pan schowa jakoś do skarpetki.

— Obawiam się, żeby nie wypadł ze skarpetki.

— Niech pan zawiąże, ma pan tutaj kawałek sznurka, a ty Mikołaj Iwanycz wyjmij rewolwer, zawsze lepiej! Zobaczą rewolwer, może zastanowią się.

Mikołaj Iwanowicz drapał się po głowie.

— Mówię ci, wyjmij rewolwer! Dlaczego nie wyjmujesz? — krzyknęła na niego żona.

— Wyobraź sobie, duszko, że rewolwer zostawiłem w dużej walizie, która jest oddana na bagaż! — odpowiedział.

— Tego brakowało! Pocoś więc brał go ze sobą?

— A kto mógł wiedzieć? Od Berlina do Paryża miałem go pod ręką w ręcznej walizeczce i ani razu nie był nam potrzebny... To też potem wsadziłem go do walizy.

— Właśnie teraz, kiedy przejeżdżamy do takiej miejscowości, gdzie naprawdę potrzebny jest rewolwer, to ty chowasz go do walizy i oddajesz na bagaż.

— Co robić? Możesz mi wymyślać, ale co to pomoże?

— Wie pani co, ja wyjmę swój scyzoryk? Mam taki scyzoryk, zupełnie podobny do sztyletu! — rzekł Konurin.

—Naturalnie niech pan wyjmie! Niech pan wyjmie i położy na widocznem miejscu. Ale główna rzecz: nie spać!

— Co za sen w takich okolicznościach. Jakby mnie ktoś zimną wodą oblał, zupełnie mi się nie chce spać...

Konurin wydobył scyzoryk, otworzył go i położył przy sobie na ławce.

Pociąg stanął na stacji. Na platformie znów ukazał się czarny Włoch z czerwoną wstążką na kapeluszu i szczeciną na brodzie.

— Patrzcie, patrzcie... To on!... Już na kilku stacjach śledzi nas. Chodzi ciągle koło naszego okna i zagląda do przedziału! — zwracała uwagę towarzyszom Głafira Siemionowna. — Ma również pomocnika jakiegoś, też taki straszny.

— W samej rzeczy morda straszna! Niepodobny do stworzenia boskiego... Jeżeli kobieta w poważnym stanie spojrzy na taką mordę, to może być niedobrze! — odpowie-

dział Konurin i pokazał Włochowi swój scyzoryk, obracając nim na wszystkie strony.

— Ach, co za szkoda, że rewolwer oddałem na bagaż! — wzdychał Mikołaj Iwanowicz.

Przez resztę nocy mężczyźni już nie spali.

XXXV.

Na dworze zaczęło świtać. Po chwili ukazało się słońce. Stacje stały się rzadsze. Wspaniała roślinność znikła, znikły również i eleganckie wille. Ani palm, ani drzew pomarańczowych i cytrynowych. Znikły i góry. Jechano teraz jakąś równiną, pokrytą tu i owdzie jeszcze wodami wiosennemi. Od czasu do czasu widać było tu i owdzie drzewa, ale jakieś ubogie, słabo rozwinięte. Nie widać było również ludzi na polach. Czasami tu i owdzie woły brodziły po łące. Zamiast will widać było od czasu do czasu ruiny jakichś budowli z kamienia. Miejscowość była niełądna, miejscami nawet uboga, błotnista, porośnięta jakiemiś krzakami.

— Boże, czy my aby jedziemy do Rzymu? Może nas zawieźli do jąkiejś innej miejscowości, a nie do Włoch? — niepokoiła się Głafira Siemionowna, rozglądając się po okolicy i zwracając uwagę swoich towarzyszów.

— Nie wiem mamusiu, nic nie wiem! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Ty jesteś przecież naszym komendantem i przewodnikiem.

— Bo widzisz, nie widzę nigdzie drzew pomarańczowych.

— Gdzie tu drzewa pomarańczowe! Cała miejscowość zaczyna mi przypominać gubernię Nowogrodzką. Widzisz, tam nawet wierzby rosną nad rowami.

— A to sztuka, jeżeli nas naprawdę zawieźli gdzieindziej?

— A gdzie nas mogli zawieźć, jak nie do Włoch? — pytał Konurin.

— A bo ja wiem... — tłumaczyła się Głafira Siemionowna. — Niema się kogo zapytać... Nic nie rozumieją, nie odpowiadają wcale, tylko machają rękami.

— Ech, wszystko jedno! Po tej Monfekarli przeklętej gotów jestem nawet do Turków jechać! — rzekł Konurin. — Nawet Tatarzy, chociaż niewierni, napewno nie obrabują nas tak, jak obrabowali nas w tej Montekarli i w Nicei.

Zatrzymano się na jakimś przystanku. Znów zjawiło się Chianti w ładnych buteleczkach pękatych. Garson w marynarce i zielonym fartuchu wsuwał do okien filiżanki z kawą na tacy i bułki. Na przystanku było dużo ludzi w kapeluszach o szerokich rondach.

— Sądząc po kapeluszach, jesteśmy we Włoszech... Nawet mowa wydaje mi się włoską! — rzekła Głafira Siemionowna. — Napewno jesteśmy we Włoszech, tylko że miej-

scowość ta zupełnie nie przypomina królestwa pomarańcz.

Wysunęła się z okna i zaczęła pytać, nie zwracając się właściwie do nikogo.

— Sinior! Rom... U e Rom?... Rom e luan ankor. (Czy Rzym jeszcze daleko?)

— Roma? — powtórzył garson z tacką, napełnioną filiżankami z kawą na ramieniu i machnąwszy ręką w kierunku lokomotywy, zaczął coś mówić po włosku.

— Chwała Bogu, jedziemy do Rzymu... Nie zmyliliśmy drogi! — zwróciła się Głafira Siemionowna do męża i Konurina. — Dziwię się tylko, że droga taka nieciekawa.

Pociąg znów ruszył. Coraz częściej widać było przez okna wagonów ruiny budynków, jakieś zapadnięte łuki kamienne, galerje, spowite bluszczem...

— Zupełnie jakby jakiś Czingis-chan przeszedł ze swojem wojskiem! Ładna miejscowość. Ładny landszaft! — zauważył z ironją Konurin, patrząc przez okno.

Wreszcie do przedziału przyszedł konduktor i zaczął odbierać bilety.

— Rom? — zapytała Głafira Siemionowna.

— Roma, Roma! — kiwnął głową konduktor.

— Chwała Bogu, dojeżdżamy... Ale miejscowość rzeczywiście brzydka.

W dali można było zauważyć olbrzymie miasto z mnóstwem wież kościelnych. Na prawo i na lewo wszędzie widać było ruiny. Oto i kryty dworzec kolejowy, na który wjechał pociąg. Na dworcu istne mrowisko: tłum publiczności, śród której rzucało się w oczy mnóstwo mnichów katolickich w czarnych chabitach, bronzowych, białych, kapeluszach i kapturach.

— Rzym! Rzym! Można poznać po popach! — zawołał Mikołaj Iwanowicz. — Widzicie, ile tu księży.

Pociąg zatrzymał się. Głafira Siemionowna wyjrzała przez okna i zaczęła wołać tragarza.

— Fakino! Fakino! Isi! — krzyczała, przeczytawszy w książeczce z rozmówkami, jak nazywa się po włosku tragarz. — Teraz idzie tylko o to, w jakim hotelu staniemy? — zwróciła się do mężczyzn.

— Zróbmy tak, jak w Nicei. Wsiądźmy do pierwszej lepszej karety hotelowej i już! — doradził Mikołaj Iwanowicz.

Tragarz nie dał na siebie długo czekać, schwycił bagaż ręczny i zaczął wynosić go z wagonu. Przed dworcem na ulicy stało mnóstwo karetek hotelowych. Towarzyszący im portjerzy w czapkach z galonami machali rękami i wykrzykiwali nazwy swoich hotelów, zapraszając podróżników. Pierwsza stała kareta z napisem: „Albergo della Minerva“ i Mikołaj Iwanowicz wskoczył do niej.

— Due kamera? Wuzawe due kamera? — pytała Głafira Siemionowna portjera, pokazując mu dwa palce.

— Siadaj! Czego się pytać! Jakoś dowiozą!

Portjer jednak mówił po francusku.

— Prenez place, madame! — rzekł i podsadził Glafirę Siemionownę do karety.

Około tuzina żebraków w łachmanach i w kierpcach skórzanych, mężczyzn i kobiet z niemowlętami przy piersi, zawiniętemi w brudne łachmany, otoczyło ich prosząc: „una moneta!"

Przyniesiono bagaż z dworca i kareta ruszyła. Szerokie place łączyły się za pomocą wązlutkich zaułków i uliczek, przez które przeciągnięte były sznury i gdzie suszyła się bielizna, łachmany, pieluchy dziecinne. Wywieszone nawet były pierzyny dla wysuszenia. Uliczki zapełnione były sklepikami spożywczemi, z wywieszonemi nad drzwiami pomidorami, jarzynami, gałązkami z pomarańczami, kiełbasy, sery w skórkach z żołądków cielęcych, mięso, zabite gołębie. Przy niektórych sklepikach stały piecyki małe, na których gotowały się makarony i fasola w kociołkach. Wszędzie było brudno, na trotuarach leżało dużo papieru, ogryzków, skórek od pomarańczy, wszędzie czuć było jakąś wilgoć i czad. Chude psy kręciły się pomiędzy przechodniami, obwąchiwały leżące przed sklepikami kalafiory i wystawioną w miedzianych miednicach i wielkich wazach glinianych gotowaną kukurydzę, fasolę i bober. Place pokryte były kurzem, miejscami porośnięte trawą. Domy w uliczkach były dawno nieodnawiane i niemalowane; wszędzie odpadał tynk, tu i ówdzie widać było wybite szyby.



I wszędzie mnóstwo mnichów.

— Czy to aby naprawdę Rzym! Boże, zupełnie sobie inaczej wyobrażałam to miasto! — rzekła Glafira Siemionowna.

— I ja też... — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — To

widocznie jakieś starożytności egipskie! — wskazał na olbrzymią kolumnę starożytną, porośniętą trawą.

— Skąd egipskie? W Rzymie są rzymskie starożytności. Z powodu tych starożytności właśnie tutaj przyjeżdża dużo ludzi.

— Z powodu tego nie warto przyjeżdżać! — odpowiedział Konurin. — Co innego, żeby tak zobaczyć rzymskiego papieża.

— Ach fontanna! Patrzcie, jaka śliczna fontanna! — zwróciła uwagę Głafira Siemionowna. — Chwała Bogu, wjeżdżamy wreszcie na jakąś porządną ulicę. Patrzcie, patrzcie, jakie eleganckie sklepy. A ja już zaczynałam myśleć, że cały Rzym składa się tylko z takich brudnych uliczek.

Portjer hotelowy, stojąc na stopniu karetki, wykrzykiwał nazwy ulic, gmachów i kościołów, koło których przejeżdżano. Kościoły także były szare, często z odpadniętym tynkiem. Otwarte wejścia kościołów były zawieszone płóciennemi zasłonami z brudnego płótna białego, albo zielonego koloru; na schodach siedzieli i stali żebracy w brudnych łachmanach; ulicznicy z głowami obwiązanemi brudnemi chustkami, biegali na bosaka, lub grali w kamienie.

Znów skręcono w wąską uliczkę i zaczęto jechać po bardzo nierównym bruku.

— Sinior! A gdzie papież! Papa? Rom! Nie widzę waszego papieża? — pytał Mikołaj Iwanowicz.

Portjer uśmiechnął się i zaczął opowiadać coś mieszaniną języka włoskiego i francuskiego i pokazał, w którym kierunku mieszka papież.

Wyjechano z uliczki i znów rozpoczął się szereg różnych ruin historycznych. Ruiny, wspaniałe pałace starożytne, brudne zaułki i wspaniałe magazyny z drogiemi towarami ciągnęły się bez końca. Znów zaułek. Skręcono na Piazza della Minerwa z kolumną stojącą na słoniu i zatrzymano się przed ciemnym, niezbyt efektownym domem. Szyld zwiastował, że był to hotel Minerva.

XXXVI.

Po upływie jakichś trzech godzin od przyjazdu Iwanowowie i Konurin wyszli z hotelu. Poszli oglądać miasto. Hotel podobał im się, pomimo, że i tutaj, tak jak i gdzieindziej w czasie całej ich podróży zagranicznej nie było w nim samowaru, z którego tak bardzo chcieliby się napić herbaty. Za dwa bardzo porządne pokoje wzięto zaledwie po pięć franków. Zarządca hotelu mówił po francusku. Znalazł się również chłopiec hotelowy, który umiał trochę po francusku tak, że Głafira Simionowna nie potrzebowała nawet używać świeżo wyuczonych słów włoskich, które tak starannie „obkuwała“ w wagonie z książki do rozmów Wychodząc na spacer, ubra-

ła się jak zwykle w najlepszą suknię, przypięła na piersi broszkę brylantową, nałożyła bransoletkę i kolczyki. Mikołaj Iwanowicz zauważył to natychmiast.

— Poco kładziesz na siebie brylanty? — rzekł do żony. Sama mówisz, że Włochy to kraj bandytów, więc poco kładziesz brylanty?

— Także coś... Mówiłam o podróży... Ale przecież Rzym jest miasto, olbrzymie miasto, sam papież rzymski tutaj mieszka, więc skąd tutaj mogą być bandyci. Zauważyłeś, jak dużo ludzi chodzi po ulicach. Nie zauważyłeś podczas jazdy do hotelu? Było jeszcze stosunkowo wcześnie, a tyle już ludzi.

— A ja, panusiu, nie wydobyłem pieniędzy z buta na wszelki wypadek! — zauważył Konurin. — Do portmonetki wziąłem jedną złotą monetkę i parę franków, a reszta kapitału w skarpetce. Zawsze lepiej być ostrożnym. Znów trafimy na jakąś ruletkę, albo zabawkę w koniki, więc mogę przegrać najwyżej tę złotą monetkę. Przecież buta przy publiczności nie będę zdejmował, żeby mieć pieniądze na odegranie się.

— Ale tutaj niema żadnej ruletki, ani koników. Rzym słynie zupełnie z innych rzeczy! — uspakajała go Glafira Siemionowna.

— Zawsze człowiek czuje się spokojniejszy, gdy ma pieniądze w bucie pod piętą. Człowiek jest słabem stworzeniem.

— Rzym słynie nie z żadnej ruletki, lecz ze swoich starożytności, z ruin, z kościołów...

— A rum?... Przecież pani mówiła, że mają tutaj dobry rum, dlatego Francuzi nazwali Rzym romem.

— Nie mówiłam panu nic podobnego. To pan sam sobie wymyślił. Czytałam bardzo dużo o Rzymie. Tutaj trzeba przedewszystkiem obejrzeć różne ruiny i wspaniałą katedrę św. Piotra.

— Najprzód chciałbym zobaczyć papieża rzymskiego.

— Papieża zobaczymy właśnie w katedrze, jak będzie odprawiał mszę. Teraz weźmiemy sobie dorożkę i będziemy objeżdżali rozmaite ruiny. Przedewszystkiem Koloseum... Tutaj jest słynny Koloseum... Cyrk taki, teatr, gdzie zmuszali ludzi za karę walczyć z dzikiemi zwierzętami. Tam teraz pojedziemy.

— Tak, tak... I mnie mówiono w Petersburgu, że jak będziemy w Rzymie, musimy przedewszystkiem zobaczyć ten Koloseum. — Zgodził się Mikołaj Iwanowicz.

Rozmowa ta odbywała się na podwórzu hotelu; pośrodku [illegible] a naokoło rozstawione były maleńkie stoliki, przy których siedzieli [illegible]

[illegible] wyszli na ulicę. Otoczyło ich natychmiast kilku dorożkarzy-oberwańców, którzy [illegible] słowa niemieckie, francuskie i włoskie oberwańcy od wtykali naszym podróżnikom albumy z widokami Rzymu ze znanych [illegible]

kach i wykrzykiwali: „Coliseum... Pantheon... Forum Romanum... Basilica Julia... Palazzi dei Cesari...“

— Słuchajcie, słuchajcie!... I tutaj proponują nam widok Koloseum... — rzekła Głafira Siemionowna, biorąc jeden z albumów.

— Una lira! — krzyknął jeden z oberwańców, wciskając albumik również Konurinowi i ustępując książeczkę za lira.

— Mezza lira! — dodał drugi, ustępując taką samą książeczkę za pół franka.

— Precz! Czego do mnie przysuwacie się? Czego chcecie? — bronił się Konurin.

Do Mikołaja Iwanowicza podbiegła dziewczynka - kwiaciarka w łachmanach, wsunęła mu do kieszeni marynarki bukiecik fiołków i zaczęła prosić o datek.

— Ładny naród te Włochy! To gorsze od żydów! Nie można odczepić się! — tłumaczył się żonie.

— Nie zdążyła jeszcze Głafira Siemionowna kupić sobie małego albumu za pół lira, a już ten sam sprzedawca wsuwał jej duży album za dwa liry.

Za chwilę zbliżył się jakiś staruszek-kaleka z dużemi włosami i postukując szczudłami o chodnik, namawiał ją do kupienia różańca z czarnych korali. Kwiaciarka zdążyła również jej wsadzić bukiecik fiołków za pasek i prosiła o datek. Iwanowowie i Konurin byli formalnie oblężeni ze wszystkich stron.



— Kosze! Kosze! — zaczęła machać rękami Głafira Siemionowna, wołając jednego ze stojących po drugiej stronie dorożkarzy.

Kilku dorożkarzy machnęło biczami i podjechało pod hotel, o mało nie tratując końmi natrętnych żebraków. Zaczęła się formalna walka pomiędzy nimi. Sprzedawcy wymyślali dorożkarzom, pokazywali im pięści, dorożkarze strzelali z batów.

— Siadajcie prędzej, panowie ,do dorożki! Siadajcie! Rozerwą nas jeszcze! — krzyczała do męża i Konurina Głafira Siemionowna.

Wszyscy siedli do dorożki.

— Alle, alle kosze! — przyśpieszała Głafira Siemionowna dorożkarza.

Dorożka ruszyła, lecz oberwańcy biegli za dorożką i w dalszym ciągu wtykali podróżnikom swoje towary. Dopiero po pewnym czasie zaczęli zostawać w tyle, grożąc ciągle dorożkarzowi. Dorożkarz odwrócił się i pytał o coś swych pasażerów.

— Zrozum, co on mówi! — wzruszyła ramionami Głafira Siemionowna. — Wu parle franse? — zapytała się dorożkarza.

— Si, madame (tak, pani)! — odpowiedział dorożkarz, kiwając głową i znów zaczął mówić coś do niej jakimś niezrozumiałym językiem.

— Pewno się pyta, gdzie chcemy jechać? — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

— Ach, prawda!... W samej rzeczy nie powiedziałam jeszcze dorożkarzowi, dokąd ma jechać. Pojedziemy oglądać ruiny... Ruin, kosze... Wuar riuin — rzekła do dorożkarza. — Koloseum! Wuar Koloseum!

— Ach, Coliseum! Si, madame...

— Musju dorożkarz, pokaż nam papieża rzymskiego! — krzyknął do dorożkarza Konurin.

— Iwan Kondratjicz!... Niech pan przestanie! Niech pan mi nie przeszkadza! — gniewała się Głafira Siemionowna. — Najprzód zobaczymy ruiny.

— Doskonale, paniusiu, jak pani mówi ruiny, to ruiny. Mnie wszystko jedno. Tylko aby nie ruletka! Ten Koloseum — to starożytny cyrk, teatr... Napewno musi tam być jakiś bufet, żeby można sprobować najlepszego rumu rzymskiego? Nie wie pani?

— Ach, Boże, skąd ja mogę wiedzieć. Przecież ja tak samo, jak i pan po raz pierwszy w życiu jestem w Rzymie.

Po drodze widać było różne ruiny. dorożkarz odwracał się do podróżnych, pokazywał biczem i mówił coś bez przestanku.

— Głasza! Co on mówi? — pytał się żony Mikołaj Iwanowicz.

— Nic nie rozumiem! Ani słowa! — wzruszyła ramionami Głafira Siemionowna. — Powiedział, że mówi po francusku, kiedym go się zapytała, a teraz mruczy tylko wciąż po włosku.

— A poco go mamy rozumieć? Niech sobie mruczy, co chce. A my siedźmy w dorożce i patrzmy! — zauważył Konurin.

— Powinniśmy jednak wiedzieć, jak się te ruiny nazywają! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— A poco? Przecież i tak, jak stąd wyjedziemy, to wszystko zapomnimy. Widzimy, że jakieś ruiny, widzimy, że jakieś starożytności, trawą zarośnięte nawet... Wystarczy...

Podjechano do jakiegoś zagłębienia, wymoszczonego płytami kamiennemi. Na dnie leżały potrzaskane kolumny, rzeźbione gzymsy... Dorożkarz zatrzymał się i wskazując biczem rzekł:

— Forum Romanum!

— Forum Romanum! — powtórzyła Glafira Siemionowna.

— Co to za sztuka, ten Forum? Co to było? — zapytał Konurin.

— Sądząc z kolumn pewno jakaś świątynia pogańska. Patrz leży nawet jakiś bożek! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Prawda, prawda! Nie rozumiem tylko, że papież widzi to i nie każe sprzątnąć. Chrześcijanie, a trzymają jakieś bożki pogańskie...

— Przecież to starożytności... — tłumaczyła Glafira Siemionowna. — Z powodu tego trzymają to, żeby było co oglądać. Patrzcie, tam nawet na dnie chodzi publiczność i ogląda te kolumny. Widzicie? Tam są schody. Może zejdziemy na dół?

— A poco? Przecież stąd też widzimy. Prawdę powiedziawszy, niema co oglądać. Co innego gdyby tam była jaka restauracyjka!... — odezwał się Konurin.

Naokoło Forum stały różne ruiny starych świątyń Kastora i Poluksa, świątyni Juljusza Cezara, dorożkarz wskazywał biczem i mówił bez przestanku, sypiąc nazwy historyczne i dodając od siebie różne uwagi, lecz nikt go już nie słuchał.

— Koloseum, kosze!... Montre nu Koloseum... U e Koloseum? — powiedziała mu Glafira Siemionowna.

— Coliseum? Si, madame...

Dorożkarz palnął z bicza i pojechano dalej.

XXXVII.

— Coliseum! — pokazał dorożkarz i zaczął coś mówić po włosku, tłumacząc co to jest Coloseum.

Przed podróżnikami stały dwie wspaniałe ściany z cegły, pozostałość gigantycznej budowli.

— To jest ten chwalony przez panią Koloseum? — rzekł Konurin. — Co tu jest do oglądania? Co tu ładnego? Zupełnie inaczej sobie to wyobrażałem.

— Za pozwoleniem, Iwan Kondratjicz... Przecież to ruiny, to pozostałość po dawnych wiekach! — rzekła Glafira Siemionowna.

— A kogo obchodzą jakieś ruiny i ruiny? Jedziemy i jedziemy już przeszło pół godziny i wszędzie widzimy tylko ruiny. Trzebaby też zobaczyć coś innego.

— Jednak nie można być w Rzymie i nie widzieć ruin. Przecież zgodził się pan na to, ażeby obejrzeć z nami ruiny.

— Zgodziłem się, bo nie wiedziałem, o co chodzi... Koloseum... nazwa bardzo figuralna... Myślałem, że będzie coś w rodzaju naszego petersburskiego akwarjuma, a tutaj widzę obsypujące się ściany i nic więcej.

— Ach Boże! Niech pan poczeka, przecież dopiero podjechaliśmy. Może tu będzie naprawdę coś ciekawego.

Mikołaj Iwanowicz ziewnął smacznie... Też znudziło mu się oglądać same ruiny.

— Jeżeli w Rzymie niema nic lepszego do oglądania, jak tylko te ruiny, to myślę, że jutro będziemy mogli jechać dalej? — rzekł wreszcie do żony.

— Naturalnie, naturalnie! — poparł go Konurin. — Jedźmy teraz zobaczyć papieża rzymskiego, przenocujemy w hotelu, a jutro jedziemy dalej.

— Ach Boże! Czy panowie myślicie, że jak ktoś przyjedzie tutaj do Rzymu, ażeby zobaczyć papieża, to zaraz go może zobaczyć? — zawołała Głafira Siemionowna. — Napewno są specjalne godziny, przeznaczone na ten cel.

— Mamusiu! Można zrobić tak, że i w godzinach nieurzędowych zobaczymy papieża. Mamy na to specjalny kluczyk... Trzeba wyjąć taki kluczyk, pokazać, komu należy i zaraz pokaże nam papieża.

Mówiąc to, Konurin mrugnął okiem i uderzył się po kieszeni.

— Naturalnie! — zgodził się Mikołaj Iwanowicz! — Trzeba tylko nie pożałować złotka, to wszystko nam pokażą.

— Ach, jak wy panowie dziwnie myślicie o papieżu! — przerwała Głafira Siemionowna. — Kto to jest papież? Zrozumcież przecież, że to tutaj najważniejsza osoba. Prawdopodobnie pilnuje go kilkuset ludzi; koło papieża są kardynały, służby mnóstwo... A ilu dworzan ma taki papież. Napewno mieszka tutaj, jak jakiś cesarz, a wy chcecie za parę monet...

— A ty widziałaś, jak papież mieszka? Widziałaś? — przekomarzał się z żoną Mikołaj Iwanowicz.

— Nie widziałam, ale czytałam i słyszałam.

— Jak nie widziałaś, to lepiej nie opowiadaj nam. Jak damy tym dworzanom na makarony i na piwo, to napewno nam go pokażą. O co nam chodzi? Chcemy go tylko zobaczyć i już. Nie będziemy przecież stali godzinę i przyglądali mu się.

Rozmawiając w ten sposób, podjechano do jednego z wejść do Coloseum. Natychmiast do dorożki podbiegło dwuch Włochów w zmiętych kapeluszach o szerokich rondach. Jeden starszy ze szpakowatą brodą, w zrudziałem czarnem ubraniu, drugi młody, opalony jak Cygan, z czarnemi jak smoła wąsami i w długiem palcie w kratki. Uniósłszy kapeluszy, jeden i drugi zaczęli wysadzać z dorożki Iwanowowych i Konurina. Starszy z elegancja dworskiego kawalera zaproponował nawet ramię Głafirze Siemionownie, lecz młody odepchnął go i sam chciał jej podać rękę. Głafira Siemionowna, stojąc na stopniu dorożki, machała rękami i odpędzała ich od siebie.



— Nie potrzeba! Nic mi nie potrzeba. Il ne wo pa... Lese mua... — wołała. — Mikołaj Iwanycz! Czego ci ludzie ode mnie chcą?

— Paszoł won! — krzyknął na nich Mikołaj Iwanowicz, wyszedł z dorożki i sam podał rękę żonie.

Głafira Siemionowna wprowadziła męża w bramę Coloseum. Z tyłu szedł Konurin. Włosi nie odchodzili, biegli obok nich, wyprzedzali ich, pokazywali na ścianach resztki jakichś fresków i mówili coś łamanym językiem francuskim.

— Czego oni chcą? Nic nie rozumiem! — mówił Mikołaj Iwanowicz. — Głasza! Co oni bełkoczą?

— Proponują oprowadzenie nas po Koloseum. To przewodnicy widocznie. Pokazują coś i opowiadają.

— Nie potrzeba! Nie chcemy! Alle! — machnął ręką Mikołaj Iwanowicz, lecz Włosi w dalszym ciągu szli za nimi.

Oto obszerna arena cyrku, oto miejsca dla widzów, wyciosane z kamienia, oto dobrze zachowana loża cesarska z resztkami ozdób kamiennych, nawpół zrujnowane schody marmurowe, kurytarze. Iwanowowie i Konurin chodzili po Coloseum, lecz gdzie tylko zajrzeli, już Włosi byli tam przed nimi i jeden przez drugiego tłumaczył coś.

— Co z nimi robić? Jak ich odpędzić? — pytał się Mikołaj Iwanowicz.

— A poco mamy ich odpędzać? Niech idą i bełkoczą, niech sobie bełkoczą, możemy ich nie słuchać! — odpowiedziała Głafira Siemionowna, pomimo to jednak, sama nie zdając sobie z tego sprawy, szła tam, gdzie prowadzili ją przewodnicy.

Oto w końcu pewnego kurytarza — krata żelazna i schody, prowadzące do podziemi. Starszy przewodnik zatrzymał się przy kracie, wydostał z kieszeni świecę stearynową i zapałki i zapraszał Iwanowowych i Konurina do podziemi.

— Proponuje nam, żebyśmy zeszli do podziemi! — rzekła do męża Głafira Siemionowna. — Pewno tam będzie coś cie-

krwawego. Pewno będą tam te straszne lochy, w których trzymano ofiary, przeznaczone na rozszarpanie przez dzikie zwierzęta. Czytałam o tem. Zejdziemy?

— Głasza, czyś ty zwarjowała? Naczepiłaś na siebie brylantów za parę tysięcy rubli i chcesz iść do jakiejś piwnicy w towarzystwie nieznanych ludzi. Przecież to jakieś podejrzane figury, mogą zaprowadzić nas w jakieś miejsce, gdzie ukryci są ich wspólnicy... wyskoczą nagle i zamkną nas gdzie... Alle, musju! Alle! Paszoł wont, nie potrzeba! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz na starszego przewodnika i wziąwszy za rękę żonę, odciągnął ją od kraty.

Glafira Siemionowna zaniepokoiła się nieco.

— Masz rację! Może z brylantami nie byłoby bezpiecznie tam schodzić... A jednak napewno w tych podziemiach są najciekawsze rzeczy.

— Co tam może być, pantusin, ciekawego? Obsypane cegły, kamienie i nic więcej! — rzekł Konurin, ziewając. — Takie rozsypane cegły może pani i u nas w Petersburgu widzieć. Jak będzie pani w domu, niech pani pojedzie tam, gdzie budują konserwatorjum i rozbierają stare domy, zobaczy pani to samo.

Starszy przewodnik znów wysunął się na czoło pochodu i zapraszał podróżnych gdzieś po schodach na górę, lecz nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Do Glafiry Siemionowny podskoczył wąsaty młody przewodnik i wtykał jej w rękę dwa kawałki białego marmuru.

— Souvenir du Coliseum... Prenez, madame, prenez... (Pamiątka z Coloseum, niech pani weźmie)! — mówił.

— Na pamiątkę z Koloseum daje mi dwa kamyczki... Mam wziąć? — zapytała Glafira Siemionowna męża!

— Weź, pochwalimy się przed znajomymi w Petersburgu, że wprost z Rzymu z samego Koloseuma odłamaliśmy kawałek loży cesarskiej. Konurin! Chcesz na pamiątkę do Petersburga zawieźć kamień z Koloseuma?

— Daj mi spokój! Kieliszek rumu rzymskiego z porcją porządnych makaronów włoskich z przyjemnością bym pochłonął na pamiątkę, choćby zaraz. Ale kamień... Co mnie obchodzi jakiś kamień! — odpowiedział Konurin i dodał: — Trzymają dranie rozmaite ruiny dla przyjezdnych, a nie pomyślą o tem, żeby w tych ruinach urządzić restaurację! Ładny naród. Napewno Francuzi, albo Niemcy wybudowaliby tu porządny bufet i trzymali coś do popicia i przekąszenia.

— Jedźmy, Konurin, do restauracji! Jedźmy na śniadanie! Ja też jestem głodny jak pies! — zgodził się Mikołaj Iwanowicz.

Skierowano się ku wyjściu z Coloseum. Przewodnicy, uśmiechając się uprzejmie, zdejmowali kapelusze i kłaniali się. Słychać było powtarzane słowo: „Macaroni"...

— Co? Prosicie na makarony? — zapytał Mikołaj Iwanowicz z uśmiechem. — Ach, wy djabły natrętne! Macie tu

franka na makarony, podzielcie się! Do połowy... Komprene? Do połowy! — próbował wyjaśnić giestami.

Młody przewodnik wzruszył ramionami i starał się wytłumaczyć podróżnikom, że on powinien dostać więcej, zwłaszcza za te kamienie, które wręczył Głafirze Siemionownie.

Głafira Siemionowna wyjęła portmonetkę i dała wąsaczowi też franka.

— Merci, madame! — podziękował Włoch uprzejmie i dał jej jeszcze kawałeczek marmuru na dodatek.

XXXVIII.

Podróżnicy nasi znów siedli do dorożki.

— Tratoria! Manżata! — rzekła Głafira Siemionowna do dorożkarza, starając się wyjaśnić mu, że chce im się jeść i że chcą jechać do restauracji.

— Makarony i roma! — dodał Konurin, zacierając ręce. — Strasznie mi się chce coś wypić i przekąsić.

— Si, signora... Si, signora... — odpowiedział dorożkarz, uderzył biczem konia i powiózł ich truchtem wprawdzie inną drogą, lecz znowu koło różnych ruin. Forum Julium... Forum Transitorium... Forum Trajanum... — rozlegał się jego głos.

— Mam już dosyć wszystkich forumów! — wzruszył ramionami Mikołaj Iwanowicz. — Dosyć! Dosyć tych twoich forumów! Sprzykrzyło mi się! Asse! — krzyknął na dorożkarza. — Powiedziano ci: tratorium, manżata, wino nero, salami na przekąskę... O to nam chodzi, zrozumiałeś? Komprenata?

— Si, signor! — uśmiechnął się dorożkarz, zwróciwszy się ku podróżnym i popędził konika.

— A jednak nauczyliśmy się nieźle po włosku... Wcale, wcale... Dorożkarz wszystko rozumie! — pochwalił się Mikołaj Iwanowicz.

— Rzeczywiście łatwy język. Zupełnie łatwy... — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Nauczyłam się z książeczki wielu słów.

Oto i restauracja, niczem nieróżniąca się od restauracyj francuskich. Podróżnicy weszli do środka.

— Kameriere... — zwróciła się Głafira Siemionowna, siadając przy stole, do kelnera, — Deżenato... Pur trua! — pokazała na siebie, męża i Konurina. — Minestra... Arosto di vitelo... Wino nero (Zupa, pieczeń, wołowa, czerwone wino) — obstalowała śniadanie.

— Je parle francais, madame! — przerwał jej kelner.

— Boże! Kelner mówi po francusku! Chwała Bogu! — ucieszyła się Głafira Siemionowna.

— Rumu! Niech pani zamówi najlepszego rzymskiego rumu i makaronu! — szeptał jej Konurin.

Podano śniadanie. Podano czerwone wino, gotowane makarony w sosie pomidorowym. Podano rum, lecz na butelce

był napis „Jamaica". Mężczyźni zaraz to zauważyli.

— Patrzcie, rum nam podali jamajski, a nie rzymski! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, pokazując na etykietę.

— A kto ci powiedział,że jest rzymski rum? — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Rum jest zawsze jamajski.

— Sama mówiłaś. Mówiłaś, że Rzym dlatego po francusku nazywa się Romem, że tutaj rum się robi.

— Nic podobnego nie mówiłam. Wymyśliłeś sobie to wszystko... — rozgniewała się Głafira Siemionowna.

— Mówiła pani, mówiła! W wagonie pani mówiła! — potwierdził Konurin. — Wolałbym się napić rzymskiego rumu, a nie jamajskiego.

— Pijcie lepiej to, co podali. Ale nie pijcie zadużo, bo zaraz po śniadaniu jedziemy zobaczyć papieża.

— A może oglądać papieża tak na wesoło będzie przyjemniej.

— Jak będziecie na wesoło, to nigdzie z wami nie pojadę. Pojadę do hotelu i położę się spać. Przez całą noc w wagonie nie zmrużyłam oka z powodu tych bandytów.

— Niech się paniusia nie boi, nie urzniemy się! — rzekł Konurin, biorąc za butelkę.

Śniadanie było znakomite i — co najważniejsze — bardzo tanie. Taniość restauracji rzymskiej w porównaniu z nicejskiemi rzucała się w oczy i bardzo podobała się Konurinowi i Mikołajowi Iwanowiczowi. Kelner, który dostał franka na piwo, ukłonił się bardzo nisko i nawet nazwał Mikołaja Iwanowicza „eczelencją" (ekscelencją).

— Patrzcie, jaki garson jest nam wdzięczny. Nazwał cię ekscelencją! — zauważyła Głafira Siemionowna.

Mikołaj Iwanowicz roześmiał się wesoło i przybrał zadowolony wyraz twarzy.

— Nie może być?

— Naprawdę... Powiedział, „eczelencza", a eczelencza znaczy „ekscelencja" — przeczytałam to w książce.



— Trzeba było w takim razie wypić szampana i jeszcze mu dać coś na piwo. Sinior botega! Isi...

— Nie potrzeba, nie potrzeba, nie pozwolę wam więcej pić, jedziemy teraz zobaczyć papieża.

— W takim razie dam mu jeszcze franka. Trzeba go wynagrodzić za grzeczność. W Nicei wydaliśmy tyle franków i nikt nas nie nazwał nawet radcą... Garson! Masz tutaj... Wuala... ancor...

Mikołaj Iwanowicz rzucił franka. Konurin też dodał pół franka.

— Na makarony... Wiw Włochy! — klepnął Konurin kelnera po ramieniu.

Kelner do samego wyjścia odprowadził naszych podróżników, kłaniając się i przynajmniej pięć razy powtórzył po drodze: „eczelenca", lub „ekselans".

Znów pojechano dorożką. Konurin i Mikołaj Iwanowicz byli bardzo najedzeni; zwłaszcza dużo zjedli makaronów, które bardzo im smakowały.

— Co tam teraz moja żona-kochanie robi? Czy myśli, biedaczka, że mąż jej teraz jedzie obejrzeć papę rzymskiego? — wzdychał Konurin i dodał: prawdopodobnie też zjadła teraz obiad i zabiera się do picia herbaty...

Dorożkarz odwrócił się do pasażerów i pytał, dokąd jechać.

— Vuar le pap... Pap... Papa! — mówiła Głafira Siemionowna. — Komprene? Zrozumiałeś? Komprenata? Papa...

— Ach! Le Vatican! — zrozumiał wreszcie dorożkarz. — Si, madame.

Jechano dosyć długo. Konurin zaczął ziewać na dobre.

— Ale papa daleko mieszka, widocznie gdzieś za miastem! — rzekł wreszcie.

Oto i rzeka Tyber z jej mętną wodą i szarym bulwarem. Oto znany most św. Anioła ze starożytnemi statuami. Przejechano most, jeszcze jedną uliczkę i wyjechano na plac św. Piotra. Przed oczami podróżników naszych wyrosła wspaniała katedra św. Piotra.

— Basilica di Pietro in Vaticano! — uroczyście oznajmił dorożkarz, pokazując biczem na katedrę.

— Patrzcie, to katedra św. Piotra. Odrazu poznałam ją z obrazków! — rzekła Głafira Siemionowna. — Trzeba wstąpić i obejrzeć katedrę! — zwróciła się do mężczyzn.

— Naturalnie, że trzeba! Koniecznie trzeba! — odezwał się Mikołaj Iwanowicz. — Tylko, że po tych makaronach nie bardzo mi się chce chodzić. Bardzo mi się chce zdrzemnąć.

— Niech nas najprzód zaprowadzi do papy rzymskiego! — rzekł Konurin. — Sinior dorożkarz! Możebyś nas najprzód do papy zaprowadził... Wprost do papieża. Papa...

— Przecież właśnie do papieża przyjechaliśmy. Papież mieszka tutaj zaraz przy katedrze: — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Kosze! U e le pap?

— Voila... C'est le Vatican! — wskazał dorożkarz na prawo od katedry.

— Widzicie, tam jest pałac papieża... na prawo...

Widok był wspaniały. Podjechano do przedsionka katedry, obejmującego półkolem cały plac. Coprawda na schodach, prowadzących do katedry, nie było wielkiego porządku. Wszędzie widać było skórki od pomarańczy, kawałki papieru gazetowego, tu i ówdzie pomiędzy kamieniami rosła trawa, pomiędzy kolumnami stali i chodzili mnisi w czarnych i bronzowych chabitach, kapturach, albo kapeluszach o szerokich rondach. Tak samo jak pod Coloseum i tutaj na Iwanowowych i Konurina rzuciła się cała banda przewodników. Wciskali w ręce albumy z widokami katedry i krzyczeli coś łamanym językiem francuskim, niemieckim a nawet angielskim. Naciskano na naszych podróżników ze wszystkich stron.

— Precz! Paszoł won! Nic nam nie potrzeba! — bronił się od przewodników Mikołaj Iwanowicz po rosyjsku, wchodząc po schodach do katedry, lecz przewodnicy atakowali go w dalszym ciągu.

Skierowano się ku drzwiom katedry.

XXXIX.

Pomimo, iż Iwanowowie i Konurin przy wejściu do kaod siebie zgraję przewodników, jakiś łysy staruszek z siwą bródką nie dał się odpędzić i wszedł z nimi razem do świątyni. Nie był taki natrętny, jak inni. Z początku chodził za naszymi podróżnikami w pewnem oddaleniu i milczał, lecz skoro tylko zauważył, że zatrzymywali się oni przed jakąś statuą papieża, albo obrazem z mozaiki, natychmiast podbiegał, tłumaczył coś łamanym językiem francuskim i znów grzecznie oddalał się.

— Mrucz sobie, mrucz i tak cię nie słuchamy! — mówił mu Mikołaj Iwanowicz, machając ręką, lecz stary przewodnik nie zwracał na to najmniejszej uwagi i na następnym przystanku znów zbliżał się do naszego towarzystwa.

W ten sposób zwolna przyzwyczaił ich do siebie; nikt na niego już nie krzyczał, nikt go nie odpędzał i kiedy wreszcie Głafira Siemionowna zwróciła się doń z jakiemś zapytaniem, ożywił się, zaczął mówić bez przestanku i wsuwać w ręce Głafirze Siemionownie i Mikołajowi Iwanowiczowi jakiś papier.

— Czego chcesz? Prosisz o jałmużnę? Nie chcę widzieć twego papieru... Masz tutaj... Masz tu parę miedziaków i paszoł won! — rzekł wreszcie Mikołaj Iwanowicz, dając mu dwie miedziane monety.

Przewodnik nie brał pieniędzy i w dalszym ciągu pokazywał im jakiś papier.

— Pokazuje nam jakieś świadectwo! Mówi, że to jest za-



świadczenie od jakiegoś Rosjanina! — wytłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Świadectwo?

Mikołaj Iwanowicz wziął złożony w czworo papier i przeczytał:

„Niniejszem zaświadczamy, że przewodnik Franczesko Koryto jest bardzo zabawnym Włochem. Umie gwizdać jak kos, skakać jak sroka, potrafi łyknąć, jeśli mu ktoś zafunduje i wogóle jest takim komikiem, że człowieka może brzuch zaboleć, jak się na niego patrzy. Poznał nas tutaj w Rzymie z takimi kwiatuszkami z gatunku płci pięknej, że można powiedzieć tylko: miersi. Kupiec moskiewski... Bo... Wo..."

— Podpisu nie mogę przeczytać... — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Są nawet dwa podpisy: „Najbardziej arcydramatyczny artysta"... I drugiego podpisu nie mogę przeczytać... — uśmiechnął się Mikołaj Iwanowicz, przeglądając w dalszym ciągu czytane świadectwo.

— Co ty tam czytasz? Zdaje mi się, Mikołaj Iwanycz, że coś sam komponujesz! — zdziwiła się Głafira Siemionowna i wydarła mężowi papier.

— Wcale nie komponuję. Jak widzisz, wyraźnie napisane po rosyjsku. Widocznie ktoś z Rosjan, którzy byli w Rzymie, dla żartu napisał mu takie świadectwo, a ten osieł włoski, myśląc, że napisali mu jakieś pochwały, chwali się przed każdym Rosjaninem tym papierem.

— C'est moi... C'est moi... — pokazywał palcem na siebie stary przewodnik i kiwał zabawnie głową.

— Naprawdę jakiś komik! — roześmiał się Konurin. — Naprawdę komik. Mordę ma naprawdę bardzo śmieszną.

— Masz rację, widocznie ktoś dla głupiego żartu dał mu takie świadectwo! — rzekła Głafira Siemionowna, przeczytawszy papier i dodała: — Są jednak głupcy na świecie...

— Co za głupcy? Poprostu dla żartu... — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Rzym, jak widzimy, jest nudnem miastem:

wszędzie ruiny i ruiny i nic więcej... Chcieli sobie widocznie pożartować troszeczkę z Włocha...

— Naturalnie... Nie odpędzajmy go od siebie, niech i nas rozśmieszy troszkę na ulicy! — dodał Konurin.

— Panowie zdaje się zwarjowali do reszty! — błysnęła oczami Głafira Siemionowna. — Bezwstydnik! Może pan chce, żeby panu też jakieś „kwiatuszki" pokazał!

— Poco nam „kwiatuszki" paniusiu? My ludzie żonaci i nie zajmujemy się temi sprawami.

— Znam takich żonatych! Alle, sinior! Nie potrzeba! — oddała papier przewodnikowi, machnęła ręką i odwróciła się.

Przewodnik był zdumiony.

— C'est moi, madame! C'est moi... (To ja) — Pokazywał w dalszym ciągu na siebie.

— Niech nas przynajmniej do papieża zaprowadzi! — wziął w obronę przewodnika Mikołaj Iwanowicz. — Prawdopodobnie zna tutejsze stosunki doskonale... Jedno nie ulega wątpliwości, że jednak oprowadzał tutaj jakichś Rosjan, a co do tych „kwiatuszków", to nie masz się czego bać, Głasza, przecież ty jesteś z nami.

Głafira Siemionowna nic nie odpowiedziała i przyspieszyła kroku. Przewodnik w dalszym ciągu szedł koło nich i od czasu do czasu dawał objaśnienia.

W ten sposób obejrzano katedrę i towarzystwo nasze wyszło znów na taras. Przewodnik w dalszym ciągu nie odchodził i od czasu do czasu mówił coś.

— Dam ci na makarony, dam! — kiwnął mu Mikołaj Iwanowicz. — Pokaż nam teraz papieża! Głasza! Zapytaj go się, gdzie trzeba iść, żeby zobaczyć papieża.

— Wcale nie chcę z takim durniem rozmawiać.

— Z durniami to nawet lepiej... Papa... Pap... Rozumiesz, musju, chcemy widzieć papę!

— Nu wulon wuar papa... — zgodziła się wreszcie powiedzieć Głafira Siemionowna i zwróciła się do przewodnika po francusku.

Przewodnik zaczął coś mówić, gestykulując zawzięcie i wskazywał na kolumnadę po lewej ręce, przylegającą do przedsionka kościelnego.

— Co on mówi? — pytali mężczyźni.

— Mówi, że papież jest teraz niezdrowy i nie przyjmuje nikogo...

— Głupstwa! To tylko dowcip z jego strony, żeby więcej od nas zarobić! Pokaż nam papę i wuala...

Mikołaj Iwanowicz wyjął z portmonetki pięciofrankową monetę i pokazał przewodnikowi. Ten wyciągnął rękę, lecz Mikołaj Iwanowicz nie dał mu monety.

— Nie, braciszku, najprzód nam pokaż papę ,a potem dostaniesz! Dwie... Głasza! Przetłumacz-że mu wreszcie.

— Co tu mówić! Przewodnik tłumaczy, że pałac papieski można oglądać tylko do trzeciej godziny po południu, a

teraz już jest po trzeciej, a papież jest chory i nikogo nie przyjmuje.

Mikołaj Iwanowicz nie dawał za wygraną, wydobył złotą dziesięciofrankówkę.

— Wuala... Widzisz? Będzie twoja ta złota monetka... Gdzie pałac papy? Gdzie pałe? — pytał w dalszym ciągu przewodnika. — Pałe de pap?

Przewodnik poprowadził ich pod kolumnadę, do schodów, prowadzących gdzieś na górę i zaczął mówić coś bez końca. Na górze na platformie stało dwuch żandarmów w trójkątnych kapeluszach napoleońskich.

— Oto wejście do pałacu papieża! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna. — Przewodnik jednak tłumaczył, że teraz już tam nikogo nie wpuszczają. Sam przecież widzisz, że stoją jacyś żołnierze i nie wpuszczają.

— Co tam żołnierze! — wtrącił się Konurin. — Niech stary pokaże żołnierzom ten kluczyk złoty, a natychmiast nas wpuszczą. Musju komik! Masz tutaj... Daj żołnierzom. Niech nas tylko wpuszczą do środka.

Dał przewodnikowi pięciofrankową monetę.

— Done o solda... Done... (Proszę dać żołnierzom!) — tłumaczyła przewodnikowi Głafira Siemionowna, pokazując na schody.

Przewodnik nie rozumiał, o co chodzi.

— Idź do żołnierzy! Idź!... Ach, co za idjota! I to się nazywa przewodnik ze świadectwami! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Masz tutaj ankor (jeszcze) masz jeszcze dwa franki... To już dla ciebie... Za twoją pracę, masz...

Przewodnik trzymał w ręku osiem franków i coś kombinował. Wreszcie po minucie odprowadził Iwanowiczych i Konurina za jadną z dalszych kolumn, mrugnął im tajemniczo okiem, podbiegł do schodów, prowadzących do wnętrza Watykanu i tam zniknął.

— Widocznie bał się przy nas dawać żołnierzom łapówkę — zauważył Konurin.

— Naturalnie... — zgodził się Mikołaj Iwanowicz. — Co robić? Poczekamy!

Całe towarzystwo stało za kolumną i czekało. Powoli jeden po drugim podchodzili do nich żebracy i prosili o datki. Byli tutaj i starcy i dzieci w łachmanach na bosaka albo w skórzanych obdartych sandałach, były kobiety z dziećmi na ręku. Wszyscy nagle ukazywali się z za kolumn, prosili o datki i znów znikali za kolumnami. Minęło pięć minut, dziesięć, a przewodnik nie ukazywał się.

— A może naciągnął nas, drań? — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Może wziął pieniądze i dał drapaka?

— Bardzo możliwe. Od takiego bezwstydnika który podróżnikom „kwiatuszki“ pokazuje, można wszystkiego się spodziewać — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Nie możesz zapomnieć o tych „kwiatuszkach“.

Podróżnicy nasi poczekali jeszcze dziesięć minut i wreszcie wyszli z za kolumny i zbliżyli się do schodów. Żandarmi w czapkach napoleońskich stali, jak i przedtem na platformie, lecz przewodnika nigdzie nie było widać.

— Naciągnęła nas komiczna morda! — rzekł Konurin. — A niech go kaczki zdziobią... Poczekajcie, spróbuję sam porozumieć się z żołnierzami, może przepuszczą.

Wszedł na schody, lecz na platformie żandarm zagrodził mu drogę. Zaczął wsuwać żandarmowi coś do ręki, lecz ten nie brał i odpychał go ręką.



— Wuar le pale de pap! (Zobaczyć pałac papieża) — krzyknęła Glafira Siemionowna.

Żandarmi odpowiedzieli coś po włosku.

Konurin zeszedł ze schodów.

— Nie biorą, dranie, pieniędzy i nie przepuszczają! — rzekł do Mikołaja Iwanowicza. — Pokazuje się, że komik naprawdę nas naciągnął, jak osłów.

— Bardzo wam dobrze... Nie wchodźcie w stosunki z bezwstydnikami, którzy pokazują podróżnikom kwiatuszki na dwóch nogach! — drażniła ich Glafira Siemionowna.

Wymyślając na przewodnika, całe towarzystwo wyszło na plac przed katedrę i siadło do dorożki, która na nich oczekiwała.

— Dokąd teraz pojedziemy? — pytała Glafira Siemionowna.

— Tylko aby znowu nie do ruin! — zawołali jednogłośnie mąż i Konurin.

— W takim razie jedźmy do domu! Ziemy obiad w naszym hotelu.

Kazała dorożkarzowi wracać do domu.

XL.

Iwanowowie i Konurin wrócili do hotelu właśnie w czasie, kiedy na nadwórzu i we wszystkich kurytarzach na wszyst-

kich piętrach dzwoniły dzwonki. Starszy kelner we fraku przejęty ważnością chwili, starannie dzwonił w wielki dzwon, zawieszony przy głównem wejściu, służba hotelowa dzwoniła małemi dzwonkami, biegając po kurytarzach. Alarm ten zwiastował godzinę obiadu. W jadalnym pokoju, który mieścił się na dole, był już nakryty wielki stół. Mieszkańcy hotelu, jak mrówki, schodzili po schodach, zjeżdżali windą. Przy drzwiach pokoju stołowego zebrało się zbiegowisko, słychać było mowę francuską, niemiecką, włoską i angielską. Anglicy byli we frakach i białych krawatach. Dwie energiczne młode Angielki niezbyt piękne, z długiemi i cienkiemi szyjami, z długiemi rzadkiemi zębami, nieukrywającemi się pod górną wargą, prowadziły pod ręce korpulentną staruszkę z siwemi łokami na skroniach. Niemcy byli przeważnie w ciemnych marynarkach, albo surdutowych ubraniach, Francuzi i Włosi w letnich marynarkowych ubraniach jasnego koloru. Oprócz tego Włochów można było poznać po jaskrawych krawatach, a Niemców po kwiatach róż, wetkniętych do dziurki w klapie. Jakiś starszy wiekiem Niemiec niósł ze sobą do stołu własny kufel do piwa z kryształu z metalową pokrywką i wielką porcelanową fajkę z elastycznym cybuchem.

— Akurat trafiliśmy na tabeldot? Bardzo dobrze! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Pomimo, że na śniadanie naszpikowałem się dzielnie makaronem, czuję znowu, że chce mi się jeść.

— Żeby tak można łyknąć parę kieliszków naszej prawosławnej wódeczki, a potem coś włoskiego na przekąskę! — dodał Konurin.

— Niech pan nie marzy nawet o wódce rosyjskiej we Włoszech! Kiedy dziś przy śniadaniu pytałam się kelnera, czy nie ma wódki rosyjskiej, wytrzeszczył na mnie oczy zdziwione! — odpowiedziała Glafira Siemionowna. — Pijcie lepiej wino włoskie. Italja słynie ze swojego taniego i dobrego wina, naprzykład Kianti. Możecie pić wino.

Starszy kelner zauważył nowych swych lokatorów, idących do pokoju stołowego i zaraz wziął ich pod swoją specjalną opiekę. Zaprowadził ich nie do ogólnego stołu na środku, lecz do mniejszego, stojącego z boku, przyniósł metalowy kubeł do mrożenia szampana, postawił wazonik z kwiatami przed nakryciem Glafiry Siemionowny i wreszcie podał kartę win.

— Wino nero Kianti... — rzekła Glafira Siemionowna.

— A madery, xeresu, albo portweinu po zupie? — zaproponował starszy kelner po francusku.

— Non, non, non...

— Niech pani poczeka... A może dostaniemy tu wódki? Może właśnie mają? — wtrącił się Konurin. — O de wi rius? — zwrócił się do kelnera, lecz ten pokręcił głową.

— Ach dranie, dranie! Mogliby przecież swoje pomarańcze wymieniać na naszą wódkę.

— W takim razie niech daje koniak i kelkszoz czegoś takiego kwaśnego na przekąskę... — przerwał Mikołaj Iwanowicz. — Głasza przetłumacz.

— Koniak e kelkszoz pikant pur hor dewr. Done tudestuit (Koniak i coś pikantnego na przekąskę, proszę podać natychmiast).

— Avant la soupe (przed zupą)? — zdziwił się starszy kelner, który nie widział dotąd, aby pito koniak przed zupą.

— Wuj, wuj! Se a la rius... Dziwi się, że chcemy pić koniak przed zupą.

— Po rosyjsku, braciszku, zawsze przed zupą... Tużur... — mrugnął okiem kelnerowi Mikołaj Iwanowicz.

Zjawił się koniak i talerzyki z jakiemiś piklami w occie. Mężczyźni skwapliwie zabrali się do koniaku i wypili po kieliszku. Konurin wetknął sobie do ust jakiś żółtawego koloru owoc z talerza, rozgryzł go raz i drugi i otworzył nagle usta, jak szerokie, gdyż zaczęło go okropnie palić podniebienie i w gardle.

— Co ten drań nam tutaj podał? — bełkotał, wypluwając przekąskę do serwetki. — Trucizna ajkaś, a nie przekąska... Dajcie prędzej wody! Och!

Wypłukał usta wodą i połknął kilka łyków, lecz gardło paliło go jeszcze więcej. Starszy kelner stał przy stole i uśmiechał się.

— Czego się śmiejesz, durniu jeden? — krzyknął na niego Mikołaj Iwanowicz, który też spróbował przekąski i natychmiast wypluł ją. — Keskese tu nam podałeś? — pytał go, pokazując palcem na talerz z przekąską.



Pytała również i Olałira Siemionowna, która przestraszyła się nie na żarty, widząc, że Konurin ciągle siedzi z szeroko jak wrota otworzonemi ustami. Starszy kelner zaczął tłumaczyć.

— To pieprz... Pieprz marynowany... Tweckl pieprz w

strączkach... — przetłumaczyła mężczyznom Glafira Siemionowna.

— A to drań! Czy ludzie jedzą pieprz turecki?

— Tłumaczy się, że żądałam bardzo pikantnej przekąski, więc podał pieprz, starając się dogodzić Rosjanom.

— Dogodzić Rosjanom? Niema co mówić, ładnie nam dogodził! — mówił Konurin, plując ciągle do serwety. — To chyba sami djabli w piekle mogą żreć, niech mi Bóg przebaczy to, że wspominam o djable przy stole, a nie Rosjanie. Zabieraj swoją przekąskę, zabieraj! — machał rękami. — Dobrze wymyślił, chciał nas pieprzem tureckim karmić... Myślałem, że poda nam jakiegoś kawiorku, jakiegoś raczka gotowanego...

Starszy kelner przepraszał i zaczął sprzątać ze stołu przekąskę i koniak.

— Poczekaj, musju... Koniak zostaw... Koniak niech tu zostanie! — schwycił za butelkę Mikołaj Iwanowicz. — Tylko tę truciznę zabierz sobie. Naprawdę musieli to w jakimś kwasie siarczanym wymaczać, czy co! — obcierał serwetką język. — Zaledwie raz przegryzłem, a w ustach mi się pali.

— Ja mam cały język spuchnięty... Mam wrażenie, że mam cudzy język w ustach! — rzekł Konurin. — Trzeba będzie drugi kieliszek koniaku wypić, może coś pomoże. Nalej, Mikołaj Iwanow, bo strasznie mnie piecze.

— Nie może być, żeby to było takie ostre? — zapytała Glafira Siemionowna. — Mnie się zdaje, że wy udajecie przedemną, żeby mieć sposobność wypić więcej koniaku.

— Kwas siarczany, paniusiu, zupełnie kwas siarczany, albo jeszcze gorzej.

— A starszy kelner mówi, że Anglicy stale używają to na przekąskę.

— Niech się zapadnie pod ziemię ze swoimi Anglikami! Napewno łże! Jak Anglik może znieść coś takiego, czego rosyjski człowiek w gębie nie może utrzymać?...

Konurin kasłał i spluwał do serwetki. Siedzący przy dużym stole, dowiedziawszy się od starszego kelnera, o co chodzi, z zaciekawieniem spoglądali na Konurina, uśmiechając się i szeptając pomiędzy sobą. Podano zupę. Jedno miejsce przy stole, zajętym przez naszych podróżników, było jeszcze niezajęte, lecz przed nakryciem stała rozpoczęta butelka wina, przewiązana czerwoną wstążeczką. Widocznie ktoś siadywał zwykle na tem miejscu i jeszcze nie przyszedł. Dopiero po zjedzeniu zupy podróżnicy nasi zauważyli młodą, przystojną, pięknie zbudowaną kobietę, w wieku około 25 lat, w czarnej sukni jedwabnej, z różą w pysznej koafiurze i maleńkim sztyletem stalowym ze złotą rękojeścią, zamiast broszki na piersi. Weszła do pokoju, pospiesznie siadła przy stole, uśmiechnęła się uprzejmie do swoich sąsiadów, przyczem pokazała dwa rzędy prześlicznych białych zębów i rozglądając się po pokoju, zaczęła zdejmować z rąk długie do łokci rękawiczki. Z

chwilą, gdy weszła do jadalni, spojrzenia wszystkich skierowały się na nią.

Glafira Siemionowna pierwsza wpiła się w nią oczami.

— Co to za ptaszek jakiś? — mruknęła do męża.

Oglądali z zaciekawieniem nowoprzybyłą również i Konurin z Mikołajem Iwanowiczem i znać było, że podoba się im bardzo. Wszystko w tej kobiecie było piękne, wszystko eleganckie, harmonijne, głównie jednak zachwycać się można było wielkiemi czarnemi oczami o długich rzęsach. Konurin nawet zapomniał o swoich oparzonych ustach i szeptał półgłosem:

— Babiątko wcale, wcale... Włoszeczka, jak się patrzy, pirszy sort!

Mikołaj Iwanowicz też chciał zrobić jakąś uwagę, lecz tylko chrząknął i spojrzał ukradkiem na żonę. Spojrzała na niego również i Glafira Siemionowna i w oczkach jej błysnęły iskry.

Piękna Włoszka jadła zupę, niosąc ją do półotwartych usteczek łyżką, na którą nabierała bardzo niewiele zupy i ostrożnie gryzła suche paluszki z białego ciasta, podane do zupy.

XLI.

Posłyszawszy rosyjską rozmowę Iwanowowych i Konurina, piękna Włoszka natychmiast zwróciła się do nich i z uśmiechem zapytała Konurina:

— Vous etes les Russes, monsieur?

— Riuss! — pospiesznie odpowiedział za przyjaciela Mikołaj Iwanowicz, zadowolony, że piękna pani zwróciła się do nich.



— Och, j'aime les russes! — rzekła Włoszka, kokieteryjnie przewracając oczami i zaczęła mówić dalej coś po francusku z akcentem włoskim, czasami nawet mieszając słowa włoskie.

Mężczyźni uśmiechali się od ucha do ucha i chociaż nic nie rozumieli, kiwali głowami i powtarzali od czasu do czasu: „Wuj, wuj". Zrozumiawszy słowo „Petersbourg" Konurin zawołał:

— Wuj, wuj z Petersburg! Ja jestem z Klińskiego prospektu, a on z Piasków! — pokazał na Mikołaja Iwanowicza. — Paniusiu, Głafira Siemionowna, niech pani przetłumaczy nam łaskawie, co ona mówi?

Głafira Siemionowna siedziała i patrzyła ponurym wzrokiem przed siebie.

— Nie potrzebujecie wcale rozumieć, co ona mówi — odpowiedziała gniewnym tonem. — Słuchajcie i milczcie. Nie rozumię wogóle, czego ta baba przyczepiła się do nas. To do niczego niepodobne! To jest bezczelność. Czego wlepiłeś w nią gały? Jedz lepiej! — krzyknęła na męża. — Patrzysz w nią, jak w obraz.

— Ach, Boże! Przecież na to mam oczy.

— Na to? Kłamiesz! Daczego nie patrzysz na tego tłustego Niemca, który siedzi przy własnym kuflu piwa z fajką, a patrzysz na tę flądrę.

— Przecież ona siedzi naprzeciwko mnie?

— Proszę cię, milcz!

Tymczasem piękna Włoszka mówiła w dalszym ciągu swym łamanym językiem francuskim, tym razem zwracając się do Głafiry Siemionowny, przyczem wymieniła nawet kilka słów po rosyjsku w rodzaju: „Zakuska, czełowiek, dorożkarz, kulebiaka, borschtsch", wymawiając te słowa z francuskim akcentem.

— Patrzcie państwo, była w Petersburgu i nawet zna niektóre słowa rosyjskie! — zawołał ucieszony Mikołaj Iwanowicz. — Napewno jakaś artystka. Pani jest Italjanka? — zapytał piękną Włoszkę.

— Oui, monsieur...

— Artyst? Artystka?

Włoszka kiwnęła głową.

— Głasza, przestań się nadymać! To nieładnie. Przecież widzisz, jaka jest uprzejma dla nas... Mogłabyś się lepiej zapytać coś o papie i o pałacu papieskim. Może nas tylko okłamali, że papa jest chory i nie można go widzieć? — zwrócił się Mikołaj Iwanowicz do żony.

— Daj mi spokój! — usłyszał odpowiedź.

Tymczasem Włoszka wprost już zapytała Głafirę Siemionownę, czy ta mówi po francusku.

— Non! — odpowiedziała Głafira Siemionowna ponurym tonem i pokręciła głową.

Piękna Włoszka była bardzo tem zmartwiona i znów zaczęła mówić do mężczyzn.

— Przetłumacz nam chociaż troszeczkę, co ona mówi! — prosił żonę Mikołaj Iwanowicz.

— Ach, jakiś ty nieznośny! — zawołała Glafira Siemionowna i odpowiedziała: — Podlizuje się, chwali Rosjan i mówi, że bardzo ich lubi.

— A widzi pani, chwalą nas, a my bez żadnego współczucia! — wtrącił się Konurin. — Wiw Italjanka! — zawołał nagle i wyciągnął przez stół szklaneczkę z winem, chcąc trącić się z Włoszką.

Włoszka wyciągnęła swoją szklankę.

— Możeby tak zamówić buteleczkę szampana? Nie wypada przecież... — dodał Konurin ,zwracając się do Mikołaja Iwanowicza. — Nie wypada z piękną kobietą trącać się czerwonem winem. Otworzymy buteleczkę, co? Gdzie nasze nie przepadło! Garson! Szampań! — zawołał do kelnera, nie czekając na odpowiedź Mikołaja Iwanowicza.

— Iwan Kondratjicz, stanowczo zapowiadam panu, że napiszę o tem do pańskiej żony! — rzekła do Konurina Glafira Siemionowna.

— O czem? Że zamawiam butelkę szampana? Czy to co złego? Niech pani pisze! Co to mnie obchodzi? Przyjechałem tutaj nie po to, żeby robić oszczędności i ściskać pieniądze, a żona wie doskonale o tem.

Lokaj podał Konurinowi kartę win i pytał, jakiego szampana ma podać. Konurin wręczył kartę Mikołajowi Iwanowiczowi i prosił go o wybranie wina, lecz ten ukradkiem spozierał na żonę i nie chciał wziąć karty do rąk.

— Czego się boisz żony, ośle jeden! — mruknął Konurin półgłosem do Iwanowa. — Przez nią przegraliśmy w tę ruletkę przeklętą nie jedną butelkę, a kilkadziesiąt, a tutaj bez jej pozwolenia nie możemy sobie nawet pozwolić na jedną butelkę szampana? Szampań... Szampań... — pokazywał na kartę, zwracając się do kelnera.

— Kelner wzruszał ramionami i też pokazywał palcem coś na karcie, wymieniając różne marki szampana.

— Asti... Asti... — podpowiedziała piękna Włoszka.

— Dawaj, braciszku, Asti. Dawaj wszystko, co ta pani każe!

Lokaj pobiegł po wino. Glafira Siemionowna z hałasem odsunęła krzesło i wstała.

— Nie będę jadła obiadu! Idę do pokoju! — rzekła podrażnionym tonem. — Możecie upijać się sami z tą fladrą.

— Mamusiu, kochanie, co tu za pijaństwo? — starał się wytłumaczyć żonie mąż.

— Dobrze, dobrze... Pokażę ci później...

Mikołaj Iwanowicz siedział z opuszczoną głową i patrzył na talerz.

— Nie pójdziesz ze mną do pokoju? — zwróciła się Glafira Siemionowna do męża.

— Zrozum, Glasza, że mi się chce jeść. Nie jadłem przecież obiadu.

Głafira Siemionowna przygryzła zęby i wyszła z jadalni.

— Co ta twoja baba za historje urządza? Zazdrosna jest, czy co? — zapytał Konurin Mikołaja Iwanowicza.

— Nie rozumiem... — tłumaczył się Mikołaj Iwanowicz. — Prawdopodobnie nerwy babskie... Nie lubi ładnych kobiet. Jak tylko zacznę rozmawiać z jaką ładną kobietą, zaraz awantura. A sama lubi poflirtować z przystojnymi mężczyznami! Pamiętasz w Nicei, gdzieśmy to grali w te koniki z tym lokajem, którego wzięła nawet za jekiegoś hrabiego... To wszystko te nerwy babskie.

— Za dużo jej pozwalasz, dlatego ma nerwy. Ja mojej babie nie pozwolę słowa nawet pisnąć w Petersburgu i nie ma żadnych nerwów! — pouczał Konurin przyjaciela.

Tymczasem Włoszka, zauważywszy odejście Głafiry Siemionowny, pytała swych towarzyszów z uśmiechem.

— Madame est malade (Czy pani jest chora)?

— Malad, malad... — tłumaczył się Mikołaj Iwanowicz. — Zachorowała nagle... Migrena... La tet... — wskazał na głowę. — A oprócz tego nerwy... Komprene, la fam zawsze jest nerw...

— Ouj, ouj, monsieur... Je sais... — uśmiechnęła się Włoszka i mrugnęła okiem na Iwanowicza. — Il n'ya rien a faire (Cóż robić?)... — wzruszyła ramionami.

— Niema rady, madam, kiedy baba zacznie kaprysić! — rzekł Konurin. — Przygryzła wędzidło i hajda galopem. Nie poczekała nawet na znakomite lekarstwo od nerwów... — poklepał po butelce włoskiego szampana Asti, przyniesionej przez kelnera. — A zresztą wypijemy i bez niej... Proszę nam podać swoją szklanusię. — pokazał palcem.

Włoszka podała mu swoją szklankę, Konurin nalał jej, nalał i sobie i rzekł:

— Piję na cześć pani prześlicznej piękności i elegancji! Na zdrowie!

Trącił się i Mikołaj Iwanowicz. Wypili.

— Tak Mikołaj Iwanow, tak... Nie trzeba zwracać uwagi na babskie nerwy. Chcesz pić, to pij i już. Jak będziesz jej za dużo pozwalał, to ci na szyję wlizie i będzie chciała jeździć na tobie, jak na łysej kobyle! — dodawał odwagi Mikołajowi Iwanowiczowi przyjaciel.

Mikołaj Iwanowicz machnął ręką, jakby otrząsając się z resztek wyrzutów sumienia i zawołał:

— Ankor madam... — zaproponował Włoszce, trącając się z nią.

Włoszka nie odmówiła. Poczęła się rozmowa. Ona mówiła po francusku, mężczyźni po rosyjsku, lecz i ona i oni starali się wytłumaczyć to, co mówią, za pomocą gestów i — rzecz dziwna — wszyscy rozumieli się doskonale. Kiedy pierwsza butelka się skończyła, Mikołaj Iwanowicz zażądał drugą.

— Ładne babiątko! Piękna sztuczka! — pochwalił Mikołaj Iwanowicz ich towarzyszkę przy stole. — I zauważ, jaka grzeczna, zupełnie nie dumna!

— Ładna baba! Oddałbym jej wszystkie srebro i wszystkie miedziaki! Apetyczny kąsek! — mlasnął językiem Konurin. — Zapytaj się, czy w naszym hotelu mieszka?

— W hotelu? Isi? — pytał Mikołaj Iwanowicz, pokazując palcem na sufit i otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą, rzekł: — Tutaj, tutaj! Razem z nami mieszka w tym samym hotelu!

— Do stu djabłów! — zawołał Konurin.

— Madam! Ankor! — proponował Mikołaj Iwanowicz Włoszce, pokazując na szklaneczkę i ta zgodziła się.

— Garson! Jeszcze jedną taką samą buteluchnę! — krzyczał Konurin, pokazując kelnerowi na pustą butelkę.

Obiad się skończył, wszyscy już wyszli z jadalni, a Mikołaj Iwanowicz, Konurin i ich piękna towarzyszka siedzieli przy stole i pili Asti. Twarze mężczyzn poczerwieniały. Patrzyli maślanemi oczkami na swą towarzyszkę, a ta kokietowała ich wzrokiem i uśmiechem.

XLII.

Mikołaj Iwanowicz zażądał jeszcze butelki Asti, lecz piękna Włoszka stanowczo zaprotestowała, machnęła ręką, wstała z za stołu i uśmiechając się wesoło, zaczęła pospiesznie uciekać z jadalni. Konurin i Mikołaj Iwanowicz poszli za nią. Wyszedłszy z jadalni, skierowała się do windy, skoczyła w nią, rzekłszy do boy'a; „troiseme"! Mężczyźni też weszli za nią do windy i siedli przy niej na kanapce, wziąwszy ją do środka pomiędzy siebie. Winda ruszyła i zaczęła iść do góry. Było prawie ciemno. Mikołaj Iwanowicz nie wytrzymał, złapał swą towarzyszkę za rękę i pocałował ją. Ta wyrwała mu rękę i pogroziła palcem, mrucząc coś po francusku.

Konurin tylko wzdychał, kręcił głową i mówił:

— Wspaniałe babiątko! Pirszy sort. Dla niej samej nie żałuję, że przyjechałem do Rzymu! Słowo daję!

Winda zatrzymała się. Towarzystwo wyszło na kurytarz trzeciego piętra. Włoszka schwyciła Konurina pod rękę i zaczęła biegnąć z nim po kurytarzu. Przy drzwiach jej pokoju puściła go i błysnąwszy białemi zębami, rzekła:

— Assez! Au revoir, messieurs! Merci... (Dosyć, do widzenia, panowie, dziękuję)!

Rozległ się zgrzyt klucza i drzwi otworzyły się. Konurin stał, lśniąc z zadowolenia. Mikołaj Iwanowicz chciał wtargnąć do pokoju Włoszki, lecz ta przegrodziła mu drogę, kokieteryjnie dygnęła, pochylając główkę i zamknęła drzwi.

— A to szelma! — zdołał tylko wymówić Mikołaj Iwanowicz. — Djabeł, a nie baba.



— Migdał! Powiadam ci, migdał! — westchnął Konurin, podrapał się po głowie i rzekł do przyjaciela: — Chodźmy teraz do ciebie, musimy wytłumaczyć się przed twoją babą.

Pokoje ich znajdowały się o piętro niżej, więc skierowali się ku schodom. Kiedy znaleźli się na kurytarzu drugiego piętra, ujrzeli Głafirę Siemionownę, wychodzącą z pokoju. Była w kapeluszu i w pelerynie. Oczy miała troszkę spuchnięte; widać było, że płakała, lecz umyła się i upudrowała. Ujrzawszy męża i Konurina, odwróciła się od nich. Mikołaj Iwanowicz skurczył się dziwnie i zrobił smutną minę.

— Ach, Głasza! Jak cię nie wstyd urządzać takie sceny! — rzekł. — Mogłabyś się chociaż krępować przy Iwanie Kondratjiczu. Obcy człowiek, a ty...

— Daj mi spokój!...

Głafira Siemionowna szła kurytarzem w kierunku schodów, a mężczyźni za nią.

— Głasza! Gdzie ty idziesz?

— Do teatru!... Ja pójdę też poszukać sobie towarzystwa! — odpowiedziała Głafira Siemionowna, starając się mówić spokojnym tonem, lecz widać było, że jest strasznie zagniewana i tylko hamuje się. — Ty znalazłeś sobie przy stole kompanję, ja też sobie znajdę, możesz być spokojny. Nie jestem znowu tak brzydka, żebym nie mogła znaleźć jakiegoś aktora!

— Głafira Siemionowna! Zwarjowałaś, czy co? Co ty mówisz?

— A ty nie zwarjowałeś? Co dotąd robiłeś w jadalni z tą flądrą? Obiad już dawno się skończył. Wszyscy już rozeszli się do swoich pokojów, a tyś siedział z nią, pił i umizgał się do niej, jak kot w marcu. Ty zwarjowałeś, więc i ja mogę zwarjować! Nie bój się, potrafię odpłacić ci pięknem za nadobne. Proszę panów, zostawcie mnie! Czego za mną idziecie? Chcę sama pójść do teatru!

— Zabraniam ci! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, podnosząc głos.

— Zabraniasz? Zobaczymy!

Zeszli ze schodów i znaleźli się na podwórzu hotelu.

— Nieładnie, paniusiu, urządzać awantury własnemu mężowi i stawiać się! Naprawdę nieładnie... — zaczął Konurin uspakajać Glafirę Siemionownę. — Cośmy takiego zrobili? Wypiliśmy szklaneczkę jedną i drugą szampana z sąsiadką przy stole... Więc cóż z tego! Co się nam stało? I w dodatku to przecież nie Mikołaj Iwanowicz, a ja... Niech pani da spokój, pogódźmy się lepiej...

— Za pozwoleniem... Jakiem prawem pan udziela mi jakichś nauk! — zawołała Glafira Siemionowna. — Patrzcie państwo! Drugi mąż się znalazł!

Glafira Siemionowna siadła na podwórzu przy stoliku i zamówiła porcję lodów. Mikołaj Iwanowicz z Konurinem siedli również i zażądali syfon wody sodowej. Wszyscy milczeli. Wreszcie Mikołaj Iwanowicz znów zaczął.

— Nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy poszli do jakiegoś teatru, ale nie wypada, żebyś poszła sama... Możemy iść razem...

Glafira Siemionowna nie odpowiedziała. Zjadła pospiesznie lody, sama zapłaciła i wyszła na ulicę. Mąż i Konurin szli za nią. Na ulicy kiwnęła na dorożkarza i rzekła doń:

— Teatr u koncert... Alle...

Dorożkarz pytał, do jakiego teatru.

— Setegal! Alle... Alle plu wit. (Wszystko jedno, proszę jechać prędzej.)

Wskoczyli do dorożki również i Mikołaj Iwanowicz z Konurinem.

— Poco jedziecie ze mną? Przecież i tak w teatrze nie będziemy siedzieli razem! Panowie osobno i ja osobno! — rzekła do nich. — Będę sama spacerowała po kurytarzu i napewno potrafię poznać się z jakimś kawalerem...

— Paniusiu, niech pani przestanie... Niech pani nam już daruje! — rzekł Konurin.

— Aha! Boicie się teraz. A co ja miałam robić, kiedyście przy stole wpijali się oczami w tę flądrę i pili z nią! — zawołała Glafira Siemionowna.

Jechano długo. Dorożkarz wiózł ich ciemnemi uliczkami, wjeżdżał w ponure place, znów skręcał w mroczne zaułki i wreszcie zatrzymał się przed niewielkim gmachem, przed którym paliły się dwie elektryczne lampy. Wielki szyld transparentowy głosił: „Orfeo di Roma".

Glafira Siemionowna wyskoczyła z dorożki, podbiegła do kasy i kupiła sobie bilet. Mąż i Konurin zapłacili za dorożkę i także wzięli bilety. Mikołaj Iwanowicz chciał podać żonie rękę, żeby razem z nią wejść do teatru, lecz ta odepchnęła jego rękę i sama weszła na widownię.

„Orfeo di Roma", dokąd dorożkarz zawiózł Iwanowowych i Konurina nie był teatrem, lecz kabaretem. Publiczność siedziała przy stolikach, rozstawionych na sali, piła kawę, likiery, wino, jadła przekąski i patrzyła na scenę, na której występowali komicy, kupleciści i śpiewały wydekoltowane mocno śpiewaczki w trykotach, często mające na sobie tylko coś w rodzaju krótkiej pelerynki zamiast sukni. Od czasu do czasu na zmianę występowali klowni i akrobaci.

— Przecież to nie teatr! — rzekł Mikołaj Iwanowicz, idąc za żoną. — Co to za teatr? Zwyczajny tingel-tangel!

— Tem lepiej... — odpowiedziała Głafira Siemionowna, wyszukała niezajęty stolik i siadła przy nim.

— Zdaje mi się — mówił dalej Mikołaj Iwanowicz, siadając naprzeciwko żony — że nie wypada kobiecie zamężnej siedzieć tutaj. Rozejrzyj się tylko po sali, jakie tu damy siedzą.

— Ja wcale nie chcę, żeby mnie tu uważano za kobietę zamężną!

— Głasza, co ty mówisz?

— Proszę cię, nie psuj mi dzisiejszego wieczoru! A co się tyczy tych wymalowanych pań, pozwalam ci podejść do nich i pić z niemi. Wcale ci nie będę przeszkadzała! Proszę cię tylko, żebyś ty mi również nie przeszkadzał!

— Głasza, zastanów się!

— Dawno już się zastanowiłam! — odpowiedziała Głafira Siemionowna, odwróciła się od męża i zaczęła patrzeć na scenę, na której jakiś pięknie zbudowany cyrkowiec w trykocie pokazywał sztuczki na trapezie.

Do Iwanowowych i Konurina podszedł kelner w czarnej marynarce i w białym fartuchu do ziemi i stanął w oczekującej pozie.

— Może się chcesz czego napić — zapytał Mikołaj Iwanowicz żonę z lękiem w głosie.

— Naturalnie! — odpowiedziała, nie odwracając się do męża i dała rozkaz kelnerowi! — Aporte szampań!...

— Asti, Asti! — podpowiedział Konurin, zwracając się do kelnera.

— Co to za Asti? — zapytała Głafira Siemionowna.

— To te wino, któreśmy pili przy obiedzie. Doskonały szampan.

— Nie powinnam pić tego samego, co wyście pili, bo nie zasłużyliście na to, ale ostatecznie, zgadzam się!

— Asti, Asti, de butel! — zawołał z radością Mikołaj Iwanowicz do kelnera, pokazując mu dwa palce i zwracając się do żony, szepnął zadowolony: — Dziękuję ci, że się udobruchałaś i nie awanturujesz się już.

Żona w dalszym ciągu siedziała odwrócona tyłem do męża.

Goście w Tingel-tanglu z początku zachowywali się przyzwoicie i niewyzywająco. Wymalowane paniusie w ekscentrycznych kapeluszach z pękami piór, całemi ptakami, albo ogrodami kwiatowemi strzelały jedynie oczami w kierunku mężczyzn, lecz siedziały przy swoich stolikach pojedyńczo lub po dwie z towarzyszkami, ciągnąc przez słomkę lemonjadę z wysokich kieliszków. Kiedy jednak męska część publiczności podnieciła się dostatecznie absyntem i innemi napojami alkoholowemi, paniusie zaczęły stopniowo przysiadać się do stolików, zajętych przez mężczyzn. Z każdą chwilą sala stawała się coraz głośniejsza. Mężczyźni zaczęli śpiewać na głos razem z występującymi na estradzie artystami, klaskać w takt dłońmi, pukać laskami o podłogę itp. Również głośno zachowywały się paniusie przy stolikach; co chwila rozlegał się głośny śmiech jednej z nich, albo nawet pisk, jeśli broniła się od zbyt natarczywych dowodów uwielbienia ze strony swoich sąsiadów. Ktoś z publiczności kręcił na kiju swój kapelusz słomkowy, przedrzeźniając w ten sposób żonglera, popisującego się na scenie, ktoś przygrywał na ustnej harmonijce, wtórując fałszywie orkiestrze, tu i ówdzie przerzucano się od stołu do stołu kawałkami korków od butelek, lub pomarańczowemi skórkami. Konurin i Mikołaj Iwanowicz rozglądali się z zaciekawieniem na wszystkie strony i uśmiechali się.



— A niech ich kaczki zdziobią! Czuję, że za chwilę zacznie się tutaj takie same rzucanie, jak w tej Nicei na bulwarze! — rzekł wreszcie Konurin. — Trzeba będzie i nam kupić kilka pomarańczy, żeby mieć na zapas trochę amunicji, jak się zacznie ogólne rzucanie. Ej, jak tam się nazywają, garson! Botega, daj tu, braciszku, pół tuzina pomarańczy.

— Nie potrzeba! Nic nie potrzeba! — rzekła marszcząc brwi Głafira Siemionowna, surowo spojrzała na Konurina i wyciągnęła rękę do butelki z Asti, ażeby znów nalać sobie do

szklanki. Z zaczerwienionej jej twarzy widać było, że wypiła już parę szklaneczek.

— Głasza, zdaje mi się, że pijesz dzisiaj za dużo! — zwrócił jej uwagę Mikołaj Iwanowicz. — Może cię główka zaboleć.

— Pluję na to! Na złość wam tak robię! — odcięła się i wypiła wino duszkiem. — Zadowoleni jesteście, że was zaprowadziłam do takiego zakładu! Co? — pytała złośliwie męża.

— Przedewszystkiem nie ty nas zaprowadziłaś, tylko przywiózł nas dorożkarz... Ale proszę cię, nie pij tak dużo.

— Czego przeszkadzasz? Niech pije, przecież jest nas dwóch, damy sobie radę, jeżeli nawet urżnie się trochę. Odprowadzimy ją jakoś do domu. Pozwól żonie rozerwać się troszeczkę. Czy nie widzisz, że kobieta straciła zupełnie humor od tych tutejszych ruin rzymskich? Nic dziwnego, każdy straci humor... Przez cały dzień ruiny i ruiny — dogadywał Konurin.

— Straciłam humor zupełnie nie z powodu ruin rzymskich, a z powodu waszego wstrętnego zachowania się. Zato moje zachowanie będzie takie same. Patrzcie tutaj przy nas, przy stoliku siedzi bardzo interesujący jakiś Włoch. Wyciągnę do niego zaraz swoją szklankę z winem i trącę się z nim.

— Tylko sprobuj! — rzekł poważnie Mikołaj Iwanowicz.

— Dlaczego nie mam sprobować? Przecież panowie podczas obiadu trącają się szklankami z jakąś flądrą. Tutaj zagranicą obowiązuje równouprawnienie kobiet i nikt nie ma prawa przeszkadzać mi, albo zagrażać! — przekomarzała się Głafira Siemionowna. — Dlaczego siedzicie tutaj koło mnie, jak dwa bałwany? Idźcie, usiądźcie sobie przy jakiej umalowanej paniusi...

— Ej, Głasza, Głasza! Zaśpiewasz inną piosenkę, jeżeli posłucham cię i naprawdę usiądę.

— Może myślisz, że będę płakała? Wcale nie będę płakała!

Na stół ich upadł kawałek skórki pomarańczowej, rzuconej przez kogoś. Głafira Siemionowna wzięła go i rzuciła na salę. Wkrótce upadł i drugi kawałek. Widocznie Głafirę Siemionownę z powodu jej paryskiego kapelusza też wzięto za jedną ze stałych klijentek tingel-tanglu.

— Możebyśmy już do domu poszli? — zapytał nieco zdenerwowany Mikołaj Iwanowicz.

— Jeśli się panom chce spać, możecie jechać, mnie się nie chce spać i zostaję.

Tymczasem na scenie w dalszym ciągu występowali rozmaici artyści. W tej chwili właśnie przyciągnięto przez scenę cienki drut i zjawiła się jakaś pięknie zbudowana akrobatka w czerwonym trykocie. Cała sala rozbrzmiewała oklaskami. Głafira Siemionowna przyjrzała się akrobatce i krew rzuciła jej się do twarzy.

— To ta flądra! To taki płaszczek!...

Spojrzeli również i Mikołaj Iwanowicz z Konurinem na akrobatkę i poznali w niej czarnooką piękność, z którą tak mile spędzili czas po obiedzie. Twarz Konurina rozjaśniła się przyjemnym uśmiechem... Trącił nieznacznie łokciem Mikołaja Iwanowicza i nogą pod stołem.

— Nie poznaliście swojej przyjaciółki? — zapytała się swych towarzyszów Głafira Siemionowna z ironją w głosie. — Dlaczego nie bijecie oklasków... Widzicie, jaka to artystka... Linoskoczka na drucie...

— A to awantura! — pokręcił głową Konurin, nie przestając uśmiechać się słodko. — Po raz pierwszy w życiu zdarzyło mi się pić wino z akrobatką. W tej trykocie zupełnie inaczej wygląda. Zupełnie niepodobna do tej, którąśmy poznali przy stole. Niech ją kaczka kopnie! Akrobatka...

Tymczasem akrobatka rozpoczęła rozmaite trudne ewolucje na drucie: chodziła po nim z parasolem, bez parasola, kładła się, stawała na głowie. Mikołaj Iwanowicz, nie mając odwagi przy żonie patrzeć na scenę, zerkał tylko od czasu do czasu i omdlewał wprost z zachwytu. Głafira Siemionowna nie przestawała co chwila robić swoich uwag.

— Widzicie, jakie ładne towarzystwo znaleźliście sobie podczas obiadu. Przypatrzcie się dobrze... Zresztą dla was głupich mężczyzn, to może nawet wszystko jedno, może nawet lepiej...

— A kto ją wiedział, że to jest akrobatka! Ja myślałem, że to dama z zupełnie innej sfery! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Siedzi z nami przy stole, mieszka z nami w jednym hotelu...

Konurin z wyrzutem spojrzał na wielomównego przyjaciela, ale było już zapóźno..

— Co takiego? To ona nawet w jednym hotelu z nami mieszka? — zawołała Głafira Siemionowna. — Ho, ho, mój mężulku, w takim razie muszę cię dobrze i w domu pilnować, żeby cię ta flądra nie zamaniła do siebie.

— Przecież przed chwilą powiedziałaś sama, że za granicą jest równouprawnienie...

— Milcz!

Akrobatka skończyła swój numer i wśród burzliwych owacyj, posławszy publiczności kilka pocałunków ręką, ukryła się za kulisami. Rozpoczął się drugi numer a potem była przerwa pomiędzy drugą i trzecią częścią programu. Małżonkowie w dalszym ciągu przekomarzali się ze sobą. Głafira Siemionowna dogadywała w dalszym ciągu mężowi i Konurinowi. Wskutek wypitego wina czerwieniła się ona coraz bardziej, kapelusz zjechał jej troszkę na tył głowy i wzburzone włosy uporczywie sterczały z pod kapelusza. Otaczająca ich stolik publiczność męska coraz częściej z zainteresowaniem spoglądała na Głafirę Siemionownę.

Nagle wśród publiczności zjawiła się owa akrobatka, z powodu której Głafira Siemionowna nie szczędziła swym to-

waszyszom uszczypliwych uwag. Zdążyła się już przebrać i szła teraz pomiędzy stolikami w wspaniałej perłowej sukni jedwabnej, w eleganckim kapeluszu, z olbrzymiem strusiem piórem. Obserwowana przez wszystkich z zachwytem, siadła wreszcie przy jednym ze stolików i zawołała kelnera, żeby coś zamówić dla siebie, gdy nagle ujrzała siedzących Mikołaja Iwanowicza i Konurina... Wstała szybko i podeszła do ich stolika.

— Voyons, c'est vous, messieurs... — rzekła do mężczyzn, jak do starych znajomych, po przyjacielsku klapnęła Mikołaja Iwanowicza po ramieniu i szukała oczami krzesła, ażeby usiąść przy ich stoliku.

Głafira Siemionowna zgrzytnęła zębami.

— Precz stąd, ulicznico! Jak śmiesz siadacz tutaj przy familijnym człowieku, siedzącym ze swoją prawowitą żoną! — zawołała i nawet zamierzyła się na akrobatkę szklanką od wina.



Akrobatka cofnęła się zdziwiona. Mikołaj Iwanowicz skoczył z krzesła i chwycił żonę za rękę.

— Głasza! Głasza, opamiętaj się! Kto robi skandale w publicznem miejscu? — mówił strwożonym głosem. — Patrz, cała publiczność patrzy na ciebie! Rzucać w kogoś szklanką! Przecież za to można się dostać na policję.

— Na policję, to na policję! Zamężną kobietę każdy będzie bronił! Jakie prawo ma ta podła akrobatka wciskać się do familijnego kółka.

— Kochanie, co to za familijne kółko w tingel-tanglu? Usiądź lepiej, uspokój się... Zapanuj nad nerwami.

Akrobatka, mrucząc coś ze złością pod nosem, odeszła od stołu, lecz Głafira Siemionowna jeszcze nie uspokoiła się i w dalszym ciągu, wyrywając rękę mężowi, krzyczała:

— Nie uspokoję się, dopóki nie napluję tej flądrze w same ślepia! Puść mnie.

Konurin przegrodził jej drogę i też zaczął ją uspakajać.

— Mamusiu, niech pani da spokój! Niech się pani uspokoi. Co pani z tego przyjdzie? Przecież nie wypada, żeby pani robiła z nią awanturę. To bardzo nieładnie, ach, jak nieładnie!

Glafira Siemionowna rozejrzała się po sali i nie widząc już więcej akrobatki, rzekła:

— Aha! Zlękła się podła flądra! Chodźmy do domu! — rozkazała.

— Z przyjemnością!... Na miłość Boską jedźmy do domu!... — ucieszył się Mikołaj Iwanowicz.

— I nietylko do domu, ale natychmiast jutro rano wyjeżdżamy z Rzymu. Wyjeżdżamy natychmiast! Jedziemy do Neapolu! Nie chcę z tą flądrą mieszkać w jednym hotelu.

— Jedziemy, gdzie chcesz! — Nawet do djabła pojadę, byle bez awantur.

Mikołaj Iwanowicz wziął żonę pod rękę i zaczął ciągnąć ją do wyjścia. Glafira Siemionowna wyrwała mu rękę i szła sama. Publiczność ,która dotąd z zainteresowaniem obserwowała cały skandal, zaczęła głośno żartować sobie z nich

Konurin szedł z tyłu za Iwanowowymi i mówił:

— Za pozwoleniem... Jeżeli mamy jutro rano wyjechać z Rzymu, kiedyż zobaczymy rzymskiego papę?

Glafira Siemionowna odwróciła się, ujęła ręką pod bok i rzekła:

— Napatrzyliście się dosyć na mamę rzymską, możecie wyjechać, nie oglądając papy. Macie dosyć!

— A to awantura! Wypije baba za grosz, a trzeba za rubla kupić sznura, żeby ją związać i nie dopuścić do awantury... — mruczał Konurin i splunął nawet z niezadowolenia.

Doprowadzona do wściekłości Glafira Siemionowna nie słyszała jego uwagi i wyszła z widowni na kurytarz tingeltangiu.

XLIV.

Glafira Siemionowna dotrzymała słowa: doprowadziła do tego, że nazajutrz rano opuszczono Rzym. Napróżno Konurin prosił ją, ażeby pozostać w Rzymie chociażby na jeden dzień i zobaczyć papieża. Glafira Siemionowna była nieubłagana i stale odpowiadała:

— Widział pan mamę, wystarczy panu! Nie wiedziałam zupełnie Iwan Kondratjicz, że z pana jest taki obrzydliwie namiętny starzec! — dodawała. Pan myśli, że ja się nie domyślam, dlaczego się panu chce tak koniecznie zobaczyć papę rzymskiego? Doskonale to rozumiem. Chce pan zobaczyć akrobatkę, która mieszka nad nami, a wcale nie papę!

— Za pozwoleniem, z jakiego powodu pani jest o mnie zazdrosna? Przecież ja nie jestem pani mężem? — oburzał się Konurin.

— Wcale nie jestem o pana zazdrosna. Mam prawo jed-

nak wymagać od pana, żeby, jeśli pan jedzie z ludźmi familijnymi, zachowywał się pan, jak przystoi familijnemu człowiekowi. Jeszcze wczoraj rano pluł pan ciągle na rzymskie ruiny, prosił pan, błagał pan poprostu, abyśmy wywieźli pana jaknajprędzej z Rzymu, a jak tylko ujrzał pan tę bezecną akrobatkę, natychmiast chce się panu pozostać wśród tych ruin.

— Ależ niech pani zrozumie, że chodzi mi zupełnie o co innego. Napisałem z Nicei list do żony, że jadę do Rzymu, ażeby zobaczyć papę. Żona teraz będzie się mnie wypytywała, jak papa wygląda, a co ja jej na to odpowiem?

— Niech pan jej powie, co panu na myśl przyjdzie — łraźniła Głafira Siemionowna Konurina. — Może pan nawet napisać, że pan pił z nim wino Asti. Wogóle może pan napisać wszystko, co się panu podoba, nic mnie to nie obchodzi.

— Przecież pani wie, że ja nic złego nie myślałem.

— Wcale nie wiem. Czy ja wiem, co pan robił potem, jak wróciliśmy do hotelu z tingel-tanglu? Może pan wcale nie nocował w swoim pokoju, a udał się pan na górę do akrobatki i pił z nią do rana. Jak spojrzę na pańską fizjonomję wszystko mogę przypuścić. Zupełnie zapita gęba, proszę darować wyrażenie...

— Uważam, paniusiu, że pani sobie za dużo pozwala!

— Nic sobie z tego nie robię! Pytał się pan, co ma pan napisać żonie? Może pan napisać jej o swoich awanturkach nocnych. Proszę bardzo, niech pan się nie tłumaczy. Ja mam męża i dobrze wiem, co warci są mężczyźni. Mój mąż też dzisiaj w nocy przynajmniej z pięć razy wstawał z łóżka pod pretekstem, że chce się napić wody. Domyślam się jednak, o co mu chodziło. Chciał się przekonać, czy śpię, żeby wyjść z numeru i udać się do akrobatki... Ale pilnowałam go dobrze, nie spałam prawie całą noc i jak tylko wstał z łóżka, zaraz mówiłam do niego, żeby mu pokazać, że nie śpię.

— Głasza! Jak się nie wstydzisz tak mówić! — wtrącił się dotąd milczący Mikołaj Iwanowicz.

— Może będziesz wmawiał mi, żeś nie wstawał z łóżka. Powiedz, nie wstawałeś? — zwróciła się do niego żona.

— Wiadomo, że po winie człowiek ma zawsze pragnienie... Wczoraj wypiłem za dużo wina.

— A dlaczego ja wczoraj nie miałam pragnienia, dlaczego nie wstawałam z łóżka? Przecież ja wczoraj też dużo wina wypiłam. Znam was, mężczyźni! Głupstwo tylko zrobiłam, że nie udałam śpiącej. Trzeba ci było pozwolić wyjść na korytarz i złapać na miejscu przestępstwa.

Mikołaj Iwanowicz tylko machnął ręką i nie tłumaczył się więcej.

Cała ta rozmowa odbywała się w numerze Iwanowowych podczas rannej kawy. Głafira Siemionowna zażądała natychmiast rachunek z hotelu, zmusiła męża do zapłacenia, dowiedziała się, kiedy idzie ranny pociąg do Neapolu, i dowiedziaw-

szy się, że w południe, natychmiast kazała wynosić wcześniej już zapakowane walizy, ażeby jechać na stację.

— Przecież dopiero dziesiąta godzina, paniusiu! — próbował sprzeciwić się Konurin.

— Posiedzimy sobie na stacji w bufecie! Możemy tam zjeść śniadanie!

„Na dobrego myśliwego sama zwierzyna biegnie" — mówi przysłowie myśliwskie. Kiedy podróżnicy nasi wychodzili z hotelu i szli przez podwórze, ażeby siąść do dorożki, akrobatka siedziała na podwórzu przy stoliku i piła kawę. Głowę i ramiona miała kokieteryjnie owinięte w biały koronkowy szal. Para czarnych olbrzymich jej oczu, wydających się przy białej koronce szala jeszcze większemi i jeszcze czarniejszemi, z ironją patrzyła na Głafirę Siemionownę. Widząc wyniesione na podwórze walizy, akrobatka domyśliła się, że towarzystwo wyjeżdża i na pożegnanie kiwnęła ręką w stronę mężczyzn.

— Nie waż mi się jej odkłaniać! — zawołała Głafira Siemionowna, błysnąwszy wzrokiem i pociągnąwszy męża za rękaw. Zwróciła się w stronę akrobatki i pokazała jej język.

Po dwuch godzinach pociąg wiózł ich do Neapolu. Po prawej i lewej stronie toru kolejowego widać było ruiny starożytnych budowli rzymskich.



— Do widzenia, rzymskie ruiny! Do widzenia cegły i wapno, zwalone na kupę! — żegnał Konurin Rzym, machając ręką w kierunku okien. — Zadziwiająca rzecz, jacy tu w Rzymie nieporządni ludzie. Obok nowych domów stoją walące się rudery i nawet nikt nie pomyśli o tem, żeby to uprzątnąć, że to może być nawet niebezpieczne dla przechodniów. U nas, w Petersburgu, kazałbym natychmiast takie rudery otoczyć płotem wysokim, rozebrać stare mury a cegły i rumowisko wywieźć za miasto.

— Ach Iwan Kondratjicz, co też pan mówi! Niech pan zrozumie, że te ruiny otacza się specjalną opieką, żeby turyści mieli co oglądać! — zauważyła Głafira Siemionowna.

— Nie rozumiem zupełnie, co jest ciekawego w tych kupach cegieł i gruzów.

— A jednak wczoraj oglądaliśmy te ruiny?

— Bo pani nas zaciągnęła! Gdyby o mnie chodziło, to wcalebym nie poszedł, za żadne skarby. Myślałem, że nam pani pokaże dziwy jakieś, cuda...

— To są starożytne ruiny!

— Niech sobie będą nawet najbardziej starożytne. W porządnem mieście powinni to wszystko uprzątnąć ,albo odnowić porządnie, wyremontować. Rozumiem, jeszcze tutaj, za miastem, że stoją takie rudery... Tutaj nikomu to nie szkodzi! Ale żeby w centrum miasta, na najpiękniejszych ulicach stało coś podobnego? Obok pięknego pałacu stoi jakiś szkielet z cegieł bez okien, bez dachu, jak po pożarze. Nawet ta świątynia, w której byliśmy wczoraj, też nie miała dachu. Jak się to nazywało?

— Panteon? — domyśliła się Głafira Siemionowna.

— Właśnie, właśnie, Pantenon! Piękny gmach, w środku wcale porządnie urządzony, a nie ma dachu, deszcz się leje na marmurową posadzkę... A z zewnątrz, co za straszny widok... Odrapane cegły, bez śladu tynku... Aż wstyd patrzeć! Pani mówi, że to starożytna budowla! Dlaczego nie mogą się zdobyć na to, ażeby otynkować ją porządnie. Czy naprawdę ci Włosi-kataryniarze są tacy biedni?

Głafira Siemionowna nie sprzeczała się już z nim.

Im dalej od Rzymu, ruiny stawały się coraz rzadsze, pokazały się ogrody owocowe, ładne wsie z białemi murowanemi domkami, krytemi dachówką. Mężczyźni mieli na głowach słomkowe kapelusze z szerokiemi rondami; kobiety w białych chusteczkach na głowie pracowały w winnicach. Miejscowość stawała się coraz bardziej górzystą. Widoki były piękne i malownicze, lecz Konurin nie zajmował się niemi i wciąż wzdychał.

— Aj, aj, aj! Byliśmy w Rzymie i nie widzieliśmy papy... — mówił od czasu do czasu. — Wstyd poprostu! W Petersburgu będziemy opowiadali, że byliśmy w Rzymie i nawet nie będzie się czem pochwalić: papy nie widzieliśmy.

— A kto panu broni powiedzieć, że pan widział? — zauważyła Głafira Siemionowna.

— Hm, można i tak... — zgodził się Konurin i uspokoił.

XLV.

Około godz. 6-tej pod wieczór po prawej stronie toru kolejowego ukazała się błękitna linja wody. Zbliżano się do Neapolu.

— Morze! — zawołała Głafira Siemionowna, pokazując ręką w kierunku błękitnej dali.

Pogrążeni w drzemkę Mikołaj Iwanowicz i Konurin ocknęli się.

— Gdzie morze? Gdzie morze? — pytał Konurin, ziewając i przeciągając się.

— Patrzcie!

— Jakie niebieskie! Widocznie to o tem morzu śpiewa się w piosnce: „wzburzyło się niebieskie morze".

— A skąd ja wiem, o jakiem morzu śpiewa się w piosnce?

— A ten Neapol prędko będzie?

— Podjechaliśmy do morza, więc już pewno niedaleko. Patrzyłam niedawno na mapie. Neapol stoi na samym brzegu morza.

— Jakto na brzegu morza? Przecież pani mówiła niedawno, że tam jest góra ognista, z której wyskakują palące się głownie.

— Czy nie może być góry ognistej na brzegu morza?

— Hm, może być i na brzegu morza... — ziewał w dalszym ciągu Konurin. — Powiedzcie państwo, więc ten Neapol leży na brzegu morza, a ja myślałem, że tam tylko góry, góry i nic więcej. Jak się ta góra ognista nazywa.

— Wezuwjusz!

— Wezuwjusz, Wezuwjusz!... Żeby nie zapomnieć... Bo może się zdarzyć, że będę chciał coś opowiedzieć żonie o ognistej górze, a nie będę wiedział, jak się ona nazywa... A czy ta góra pali się codziennie i codziennie wylatują z niej palące się głownie?

— Od wieki wieków! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Historja mówi, że ta góra ognista była już tutaj wtedy, kiedy jeszcze nic nie było. Czytałem o tem. Mówią, że jeżeli rzucisz do niej jajko, wyjmuj natychmiast, upiekło się na twardo i możesz zaraz jeść.

— A niech cię... — dziwił się Konurin. — To w takim razie i befsztyk można tam upiec.

— Jakto befsztyk? — podtrzymała rozmowę Głafira Siemionowna. — Kiedy następuje silny wybuch, bardzo często zdarza się trzęsienie ziemi i domy padają, jak zabawki dziecinne. Wtedy z góry wydobywają się całe obłoki dymu, ognia, popiołu i węgli, a nazywa się to wszystko: l a w a.

— A nam to nie grozi żadnem niebezpieczeństwem, jak tak zacznie to wszystko latać?

— Trzeba się mieć na ostrożności i jak jest duży wybuch, nie podchodzić za blisko. Panowie mówią tutaj o jajku i o befsztyku... Pewnego razu w pobliżu Wezuwjusza spaliło się całe miasto, zasypane zostały ulice i domy węglami, głowniami gorejącemi i popiołem. To było już dawno... Miasto to nazywa się Pompea. Teraz zostało odkopane z pod ziemi i jest pokazywane za biletami... W pobliżu Neapolu. Pojedziemy go zobaczyć.

— A niech go tam... Co to ciekawego? — machnął ręką Konurin.

— Jakto, niech go tam? Przecież dlatego specjalnie

jeżdżą do Neapolu, żeby obejrzeć odkopane miasto Pompeę. Dla Wezuwjusza i Pompei specjalnie się tutaj jeździ...

— A jeżeli znów zacznie się wybuch i znów miasto zasypie, a my tam będziemy?

— Widocznie teraz niema wielkich wybuchów, kiedy tam wpuszczają podróżników. To było dawno, za czasów historycznych...

— A przecież pani mówi, że i teraz latają w powietrzu głownie gorejące i węgle?

— Latają i to jest właśnie ciekawe, że latają, ale nie trzeba podchodzić tam, gdzie latają. Jak będziemy wchodzić na Wezuwjusz, trzeba się mieć na ostrożności.



— Nie, Głasza, ja muszę koniecznie zapalić papierosa od takiego węgielka wezuwjuszowego. Zapalę sobie papierosa, upiekę jedno jajko i przywiozę je do Petersburga, żeby wszyscy widzieli, że naprawdę byłem na Wezuwjuszu! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — I węgielków w pudełko nabiorę. Mówią, że tam całe kupy węgli leżą.

— Musi być tam łatwo samowar nastawić! — dodał Konurin. — Tylko, że pewno nie mają, dranie i tam samowarów... Pewno na Wezuwjuszu, tak jak wszędzie zagranicą, nie wiedzą ,co to jest samowar...

— Przecież to węgiel kamienny, a węgiel kamienny jest niedobry do samowara. Wezuwjusz opalany jest węglem kamiennym.

— Wezuwjusz o p a l a n y! — zauważyła ironicznie Głafira Siemionowna. — Kto go opala? On sam się pali, od wieków się pali i od czasu do czasu robi straszne spustoszenia. W całym Neapolu boją się go, kiedy zaczyna palić się mocniej.

— Boją się, a dlaczego go nie zgaszą? — zapytał Konurin. — Mówi pani, że ten Wezuwjusz stoi na brzegu morza. Zawołaliby wszystkich strażaków z miasta z sikawkami, zapuścili węże od sikawek do morza i dawaj pompować wodę do żołądka tego Wezuwjusza.

— Iwan Kondratjicz, co też pan mówi! Czy to jest możliwe!

— Dlaczego niemożliwe? Umieją tutaj zagranicą przeprowadzać wiorstowe tunele kolejowe pod ziemią, w górach, przerzucają mosty nad przepaściami, a nie mogą zalać głupiego Wezuwjusza? Niech pompują cały dzień, dwa dni, tydzień, miesiąc nawet — w końcu zaleją. Zagranicą żeby nie potrafili zalać góry ognistej! Za nic w to nie wierzę! Poprostu nie chce im się. Pani przecież mówi, że do tego Neapolu jeżdżą ludzie po to, żeby zobaczyć tego Wezuwjusza. Dlatego właśnie nie chcą go zalać. Jak go zaleją i przestanie się palić, kto na niego będzie chciał patrzeć? Nikt! A tak głupia publiczność jeździ i jeździ, a Włosi nic nie robią i mają z tego zarobek.

— Niech pan przestanie... Co pan wygaduje... — machnęła ręką Głafira Siemionowna.

— Napewno tak jest. Mówię pani z całą pewnością, jak w aptece! — upierał się na swojem Konurin. Włosi — to naród biedny, Przeważnie kataryniarze, akrobaci, muzykanci, ten na dudach, ten na gitarze — dlatego boją się zalać swoją górę. Niebezpieczeństwo... To co, że niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo niebezpieczeństwem, a głupia publiczność z zagranicy przyjeżdża na to patrzeć i można żyć bez pracy...

Konurin raz jeszcze ziewnął, przymknął oczy i zaczął się układać w kąciku.

— Znów spać! Niech pan już nie śpi więcej! Zaraz przyjedziemy do Neapolu! — przeszkadzała mu Głafira Siemionowna.

— Czy aby napewno zaraz? Chciałbym tylko swój sen widzieć do końca... Nie uwierzycie państwo, jaki mi się sen przyśnił właśnie w chwili, gdy mnie pani obudziła okrzykiem o tem morzu! Obudziła mnie pani w najciekawszem miejscu... Śniło mi się, że jeszcze jesteśmy w Rzymie i że jestem na herbacie u papy rzymskiego...

— Niech pan komponuje, niech pan komponuje!

— Jak Boga kocham, nie kłamię! Salonik taki czyściutki... Siedzimy sobie... Kanarek w klatce na oknie... Stolik nakryty czerwonym obrusem... Samowar... Zupełnie jak u jednego przełożonego klasztoru w gubernji Nowogrodzkiej, gdzie raz byłem na herbacie...

— Jak mogłeś widzieć papę w śnie, kiedyś go nie widział nigdy w życiu? — dziwił się Mikołaj Iwanowicz.

— A widzisz, a we śnie widziałem... Podobny był do tego urzędnika bankowego, Nikity Płatonowicza i taki sam rozmowny... Pyta się mnie: „Czy w Petersburgu ludzie jedzą włoskie makarony?“

— Głupstwo! Jak mogłeś z nim rozmawiać, kiedy papa rzymski mówi tylko po włosku?

— Głupi jesteś! Przecież to we śnie... Czy nie wiesz, że człowiekowi wszystko się przyśnić może... Otóż śni mi

się, że papa doskonale mówi po rosyjsku... Potem nachylił się nademną...

— Naprawdę głupstwa pan opowiada! Nawet słuchać się nie chce! — wtrąciła się Glafira Siemionowna i odwróciła się do okna.

— Nachylił się nademną, uśmiecha się i mówi mi do ucha: „Chociaż, mówi, Iwan Kondratjicz, według naszych talijańskich obyczajów, nie wypada pić rosyjskiej wódki, ale może połkniemy po kieliszeczku?"

— Łżesz, łżesz! Naprawdę komponujesz! Papież piłby z tobą wódkę! Za żadne skarby nie uwierzę! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— Mówię ci, że to wszystko we śnie... Zrozumże człowieku, że to we śnie... Jak tylko mi to powiedział... nagle Glafira Siemionowna krzyczy: „morze".. Obudziłem się... Szkoda!... Gdybym się nie obudził, wypiłbym z papą rzymskim po kieliszku naszej prawosławnej wódeczki.

— Durnia strugasz i nic więcej! Daj spokój!

— Daję ci słowo honoru, jak Boga kocham! I wszystko to tak dokładnie widziałem!...

Patrzcie, patrzcie! Wezuwjusz się pokazał! — krzyczała Glafira Siemionowna, pokazując palcem. — To lepsze od tego pańskiego opowiadania o wódce u papieża. Ach, jaki piękny widok!



— Gdzie? Gdzie? — zawołali mężczyźni, skoczyli ze swoich miejsc i też zaczęli patrzeć przez okna.

Przed nimi na niebieskim horyzoncie przy zachodzącem słońcu widać było szaro-fioletowy, nieco rozdwojony na szczycie stożek Wezuwjusza. Z krateru wydobywała się cienka smuga dymu i rozszerzając się, tworzyła nad szczytem maleńki biały obłok.

— To Wezuwjusz? — pytał się Konurin, widocznie spodziewający się innego widoku.

— Przecież pan widzi! Przecież pan widzi dym! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— A gdzie płomienie? Gdzie głownie gorejące?

— Boże mój, czy można przy dziennem świetle i na tak daleki dystans widzieć płomienie i głownie? Na to trzeba patrzeć zbliska i w nocy.

— Przyznam się, że i ja sobie wyobrażałem Wezuwjusz zupełnie inaczej — odrzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Czy nie widziałeś go na obrazkach? Przecież na obrazkach jest zupełnie taki sam.

— Na obrazkach widziałem i właśnie na obrazkach widziałem, że leci z niego ogień i nawet łunę widać na niebie...

— Łunę widać tylko w nocy. Widocznie widziałeś Wezuwjusz w nocy.

— Nie boję się zupełnie tego Wezuwjusza, wcale się nie boję! Jeżeli i zbliska będzie on taki sam, pójdę z wami, gdzie chcecie. Niema tu nic niebezpiecznego. Dymiący się komin na dachu, ot i wszystko! — zadecydował Konurin.

XLVI.

Pociąg zatrzymał się. Na peronie dworca neapolitańskiego było tłumnie. Przedewszystkiem rzucały się w oczy brudne, zaplamione kapelusze z szerokiemi rondami. Z pod kapeluszy wyglądały bronzowe opalone twarze z czarnemi jak węgiel wąsami, z dawno niegolonemi brodami... Tu i owdzie widać było elegancko ubranych oficerów, w wąskich spodniach koloru niebieskawego i maleńkich kepi, zaledwie sterczących na czubku głowy.

— Botega! Botega! Albo nie.. nie Botega... Fakino! Fakino! — krzyczała przez otworzone okno Głafira Siemionowna, dowiedziawszy się z książeczki, że tragarz nazywa się „fikino".

Tragarz w niebieskiej bluzie, z blachą na piersi skoczył do przedziału wagonu.

— Oto... Tre sak-wojaż... Due poduszki... Alle... Wetturino niech nas zawiezie do Albergo! — mówiła, wstawiając włoskie słowa.

Tragarz zaniósł ręczne bagaże na taras przed dworcem. Tam Iwanowowie i Konurin siedli do pierwszego z brzegu omnibusa hotelowego, który, jak się okazało, należał do hotelu Bristol i pojechali.

Ze stacji prowadziła z początku szeroka ulica, lecz wkrótce zaczęły się wąskie zaułki, uliczki brudne, źle pachnące, jak w Rzymie, ze staremi domami kilkopiętrowemi, ze sklepikami żywnościowemi, razurami cyrulików, gdzie golibrodzi w kamizelkach z zawiniętemi po łokcie rękawami szarych od kurzu koszul golili szczecinowe podbródki swoich klijentów, siedzących często na progu razur. Obok gotowano na małych

żelaznych piecykach fasolę i makarony, które przechodnie jedli na miejscu ,niosąc do ust wprost rękoma. Na tem samem miejscu dojono kozy wprost do butelek, suszyły się brudne łachmany, dziecinne sienniki... Przy sklepikach chodziły chude psy, wyszukując jakiejś zdobyczy.

— Boże, jak tu brudno! — odzywała się od czasu do czasu Głafira Siemionowna. — Nasza kucharka, Afimja, czułaby się tutaj dobrze. Pływałaby tutaj, jak pączek w maśle. Ona zawsze mi się tłumaczy, że przy gotowaniu nie można zachować należytej czystości i że kuchnia jest na to stworzona, żeby karaluchy miały gdzie mieszkać.

Karetka zaczęła jechać pod górę. Zaprzężone do niej muły ledwie ją wlokły za sobą. Wreszcie skończyły się zaułki, skończył się również stromy podjazd, wjechano na korso Wiktora Emanuela, szeroką ulicę z przechodzącym po niej tramwajem konnym, zabudowaną eleganckiemi kamienicami. Ulica ta była na dość wysokiej górze i stanowiła jakby taras: domy zbudowane były tylko z jednej strony, z której zaczynała się góra, druga zaś strona ulicy przedstawiała jakby bulwar, ogrodzony kamienną barjerą i stąd roztaczał się wspaniały widok na Neapol i morze. Domy, na stoku budowane, spadały jakby tarasami. Zapadł zmrok. Widziany zdaleka Wezuwjusz zaczynał się coraz bardziej czerwienić nad swym stożkiem.

— Iwan Kondratjicz! Widzi pan, jak Wezuwjusz się pali? — wskazywała Konurinowi Głafira Siemionowna.

— Widzę, widzę, ale pomimo to wyobrażałem go sobie inaczej. Co to za ogień! Jeżeli u nas jedzie się koleją koło huty Kołpina, to tam od pieców idą daleko większe płomienie.

Kareta hotelowa zatrzymała się przed eleganckim domem. Rozległy się dzwonki. Dzwoniono w wielki dzwon, po chwili odezwały się małe dzwoneczki. Przed hotel wybiegli szwajcar i pomocnik szwajcara w czapkach ze złotym galonem, służba hotelowa w zielonych fartuchach, wyskoczył chłopiec w kolorowem ubraniu ze złotemi guzikami i w kepi. Wyszedł wreszcie i zarządzający hotelem, elegancki młody człowiek w binoklach na nosie z dwoma ołówkami za prawem i lewem uchem. Wszyscy, jeden przez drugiego, zaczęli wyciągać bagaż z karetki i wysadzać podróżników...

— Due kamera... — zaczęła Głafira Siemionowna łamać włoski język, lecz służba zaczęła zaraz mówić do nich po niemiecku, francusku i angielsku.

— Madame parle Francais? — zapytał ją elegancki zarządzający i otrzymawszy potakującą odpowiedź, zaprowadził ją do windy. Mikołaj Iwanowicz i Konurin szli z tyłu.

Skrzypnęły bloki windy i oto podróżnicy nasi znaleźli się w kurytarzu trzeciego piętra. Nagle do uszu ich dobiegły słowa rosyjskie:

— Idź i powiedz tym draniom, że jeżeli dziś na obiad znowu będzie barania habanina z makaronem i czarny pudding, to niech ich wszyscy djabli wezmą, ale więcej u nich nic jeść nie będę!



Na kurytarzu stał młody człowiek w jasnym garniturze w kratkę, z lokiem nad czołem, w kolorowej koszuli, z wysokim kołnierzykiem do uszu, w żółtem obuwiu, z całą kupą breloków, wiszących na grubej złotej dewizce. Przy mankietach koszuli widać było spinki wielkości podstawków. Przed nim stał jakiś jegomość w średnim wieku, z długiemi włosami, z ostrą bródką, w dosyć zniszczonem ubraniu. Był małego wzrostu, chudy i ubranie wisiało na nim, jak na wieszadle.

— W takim razie dowiem się tylko, jakie menu mają dzisiaj na obiad, bo przecież zmieniać dla nas menu nie będą! — odpowiedział mały, chudy człowieczek.

— Nie rezonuj mi tutaj, a idź i skończone!

— Rosjanie! — pomimowoli wyrwało się z ust Głafiry Siemionowny, która trąciła Mikołaja Iwanowicza.

— Tak jest, madam, Rosjanie! — odpowiedział młody człowiek. — Pozwoli pani, że się zarekomenduję. Z Petersburga!... Handel piór, puchu, półpuchu, szczeciny i włosia sukcesorów Awerjana Grablina, Grzegórz Awerjanowicz Grablin! — zarekomendował się młody człowiek. — A to — pan artysta-pendzlarz z Petersburga, Bazyli Dymitrycz Pieriechwatow. Wziąłem go ze sobą zagranicę, jako tłumacza. Pochwalił się przedemną w Petersburgu, że po włosku umie mówić lepiej od sławnego tenora Mazini, a okazało się, że nic nie umie i tylko po francusku kilka słów mamrocze i to jeszcze z żydowskim jakimś akcentem.

— Bardzo mi przyjemnie... — rzekła Głafira Siemionowna i podała Grablinowi i Pieriechwatowowi rękę. — My też z Petersburga! Oto mój mąż, a to nasz przyjaciel.

Mikołaj Iwanowicz z Konurinem powiedzieli swoje imiona i nazwiska i też podali ręce nowym znajomym.

A więc idź i powiedz im, co powiedziałem ci o baraniej habaninie i puddingu! — jeszcze raz dał rozkaz Pieriechwatowi Grablin. — Powiedz im również, żeby mi więcej tego mazidła pomidorowego do ryby nie podawali!

Pieriechwatow podrapał się po głowie i z widoczną niechęcią powoli zaczął schodzić ze schodów. Zarządzający hotelem poprowadził Iwanowowych i Konurina, ażeby pokazać im pokoje. Grablin z rękami w kieszeniach spodni szedł za nimi z tyłu.

— Trafiliście państwo do najbardziej złodziejskiego hotelu w całym Neapolu! — mówił do Iwanowowych i Konurina.

— Zagranicą wszystkie hotele są złodziejskie! — odpowiedział Konurin.

— Nie, panoczku, ten jest pierwszy sort. Pół Europy zjeździłem, a takiej spelunki złodziejskiej jeszcze nie widziałem... Za maleńki syfon wody sodowej łupią półtora franka. Najtańsze wino kosztuje pięć franków za butelkę. A oprócz tego cały hotel — to jedno gniazdo angielskie! Cały hotel zajęty przez Anglików! Anglik jedzie na Angliku i pogania Anglikiem, skutkiem czego w hotelu wszystkich zamęczają żarciem angielskiem. Na śniadanie baranina z makaronem i bobem, na obiad baranina, na śniadanie czarny pudding i na obiad czarny pudding... Djabli mnie skusili, że wziąłem tutaj pansion na cały tydzień, a mieszkam dopiero trzy dni i już chcę zwiać od tych drani. Postanowiłem stanowczo. jeżeli dzisiaj znów na obiad podadzą baraninę, makarony i boby, pluję na pansion i jadę na obiad do innej restauracji.

— Nie, nie... My nigdy nie wynajmujemy hotelu z pansionem! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Poco mamy się krępować?

— Bardzo słusznie! Wiecie państwo co?... Nie jedliście jeszcze obiadu? Umyjcie się państwo, przebierzcie i chodźmy razem na obiad do restauracji naprzeciwko teatru Sankarlo! — zaproponował Grablin. — Wczoraj jadłem tam kolację po teatrze. Wspaniała restauracja i mają bardzo taniego szampana. Niech djabli wezmą ten tutejszy hotel! Oczy moje nie chcą się patrzeć na tych parszywych Anglików. Wszystkie Angielki — mordy, a mężczyźni — jeszcze gorsze! Naprawdę nie mogę już źreć tej tutejszej mazi pomidorowej, którą oni polewają rybę. Oprócz tego wszystko tu jest tak przepieprzone, że w ustach pali, jakbyś gorące węgle łykał. Pojedziemy? Bardzo się cieszę, że spotkałem się z Rodakami!

— Nie tak prędko, nie tak prędko! Niech pan nam po- [illegible] poprowadzić garderobę do porządku! — rzekła Grafina [illegible].

Iwanowowie i [illegible] wybrali pokoje i zaczęli się myć po podróży.

XLVII.

Zaledwie Glafira Siemionowna zdążyła zrzucić kostjum podróżny, przebrać się w inną suknię i właśnie zabrać się do fryzowania grzywki, gdy Grablin już pukał do pokoju. Razem z Grablinem stał za drzwiami jego towarzysz Pieriechwatow.

— Nie warto tutaj jeść obiadu w hotelu! Zapewniam państwa, że nie warto. Mój Rafael dowiedział się, że i dzisiaj na obiad znów dają baraninę i pudding, a chociaż tym razem nie podają pomidorowej mazi do ryby, ale zato będzie zupa z żółwia! — mówił Grablin, pokazując na Pieriechwatowa.

— Zupa żółwia? Pfuj! Mikołaj Iwanycz, słyszysz? — zawołała Glafira Siemionowna.

— Dajmy na to, że jako człowiek polerowany mogę jeść różne świństwa, nawet któregoś dnia, ażeby pokazać swoją cywilizację, jadłem smażone ostrygi w jajecznicy, ale poco człowiek ma się zmuszać? — ciągnął dalej Grablin. — Jedźmy do tej restauracji naprzeciwko teatru, o której mówiłem państwu. Wczoraj jeden z kelnerów mówił tam mojemu Rafaelowi, że kucharze tamtejsi potrafią wszystko nam przygotować, nawet rybną solankę. Mówił, że potrafią zrobić wszystko, żeby nam dogodzić... Rafael! Nie nakłamałeś mnie aby?

— Nie... Nazywa się to po tutejszemu „bulabes", coś w rodzaju gęstej takiej zupy na rybie.

— Chętniebym solanki sprobował! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Około miesiąca włóczymy się po tych palestynach zagranicznych, a solaneczki nie widzieliśmy nawet.

— Jedźcie państwo ze mną! Od dzisiejszego dnia płuję na ich pansion!

— Wyobraźcie sobie panowie, jakie warunki nam tu postawił w hotelu! — oznajmiła Glafira Siemionowna. — Za pokoje wzięli po sześć franków od łóżka, jeżeli jednak nie zjawimy się na śniadanie, albo na obiad, natychmiast każdemu do rachunku dopiszą po dwa franki.

— A widzicie państwo, jacy to dranie... Nie mówiłem? Wymagają, żeby ich lokatorzy pili u nich i jedli, a usiądziesz, do stołu podadzą ci baranią habaninę i mazię pomidorową. Po zupie częstują cię xeresem i maderą. Chcesz — pij, nie chcesz — nie pij, ale franka ci do rachunku dopiszą, oszuści jedni. A dla mnie, proszę państwa, xeres, albo madera to to samo, co olej rycynowy. Czy państwu zależy co na dwuch frankach? Niech dopisują, dranie, do rachunku, niech ich wszyscy djabli wezmą! Plujcie na dwa franki i jedźcie ze mną do restauracji naprzeciwko teatru Sankarlo!

Iwanowowie zgodzili się i Konurin także i wszyscy opuścili hotel. Na dworze była już ciemna noc południowa; nad Wezuwjuszem paliła się purpurowa łuna.

— Czy pan był już na Wezuwjuszu? — zapytała Glafira Siemionowna Grablina, który przysiadł się do niej i do męża

do dorożki w trakcie tego, gdy Konurin i Pierieclwałow zajęli drugą.

— Niech państwo sobie wyobrażą, że nie byłem. Nigdzie nie byłem! Trzeci dzień mieszkam już tutaj i nie widziałem jeszcze nic interesującego. Mój pendzlarz ciągnie mnie zawsze za sobą po rozmaitych muzeach i mówi mi: „To cywilizacja!“ Pytam się państwa, co to za cywilizacja: stare zakurzone obrazy, popękane farby? Na niektórych to nawet nie można dobrze dopatrzeć się, co przedstawiają. Albo te połamane figury... „Oto — mówi mi — Wenus!“ A co to za Wenus, kiedy jej nawet brzucha brakuje? Ani brzucha, ani rąk. Potem każe mi patrzeć na jakieś zielone kawałki miedzi. „To — mówi — bronz, znaleziony pod ziemią...“ Jakieś lalki.



Pluję na lalki. Albo szkielety ludzkie. „Znalezione — mówi — na głębokości 732 stóp!“ Szkielet jakiejś kobiety! Bardzo mnie interesuje szkielet kobiety! Pokaż mi żywą kobietę, a nie szkielet. Tak, w muzeach ciągle tylko potrzaskane obrazy, połamane rzeźby, a w hotelu habanina barania z makaronem i maź pomidorowa. Wziąłem drania ze sobą, jako tłumacza i już zaczynam żałować. Pomyślcie państwo, taki Rafael kosztuje niemało. Samego koniaku ile taki drab wypije przez dzień, nie mówiąc już o preparatach żywnościowych... Jedyna rzecz praktyczna, którąśmy załatwili w ciągu tych trzech dni, to to, że obejrzeliśmy trzy tingel-tangle nocne, ale muszę państwu powiedzieć, że tutejsze mamzele, to tandeta wobec paryskich... Pardon! Zapomniałem, że rozmawiam z damą! — zastanowił się Grablin. — Jutro mieliśmy obejrzeć jedno miasto, które zapadło się pod ziemię.

— Pompeję? — zapytała Głafira Siemionowna.

— Właśnie, właśnie... Pompeję... „Zobaczymy — mówi — starożytne łaźnie przedpotopowe, szynki i domy, gdzie mieszkały najbardziej starożytne kokoty“... Pardon! Stale zapominam, że pani jest prawdziwą damą. Trzy tygodnie włóczę się po zagranicach i pierwszą prawdziwą, zamężną damę spotkałem

— Pompeja zupełnie nie jest miastem, które się zapadło. Czytałam o tem! — poprawiła Grablina Głafira Siemionowna. — Pompeja została zalana przez lawę i popiół, podczas wybuchu Wezuwjusza, a teraz ją odkopano i pokazują podróżnikom.

— Czy to nie wszystko jedno? Pani myśli, że to będzie interesujące... obejrzeć to wszystko?

— Naturalnie! Przecież po to się jeździ do Neapolu. Być w Neapolu i nie widzieć odkopanej Pompei, to wogóle lepiej nie przyjeżdżać tutaj.

— Jeżeli tak, to jutro tam jedziemy. Mój Rafael Pendzelkiewicz ma nawet taką książkę, gdzie jest to wszystko opisane.

— Z przyjemnością pojedziemy!

Restauracja,do której zajechało nasze towarzystwo, była oświetlona a giorno elektrycznością i przepełniona publiką. Publiczność siedziała również i przed restauracją na ulicy przy maleńkich stolikach. Brzęczały dwie mandoliny i gitara, przyjemny baryton i tenor śpiewały jakąś włoską piosenkę. Pomiędzy stolikami przeciskały się kwiaciarki z różami, chłopcy sprzedawali cygara, papierosy i zapałki, chodzili handlarze figurek terakotowych, wciskając je publiczności, maleńkie bose dziewczynki natrętnie wsuwały gościom nitki korali, różańce z drobnych muszelek, albo też wprost prosiły o datki.

Towarzystwo nasze weszło do restauracji. Wnętrze olśniewało swoją elegancją i bogactwem. Na suficie i ścianach, pomiędzy olbrzymiemi lustrami, były piękne olejne obrazy. Restauracja była tak przepełniona, że towarzystwo nie mogło długo znaleźć dla siebie miejsca i tylko dzięki lokajowi, który poznał Grablina i Pieriechwatowa, którzy widocznie wczoraj dali mu dobry datek na piwo, znalazło się dla nich miejsce i krzesła.

— Rafael! Zamawiaj prędzej solankę rybną z kapustą! — komenderował Pieriechwatowowi Grablin.

— Wódeczki, wódeczki naszej rosyjskiej prawosławnej, żeby nam podali! — prosił Konurin.

— Niema nigdzie. Trzy dni szukamy wszędzie po restauracjach i kawiarniach... Niema! Nawet nazwy nie znają! — odpowiedział Pieriechwatow.

— W takim razie napijemy się koniaczku, ale dobrego.

— I koniak mają pod psem. Zamówić dla wszystkich solankę? Bulabes? — Pieriechwatow dał zamówienie kelnerowi i zaczął przeglądać kartę. — Co państwo jeszcze zażądają?

— Jabym prosiła o dobrze wysmażony befsztyk! — prosiła Głafira Siemionowna.

— Uprzedzam panią, że tutaj befsztyki piecze się na oliwie. W całych Włoszech południowych nie znajdzie pani w żadnej potrawie ani odrobiny masła.

— To nic nie szkodzi, ja lubię oliwę!

— Panie i dla mnie proszę befsztyk na oleju! — krzyczał Konurin. — Przyjadę do domu, będę się mógł przynajmniej czem pochwalić przed żoną. „Wyobraź sobie, w Neapolu jadłem befsztyk z postnego mięsa na postnym oleju!"

— Widzę dzisiaj na karcie specjalne danie tutejsze: „oleapatryda"? Może kto z państwa chce sprobować miejscowego dania?

— A co to jest olejpatryda? Może to jakaś pieczona żaba? — pytał Konurin.

— Nie, to taka sałatka z różnego mięsiwa. Wszystko jest tutaj i ryba i mięso. Wszystko zmieszane z jarzynami, z kaparkami, z oliwkami, dobrze opieprzone i polane octem i oliwą. Po koniaku — wspaniała przekąska.

— Różne mięsiwa? — To może tam jest i żabie mięso i żółwiowe?...

— Nie! We Włoszech nie jedzą żab!

— Po tej solance każ podać wszystkim po porcji befsztyku, a tej sałatki olejpatrydzkiej zamów tylko dwie porcje, żeby było na przekąskę. Będzie nam smakować — będziemy jeść, nie będzie — każemy zabrać z powrotem! — zadecydował Grablin.

— Wszyscy państwo będziecie jeść, bo to bardzo smaczna rzecz.

— Ja nie będę jadła za żadne skarby! — odezwała się Glafira Siemionowna. — Zagranicą nie dotykam się do ryby!

— Dla damy zażądamy żelati — lody. Neapol słynie ze swoich lodów, które przygotowują tu na rozmaite sposoby.

Pierechwatow zaczął zamawiać dania.

— Asti, Asti!... Możnaby zamówić ze trzy buteleczki Asti! — zaproponował Mikołaj Iwanowicz.

— Aha! Już państwo wiecie, co to Asti?

— Naturalnie, panoczku, jużeśmy się zwłoszczyli do gruntu! — zauważył Konurin.

XLVIII.

Wszystkie dania były bardzo smaczne i elegancko podane. Prowizja była świeża, porcje duże, restauracja sprawiła na wszystkich bardzo miłe wrażenie i pomimo, iż Glafira Siemionowna nie probowała ani zupy, ani nawet olejpatrydy ponieważ wogóle zagranicą postanowiła nie dotykać żadnego dania rybnego, w obawie, żeby nie dostać czegoś w rodzaju żmiji i jadła na obiad tylko befsztyk i lody — wszyscy byli zadowoleni. Mężczyznom podobał się bulabes, mocno pachnący korzeniami i opieprzony należycie; chrząkali z zadowolenia, jedząc go i co chwila popijali koniak z małych kieliszków. Oleapatryda też wydała im się smaczną przekąską po koniaku, pomimo iż Konurin ciągle wybierał widelcem jakieś podejrzane kawałki i mówił:

— Dobre żarcie, ale dla Niemca, a nie dla Rosjanina. Niemiec dlatego lubi swoje forszmaki różne, że zjada je i nie wie, co je. Tutaj to samo. Jem, a nie wiem, co mam w ustach. Możliwe, że to kawałek zająca, a może i krokodyla...

— Ty zawsze coś nagadasz! Skąd krokodyla? — uśmiechnął się Mikołaj Iwanowicz.

— Cóż chcesz! Tutaj wszystko zeźrą.

— Proszę pana... Możeby pan przynajmniej innym przy stole nie psuł apetytu! — zwróciła uwagę Konurinowi Głafira Siemionowna.

— Mogę państwa zapewnić, że nikt tutaj krokodylów nie je, choćby dlatego, że w całych Włoszech niema ani jednego krokodyla. Może pani jeść spokojnie! — rzekł Pieriechwatow. Zajęcy także tutaj nikt nie jada, to tylko tam u nas na północy... Co najwyżej króliki jedzą...

— Tfu! Tfu! Jeszcze lepiej! — spluwał Konurin.

— Jadłbyś lepiej, dał spokój z tem grzebaniem na talerzu! — odezwał się do Konurina Mikołaj Iwanowicz. — Jak przyjedziemy do Petersburga i tak będziemy musieli sobie kazać święconą wodą usta wyczyścić od tych zagranicznych jedzeń.

— Nie rozumiem panów, dlaczego żądacie, żeby wam podawano rozmaite takie jedzenia, a potem wygadujecie różne niemożliwe rzeczy? — zapytała Głafira Siemionowna.

— To tak, żeby się zwłoszczyć należycie! Zresztą jeżeli jest smaczne i nadaje się jako przekąska po koniaku, to dlaczego nie sprobować! A więc panowie, jeszcze po jednym kieliszeczku! — zaproponował Mikołaj Iwanowicz.

Podana na stół butelka koniaku została opróżniona do dna i całe towarzystwo było w dobrym humorze. Trzy butelki pieniącego się Asti jeszcze dodało wesela.

— Proszę państwa! Pójdziemy stąd do teatru San-Carlo! — zaproponował malarz Pieriechwatow. — To naprzeciwko! Trzeba tylko przejść przez plac. Przecież nie wypada być w Neapolu i nie być w znakomitym teatrze San-Carlo, który uchodzi za największy teatr na świecie.

— A co tam za przedstawienie? — zapytał Grablin.

— Opera, opera... O święta prostoto! Młodzi śpiewacy i śpiewaczki z całego świata, o ile są we Włoszech, uważają za szczęście, jeżeli pozwolą im śpiewać w teatrze San-Carlo. Na tej scenie rozpoczynają się karjery śpiewaków i śpiewaczek.

— O co idzie?... Przejdziemy przez plac i pójdziemy do teatru! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Opery zawsze można z przyjemnością posłuchać.

— Komu co przyjdzie z opery? Co to jest opera?! — skrzywił się Grablin. — Prawdopodobnie jeszcze w dodatku śpiewają jakąś pogrzebową operę. Komu po koniaku i Asti potrzebna jest opera? Czy nie lepiej gdzieś pojechać do jakiego tutejszego kafeszantanu? W trzech takich zakładach już byliśmy, ale słyszałem, że jest jeszcze czwarty. Pomimo,

że tutejsze mamzelki to hołota i w porównaniu z paryskiemi nie warto nawet, żeby o nich mówić, ale djabeł nie śpi, może w tym czwartym tingel-tanglu znajdziemy jakieś specjalne kwiatuszki i powąchamy, jak się należy.

Głafira Siemionowna oburzyła się.

— Proszę pana, Grigorij Awerjanycz, widzę, że pan znów zapomina, że siedzi pan w towarzystwie familijnem! — zwróciła się do Grablina, marszcząc brwi.



Ten skonsternował się, uderzył się dłonią po czole i rzekł:

— Pardon, madam! Tysiąc razy pardon! — zawołał. — Proszę mi darować. Zupełnie zapomniałem, że siedzę w towarzystwie prawdziwej damy. Jak Boga kocham, od samego wyjazdu z Petersburga do dziś dnia nie widziałem prawdziwej damy, zupełnie się odzwyczaiłem od takiego towarzystwa. Trzy tygodnie włóczymy się już po tej zagranicy i pani jest pierwszą zamężną damą. Jeszcze raz pardon. Ażeby przeprosić panią, gotów jestem nawet iść do teatru San-Carlo i wysłuchać najbardziej nawet pogrzebowej opery.

— Naturalnie, naturalnie chodźmy do San-Carlo! — pochwycił Pieriechwatow. — Przecież to byłby wielki wstyd — być w Neapolu i nie posłuchać opery w San-Carlo. Wysłuchamy operę w teatrze, a jutro wstaniemy wcześniej i pojedziemy do Pompei oglądać starożytne wykopaliska.

— Milcz, pendzlarzu! Zamaluj sobie swoją gębę paskudną! Idę do teatru Sankarlo, ale nie dla ciebie idę, a dla prawdziwej damy, dla Głafiry Siemionowny! — przerwał mu Grablin. — Czy ma pani życzenie iść na operę?

— Naturalnie! — kiwnęła głową Głafira Siemionowna. — Płać, Mikołaj Iwanycz i chodźmy! — zwróciła się do męża.

— Za karę muszę pani ofiarować różę! — mówił dalej Grablin i krzyknął: — „Te, kwiaciarka! Chodź tu, mała kanalja z czarnemi ślepiami! Tutaj!“

Zawołał do siebie kwiaciarkę, kupił bukiet róż i ofiarował go Głafirze Siemionownie.

Po pięciu minutach całe towarzystwo zapłaciło rachunek w restauracji i skierowało się poprzez plac do teatru. Tłum różnych sprzedawców ulicznych biegł za naszymi podróżnikami od restauracji, wtykał w ręce mężczyzn i Głafiry Siemionowny kwiaty i figurki, albumy z widokami Neapolu, korale, muszelki, drobnostki z mozajki, fotografje śpiewaków i śpiewaczek libretta oper i t. p.

— Wont! — krzyczał Konurin, wyrywając się sprzedawcom, lecz ci nie dawali za wygraną i ciągle go atakowali, wychwalając swoje towary. W teatrze tego wieczoru była jakaś opera dwuaktowa i niewielki balet. Wnętrze teatru zadziwiło podróżników swoją wielkością.

— Boże! Przecież do tej sali możnaby cały petersburski Marjiński teatr razem z dachem wstawić! — dziwił się Mikołaj Iwanowicz. — Rzeczywiście, że sala olbrzymia!

Również zdziwiły wszystkich tanie ceny za bilety. Po cztery franki otrzymali nasi podróżnicy bilety w szóstym rzędzie krzeseł.

— Chryste Panie! A u nas w Petersburgu ileby zdarli za takie bilety? — rzekł Konurin. — Dali nam oto bilety za rubel 60 kopiejek do szóstego rzędu, a u nas w Petersburgu za trzy ruble musisz siedzieć w Marjińskim teatrze gdzieś w kąciku i to jeszcze musisz dobrze nakłaniać się kasjerce, żeby dostać bilety.

Podobały się również nadzwyczaj krótkie antrakty. Zasłona zapadała zaledwie na pięć minut. Balet składał się z sześciu obrazów i zmiana dekoracji odbywała się bez atraktów Szybkość zmiany dekoracji i kostjumów zdziwiła całe towarzystwo. O godzinie 10-tej wieczorem przedstawienie było już skończone.

— Przepraszam pani!... Jak Boga kocham, zagranicą zamężna dama może bywać w kafeszantanie! — zwrócił się Grablin przed teatrem do Głafiry Siemionowny. — Niech pani jedzie z nami gdzieś do jakiegoś tingel-tanglu.

— Nie, nie! My jedziemy do hotelu! Mamy w hotelu swoją herbatę. Sprobujemy sobie w jakiś sposób przygotować herbaty, napijemy się i pójdziemy spać. Jutro musimy wcześniej wstać i pojechać do Pompei. Przecież już postanowiono? Jutro rano jedziemy do Pompei! — mówiła Głafira Siemionowna.

— Co tam Pompea! Dlaczego do tej głupiej Pompei mamy jechać jutro? Możemy jechać i pojutrze. Niech pani lepiej jedzie z nami gdzieś do jakiego kabareciku!

— Do kabareciku może pan sam pojechać ze swoim tłumaczem.

— Samemu mi się nie chce, a towarzystwo mojego Rafaełka już mi się zupełnie sprzykrzyło. Wie pani, jaki mam projekt: odprowadzimy panią wszyscy do hotelu, do samego numerku, a potem zabierzemy pani mężulka i jego przyjaciela i razem z nimi pojedziemy do jakiegoś kabareciku?...

— Czy pan zwarjował?

Oczy Głafiry Siemionowny błysnęły gniewem.

Grablin musiał się upokorzyć. Pojechano razem do hotelu. Ale kiedy przybyto na miejsce, Grablin nie dał za wygraną. Wyszedł był już nawet z dorożki, ażeby iść do hotelu, lecz nagle zatrzymał się, zastanowił się przez chwilę, poczem znów siadł do dorożki i krzyknął do Pieriechwatowa:

— Rafael Pędzelkiewicz! Siadaj do dorożki, jedziemy we dwójkę oglądać klasztory tintentanglowe nieapolitańskie! Jeszcze za wcześnie do domu! Nie mamy co tam w domu robić. Dzieci nasze w domu nie płaczą!

Pieriechwatow wzruszył ramionami i przysiadł się do niego do dorożki.

XLIX.

Wszystko odbyło się według ułożonego przez Głafirę Siemionownę planu. Iwanowowie wstali wcześnie; nie było jeszcze siódmej, kiedy Głafira Siemionowna pierwsza wstała z łóżka, otworzyła okno, podniosła roletę i nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu. Ujrzała przez okno cudowny widok Neapolu z lotu ptaka. Jak już powiedzieliśmy, hotel wybudowany był na wzgórzu, przez co z okien widać było całe miasto, jak na dłoni. Dalej widać było nieskończoną dal niebieskiego morza. Tu i ówdzie można było zauważyć na morzu czarne punkty parostatków, lub białe żagle łodzi, po lewej ręce wyrastał Wezuwjusz i dymił swoim stożkiem. Wzdłuż z góry ku morzu tarasami opawli, przerywane zielone chy, wieżyce, wieżyczki różnych budodało miasto i ulice. Da mi palmami ogródków i skwerów, wszystko to sprawiało nad zwyczajne wrażenie w promieniach rannego słońca. Ciepłe ożywcze powietrze wpadało przez otwarte okno i pomimowoli zmuszało piersi do głębokiego oddechu:

— Ach, Boże, co za cuda! Wyobraź sobie, że w marcu może być taki piękny poranek! — zachwycała się Głafira Siemionowna. — Mikołaj Iwanycz, wstawaj, czego kocołujesz w łóżku, zobacz co za widok cudowny.



Wstał z łóżka również i Mikołaj Iwanowicz i nieubrany jeszcze, w bieliźnie, razem z żoną zachwycał się wspaniałym widokiem Neapolu.

Po pół godzinie, kiedy małżonkowie Iwanowowie siedzieli przy kawie, przyszedł Konurin.

— Napisałem przed chwilą list do żony! — rzekł. — Napisałem, że byłem w Rzymie w gościnie u papy rzymskiego i piłem u niego herbatę! — mówił nieco skonfundowany. — Po przyjeździe do Petersburga, jak zobaczycie się z moją żoną, nie zasypcie mnie państwo aby przed nią. Wszystkim znajomym w Petersburgu mam zamiar również opowiadać, że byłem w gościnie u papy.

— A o mamie rzymskiej nic pan nie napisał do żony? — zapytała Glafira Siemionowna.

— Pani myśli pewno o tej akrobatce? Co tam mam o niej pisać? Czyśmy mało w drodze spotykali eleganckich i ciekawych bab? Poprostu, powiem pani, że zaciekawiła mnie ta damulka, ale przecież nie będę o tem do żony pisał.

— A ja właśnie napiszę do żony o tej damulce. Napiszę, że po przedstawieniu chodził pan do niej z wizytą. Przecież pan chodził? Niby nie wiem, że pan po pożegnaniu się z nami składał jej wizytę...

Konurin oburzył się.

— Nie ma pani prawa o czemś pisać, czego nie było. To byłoby niemoralne ze strony pani...

— A ja wiem, że pan był!

— Jak tak, to niech pani pisze. Moja żona nie ma rozmaitych nerwów ,jak pani i żadnych awantur z tego powodu ani migrenów różnych nie będzie. Co najwyżej skrzywi troszkę gębę przy spotkaniu ze mną, ale jak podsunę jej przywieziony z Paryża materjał jedwabny i szal koronkowy, napewno gęba jej się rozjaśni. Moja żona — baba dobrze wychowana, a nie żadna dama z nerwami!

— Ha, co mam z panem robić — nie będę pisała. Niech pan siada i pije kawę, gdyż musimy jechać do Pompei. A gdzie ten utracjusz, Grablin i jego towarzysz?

— Chrapią w najlepsze. Przed chwilą pukałem do ich drzwi, odpowiedzieli mi tylko chrapaniem.

— Niech pan jeszcze raz idzie i mocno zapuka... Niech pan powie, że jak zaraz nie wstaną, to jedziemy bez nich do Pompei.

— Dobrze, dobrze, tylko połknę filiżaneczkę kawy.

Okazało się jednak, że obudzić Grablina i jego towarzysza nie było rzeczą łatwą i dopiero po dobrej godzinie, kiedy Glafira Siemionowna była już oburzona na serjo z powodu zbyt długiego oczekiwania, zdołał Konurin jakoś doprowadzić ich do przytomności. Grablin i tłumacz-malarz mieli spuchnięte twarze, zachrypłe głosy i czerwone oczy.

— Pardon madam, pardon! — przepraszał Grablin. — Nie ma pani pojęcia, jak się wczoraj omyliłem... Zamiast po-

rządnego wina, piłem jakieś słodkie... Rafael! Jak się to wino nazywa?

— Lacrima Christi! *)

— Właśnie, właśnie. Tak się omyliłem, że dziś już dwa syfony wody wpompowałem sobie do żołądka i wciąż jeszcze nie mogę przyjść do siebie. Niech pani tylko posłucha, jaki ja mam głos... Śmiało mógłbym udawać basa w chórze cerkiewnym. Ale żeby pani wiedziała za to, z jaką smakowitą Hiszpaneczką poznałem się w tym zakładzie... Malina, słowo daję, Malinka! Pirszy sort! „Kara mia, mia kara". — Rafael nauczył mnie, jak z nią rozmawiać po hiszpańsku. Rafael! Powiedz, czy to była Hiszpanka, czy też z innej jakiejś nacji afrykańskiej?

— Niech pan przestanie... Proszę bardzo, aby pan nie opowiadał mi o swoich skandalicznych awanturach nocnych z jakiemiś bezwstydnemi kobietami! — skarciła go Głafira Siemionowna.

— Pardon! Tysiąc razy pardon! Zupełnie znowu zapomniałem, że pani jest zamężna dama! — spostrzegł się Konurin. — A więc jedziemy do tego odkopanego miasta? Jedziemy? Przynajmniej na powietrzu wiaterek podmucha człowiekowi trochę do gęby i może po wczorajszem pijaństwie jakoś mi się lepiej zrobi.

— My już jesteśmy dawno gotowi i czekamy tylko na panów. Pijcie, panowie, prędko kawę i jedziemy.

— Nie mogę... Niech mi pani wierzy, że nie mogę... Po pijaństwie nigdy rano nie mogę nic wziąć do gęby, oprócz wody sodowej. Może potem, po drodze... Rafael! Co ty draniu, narzuciłeś się na cudze bułki z masłem! — krzyknął Grablin na Pieriechwatowa. — Czy to nasze?

— Pozwól mi wypić chociaż filiżankę kawy. Ja nie mogę jechać na czczo, jak ty.

— Nie rozumiem zupełnie, jak człowiek po takiej popijawie jak wczorajsza, może jeszcze coś żreć! — dziwił się Grablin, podnosząc ręce do góry.

— Przecież właściwie piłeś ty, a nie ja... — odpowiedział Pieriechwatow.

— A ty też nie udawałeś św. Antoniego?

— Muszę się przyznać, że piłem, ale piłem rozsądnie i tobie pić broniłem. Lepiej nie opowiadajmy, jak to było... Niech państwo sobie wyobrażą, wlazł wczoraj do orkiestry i chciał koniecznie grać razem z muzykantami na bębnie. Naturalnie odrazu zrobił dziurę w bębnie... Zacząłem się targować, jednak dwadzieścia lirów musiałem zapłacić.

— Co tam dwadzieścia lirów w porównaniu z tą Hiszpaneczką, która wczoraj...

Głafira Siemionowna poczerwieniała.

---

*) Znane wino włoskie południowe. Znaczy: „Łza Chrystusa".

— Pardon! Pardon!... Nie uwierzy pani, jak to trudno po tem trzytygodniowem włóczeniu się wśród rozmaitych kafeszantanowych damulek przyzwyczaić się do prawdziwej, zamężnej damy!...

— Jedźmy już, jedźmy do Pompei! — naglila Glafira Siemionowna.

Po pięciu minutach całe towarzystwo wychodziło z hotelu.

— Rafael! Najmij dorożkarzy i bądź naszym przewodnikiem! — krzyczał Grablin do Pieriechwatowa. — Przecież dlatego wziąłem cię ze sobą do Włoch. Nalgał mi, że całe Włochy zna, jak swoje pięć palców.

— Ja naprawdę znam dobrze Włochy, ale tylko z książek. Z książek wyśmienicie poznałem Włochy. Siadajcie, państwo, do dorożek, siadajcie! Musimy jechać na dworzec! Z Neapolu do Pompei pół godziny drogi. Ale spieszmy się, ażeby zdążyć na ranny pociąg, ponieważ następny idzie dopiero za trzy godziny.

— Wielka rzecz, gdybyśmy się nawet spóźnili! — odpowiedział Grablin. — Zamówimy sobie na stacji porządne śniadanie... Obstalujemy coś takiego kwaśnego, słonego, wypijemy na klina jeden, drugi kieliszek koniaku, polakierujemy to potem czerwonem winem i akurat następnym pociągiem możemy jechać do tej Pompei. Rafael! Jak się nazywa ta nadzwyczajna przekąska włoska, którą ja przezwałem „zębodłóbką"?

— Niech się pan pospieszy, Grygorij Awerjanycz! Nie mam wcale zamiaru czekać do następnego pociągu na stacji! — mówiła Glafira Siemionowna.

— Zaraz kara mia, mia kara... Ach jeszcze ze dwa, trzy wieczorki i wczorajsza Hiszpaneczka nauczy mnie mówić po hiszpańsku, pirszy sort! — mruczał Grablin, siadając do dorożki razem z Iwanowowymi.

— Jakiem prawem pan mnie nazywa: „karamija"? Ja nie jestem dla pana żadna „karamija"! — oburzała się Glafira Siemionowna.

— Za pozwoleniem... Przecież to nie są żadne obraźliwe słowa.

— Tegoby jeszcze brakowało, żeby pan dla mnie jeszcze wyszukiwał obraźliwe słowa!...

— Kara mia — to znaczy — moja droga, moja miła, moja Hiszpaneczko!

— I o tej Hiszpance swojej też niech pan przestanie mówić! Czy pan rzeczywiście nie ma zupełnie dobrego wychowania?!

Dorożki zjeżdżały z góry, dorożkarze hamowali koła, jechano wąskiemi, źle pachnącemi uliczkami. Przed maleńkiemi sklepikami Włosi jedli na śniadanie makarony i gotowaną fasolę; brudne, bose Włoszki, stojąc, piły kawę z glinianych, albo blaszanych kubków. W ten sposób zbliżano się ku przystani. W powietrzu było okropnie dużo kurzu tak, iż trudno



było oddychać i trzeba było ciągle przecierać oczy. Na sznurach i kołkach suszyła się bielizna, albo świeżo zrobione z ciasta makarony.

Podjechano wreszcie do stacji kolejowej.

— Ciągle zastanawiam się nad tem... — zaczął Grablin. — To niemożliwe, żebyśmy w tem odkopanem mieście nie znaleźli restauracji ani bufetu, żeby można, jak się należy, wypić coś i przekąsić?

Iwanowowie nie odpowiedzieli. Do dorożki podbiegł Pierlechwatow.

— Prędzej państwo, prędzej! Tylko pięć minut do odejścia pociągu! — pospieszał podróżników.

Całe towarzystwo biegiem skierowało się ku kasie kolejowej.

II

— Do Pompei towarzystwo nasze przyjechało bez żadnych wypadków. Na stacji otoczyli ich przewodnicy, proponując swoje usługi. Słychać było łamaną mowę francuską, niemiecką, angielską, niektórzy z przewodników mówili odrazu trzema językami. Ażeby w jakiśkolwiek sposób zagarnąć dla siebie podróżników, niektórzy wyrywali mężczyznom z rąk laski i parasole.

— Nie trzeba! Nie trzeba! Won! Mamy was dosyć! — krzyczał Konurin, odbijając się od przewodników.

Jakiś opalony Włoch w aksamitnej marynarce, kiedyś czarnej, a obecnie wyliniałej na słońcu i skutkiem tego prawie żółtej, niósł już na ręku płaszcz Głafiry Siemionowny, który ta przed chwilą miała narzucony na ramieniu i krzyczał, kiwając palcem na podróżników:

— Passez avec moi... Premierement dejeuner... Restaurant Cook (Proszę za mną... przedewszystkiem śniadanie... Restauracja Cooka)...

— Panowie! Odbierzcie temu łobuzowi mój płaszcz... Co za bezczelność! — krzyczała Głafira Siemionowna.

Grablin puścił się za przewodnikiem, dopędził go, odebrał mu płaszcz i pchnął go w pierś. Uderzenie było nieoczekiwane i przewodnik, błysnąwszy okiem, również zamierzył się na Grablina.

— Co? Co takiego? Chcesz się ze mną bić? A sprobuj, małpo arabska! Sprobuj pięści rosyjskiej! Podejdź tylko bliżej!

Grablin zaczął już zakasywać rękawy i napewno nastąpiłaby awantura, gdyby nie Pieriechwatow, który zaczął odciągać Grablina.

— Co ten wyrabia! Czy chcesz, żeby cię znów pobito, tak jak w Paryżu! — krzyczał Pieriechwatow. — Panowie! Jak sobie chcecie, ale musimy wziąć jednak przewodnika, ażeby obejrzeć Pompeję, inaczej będziemy chodzić w kółko i w rezultacie nic nie zobaczymy! — zwrócił się do reszty towarzystwa. — Naturalnie musimy się z nim potargować.

— Po co nam przewodnik, kiedy przedewszystkiem musimy pójść coś zjeść i wypić! — odpowiedział Grablin.

— Nie, nie Grygorij Awerjanycz! Niech pan na chwilę zapomni o tej przekąsce i koniaczku! — rzekła Głafira Siemionowna. — Najprzód Pompea, a potem koniak. Obejrzymy Pompeę i pójdziemy do restauracji. Niech pan najmie przewodnika, mosje Pieriechwatow, ale proszę pana nie tego opalonego, który chciał się z nami bić.

— Proszę pani... Strasznie mnie głowa boli po wczorajszem! Koniecznie potrzebowałbym połknąć kieliszek czegoś mocnego! — protestował Grablin. — Jeżeli nie, to kicham na tą waszą Pompeję!

— W takim razie niech pan sam idzie do restauracji!

Pieriechwatow zaczął targować się z przewodnikami Jeden żądał 10 lirów, drugi natychmiast opuścił dwa liry i godził się na 8, trzeci 7 i wymawiał sobie śniadanie po obejrzeniu ruin. Pieriechwatow dawał tylko trzy liry i pół liry, jako napiwek na makarony. Przewodnicy oburzyli się na taką propozycję, obrazili i odeszli na bok. Nagle wyskoczył jeden z nich, mały, drobny, z czarnemi wąsikami i zaczął mówić coś łamanym językiem niemieckim:

— Ja się godzić na pięć lir, ale potem dać dobrze na makarony.

Pieriechwatow zgodził się na pięć lirów, ale bez żadnych makaronów.

— O, jestem pewna, że eczelenca jest dobra i dać na szklanka wina! — mignął okiem przewodnik i krzyknąwszy: — Komen sie, bitte meine Herrn! — tryumfalnie poprowadź za sobą całą kompanję.

Jego koledzy-przewodnicy zaczęli mu posyłać na drogę soczne włoskie przekleństwa.

— Rafael Pendzelkiewicz! Dlaczegoś wziął nam Szwaba

na przewodnika? — protestował Grablin. — Wolałbym, żeby mówił po francusku...

— Przecież ty nie rozumiesz ani słowa ani po francusku, ani po niemiecku, więc wszystko ci jedno chyba. Słuchaj co ci będę tłumaczył.

— Nie lubię, jak mi nad uchem ktoś po szwabsku trajkocze!

Wszyscy poszli za przewodnikiem. Mijano właśnie restaurację. Przewodnik zatrzymał się.

— Najlepszy restauracja!... — rzekł po niemiecku. — Tutaj można zjeść najlepszy śniadanie. Hier können sie gut essen und trinken.

— Co? Trinken? — ożywił się Grablin. — A za to ci, braciszku, dziękuję, chociaż jesteś Niemiec! Z całego niemieckiego języka szanuję tylko jedno słowo: „trinken". Szanowni państwo! Jak chcecie, koło tego wykopaliska restauracyjnego nie mogę przejść, muszę koniecznie połknąć kilka kieliszeczków koniaku...

— Ach Boże mój! Dlaczego ten podły przewodnik zaprowadził nas odrazu do restauracji! — oburzyła się Głafira Siemionowna. — Grigorij Awerjanycz! Potem, po Pompei się pan napije.

— Nie, madam, nie mogę! Amen!... Po wczorajszem pijaństwie poprostu trzęsą mi się nogi. Nie będziemy tutaj nic jedli, ale musimy się troszkę wysmarować koniaczkiem na wnątrzu. Panowie mężczyźni; Komenzie... Raz, dwa i już!

Mężczyźni uśmiechnęli się i poszli za Grablinem.

— Ach, jakie to okropne! — wzdychała Głafira Siemionowna, zostając sama przed restauracją. — Proszę panów jednak, nie siedźcie tam długo! — prosiła mężczyzn.

— Momencik, Głafira Siemionowna! Jeden momencik! — krzyknął Grablin i kiwnął na przewodnika: — Hej ty, szwabska mordo! Chodź i ty z nami i wypij kieliszek za to, żeś odrazu zrozumiał, jakie wykopaliska przedewszystkiem nas interesują.

Mężczyźni nie siedzieli długo w restauracji i wkrótce wyszli z niej, chrząkając z zadowolenia po wypitym koniaku. Grablin miał w ręce całą cytrynę i ssał ją na przekąskę. Garson z restauracji odprowadził ich aż poza drzwi, kłaniał się nisko i prosił, żeby towarzystwo zajrzało jeszcze raz po obejrzeniu wykopalisk. Kłaniając się, dał każdemu z mężczyzn bilecik z reklamą restauracji.

Wejście do wykopalisk pompejańskich znajdowało się tuż w pobliżu restauracji. Przy bramie kamiennej była kasa. Kasjer w mundurze wojskowym i w kepi z czerwonym kantem, sprzedawał bilety wejścia i książeczki z opisami. Za wejście trzeba było zapłacić po dwa franki od osoby, poczem wszyscy przeszli przez kołowrotek kontrolujący i znaleźli się na drodze, prowadzącej do wykopalisk. Droga była ogrodzona z jednej i z drugiej strony kamienną barjerą, na której rosły

szpalerami kaktusy i agawy. Miało się zupełnie wrażenie, iż jest to wejście na jakiś cmentarz. Nie było nikogo z publiczności. Wszędzie spokój i cisza. Wszyscy milczeli i tylko przewodnik, wymachując rękami, biegał naokoło podróżników i trzeszczał bez przestanku, kaleczący język niemiecki. Ukazał się niewielki gmach, współcześnie zupełnie zbudowany.

— Museo Pompeano! — wskazał przewodnik, mówiąc w dalszym ciągu bez końca.

— Co on mówi? — zapytał Pieriechwatowa Mikołaj Iwanowicz.

— Mówi, że to jest muzeum pompejańskie. Przewodnik twierdzi, że obejrzymy go potem, po skończeniu oględzin.

— Jeszcze jedno muzeum? — zawołał Grablin. — Nie, panie Pendzelkiewicz, do muzeum żadnego już mnie nie zaciągniesz, za żadne skarby. Dosyć już namuzeowałem się tu, w tym Neapolu. Już mdło mi się robi od tych wszystkich muzeumów. W ciągu trzech dni obejrzałem pięć muzeów z bezrękiemi i bezgłowemi figurami i potrzaskanemi obrazami! Dosyć! Amen!

— Widzicie państwo, jaki z niego prostak! — rzekł Pieriechwatow do Głafiry Siemionowny, kiwając głową w kierunku Grablina. — Zawsze to samo. Wczoraj pluł na statue najznakomitszych klasyków.

— Nie rozumiem, Grygorij Awerjanycz, poco pan w takim razie jeździł do Włoch? — zauważyła Głafira Siemionowna.

— Jakto poco?... Naturalnie nie po to, żeby oglądać jakieś muzeumy. Widziałem już niemieckie i francuskie restauracje i rozmaite zakłady rozweselające, więc chciałem zobaczyć również i włoskie. Przecież człowiek musi się cywilizować, jeżeli należy do cywilizowanego, polerowanego społeczeństwa. Ojcowie nasi byli prostakami, żyli po chłopsku, a my chcemy europejskiej cywilizacji. Powiem jednak pani jedno, niema jak dziewczynki w Paryżu! Ani Niemki, ani Włoszki, ani Hiszpanki nie warte ich nawet pocałować w podeszwę... Naprzykład jest taki drygalsko-taneczny zakład w Paryżu, nazywa się Mulen Róż... Ach, gdyby taką sztuczkę założyć u nas w Petersburgu...

— Przestań, idjoto!... — pociągnął Grablina za rękaw Pieriechwatow i wskazał okiem na Głafirę Siemionownę.

Grablin zamknął sobie ręką usta.

— Pardon... Pardon... Nie będę więcej... Stanowczo to jest nad moje siły. Nie mogę się w żaden sposób przyzwyczaić do tego, że pani jest prawdziwą damą, Głafira Siemionowna.

Rozpoczęło się oglądanie wykopalisk. Przewodnik zatrzymał się koło jakiegoś gmachu bez dachu, składającego się tylko ze ścian kamiennych, patrzących oczodołami otworów okiennych i drzwiowych, jak jakaś ruina po pożarze. Przewodnik zaczął coś mówić i zapraszał wszystkich do wnętrza,

gdzie zachował się doskonale rozkład pokojów. Całe towarzystwo szło za przewodnikiem.

— Mosje Pieriechwatow, niech pan tłumaczy, co mówi przewodnik! — prosiła Głafira Siemionowna. — Co się tyczy języka niemieckiego, to ja nie bardzo...

— To były sypialne pokoje i nazywały się po łacinie: cubicula, to salon — tablinium... to stołowy pokój — triclinium.

— Poczekaj, poczekaj... Czy w Pompei przedtem mieszkali ludzie umarli? — zapytał Grablin Pieriechwatowa.

— Jakto ludzie umarli? Dopóki Pompea nie została zasypana, ci ludzie żyli...

— A jak oni rozmawiali po łacinie? Przecież sam mi mówiłeś, że język łaciński, to język umarły.

— Teraz ten język jest umarły, ale kiedyś był taki sam żywy, jak i nasz rosyjski.

— Zdaje mi się, że łżesz, Rafaelku?

— Jeżeli łżę, to nie słuchaj... Proszę zobaczyć, jakie łoża mieli starożytni. Widzicie państwo: łoże zrobione z marmuru! — zwrócił się Pieriechwatow do Głafiry Siemionowny. — Proszę patrzeć: poduszka pod głowę, widzi pani to wzniesienie, także marmurowa.

— Coś na sposób naszych ławek w łaźniach, tylko, że u nas z drzewa... —kiwał głową Konurin.

— Czy naprawdę sypiali tak wprost na marmurze? Bez żadnego posłania? — zadała pytanie Głafira Siemionowna.

— Jakto bez posłania? — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Napewno, jakiś pled, albo futro kładli pod spód i poduszkę. Przecież i u nas ci, co śpią na piecach, nie śpią na samych kaflach... Jak się stołowy pokój nazywa po łacinie?

— Triclinium!

— Triklinjum! Triklinjum... Ładne słówko!

Przewodnik prowadził całe towarzystwo do innych budowli.

LI.

— Casa di Niobe (Dom Niobe *)! — ogłosił przewodnik, wprowadzając całe towarzystwo do wielkiego gmachu i zaczął po niemiecku opowiadać o najciekawszych rzeczach, które pozostały ze starożytnej budowli. Pieriechwatow tłumaczył jego słowa.

— Proszę państwa, był to dom jakiegoś bogatego magnata. Oto sypialny pokój, oto jadalny, oto ogród z resztkami fontanny marmurowej — mówił. — W ciągu osiemnastu stuleci zachowała się nawet część ołowianej rury, którą doprowadzano wodę. Oto łoże samego właściciela domu.

---

*) Niobe, córka króla Tantola. Chełpiła się swymi 14 synami i obraziła Latonę, matkę Apolina i Djany, którzy z rozkazu matki wystrzelali z łuków potomstwo Niobe.

— Bogacz, a też spał na kamiennej leżance, a nie w łóżku! — zauważył Konurin. — Zupełnie jak jakiś chłop rosyjski na piecu; zupełnie jak u nas w Jarosławskiej gubernji.

— Za dawnych lat, braciszku, ludzie żyli prościej! — wtrącił się Mikołaj Iwanowicz. — Pamiętam jednego z moich krewnych. Człowiek zamożny, z kapitałem, a w powszednie dni zawsze jadł zupę łyżką drewnianą i nikomu z otoczenia nie pozwalał jeść inną; srebrne łyżki leżały w serwantce w salonie.

— Nazywa się ten dom domem Niobe dzięki freskowi, przedstawiającemu Niobe, na blacie stołu marmurowego! — tłumaczył dalej Pieriechwatow. — Niobe — to z mitologji. Oto stół, o którym mowa, z wizerunkiem Niobe, opłakującej swoich synów. Patrz, Grablin!

— Widzę, widzę. Myślałem, że to jakaś mapa geograficzna...

— Bottega del ristoratore! — wskazał ręką przewodnik, wprowadzając towarzystwo do trzeciego gmachu.

— Starożytna restauracja pompejańska! — przetłumaczył Pieriechwatow.

— Knajpa? — przerwał Grablin. — To ciekawe!

— Zobaczymy, jakie też knajpy mieli ci starożytni Etiopowie! — zauważył Konurin.

— Nie Etiopowie, a mieszkańcy Pompei!

— Czy nie wszystko jedno? Gdzie stał bufet? Gdzie wódeczkę trzymali?

— Oto wielka sala, gdzie zbierali się goście. Oto resztki komina, w którym przygotowywano gorące napoje. Proszę spojrzeć, jaka posadzka! Mozaika marmurowa. Oto pułki do naczyń.

— Niech ich krowa zadziobie! Też z mozaiki! Widocznie policja zmuszała, żeby wszystko było z mozaiki. Pułka do szklanek też z kamienia. Widocznie policja... ze względów sanitarnych... — mruczał Konurin.

— Oto na ścianie wyobrażenie boga handlu, Merkurego! — opowiadał Pieriechwatow.

— Jakto? Starożytni kupcy mieli osobnego boga?

— Specjalnego, specjalnego! Czcili Merkurego. Patrzcie, jak dobrze zachowała się postać tego boga.

— Znów potrzaskane, zniszczone obrazy! — zauważył Grablin, ziewając. — Słuchaj, Rafael! Nie pokazuj mi już tych potrzaskanych mazanin. Znudziło mi się. Trzy dni po rozmaitych muzeach z tobą się tu włóczyłem. Czego się do mnie przyczepiłeś?

— Przecież to zabytki sztuki starożytnej. Ty jesteś dzikim, niekulturalnym człowiekiem, ale mnie to interesuje

— Mówię ci dosyć! Prowadź dalej!

Ukazały się resztki starożytnej świątyni z wspaniałemi, choć zrujnowanemi kolumnami.



— Bazylika! — ogłosił Pieriechwatow. — Patrzcie państwo, jakie portyki, jakie kolumny. Tutaj, pośrodku stała trybuna magistratu. Oto resztki, jakie po niej zostały.

— Była i znikła... Niech ją Bóg ma w swojej opiece... — mruczał pod nosem Konurin.

Przewodnik pokazywał jakiś otwór w podłodze, gdzie widać było schody.

— To było więzienie, ciemnica dla skazanych. Skazańców pakowano do tych podziemi! — tłumaczył Pieriechwatow.

— Słuchaj, Rafael! Powiedz temu szwabowi, żeby nam coś ciekawszego pokazał, bo znudziło mi się już patrzeć na kamienie i na cegły! — przerwał Grablin zniecierpliwiony.

Towarzystwo minęło ulicę della Mariana i stanęło przed resztkami świątyni Wenus.

— Najstarsza i najwspanialsza ze świątyń pompejańskich — świątynia Wenus! — rzekł Pieriechwatow.

— Tak, tak... A gdzie pani Wenera? Gdzie siedziała pani Wenera? — zapytał Konurin. — Czy czasami nie ocalała? Chciałbym panią Wenerę zobaczyć.

— Poco panu Wenera? Co pan się na tem rozumie? — zauważyła Głafira Siemionowna.

— Jakto co się rozumię? Bardzo się rozumię. Wenera, to — kobiece obnażenie...

— A poco panu obnażenie? Mógłby się pan wstydzić...

— Starożytność przecież... Może w starożytności coś w tem obnażeniu było inaczej, niż teraz.

— Oto sanctuarium, tutaj była statua Wenus, a tutaj ołtarz, gdzie składano jej ofiary! — wskazywał Pieriechwatow.

— Była i zniknęła... Szkoda...

— Stanowczo nic w tej Pompei niema takiego, żeby się człowiek mógł czemś zainteresować! — oświadczył Grablin. — Conajwyżej ta knajpa starożytna... Uważam jednak, że skoro pokazują taką knajpę, powinni byli urządzić tam bufecik z przekąską... Idjoci! Wypilibyśmy sobie coś i przyjechawszy do Petersburga, mógłby przynajmniej człowiek opowiadać, że

pił w Pompei przedpotopowy koniak w przedpotopowej restauracji. Powiedz szwabowi, żeby prowadził nas dalej!

Towarzystwo przeszło przez ulicę i skręciło w jakiś zaułek

— Zauważcie państwo, że bruk, po którym chodzimy, to starożytny bruk, który przetrwał 17 stuleci! — mówił dalej Pieriechwatow.

— Pluję na bruk! — odpowiedział Grablin.

Weszli na duży plac z kolumnami.

— Forum!

— Znów forum? Co w tem ciekawego? Idźmy dalej! Na te forumy napatrzyliśmy się już w Rzymie i sprzykrzyły nam się gorzej, niż rzepa! — rozległy się głosy.

Całe towarzystwo zaczynało już ziewać. Mikołaj Iwanowicz wzdychał ciężko i ocierał pot z czoła, a kiedy Pieriechwatow oznajmił: „świątynia Merkurego!“ — rzekł:

— Uważam, że dosyć mamy już tych świątyń!

— Nie, nie! Przewodnik mówi, że są tutaj niezwykle ciekawe resztki ołtarza marmurowego z prześlicznie zachowaną płaskorzeźbą.

Zaczęto przypatrywać się płaskorzeźbie, wyobrażającej składanie ofiar. Rozpoczęła się rozmowa, posypały różne domysły.

— Widocznie rzeźnicy prowadzą byka za rogi? — zapytał ktoś.

— Naturalnie, że rzeźnicy, świętują świętego Merkurjusza. Wiadomo, że Merkurjusz, to bóg kupców, jak opowiadał nam pan artysta.

— Nie, proszę państwa, to kapłani prowadzą byka na ofiarę.

— Co za kapłani? Albo rzeźnicy, albo pastuchy. Patrzcie, tutaj nawet jakiś pastuch trąbi na rogu. A jakie tłuste mordy mają wszyscy! Patrzcie, tutaj jakaś panienka... Widocznie przestraszyła się byka...

— Gdzie panowie tu widzicie panienkę? Co za panienka?

— A niech pan tutaj patrzy... Szła sobie do miasta, ujrzała byka i przestraszyła się.

— To jest kapłan, zawinięty w togę. Po prawej i po lewej stronie stoją liktorowie. Coś w rodzaju starożytnych policjantów.

— Policjantów? Pozwólcie i mnie zobaczyć starożytnych policjantów! — przeciskał się Konurin i zawołał: — To policjanci? Sądząc z chełmów, to jacyś strażacy... A dlaczego nie mają wcale spodni?

— Widocznie takie mundury były... Zresztą... kraj gorący, więc wygodniej im było z gołemi nogami paradować — objaśnił Mikołaj Iwanowicz. — Starożytne uniformy... Czytałem o tem. W starożytności zawsze tak chodzili ludzie.

— No, no... Proszę, proszę... — dziwił się Konurin. — Jak przyjadę do Petersburga, opowiem to żonie; napewno nie będzie chciała uwierzyć...



Znów ciągnęły się jedna po drugiej ściany domów, kolumny, świątynie, lecz towarzystwo nie chciało już nawet patrzeć na nie.

— Patheon Augusteum! — ogłaszał przewodnik i trzeszczał w dalszym ciągu.

— Dalej! — słychać było głos Grablina.

— Senaculum!

— Dosyć!

— Panowie! Świątynia Jowisza! Izba skarbowa państwowa! Te gmachy, trzebaby było zobaczyć! — namawiał swych towarzyszów Pieriechwatow, lecz ci za nic w świecie nie chcieli się zatrzymać.

— Nie, nie! Dosyć tych świątyń! Powiedz lepiej, Rafaelku, szwabowi, żeby pokazał nam coś, co tu jest specjalnie ciekawego, coś wybitnego... A może już dosyć tej Pompei? — mówił Grablin. — Słyszałem: Pompea, Pompea! Musi pan zobaczyć Pompeę! A teraz ja się was pytam, czy warto było tu przyjeżdżać?

Mikołaj Iwanowicz i Konurin zgadzali się z Grablinem.

— O prostota, prostota! — westchnął głośno Pieriechwatow i zaczął rozmawiać z przewodnikiem, proponując mu skrócenie oglądania wykopalisk.

Przewodnik uśmiechnął się i zapytał:

— Towarzystwo się nudzi? Zaraz pokażę im coś takiego, co wszystkich rozweseli, ale tam mogą iść tylko sami panowie, paniom wstęp wzbroniony.

Mrugnął porozumiewająco okiem i poprowadził gdzieś, mijając szereg budowli po drodze.

LII.

— Ulica dwunastu bogów! Oto na rogu na murze pozostały jeszcze płaskorzeźby, wyobrażające te bóstwa! — ogłaszał przewodnik po niemiecku.

Pieriechwatow tłumaczył.

— Co tu ciekawego? — odpowiedział Grablin. — Bogi, jak bogi... widzieliśmy już tych bogów dosyć! Chodźmy dalej... Rafael! Prowadź nas dalej i powiedź temu szwabowi, żeby nam pokazał coś specjalnego. Mówiłeś, że chce nam pokazać coś, co tylko mężczyźni mogą oglądać.

— Uspokój się! Troszkę cierpliwości! Trzeba przecież po porządku... I tak mijamy rozmaite ciekawe gmachy, nie zaglądając do środka.

— A niech je wszyscy djabli wezmą!

— Fabrica di Sapone! — wskazał przewodnik po włosku i dalej objaśniał po niemiecku.

— Fabryka mydła! — przetłumaczył Pieriechwatow. — Zachował się piec i dwa ołowiane kotły do przegotowywania mydła. Oto one.

— A niech ich tam! — rzekł Grablin. — Nie jesteśmy właścicielami fabryk mydła, ani subjektami w sklepach mydlarskich.

— A może jednak byłoby ciekawe zobaczyć, jak to ośmnaście wieków temu mydło robili? Przewodnik mówi, że nawet zachowała się kupa wapna, które używano przy fabrykacji mydła.

— Jak się tem interesujesz, to przyjedź tu sam jutro i oglądaj.

— Nie rozumiem panowie, poco przyjeżdżaliście tutaj do Pompei? — pytał niezadowolony Pieriechwatow.

— A nie opowiadałeś mi sam, że tu jest dużo ciekawych rzeczy?

— Nietylko dużo, ale wszystko tu jest ciekawe, dla inteligentnego człowieka każdy zakątek tutaj jest niezmiernie ciekawy. Nie rozumiem, o co państwu idzie. Przecież nie może tutaj być kafeszantanów z akrobatami i kobietami w krótkich spódnicach.

— Ty mi krótkiemi spódnicami głowy nie zawracaj! Ja wiem, co mówię! — obraził się Grablin. — Rozumiesz!... Jeżeli wziąłem cię ze sobą zagranicę, to nie dla twojej przyjemności, a dla mojej. I dlatego mam prawo wymagać, abyś dbał o moją przyjemność. Karmię cię, oberwańca, poję... Samego wina ileś wypił po drodze.

— Zdaje mi się, że posuwasz się za daleko! — oburzał się Pieriechwatow.

— Niech pan opowiada, mosje Pieriechwatow! Niech pan go nie słucha! Jeżeli go te rzeczy nie interesują, to za to mnie bardzo to wszystko interesuje. Jako kobieta inteligentna rozumiem się na tem dobrze i chętnie to wszystko oglądam.

Pieriechwatow stłumił gniew.

— Sądzę, że nietylko panią to zajmuje, ale i pani męża i pana Konurina! — odpowiedział. — A ten Grablin... sam nie wie, czego chce.

— A co opowiadał przewodnik o tem jakiemś miejscu,

gdzie tylko mężczyzn wpuszczają, a płci żeńskiej wstęp jest wzbroniony? — pytał Grablin.

— Przecież idziemy tam! Idziemy po drodze.

— Lederfabrik! — wskazywał przewodnik.

— Garbarnia! — przetłumaczył Pieriechwatow.

— Dosyć już z temi fabrykami!

— Chodźmy, zobaczymy tę garbarnię starożytną! — rzekła Głafira Siemionowna, wchodząc w obręb zabudowań.

Za nią poszli Mikołaj Iwanowicz i Konurin. Grablin pozostał na drodze, pogwizdując walca z „Dzwonów Kornewildzkich".

— Za pozwoleniem... A gdzie skóry? Chciałbym skóry zobaczyć! — mówił Konurin.

— Ach Boże mój, czy skóry mogły się zachować przez tysiące lat? Przecież to wszystko było pod popiołem i lawą! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Dobrze, dobrze... A jak poznali, że to była garbarnia.

— Zostały tutaj instrumenty, narzędzia takie, jakie i teraz używane są w garbarniach! — tłumaczył Pieriechwatow.

— Oprócz tego zachowało się piętnaście basenów, gdzie moczono skóry. Oto te baseny! Przewodnik właśnie pokazuje...

Ruszono dalej.

— Hotel, młyn, piekarnia i cukiernia! — tłumaczył Pieriechwatow słowa przewodnika. — Zachowały się moździerze kamienne, gdzie tłuczono ziarno, resztki naczyń, gdzie mieszano ciasto, to musi być ciekawe.

— Lepiej chodźmy dalej! — mruknął Konurin, ziewając na całe gardło.

— Kuźnia i fabryka żelaza!

— Znów fabryka? Czy nie będzie końca tym fabrykom? — krzyknął już zagniewany Grablin.

Całe towarzystwo skręciło w zaułek.

— Ulica szkieletów! — tłumaczył Pieriechwatow. — Nazwana tak, ponieważ znaleziono tutaj szkielety ludzkie. Na ulicy tej znajdują się koszary gladiatorów, w których jest piwnica, gdzie trzymano niewolników. W piwnicy tej...

— Szkielety? Ludzkie szkielety? — zawołała Głafira Siemionowna i zatrzymała się. — Za żadne pieniądze tam nie pójdę. Niech pan powie przewodnikowi, że wracamy.

— Ależ Głafira Siemionowna! — mówił Pieriechwatow. — Szkielety już dawno przeniesiono do muzeum neapolitańskiego, a w piwnicy są tylko gipsowe odlewy...

— Nie, nie, nie! Za żadne skarby nie chcę widzieć szkieletów. Mikołaj Iwanycz! Czego stoisz? Wracamy! Jak sobie chcecie, ale na żadne żmije i szkielety nie mogę patrzeć. Ruszaj się! Czego oczy wybałuszyłeś?

Trzeba było porozumieć się z przewodnikiem, który wzruszył ramionami uśmiechnął się i zaprowadził ich na inną ulicę.

— Strada del Lupanare! — rzekł i zaczął opowiadać.



— Ulica, gdzie były różne wesołe domy i mieszkały damy z półświatka! — przetłumaczył Pieriechwatow.

— Aha! — zawołał wesoło Grablin i roześmiał się głośno. — Naprawdę damy z półświatka? A to sztuka!

— Nareszcie cię coś zainteresowało! Nareszcie trafiłem na coś w twoim guście! — kiwał głową Pieriechwatow. — Ach ty prostaku, prostaku! Przewodnik, proszę państwa, opowiada, że właśnie na tym domu zachował się dotąd napis imienia jednej z takich dam. Proszę patrzeć... Jeszcze dziś można przeczytać.

— Nie może być?

Mężczyźni zatrzymali się, zaczęli stawać na palce, ażeby dobrze przypatrzyć się napisowi czerwonemu na ścianie, wyblakłemu w ciągu wieków.

— Nie dla nas napisane! — zauważył Konurin.

— Rafael! Przeczytaj! Jak nazywała się ta pani? — rzekł Garblin.

— Proszę bardzo... Nazywała się Attyka.

— Attyka, Attyka!... Ładne imię sobie wymyśliła! Attyka... I mówisz, że to było tysiąc osiemset lat temu.

— Tak, tak...

— Poczekaj... A niewiadomo, jak wygląda ta Attyka: brunetka, czy blondynka?

— A skąd to można wiedzieć? Zachował się tylko napis, że w tym domu mieszkała dama z półświatka, która miała na imię Attyka.

Mężczyźni wciąż stali pod ścianą i z zajęciem spoglądali na napis. Glafira Siemionowna zaczęła się niecierpliwić.

— Mikołaj Iwanycz! Czego wlepiłeś oczy w ścianę? Też się ucieszyłeś?... Idziemy dalej! — krzyczała na męża.

Przewodnik stał po drugiej stronie ulicy przed ścianą jakiegoś domu, do którego wejście było zagrodzone żelaznemi sztachetami, zamkniętemi na kłódkę i uśmiechając się zagadkowo, kiwał palcem na mężczyzn. Przy nim stał stróż w mundurowej czapce z kluczami w ręku.

— Aha! Tam musi być coś ciekawego! — mruknął Grablin i pospiesznie przebiegł ulicę. — Chodźcie, panowie, chodźcie... Coś, co jest zamknięte...

Całe towarzystwo przeszło ulicę. Stróż otworzył sztachety a przewodnik mówił coś po niemiecku.

Pieriechwatow tłumaczył.

— Starożytny... kabarecik... Ale damom tutaj wejście wzbronione i pani będzie musiała sama zostać na ulicy! — zwrócił się do Głafiry Siemionowny.

— Naturalnie, że zostanę... — oburzyła się Głafira Siemionowna. — Bardzo mi zależy na tem, żeby oglądać rozmaite świństwa. Ale męża też nie puszczę z wami!

— Jakto, Głasza? Dlaczego?... — próbował sprzeciwić się Mikołaj Iwanowicz.

— Milcz! Zostaniesz ze mną! Nie waż mi się zrobić ani kroku. Mógłbyś sobie przypomnieć, że nie jesteś żadnym kawalerem ,tylko człowiekiem żonatym, poważnym...

— Ależ Głasza... Przecież tu chodzi o historyczne pamiątki... przecież starożytności wykopaliskowe...

— Milcz! Nie mogę chyba zostać sama na ulicy. Widzisz, jak tutaj pusto, nikogo niema... A jeżeli ktoś napadnie na mnie, obrabuje mnie?

— Kto może na ciebie napaść i obrabować cię, kiedy niema nikogo?

— Milcz!

Mikołaj Iwanowicz musiał zostać na ulicy z Głafirą Siemionowną. Pozostali mężczyźni weszli do domu.

Po dziesięciu minutach wszyscy wyszli z powrotem. Grablin śmiał się głośno i był bardzo zadowolony... Konurin też się śmiał, trzymał się nawet za brzuch i kręcił głową.

— A to sztuka! Rzeczywiście... Choćby tylko dlatego, warto przyjechać do Pompei! — krzyczał Grablin. — Ach, mosje Iwanow! Jaka szkoda, że pańska małżonka nie puściła pana razem z nami. Jedyna rzecz w całej Pompei, na którą warto popatrzyć, a nie na te jakieś garbarnie, młyny, piekarnie, fabryki... Napluć trzeba na te wszystkie fabryki...

Pieriechwatow spoglądał to na Grablina, to na Konurina wzruszał ramionami i mówił:

— O prostota, prostota!

LIII.

Przewodnik prowadził dalej. Skręcono parokrotnie, minięto kilka zaułków i całe towarzystwo wyszło na otwartą przestrzeń z amfiteatralnie stojącemi ławami marmurowemi.

— Teatr tragedji! — przetłumaczył za przewodnikiem Pieriechwatow.— Patrzcie, co za kolosalna budowla. Ławki w pierwszych rzędach są z marmuru. Były to miejsca dla wybitnych osobistości. Siadywały tu zwykle władze miejskie, kapłani...

— Za pozwoleniem... Czy kapłani mogli chodzić do teatru?... Przecież to były popy starożytne, a popom nie wolno chodzić do teatru!? — pytał się Konurin.

— Tamtym popom wszystko było wolno! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Przecież to byli kapłani pogańscy, którzy nawet wierzyli w boga pijaństwa, Bachusa, więc czego od nich można było żądać?

— Był taki specjalny bóg od pijaństwa?

— Był... Właśnie w tem cała sztuka. Całe nabożeństwo w świątyni tego boga polegało na tem, że przyjdą sobie kapłani do świątyni, nakryją przed figurą Bachusa stół, postawią przekąski, popiją, przekąszą czemś słonem, albo kwaśnem, urżną tak zwane bachantki...

— To tak... W takim razie rozumiem...

— Dajmy na to, że to niezupełnie tak... — chciał coś zauważyć Pieriechwatow, lecz dał spokój, machnął ręką i nie dokończył zdania.

— A bachantki, to było to samo, co teraz są rozmaite damy z kabaretów i tingeltanglów. Tylko jeszcze bardziej były przejmujące, bo zawsze pijane... — tłumaczył dalej Grablin, nawiązując do opowiadania Mikołaja Iwanowicza. — Rafael, czego stoimy, chodźmy dalej!

— Pozwól mi przynajmniej popatrzeć na wspaniały gmach, przecież to teatr starożytny.

— Co to za teatr! Poprostu cyrk! Wybudowany zupełnie na modę cyrkową. Tu widocznie był placyk, gdzie akrobaci pokazywali sztuki.

— Wtedy wszystkie teatry budowano w ten sposób.

— Gadaj, gadaj... Gdyby to był teatr, toby była gdzieś scena.

— Tutaj właśnie masz scenę... Patrz tutaj... Naturalnie teatr ten nie miał dachu...

— Jak bez dachu, to nie teatr!

— Ale mówię ci, teatr! Prawdziwy teatr z dekoracjami na scenie. Czytałem opis. Była tu nawet i kurtyna przed sceną, z tą tylko różnicą, że kurtyna ta nie podnosiła się do góry, lecz opuszczała się w dół do piwnicy.

— Dosyć już, dosyć! Idziemy dalej! Już zaczął kręcić swoją katarynkę... Nie chcemy ciebie wcale słuchać! Chodźmy dalej!

Ruszono dalej. Wkrótce ukazał się drugi teatr.

— Teatr komiczny! Theatrum tectum... W sześćdziesiątym trzecim roku teatr ten zawalił się w czasie trzęsienia ziemi i podczas słynnego wybuchu Wezuwjusza, kiedy zginęła Pompea, teatr ten już był zrujnowany. W teatrze tym zasługuje na uwagę orkiestra z kolorowego marmuru... — opowiadał Pieriechwatow.

— A niech zasługuje, chodźmy dalej! — odpowiedział Grablin. — Najbardziej zasługiwało na uwagę to, cośmy widzieli tam wyrysowane na ścianach tego wesołego domku.

gdzieśmy to byli sami bez Głafiry Siemionowny. Idziemy dalej!

— Pan mówi: teatr komiczny... — wtrącił się Konurin, zwracając do Pieriechwatowa. — A więc tutaj wystawiano historyczne operetki?

— Co za operetki? Wówczas nie było żadnych operetek.

— Rafael, wiesz co?... Powiedz przewodnikowi, że jeżeli jest jeszcze coś w tym rodzaju do obejrzenia, jak to, cośmy widzieli w wesołym domku, to niech prowadzi, a jak nie, to gwiżdżemy na tę całą Pompeję...

— Co, chcecie już odjeżdżać? To niemożliwe! Nie widzieliśmy nawet połowy... Niech pani sobie wyobrazi, co za prostak z tego Grablina... — zwrócił się Pieriechwatow do Głafiry Siemionowny w chwili, kiedy ta właśnie smacznie ziewnęła. — Pani się też nudzi?

— Nie mogę powiedzieć, żebym się nudziła, ale musi pan przyznać, że ciągle to jedno i to samo.

— Zaraz będzie tutaj cmentarz. Czytałem opis. Zachowały się mogiły z napisami.

— Co mi pan tam wyłazisz z jakimś cmentarzem. Trzebaby iść gdzieś na śniadanie. Chce mi się jeść jak psu... Włóczymy się tu, włóczymy! — zabrał głos Konurin.

— Przyjemnie słuchać przyjemne przemówienia! — zawołał zadowolony Grablin. — Rafael! Dlaczego nie słuchasz moich rozkazów? Każ nas wyprowadzić stąd! Dostatecznie się już napompejowaliśmy, wystarczy dla nas!

— Domus Homerica! — ogłosił przewodnik i znów zaczął opowiadać coś po niemiecku.

— Dom poety-tragika, którego nazwisko nie doszło do naszych czasów! — tłumaczył Pieriechwatow. — Przed domem zachował się napis: „Cave canem", co znaczy „strzeż się psa". W pobliżu tego miejsca znaleziono metalową obrożę i szkielet psa.

— Co nam tu będzie o jakimś psie opowiadał! Chodźmy stąd! — rozległy się szemrania.

— Panowie! Tutaj zachowały się wspaniałe freski na ścianach.

— Czy to coś w kierunku płci pięknej? Takie same, jakie widzieliśmy w tym wesołym domku? — zapytał Grablin.

— Nie takie, ale...

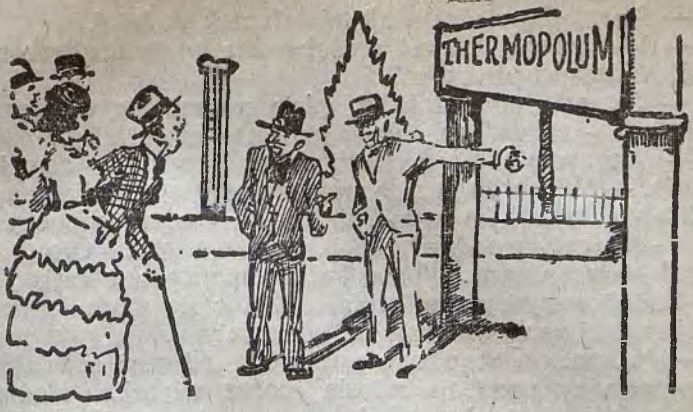
— W takim razie niech je wszyscy djabli wezmą. Wyprowadź nas już z tej twojej Pompei!

— Przewodnik przyprowadził nas już do bramy. Thermopolium — sprzedaż napojów gorących, szynk historyczny...

— Gdzie, gdzie?

— Właśnie tutaj... Zachował się szyld...

— Ażeby cię... Szyld się zachował! Czego w takim razie krzyczysz o tem tak radośnie? Myślałem, że naprawdę



szynk, gdzie można wstąpić na kieliszek i przekąsić coś... — rzekł Grablin.

— Łaźnie publiczne!

— Gwiżdżemy na łaźnie!

— Ależ proszę państwa! Jakto? Nawet nie chcecie zobaczyć łaźni starożytnych? — dziwił się Pieriechwatow.

— W ostateczności łaźnie możemy zobaczyć, ale potem już wychodźmy stąd jaknajprędzej... — zgodził się Mikołaj Iwanowicz.

Towarzystwo weszło w obręb gmachu łaźni. Pieriechwatow tłumaczył przeznaczenie poszczególnych oddziałów i nazwy.

— Apodyterium — rozbieralnia, gdzie pozostawiano ubrania. W ścianach zachowały się otwory, w których mieściły się szafki, gdzie składano ubrania.

— Czy to była łaźnia z bufetem, czy bez bufetu? — zainteresował się Konurin.

— Z bufetem, z bufetem. Starożytni zasiadywali się na długo w łaźni i lubili popić tam i zjeść coś.

— To mi się podoba! Dzielni ludzie byli ci starożytni.

— Z rozbieralni — wejście do zimnego basenu — frigidarium. Oto basen kąpielowy!

— Patrzcie państwo, jaki basen! Większy nawet niż u nas w Petersburgu w łaźni publicznej.

— Z tej zimnej łaźni przechodzono do kąpieli gorących — tepidarium... Tutaj nacierano ciało pachnącemi olejkami i wogóle różnemi wonnościami.

— No, no... Ładne obyczaje... A jeżeli naprzykład ktoś chciał namaścić się nie perfumą, lecz terpentyną, albo dziegciem? — pytał Konurin.

— Nie wiem, nie wiem. O terpentynie i o dziegciu nic w opisie nie czytałem.

— Powiedzcie mi państwo... A gdzie są pułki, na których się leżało, gdzie człowieka miotełeczkami parzyli?

— Starożytni nie używali mioteleczek w łaźni.

— Naprawdę? Nawet prości ludzie wieśniaczy nie używali? Głupstwa pan mówi...

— Czwarty oddział łaźni, gdzie pocono się w gorącem powietrzu — calidarium. To najgorętsza część łaźni.

— Naprawdę mieli aż cztery oddziały łaźni? — dziwił się Konurin. — Widać, że ci nieboszczycy pompejańscy naprawdę lubili łaźnię. Niech im za to Pan Bóg da wieczny odpoczynek.

— Nie cztery oddziały mieli, ale nawet pięć. Oto ostatni oddział — laconicum... Tutaj była temperatura umiarkowana i po kąpieli wszyscy mogli tutaj chłodzić się wodą fontanny, której resztki zachowały się tu, widzicie?

— No, no... Powiedzcie państwo... Aż pięć oddziałów... Ci pompejańcy podobają mi się coraz więcej... Można o nich powiedzieć, że kochali łaźnię, nawet mało kochali poprostu zabijali się dla niej. Jak przyjadę do domu, natychmiast będę musiał opowiedzieć żonie o tej łaźni pompejańskiej. Baba moja też lubi łaźnię. Oj, oj, oj, jak lubi! Żadnej soboty nie przepuści. Chryste Panie! Przecież to dzisiaj właśnie sobota? Naturalnie sobota... Pewno teraz żonka moja siedzi w łaźni i napewno ma czkawkę, bo mąż ją wspomina... Co sobotę zwykle o tym czasie, przed obiadem, idzie do łaźni. Niech ci się czka, mamusiu... Wspomnij o swoim mężu nieszczęśliwym... Widzisz, gdzie go djabli zanieśli: do łaźni pompejańskiej.

— Niech pan da spokój, Iwan Kondratjicz... Co pan tu jakieś monologi przedstawia! — rzekła niezadowolona Glafira Siemionowna.

— O co idzie? Nawet nie mogę wspomnieć o żonie? Nie wolno? Przecież to, paniusiu, żona, a nie jakaś półdziewica francuskiego pochodzenia. A że mówię o czkawce, to dlatego, że przed chwilą mi się czknęło, więc pewno i jej czka się tak samo w łaźni... Serce sercu telegrafuje... No, obejrzeliśmy łaźnię, można już zrobić wyjście w tej Pompei.

— Właśnie już wychodzimy! Oto muzeum, koło którego już przechodziliśmy, a tutaj wyjście! — rzekł Pieriechwatow. — A na cmentarz nie pójdziecie państwo?

— Nie, nie. Niema czasu... Co tam... Cmentarzów mamy dosyć i w Petersburgu! — rozległy się głosy.

— Ale tutaj są starożytne mogiły i pomniki!

— U nas w Petersburgu też są starożytne pomniki!...

Pieriechwatow pomówił z przewodnikiem i wszyscy skierowali się do muzeum, znajdującego się przy wyjściu.

— W każdym bądź razie do muzeum pompejskiego musimy wstąpić — rzekł Pieriechwatow.

— Muzeum? Nawet ciasteczkiem nie zamamisz mnie do jego twego muzeumu! — machał rękami Grablin.

— Chodźmy, chodźmy... Wstąpmy choć na chwilę... Na parę minut. Choćby tylko dlatego, żeby potem moc wszystkim opowiadać, iż byliśmy w muzeum pompejańskiem! —

rzekła Głafira Siemionowna i pociągnęła za sobą ziewającego męża i Konurina.

Grablin pozostał przed wejściem.

LIV.

W muzeum starożytności pompejańskich siedziano niedługo. Wszystko popsuła Głafira Siemionowna. W pierwszym pokoju, gdzie znajdowały się wykopane z pod lawy różne sprzęty domowe: wazy, garnki, lampy, zamki towarzystwo jeszcze z pewnem zaciekawieniem oglądało wystawione przedmioty, pomimo, iż Konurin zapewniał wszystkich, że w Petersburgu na tandecie na rynku można widzieć to samo. Ale kiedy towarzystwo znalazło się w sali, gdzie w szafach za szkłem stały szkielety ludzkie, skamieniałe trupy ludzi i zwierząt, Głafira Siemionowna drgnęła z przestrachu i zasłoniwszy twarz rękami, za nic w świecie nie chciała patrzeć.

— Nie, nie... Nie mogę... Wracajmy... Na żadne szkielety nie mogę patrzeć... — mówiła i ciągnęła męża z powrotem. — Mikołaj Iwanycz! Chodźmy! — wołała na męża.

— Pozwól, mamusiu... Właśnie teraz Pieriechwatow pokazuje jakąś skamieniałą matkę z dzieckiem przy piersi... — upierał się mąż.

— Wychodźmy, wychodźmy... Przecież wiesz, że to będzie mi się później śniło po całych nocach! — twierdziła swoje Głafira Siemionowna. — Szkielety... Brrr... Skamieniałe trupy z wyszczerzonemi zębami.

— Proszę pani, w większości są to tylko gipsowe odlewy! — tłumaczył jej Pieriechwatow. — Oto naprzykład trup kobiety, na którym pozostały nawet ozdoby cenne: kolczyki, bransolety, naszyjniki, obrączka zaręczynowa.

— Czego się pan do mnie przyczepił? Nie chcę patrzeć na umarlaków! Mikołaj Iwanycz, czego stoisz!

— Jakto czego stoję?... Wcale nie stoję... wogóle... Wogóle idź sobie, a ja tu jeszcze trochę zostanę... Poczekasz na mnie przy wyjściu.

Głafira Siemionowna schwyciła męża za rękę i zaczęła ciągnąć go ku wyjściu.

— Głasza! Jak ci nie wstyd! Zupełnie jak dzika kobieta... Mogłabyś się chociaż przy woźnych krępować... — mówił Mikołaj Iwanycz, opierając się żonie.

— Ty sam jesteś dziki, a nie ja! Słyszane to rzeczy: inteligentną kobietę nazywać dziką?

Chcąc nie chcąc, Mikołaj Iwanowicz musiał opuścić muzeum. Wkrótce po nich wyszli i Konurin z Pieriechwatowem.

— No i co? — zapytał ich przy wyjściu Grablin. — Nie mówiłem wam, że te wszystkie muzeumy, to najnudniejsza rzecz pod słońcem.

— Tegobym nie powiedziała. Nie rozumiem tylko, poco

wystawiają te martwe szkielety! — odpowiedziała Glafira Siemionowna. — Ja mam i tak nerwy rozstrojone!

Pieriechwatow wzruszał ramionami, machał ręką i mówił:

— Jak chcecie ,szanowni państwo, ale człowiek inteligentny nie może z Wami podróżować zagranicą.

Grablin oburzył się:

— A jednak podróżujesz na cudzy koszt, jeździsz w wagonie pierwszej klasy, jesz i pijesz, ile wlezie, a nie wyjmiesz nigdzie ani grosika własnego! — krzyczał Grablin. — Patrzcie, co za inteligent! Możebyś mi oddał te dwadzieścia franków, które za ciebie wczoraj zapłaciłem w kabarecie jakiejś brunetce, siedzącej za bufetem... Inteligent!...

— Proszę cię! Nie posuwaj się za daleko!

— Co za daleko? To wszystko jeszcze za mało za tę twoją bezczelność.

— Dziki człowiek!

— Niech będzie dziki, a jednak ten dziki tego niedzikiego wozi po całej Europie na swój rachunek.

— Przecież zginąłbyś bezemnie... Już z dziesięć razy siedziałbyś w więzieniu, gdybym cię nie powstrzymywał w twoich awanturach. Pilnuję cię jak niańka...

— Jakiem prawem nazywasz mnie awanturnikiem! Kto ty jesteś? Pędzlarz jakiś bez portek! A ja jestem przedstawicielem firmy handlowej...



— Panowie! Panowie, dajcie spokój... Wymyślacie na siebie, jak dorożkarze! Co za przyjemność... — wtrąciła się Glafira Siemionowna i ująwszy Grablina pod rękę, odprowadziła go od Pieriechwatowa.

— Chodźmy na śniadanie do restauracji!

— Awek plesir, madam. Czekałem na to słowo oddawna! — odpowiedział Grablin.

Po zapłaceniu przewodnika towarzystwo opuściło obręb wykopalisk i skierowało się do znajdującej się w pobliżu re-

stauracji. Przed wejściem czekał na nich ten sam kelner, który rano obsługiwał ich i wręczył im menu. Zaczął uwijać się teraz koło nich, mrucząc po włosku z domieszką słów niemieckich i angielskich, wreszcie usadził wszystkich przy stole.

— Frutti di mare. Ostriche? — zaproponował naszym podróżnikom.

— Pyta się, czy będziecie jeść ostrygi? — przetłumaczył Pieriechwatow.

— Ostrygi? Oto, co mu pokażę za ostrygi! — Grablin pokazał kelnerowi zaciśniętą pięść. — Mają tu wódkę? Rius wódka?

Wódki nie było.

— A to djabły włoskie! My sprowadzamy ich włoski makaron a oni nie mogą sprowadzić naszej wódki dla podróżników Rosjan! — gniewał się Grablin i zażądał koniaku.

Śniadanie było obfite i wcale smaczne, pomimo, iż podano w czasie jedzenia aż trzy gatunki makaronów. Towarzystwo zażądało parę butelek Asti i zaczęło „lakierować" wypity koniak.

Kiedy już towarzystwo się ożywiło i podjadło sobie, kelner przyniósł jakąś książkę w grubej oprawie skórzanej, pióro i atrament i kłaniając się zaczął coś mówić po włosku.

— Co to za książka? — zapytali mężczyźni.

— Jest to pamiątkowe album restauracyjne i kelner w imieniu gospodarza prosi, aby podróżni rosyjscy byli łaskawi opisać swe wrażenia na pamiątkę! — przetłumaczył Pieriechwatow.

— A to sztuka! — rzekł Konurin. — Ale jak to zrobimy, kiedy żaden z nas po włosku nie umie.

— Można i po rosyjsku... W ostateczności prosi, ażeby państwo chociaż podpisali tylko swe nazwiska. Mówi, że w albumie tem są autografy wielu znakomitych ludzi.

— Znakomitych? A więc i my możemy znaleźć się wśród znakomitych ludzi! Dawaj pióro! — rzekł Grablin i wziął pióro z rąk kelnera. — Ale co napisać? Rafael, wymyśl coś dla mnie!

— Poco wymyślać? Napisz, co chcesz! Najlepiej napisz, co ci się najwięcej podobało w Pompei.

— Co? Naturalnie ten wesoły domek...

— Napisz o tem.

Grablin zaczął pisać, mówiąc głośno:

„1892 r. ósmego marca ja niżej podpisany oglądałem ów pompejański wesoły domek i znajduję, że ówczesna cywilizacja stała wyżej od obecnej, a zwłaszcza było to dobre, że człowiek się nie mógł omylić, to znaczy trafić"... Poczekaj... jak nazywali tę wesołą damę, która miała swój szyld na domu? — zwrócił się do Pieriechwatowa.

— Attyka... Attyka... Mamzel Attyka... — odpowiedział

za Pieriechwałowa Konurin, zadowolony z tego, że nie zapomniał. — Już zapomniałeś? A udajesz specjalistę względem płci pięknej...

Grablin dalej pisał:

„... to znaczy trafić zamiast do owej Attyki, do mieszkania jakiejś wdowy po nadradcy municypalnym i oberwać za to po karku. Grygorij Awerjanow Grablin z Petersburga"... Dobrze?

— Bardzo dobrze! Dajcie mnie teraz pióro! — rzekł Konurin, wziął pióro i zaczął: — „Z antyków najwięcej mi się spodobała łaźnia i gdyby jedną moją znajomą małżonkę wpuścić do niej, to chodziłaby ona do onej łaźni nietylko co sobotę, ale i w każdą środę i w poniedziałek, albo nawet i we wszystkie dni żywota swego!"... Dosyć?

— Naturalnie, że dosyć! — odpowiedział Pieriechwatow. — Teraz niech się pan podpisze.

— Z przyjemnością. „Sanktpetersburski kupiec, Iwan Kondratjew Konurin rękę w tem miejscu przyłożył!" — przeczytał napisane, zrobił dużego kleksa i zawołał: — Ach! Niechcący pieczęć czarną przylepiłem. Ale to nie szkodzi, tak wyjdzie jeszcze naturalniej.

Głafira Siemionowna wzięła pióro i napisała.

„Owe wykopaliska pompejańskie, to bardzo dobre rzeczy dla osobistości wykształconych, ale ja sobie inaczej je wyobrażałam. Głafira Iwanowowa z Petersburga".

— A jak sobie je wyobrażałaś? — zapytał Mikołaj Iwanowicz, przeczytawszy, co żona napisała.

— Milcz! Co się wtrącasz nie do swoich rzeczy?... — odpowiedziała. — Zobaczę, co ty napiszesz.

— Właśnie, że nie wiem, co napisać. Poprostu podpiszę się i już.

— Nie, nie! Powinieneś napisać, co ci się najbardziej podobało.

— Co mi się podobało? Świątynie mi się podobały.

Mikołaj Iwanowicz napisał:

„Pomimo, iż świątynie tutejsze teraz nie mają już swojego właściwego widoku, lecz cywilizacja dowodzi, że ludzie pompejańscy, chociaż byli fasonu bałwochwalczego, ale byli narodem religijnym. Mikołaj Iwanow."

— Głupio! — rzekła, przeczytawszy, Głafira Siemionowna.

— A ty coś mędrzejszego napisała? — odgryzł się Mikołaj Iwanowicz.

Pieriechwatow pisał dłużej, a kiedy skończył, przeczytał głośno:

„Podczas zwiedzania Pompei na każdym kroku zachwycałem się pamiątkami sztuki starożytnej, kwitnącej arcydziełami malarzy, rzeźbiarzy i architektów starożytnych, lecz... Bazyli Pieriechwatow."

— To wszystko... — rzekł z westchnieniem. — A co znaczą te trzy kropki po słowie „lecz", niech to zostanie w głębi mojej duszy.

— Wiem, wiem, co mają znaczyć te trzy kropki! — zawołał Grablin. — Znów chciał nam nawymyślać od dzikusów.

— Dziwna rzecz, że tym razem domyśliłeś się naprawdę... — odpowiedział Pieriechwatow i wychylił duszkiem kielich wina.

Całe towarzystwo długo jeszcze popijało w restauracji i wróciło do hotelu w Neapolu dopiero pod wieczór, umówiwszy się po drodze, że jutro rano pójdą wspólnie na szczyt Wezuwjusza.

LV.

Była godzina 8-ma rano. Małżonkowie Iwanowowie dopiero co wstali z łóżka, a reszta ich towarzystwa spała jeszcze w swoich numerach mocnym snem, kiedy przed hotel zajechał duży omnibus na 10 miejsc, zaprzężony w sześć mułów i przeznaczony do ekskursji na Wezuwjusz. Oprócz naszego towarzystwa rosyjskiego w tym samym omnibusie jechała na Wezuwjusz również kompanja Anglików, składająca się z trzech mężczyzn i jednej damy. Omnibus należał do hotelu i za przejazd do podnóża stożka Wezuwjusza i z powrotem administracja hotelu wzięła po 5 franków od osoby. Odjazd wyznaczono na godz. 8-mą rano. Anglicy w białych chełmach z daszkami z przodu i z tyłu, z zielonemi welonami na nich, w niebieskich wełnianych pończochach do kolan, półbucikach o niezwykle grubych podeszwach, z kijami alpejskiemi, zakończonemi ostrzem stalowem, spacerowali już w pobliżu omnibusu, od



czasu do czasu zamieniali z sobą krótkie frazesy z dwuch, trzech słów i z niecierpliwością spoglądali na zegarek. Z niezadowolonych ich min można się było domyślić, że rozmawiali o niepunktualności podróżników rosyjskich, o których kelner opowiedział im przed chwilą, że dopiero opuścili łóżka. Nadeszła wreszcie ósma godzina. Anglicy do swoich lakonicz-

nych zdań dodali już kiwanie głowami, wzruszanie ramionami i co chwila posyłali służącego, żeby pospieszał Rosjan. Pierwsi wyszli małżonkowie Iwanowowie. Anglicy unieśli chełmów i kiwnięciem głowy powitali przybyłych. Małżonkowie Iwanowowie również ukłonili się, a Mikołaj Iwanowicz uważał nawet za stosowne przedstawić się:

— Komersant Iwanow de Petersburg!

Anglicy wyciągnęli doń rękę i też powiedzieli swoje nazwiska. Jakiś Anglik w poważniejszym wieku zaczął coś mówić, zwracając się do Mikołaja Iwanowicza.

— Pardon... Nic nie rozumiem! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Głasza, przetłumacz.

— Ja również nic nie rozumiem. Zdaje mi się, że ten stary mówi po angielsku. Parle wu france, monsie? — zapytała się Anglika Głafira Siemionowna.

Anglik kiwnął głową na znak potwierdzenia i znów zaczął coś mówić.

— Stanowczo nie rozumiem ani słowa! — wzruszała ramionami Głafira Siemionowna.

Dwaj pozostali Anglicy pokazywali Mikołajowi Iwanowiczowi cyferblaty zegarków kieszonkowych.

— Widocznie pyta się o resztę naszego towarzystwa! — mruknął wreszcie Mikołaj Iwanowicz, poczem dodał głośno: — Wuj, wuj... Spóźnili się, ale zaraz się zjawią. Trinken... Kafe trinken... — tłumaczył Anglikom i nawet psztyknął się palcami po kołnierzyku. — Głasza, powiedz coś nareszcie!

— Co ja będę do nich mówić, kiedy oni i tak nic z tego nie zrozumieją, tak samo, jak ja nie rozumiem nic z tego, co oni mówią.

Dama-Angielka w trakcie tego siedziała już w omnibusie. Miała ona na głowie kapelusz słomkowy, podobny do grzyba z olbrzymiem rondem i przybraniem ze słomy zamiast wstążki; w rękach również trzymała wysoki kij alpejski z ostrzem żelaznem z jednego końca i z haczykiem na drugim końcu... Starszy wiekiem Anglik podał Głafirze Siemionownie ramię i zaproponował jej, aby zajęła miejsce w omnibusie.

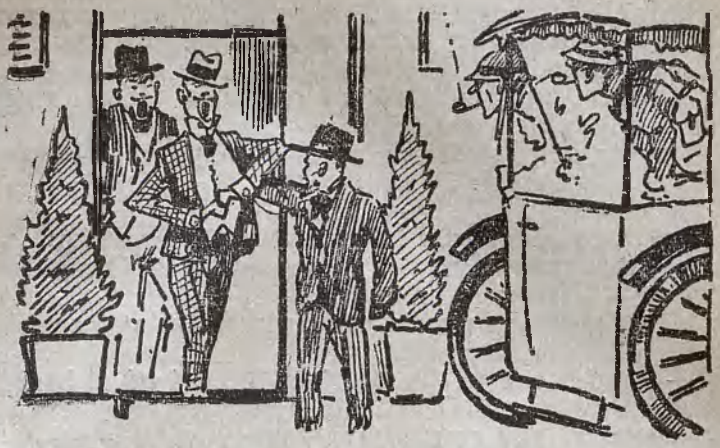
— Ach, nie... Ja sama... — podziękowała Głafira Siemionowna i sama weszła do omnibusu.

Anglik wsunął się również we drzwi omnibusu i przedstawił Głafirze Siemionownie Angielkę, która wyciągnęła rękę do Głafiry Siemionowny i zaczęła coś mówić.

— Uj, uj... — kiwnęła jej w odpowiedzi Głafira Siemionowna i zwracając się do męża, rzekła: — Zdaje się, że mówi po francusku. ale nie mogę zrozumieć z tego ani jednego słowa.

Anglicy coraz częściej spoglądali na zegarki i kiwali głowami. Wreszcie młody Anglik, blondyn w niebieskiej koszuli w białe paski, podniósł głos i posłał portjera, aby pospieszył pozostałych podróżnych. Wkrótce przy wyjściu rozległ się hałas i słychać było czyjś głos;

— Pluję na Anglików! Kicham na nich! Jadę za swoje pieniądze! Jak będzie mi się podobało, to kupię, przekupię, wykupię tych wszystkich parszywych Anglików! Nawet kafy, draniе jedne, nie pozwolą mi się napić.



Ukazał się we drzwiach Grablin, zapinający po drodze kamizelkę. Ciągnął go pod rękę Pieriechwatow. Z tyłu wlókł się Konurin, ziewał od czasu do czasu i mruczał:

— Co tam moja małżonka teraz robi? Czy zdaje sobie, biedaczka, sprawę z tego, że mąż jej, Iwan Kondratjew syn Konurin, jedzie teraz na górę ognistą.

Trzech Anglików znów jak na komendę unieśli cheimy korkowe i kiwnęli głowami. W odpowiedzi odkłonił się tylko jeden Pieriechwatow, który zwrócił się do Grablina:

— Nie widzisz, że kłaniają ci się ludzie? Dlaczego kapelusza nie zdejmiesz?

— Niech ich wszyscy djabli wezmą! Nie rozumiem nawet, komu przyszedł taki głupi pomysł, żeby jechać razem z Anglikami? — odpowiedział Grablin. — Nie jadę z nimi! Weź mi osobnego dorożkarza.

— Zwyczajny dorożkarz nie pojedzie z tobą na Wezuwjusz. To nie łatwa droga i w lekkiej dorożce tam się nie jeździ! Właź lepiej do omnibusu.

— Wejść wejdę, ale nie do środka; siądę sobie przy stangrecie i będę siedział tyłem do nich, bo nie chcę patrzeć na tych draniów. Zabrałeś dla mnie butelkę wody selcerskiej?

— Przecież piłeś dopiero co wodę selcerską?

— To co, że piłem? Czy po wczorajszej pijatyce wystarczy mi jedna butelka? Kelner! Butelkę selts!

— Wzięliśmy, wzięliśmy ze sobą wodę selcerską! — odpowiedziała z omnibusu Glafira Siemionowna. — Zabraliśmy ze sobą cały koszyk prowiantu: mamy butelkę czerwonego wina, kanapki z wędliną, wodę selcerską, niech pan siada tutaj do nas!

— A koniak wzieliście państwo?

— Wzięliśmy, wzięliśmy!

— Trebien... Kiedy tak, to mogę wejść do omnibusu! Klnę się honorem, że za żadne skraby nie pojechałbym z temi małpami angielskiemi, ale skoro państwo mają koniak... Ja wiem, czem to pachnie... taka podróż z Anglikami... Po drodze będzie jakaś restauracja... Jak tylko gospodarz zauważy, że jadą z nami Anglicy, zaraz będzie częstował nas baranią habaniną i mazidłem pomidorowem w sosie bobkowym.

Wreszcie wszyscy siedli do omnibusu. Muły ruszyły. Grablin siadł przy stangrecie.

Konurin, który siadł koło starszego Anglika, zrobił uprzejmy ruch ręką i rzekł:

— Bonżur!

Anglik podał mu rękę i wymienił swoje nazwisko:

— Nie rozumiem, musju, nie rozumiem! — kiwnął głową Konurin. — Po rosyjsku nie parle?

— Nie mówi żadnym innym językiem, tylko po angielsku! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Bardzo dobrze, jak będziemy czegoś od nich potrzebowali, możemy posługiwać się baletowym językiem. Ale powiedzcie mi, moi państwo, czego te Angliki wystroili się, jak akrobaci w cyrku?

— To nie akrobaci, to są stroje cyklistów.

— A po co zabrali ze sobą te kije? Mają zamiar bić się z kim?

— A kto ich wie! Widocznie boją się, żeby po drodze nie napadli na nas bandyci.

— Ładny interes... A my nie mamy kijów.

— Zabrałeś ze sobą, Mikołaj Iwanycz, rewolwer? — zapytała Głafira Siemionowna.

— Zapomniałem.

— Ach Boże, poco w takim razie wozimy ze sobą ten rewolwer? Jedziemy w góry, można powiedzieć do samego gniazda bandytów, a mój pan mąż zostawia rewolwer w domu. Wracaj do hotelu. wracaj... Poczekamy na ciebie.

— Nie warto. Rewolwer i tak jest zepsuty, zdaje mi się, że kurek pęknięty, czy coś. Widzisz przecież, że Anglicy mają tylko kije. Kij mam też przy sobie, chociaż krótki, ale zato ze sztyletem w środku.

— Mówiłeś mi przecież, że coś się popsuło i nie można sztyletu wyciągnąć.

— Widocznie się coś zatarło... Ale nie bój się, jak będziemy potrzebowali sztyletu, to może go jakoś wydobędę, w razie czego kamieniem rozbiję kij i wyjmę sztylet ze środka.

Konurin siedział i kiwał głową, mrucząc do siebie pod nosem:

— Hm, hm... Ładna zupka! Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś nic o tych bandytach! — zwrócił się do przyjaciela. — Mógłbym przynajmniej pieniądze przełożyć z kieszeni do buta. Teraz tutaj przy wszystkich nie wypada mi zdejmować buta

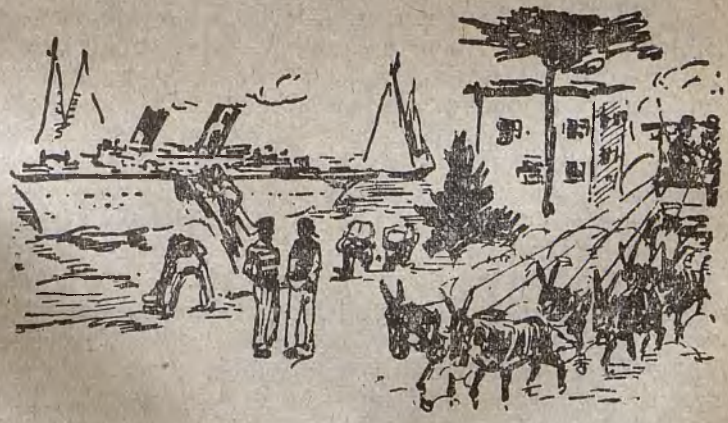
— Naturalnie, że nie wypada, zresztą nie obawiajcie się tak bardzo... Jest dzień i jedziemy w dużem towarzystwie. Nadto konduktor i stangret napewno mają broń! — tłumaczył Mikołaj Iwanowicz.

— Co ty tam wiesz? — zauważyła Głafira Siemionowna. — Czytałam w powieściach, że bardzo często bandyci przebierają się za konduktorów i stangretów.

— Państwo się boją rozbójników po drodze? — wmieszał się do rozmowy Pieriechwatow. — Na miłość Boską, skąd państwu to przyszło do głowy... Obecnie na Wezuwjusz prowadzi taka sama droga publiczna, tak samo bezpieczna, jak np. u nas w Finlandji droga do wodospadu Imatry. Rozbójnicy byli tutaj ongiś, w czasach historycznych, obecnie cały Wezuwjusz jest administrowany przez angielskie Towarzystwo Kuka. Kuk wybudował szosę, a kiedy szosa się skończy, jest kolejka na szynach, po których na linach drucianych wciągają podróżnych na szczyt góry.

— Jakto, wciągają podróżników na linach? Za szyję wciągają? — zapytał przestraszony Konurin.

— Ależ nie! Kto panu mówi, że za szyję? Są takie małe wagoniki. Podróżnicy siadają do tych wagoników i wagoniki te wciągają na górę.



Omnibus powoli zjeżdżał z wzgórza ku brzegowi morskiemu. W pobliżu brzegu stały tysiące łodzi, okrętów żaglowych i parostatków. Jedne z okrętów ładowały towary, inne wyładowywały, na brzegu był jakby rynek produktów; czuć było zapach ryb wędzonych, przypalonej oliwy, dymu z piecyków; snuły się grupy opalonych, brudnych marynarzy, niemniej brudne przekupki i handlarze wykrzykiwali śpiewnemi głosami nazwy różnych smakołyków południowych i zapraszali do siebie kupujących.

LVI.

Skoro tylko omnibus z podróżnikami wjechał na plac rynkowy, od strony kotłów z gotującemi się makaronami i fasolą zaczęły ciągnąć dziesiątki żebraków, proszących o datki i formalnie zaczęły oblegać omnibus Byli tutaj i dorośli i dzieci, byli zdrowi i kalecy, starcy i młodzież, kobiety z niemowlętami na rękach; wszędzie widać było obdarte, brudne łachmany, na wszystkie motywy powtarzało się słowo „moneta“. Czepiali się omnibusu i cisnęli się do drzwi. Niektórzy czepiali się okien, stangret walił biczem na prawo i na lewo, konduktor spychał żebraków ze stopni... Naprożno: spędzeni z jednej strony dopędzali wkrótce omnibus i włazili z drugiej strony. Niektórzy chłopcy, chcąc zwrócić na siebie uwagę podróżnych, wywracali koziołki, wyprzedzali omnibus, stawali na głowie i wykrzykiwali głośno słowo „moneta“. Starszy wiekiem Anglik rzucił na drogę garść miedziaków, żebracy rzucili się, jak tłum szaleńców i zaczęła się ogólna bijatyka. Na chwilę tłum zapomniał o omnibusie, lecz kiedy już wszystkie monety zostały zebrane, znów zaczął pędzić za podróżnymi. Niektórzy z żebraków mieli już podrapane oblicza. Podobało się to części podróżników i wszyscy zaczęli rzucać monety. Rzucał i Konurin, rzucał i Grablin. Grablin głównie zajmował się tem, że starał się trafić jakiemuś żebrakowi młodemu monetą w twarz, co mu się czasami udawało. Co chwila wynikały bitwy, w których brały również udział i kobiety z niemowlętami na rękach. Kładły one dzieci na bruk i rzucały się w tłum, żeby złapać leżącą na bruku monetę. Dwuch chłopców z ociekającemi krwią nosami płakali już i krzyczeli przytem, lecz w dalszym ciągu rzucali się w tłum w pogoni za miedziakami. Trwało to około dwuch kilometrów, dopóki nie skończył się olbrzymi rynek żywnościowy, służący jako pokój jadalny marynarzom, robotnikom portowym, tragarzom, snującym się stale na wybrzeżu. Wreszcie żebracy zaczęli zostawać w tyle.

Za rynkiem rozpoczęły się fabryki makaronów. Mokre jeszcze, surowe, dopiero co robione makarony suszyły się na ulicach, wisząc na drewnianych tyczkach. Pod nimi chodzili doglądający suszenia robotnicy, opaleni od słońca, z głowami zawiniętemi w łachmany, bosi z zawiniętemi do kolan spodniami, z rozwartemi szeroko kołnierzami brudnych koszul, pozbawionych zupełnie rękawów. Dwuch, czy trzech z nich podbiegło do przejeżdżającego omnibusu i proponowało zakupienie liter, zrobionych z ciasta makaronowego. Anglicy kupili swoje inicjały, kupiła również i Głafira Siemionowna swoje litery G. i I. Szosa zaczęła iść pod górę. Omnibus mijał już przedmieście Neapolu. Ukazały się winnice i sady. Kwitły migdały, kwitły drzewa wiśniowe, kwitł łubin i fasola, posadzone pomiędzy drzewami. Wezuwjusz widać było le-

piej. Na lazurowem niebie widać było jego ciemny stożek, pokryty skamieniałą lawą. Dym, wydobywający się z krateru i widoczny już z Neapolu jako cienka struga, obecnie przybrał formę dużej chmury. Odczuwało się zapach siarki. Na zmianę obdartych żebraków po obu stronach drogi ukazali się teraz niemniej obdarci muzykanci z gitarami i mandolinami. Spotykali omnibus muzyką i pieśniami i odprowadzali go, idąc przy kołach. Śpiewano przeważnie piosenki neapolitańskie ludowe, i głosy były bardzo harmonijne.

— Zaraz widać, że jest to naród różnych Maziniów i Nikolinów! — zauważył Grablin. — Patrzcie co za ślepie! Jak łyżki! Co za osły, że nie przyjeżdżają do nas do Petersburga. Nasze rozmaite psychopatki i psychopaci, zachwycające się wszystkiem, co włoskie, ofiarowaliby im pantofle wyszywane perłami i haftowane ręczniki. Patrzcie na tego brodacza! Jaki głos, co? Prawdziwa Patti! — krzyczał, pokazując palcem.

Z za węgła muru kamiennego wyskoczyła wysmukła piękna dziewczyna z roztrzepanemi włosami i brzękając na gitarze, zaczęła śpiewać i tańczyć, kręcąc się w pobliżu omnibusu.

— Co to za Patti? — uśmiechnęła się Głafira Siemionowna. — Prędzej Brianca! Przecież to tancerka, nie śpiewaczka?

— Mówię pani, że to śpiewaczka! Jednocześnie umie śpiewać i tańcować. Ej, panienko, zaśpiewaj Trawiatę! Wal arję z Trawiaty!

Dziewczyna kiwnęła głową na znak, że zrozumiała, przestała tańczyć i naprawdę zaczęła śpiewać arję z „Trawiaty".

— A niech cię... Chudzielec taki, a umie śpiewać Trawiatę! — dziwił się Mikołaj Iwanowicz.

— Chudzielec?... Właśnie, właśnie... Dlaczego nie przyjeżdża do nas do Petersburga? Napewno niejeden z naszych rzeźników i piekarzy nie pożałowałby tysiąca funtów mięsa i chleba, żeby odkarmić ją, jak należy! — zauważył Konurin. — Tutaj przeważnie ludzie są chudzi i obdarci!

Na stopnie omnibusu zaczęli wskakiwać również rozmaici oberwańcy bez mandolin i gitar, proponując swoje usługi jako przewodnicy.

— A czego ci od nas chcą? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Proponują swoje usługi, jako przewodnicy do krateru Wezuwjusza! — odpowiedział Pieriechwatow.

— Przewodnicy? Nie potrzeba! Nie potrzeba! Niech ich djabli wezmą!

Całe towarzystwo zaczęło machać rękami, ażeby odpędzić przewodników, lecz nie było to rzeczą łatwą i cała banda oberwańców szła za omnibusem. Im dalej, tem tłum oberwańców stawał się większy. Omnibus z trudnością wjeżdżał na górę po drodze zygzakowatej, prawie krok za kro-

kiem. Przewodnicy rwali po drodze rozmaite kwiaty, gałązki kwitnących drzew migdałowych, dzwoneczki niebieskie, rosnące wzdłuż murowanych ogrodzeń, składali je w bukiety i szczerząc białe zęby, natrętnie ofiarowywali te bukiety damom. Stangret i konduktor daremnie starali się odpędzić ich; wkrótce pomiędzy nimi i tłumem obdartych przewodników wywiązała się walka na słowa.

— Mikołaj Iwanycz, sprobuj jednak jakoś wyciągnąć swój sztylet z laski! — szepnęła do męża Głafira Siemionowna.

— Poco?

— A kto ich wie! Może to wszystko bandyci. Widzisz, jak stale idą za omnibusem, a wkrótce znajdziemy się w zupełnem pustkowiu. Proszę cię, wyjmij sztylet.

— Ależ Głasza... Licząc stangreta i konduktora jest nas jedenaście osób.

— Ich jest więcej! Naprawdę zaczynam się obawiać!

— Szanowni państwo! Czy będzie nareszcie jakiś przystanek? Jedziemy i jedziemy, a nie zatrzymaliśmy się dotąd przed żadną restauracją! — zawołał Grablin. — Strasznie mi się chce jeść!

— Rzeczywiście ani jednej porządnej restauracji nie spotkaliśmy po drodze! — odpowiedział Pieriechwatow. — Mówią, że porządna restauracja znajduje się przy stacji kolejki linowej. Widzicie państwo, tam na górze, ledwie ją widać.

— Mamy tak długo czekać? Nie chcę czekać tak długo!

— Chce pan przekąsić coś w omnibusie? — zaproponowała Głafira Siemionowna. — Mamy ze sobą koniak, kanapki, czerwone wino...

— Naturalnie, że chcę! Ci angielcsy podróżnicy morscy nie dali mi się nawet napić kafy przed wyjazdem.

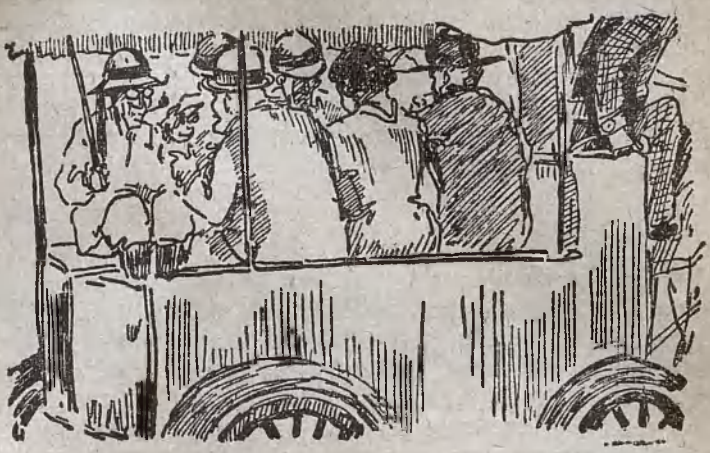
Głafira Siemionowna wydobyła z pod ławki koszyk z prowiantem i zaordynowała w omnibusie lekką przekąskę, przed którą mężczyźni zdążyli jednak w oka mgnieniu wypić do połowy butelkę koniaku i napewno wykończyliby ją zupełnie, gdyby nie sprzeciwiła się temu Głafira Siemionowna:

— Panowie! Zaproponujcie przecież po kieliszku koniaku Anglikom! Niegrzecznie pić samemu... Jedziemy razem...

— Musju! Wulewu trinken? — wyciągnął Konurin srebrny kieliszeczek do Anglika w poważnym wieku i pokazał na butelkę.

Anglicy chętnie się zgodzili, wypili po kieliszku i ze swej strony również wydobyli koszyk z prowizją; mieli butelkę ginu i portweinu i również zaproponowali rosyjskiemu towarzystwu po kieliszeczku. Wypili i Rosjanie. Angielka proponowała wszystkim kanapki z mięsem i jedną z nich wyciągnęła w stronę Grablina.

— Z baranią habaniną, a może jeszcze z mazidłem bobkowem? Non... miersi... — machał rękami Grablin, odsuwając się jaknajdalej od Angielki. — Widzicie, z czem mi pod nos podjechała? Trinken — wuj, ale baranią habaninę niech pani zostawi dla siebie.



Rozpoczęła się rozmowa pomiędzy towarzystwem rosyjskiem i angielskiem. Pomimo, że Anglicy mówili po angielsku, a Rosjanie po rosyjsku, całe towarzystwo gestykulowało zawzięcie i jakoś rozumiało jeden drugiego. Anglik w poważnym wieku z wielkiem zaciekawieniem oglądał srebrny kieliszek kaukaskiej roboty i prosił Mikołaja Iwanowicza, ażeby mu go sprzedał, albo zamienił się z nim na kieszonkowy przyrząd podróżny, składający się z widelca, noża, łyżki i korkociąga. Angielka częstowała wszystkich portweinem w kryształowym kieliszku. Konurin wziął od niej kieliszek i zanim przełknął jego zawartość, zawołał:

— Wiw Angliczan!

— Poco? Poco pan to robi? Z jakiej racji? Niech ich wszyscy djabli wezmą! — szarpnął go za rękaw Grablin i wino wylało się z kieliszka. — Anglicy to najbardziej podła nacja na świecie, a pan chce pić na ich zdrowie?...

— Ale... przecież rosyjska gościnność... rosyjska uprzejmość... — tłumaczył się Konurin, biorąc od Angielki drugi kieliszek.

— Niech pan pluje na to!... Za chwilę będzie pana częstowała czarnym pudingiem... Co takiego? Mnie proponuje? Nie, miersi, madam! Obrzydł mi już ten czarny puding w hotelu w ciągu trzech dni, gorzej od rzepy! — znów zaczął machać rękami Grablin i dodał: — Wsuwaj madam sama, kiedy ci to świństwo smakuje.

Wino wszystkim dodało humoru. W omnibusie nastrój podnosił się z minuty na minutę. Przedmieście Neapolu z sadami i winnicami pozostało w dole, omnibus zdołał już wje-

chać na znaczną wysokość, z której rozpościerał się piękny widok na Neapol i jego okolice, na morze i na wyspy zatoki Neapolitańskiej.

— Sorento!... Capri!... — wskazywał ręką konduktor.

Jechano miejscowością zupełnie pustynną, bezpłodną, pokrytą zastygłą lawą. Nigdzie ani śladu jakiejś roślinności, żadnego ptaka, żadnego nawet owada. Powietrze — przesiąknięte siarką; oddech z każdą chwilą stawał się coraz trudniejszy; tłum przewodników, którzy dotąd towarzyszyli omnibusowi, znikł i tylko dwuch z nich w dalszym ciągu szli w pobliżu kół, podnosili z drogi kawałki pokruszonej lawy i proponowali je podróżnym.

LVII.

Mikołaj Iwanowicz spojrzał na zegarek. Było akurat południe. Jazda trwała już około trzech godzin, lecz do Wezuwjusza ciągle jeszcze było daleko. Paliło słońce. Muły, zaprzężone do omnibusu, pokryły się potem i pianą, która wprost ściekała z ich brzuchów kawałami, wobec czego stangret poprosił o pozwolenie przerwania jazdy i dania możności odpoczynku zmęczonym zwierzętom. Zatrzymano się na jednym z tarasów. Anglicy natychmiast wydobyli lornetki i lunety i zaczęli oglądać widoki na morzu, oraz obserwować widziany z oddali Wezuwjusz. Konurin poprosił jednego z Anglików o pożyczenie mu lunety i też zaczął oglądać dymiący szczyt góry.

— Nie widzę nic strasznego! — rzekł. — Kiedy tu jechałem, przyznam się państwu, serce drżało mi, jak ogon baranı, a teraz widzę, że zupełnie niepotrzebnie. Przyznam się państwu, że zupełnie inaczej wyobrażałem sobie tę górę ognistą. Myślałem, że będzie tam morze płomieni, dymu i głownie latające, coś w rodzaju olbrzymiego pożaru, a tutaj... dymi i dymi, a ognia nie widać.

— Nie chwal się, nie chwal się! Jeszcze nie podjechaliśmy do głównego punktu! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— I ja zupełnie inaczej wyobrażałem sobie to widowisko! — dodał Grablin. — Mówiono mi, że na Wezuwjusz prowadzi teraz szosa wygodna, na każdym kroku wspaniałe restauracje, a tutaj naokoło pustynia i nic więcej.

— Patrzcie, tam pewno restauracja stoi?

Rzeczywiście na szarym stoku góry widać było w niejakiej odległości biały dom murowany.

— W takim razie, czegośmy się tu zatrzymali w pustyni? — zawołał Grablin. — Trzeba było tam się zatrzymać. Ej, stangret! Kosze! Restoran... Jedź do restoran... — pokazywał palcem biały dom. — Chce mi się strasznie pić, a tutaj zapasy nasze, nawet angielskie zupełnie się już wyczerpały.

— A dlaczego pan tak żłopał jeden kieliszek po drugim? — rzekła Głafira Siemionowna. — Mam tutaj jeszcze butelkę wody selcerskiej, może pan chce?

— Będę się może wodą napompowywał! Organizm mój potrzebuje teraz alkoholowej wilgoci, szanowna pani! Kosze! Restoran... Prędzej restoran! Dostaniesz na piwo! Przetłumacz mu, Rafael, żeby jechał do restauracji.

— Czy nie widzisz, jak się zwierzęta pomęczyły, pozwól im odpocząć! Gorzej będzie, jeśli nam padną na drodze.

Po pewnym czasie ruszono dalej. Biały dom zbliżał się coraz bardziej i wreszcie omnibus zaczął go mijać.

— Stój, stój! Stangret! — krzyknął Grablin, ciągnąc stangreta za ramię. — Towarzysze! Wychodzimy! Nareszcie podjechaliśmy do jakiegoś źródła życiodajnego!

— Przestań się cieszyć, jak głupi! To zupełnie nie restauracja, a obserwatorjum! — odpowiedział Pierechwatow.

— Co za obserwatorjum? Czego łżesz?

— Patrz na szyld na ścianie! Czytaj!

— Wiesz dobrze, że to nie dla mnie tam napisali! Zresztą: o b s e r... naprawdę obserwatorjum! Ale może restauracja się w ten sposób nazywa? Wyjdź no z omnibusu i zapytaj, czy nie mają tam jakiegoś dobrego koniaku, albo czerwonego wina.

— Zapewniam cię, że to jest prawdziwe obserwatorjum, w którem astronomowie śledzą planety i gwiazdy.

— A niech ich wszyscy djabli wezmą! Tak się cieszyłem, a tutaj nagle taka awantura! Zejdź jednak z omnibusu i zapytaj się w tem obserwatorjum... Może tam mają coś do popicia.

— Co za popicie może być w obserwatorjum?

— Dlaczego nie sprobować? A czy może być wypitka w aptece? A pamiętasz w Paryżu, jak nam raz w nocy przygotowali w aptece doskonałe jakieś naliwki, kiedyśmy grzecznie poprosili i powiedzieli, że to dla rius, dla Rosjan.

— W każdej aptece mają spirytus, ale skąd mają mieć spirytus w obserwatorjum! Panowie! Możebyście chcieli wysiąść i zobaczyć przez teleskop niebo? Przeczytałem właśnie, że wejście jest wolne dla każdego! — zaproponował Pierechwatow.

— Niech djabli wezmą wszystkie planety! Poco nam planety? Nie planety są mi potrzebne, ale jakieś szklanne naczynie z wilgocią alkoholową.

Z drzwi obserwatorjum wybiegł woźny w berecie, podbiegł do omnibusu i zaczął mówić coś po włosku, zapraszając podróżnych do zejścia z ekwipażu.

— O-de-wi rius, macie? Koniak macie? Wen róż macie? — pytał go Grablin.



Woźny wytrzeszczał oczy i uśmiechał się.

— Czego śmiejesz się, mordo italjańska? Skoro wybudowaliście obserwatorjum, obowiązkiem waszym było pomyśleć i o jakiejś restauracji. Kto będzie patrzył na wasze planety, kiedy nie macie nawet kieliszka wódki i ani jednej sardynki na przekąskę? — ciągnął dalej Grablin.

— Alle, kosze, alle! — krzyczała Glafira Siemionowna do stangreta. — Nie rozumiem zupełnie, czego się tu zatrzymujemy. Kto mógłby pomyśleć nawet, żeby w obserwatorjum trzymali koniak dla podróżnych.

— Za pozwoleniem... A w aptece piliśmy?...

Omnibus ruszył dalej. Po pewnym czasie ukazał się szlaban i domek dozorcy, który zatrzymał omnibus i zażądał pokazania biletów, dających prawo wjazdu na Wezuwjusz. Anglicy, którzy kupili bilety jeszcze w hotelu, pokazali je dozorcy. Rosjanie nie mieli biletów. Na razie nie rozumieli nawet, o co chodzi. Pieriechwatow zaczął rozmawiać ze stróżem, używając języków francuskiego, niemieckiego i włoskiego, naturalnie z dodatkiem słów rosyjskich. Okazało się, że szlaban ten jest postawiony przez angielskie towarzystwo Coocka dla kontrolowania zwiedzających, którzy za bilet muszą płacić 20 franków od osoby. Bilet ten służy jednocześnie na prawo przejazdu koleją linową na szczyt Wezuwjusza i z powrotem, oraz na prawo wchodzenia na szczycie Wezuwjusza na sam krater tegoż w towarzystwie specjalnych przewodników, utrzymywanych przez towarzystwo. Pieriechwatow przetłumaczył to wszystko swoim towarzyszom.

— Dwadzieścia franków z nosa! Fiu, fiu, fiu! — gwizdnął Konurin. — Ponieważ jest nas pięcioro, trzeba będzie wyciągnąć sto franków? Wcale, wcale... Przecież za te pieniądze można dostać 20 butelek włoskiego szampana... Wiecie co państwo! A może lepiej nie warto jechać dalej?

— Iwan Kondratjicz, zdaje mi się, że pan zwarjował! — zawołała Glafira Siemionowna. — Przejechaliśmy specjalnie do Neapolu, żeby być na Wezuwjuszu, przebyliśmy przeszło połowę drogi i kiedy już mamy Wezuwjusz pod nosem, pan chce zawracać z powrotem?... Przecież to wstyd! Co opowiemy znajomym w Petersburgu, kiedy nas będą pytać o Wezuwjusz.

— Powiemy, żeśmy byli, żeśmy wszystko widzieli jak się należy. Tak samo będziemy kłamać, jak o papie, którego też nie widzieliśmy.

— Nie, nie! Nie zgadzam się za nic na świecie. Może pan zresztą wysiąść tu i poczekać na nas przy szlabanie, a my pojedziemy dalej z Mikołajem Iwanyczem. Mikołaj Iwanycz, kupuj bilety!

— Z przyjemnością... Stanowczo musimy jechać dalej. Ja również nie zgadzam się na to, żeby wracać. Powiedziałem już wam, że dopóki nie zapalę papierosa od tego Wezuwjusza, dotąd się nie uspokoję! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz i wydobył złotą monetę. — Kup i ty, Iwan Kondratjicz! Nie udawaj sknery.

— Mój drogi, przecież to kosztuje tyle, ile u nas w Petersburgu 60 funtów cukru! — odpowiedział Konurin, drapiąc się po głowie. — Ech, gdzie nasze nie przepadło! Musju! Dawaj bilet!

— A ja muszę dwa bilety kupić, dla siebie i dla Rafaela! — westchnął Grablin. — Czterdzieści lirów... to na nasze pieniądze 16 rubli... Ilebym za to puchu mógł kupić u siebie w sklepie?... A półpuchu dwa razy więcej... Ha, co robić! Zresztą różnym kwiatuszkom ze stanu mamzelskiego w różnych kapernaumach płaciło się i więcej. Patrz, Rafaelku, i za ciebie płacę, a ty, draniu, robisz mi same przykrości i ciągle nazywasz mnie „dzikim". Widzisz, jak dziki za niedzikiego płaci.

Kupiono bilety i omnibus zaczął w dalszym ciągu wjeżdżać pod górę, kierując się ku szczytowi. Coraz dokładniej widać było szary gmach stacji kolejowej, widać było i plant kolejowy, leżący na stromym stoku, oraz mały wagonik, wciągany przy pomocy liny na górę. Wszyscy patrzyli przez lornetki.

— Czy i nas tak będą ciągnąć na linie? — pytał Konurin.

— Naturalnie! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— A jak lina pęknie i wagon poleci z góry do góry nogami?

— Wtedy możesz pisać list do rodziców, że już „amen"! Nawet kostek nie zbierzesz.

— Dziękuję!... I to za swoje własne, krwawo zapracowane pieniądze. Ładna historja... Wartoby napisać list do żony przed taką podróżą i wydać ostatnie polecenia... Trze-

baby weksle posłać... Mam przy sobie trochę weksli... na półtora tysiąca...

— Ach Iwan Kondratjicz, jak się pan nie wstydzi być takim tchórzem! Ja kobieta, a nie boję się! — rzekła Glafira Siemionowna.

— Nie chwal się za wcześnie! Jeszcze nie wsiadłaś do wagonu! — zauważył mąż.

— Ale wsiadę. Wsiądę bez żadnego strachu! Możesz być spokojny!

— Przypuszczam, że w razie czego będzie można zostać na stacji... Przypuszczam, że chyba nie będzie mnie nikt zmuszał, żebym siadł do tej przeklętej kolejki, jak mi się to nie będzie podobać! — znów zapytał Mikołaja Iwanowicza Konurin.

— Naturalnie!

— W takim razie dojadę tylko do stacji, a co się tyczy tego wagonika na linie, to niech go tam Pan Bóg ma w swojej opiece... Naprawdę... Mam przy sobie za dużo pieniędzy i weksli...

— Co cię to obchodzi? Jeżeli zlecisz, to ci będzie wszystko jedno...

— Głupi jesteś! Ja mam w domu żonę, dzieci... Ty przynajmniej, jak zlecisz, to razem z żoną, dwa buty do pary, wszystko w porządku, a ja wdowę zostawię w Petersburgu... Naprawdę straszne rzeczy. Patrzcie jaka ściana, niech djabli wezmą tego całego Wezuwjusza!

— Tchórz!

— Pendzelkiewicz! Rafael! Dlaczegoś się nie zapytał o rzecz najważniejszą? — rzekł Grablin, zwracając się do Pieriechwatowa. — Nie zapytałeś się, czy tam na stacji jest bufet.

— Jest! Można nawet dostać śniadanie a la kart.

— W takim razie niczego się nie boję. Przełknę sobie kilka kieliszków czegoś gorzkiego i mocnego i mogę robić, co się komu podoba. Gotów jestem na wszystko!

— W takim razie ja pewno w restauracji zostanę... Naprawdę nie mogę ryzykować... Mam przy sobie weksli prawie na dwa tysiące... Gdybym jeszcze nie miał weksli, to kto wie... — zdecydował ostatecznie Konurin.

Wreszcie omnibus zatrzymał się przed stacją, przed którą rżały konie i krzyczały osły różnych ekwipażów.

LVIII

Stacja kolejki linowej była jakby przyklejona do stromej, prawie prostopadłej skały, pokrytej szarą lawą zastygłą, miejscami zwietrzałą i sypiącą się jak piasek. Do skały na przestrzeni trzech — czterech kilometrów przybite były szyby i po szynach tych wciągano za pomocą lin drucianych mały wagonik, mogący zmieścić około tuzina pasażerów.

Podróżni nasi zaczęli natychmiast oglądać kolej. W trakcie tego z wysokości zjeżdżał wagonik na dół. Skrzypiały bloki, konduktor trąbił. Głafira Siemionowna podniosła głowę do góry i pomimowoli drgnęła.



— Ach, jakie to straszne! — rzekła półgłosem. — Jeszcze nie siadłam do wagonu, a już mi dech zapiera!

Przestraszył się trochę i Mikołaj Iwanowicz.

— Nie pojedziesz? — zapytał szeptem żonę.

— Jakto nie pojadę? Wstydziłabym się... Tyle czasu jechałam w omnibusie, kupiliśmy bilety, jesteśmy już na stacji... Jak można nie jechać? Przecież inni ludzie jeżdżą! Właśnie wagon zjeżdża na dół.

— Jak taka linka pęknie, możesz śmiało powiedzieć „kaput". Nawet kości porządnie nie zbiorą! — kiwał głową Konurin.

— Mojem zdaniem tylko pijany człowiek może odważnie jeździć taką koleją. Wiadomo, że dla pijanego nawet morze — po kolana! — zauważył Grablin.

— Uprzedzam cię jednak, Grigoryj Awerjanycz, żebyś się za bardzo nie zagazował. Wypadniesz po pijanemu z wagonu, jeszcze gorzej będzie! — rzekł Pieriechwatow.

— A od czego ty jesteś? Pilnuj mnie, żebym nie wypadł! Od tego jesteś, żebyś mnie pilnował!

— Nie, nie... Na miłość boską... Jeżeli pan się upije, nie pojadę z panem! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Za pozwoleniem... Nie można nie połknąć kilku kieliszków dla nabrania odwagi. Nie widzi pani, co to za złodziejska kolej?...

W trakcie tego wagonik zatrzymał się i wysiadło siedmiu pasażerów, wśród których była również jakaś Niemka w średnim wieku. Siedziała blada jak płótno, z zamkniętemi oczami i krzątający się przy niej tłusty Niemiec z rudemi wąsami, dawał jej wąchać coś z buteleczki. Wyprowadzono ją z wagono pod ramiona.

— I czego taka baba włóczy się, gdzie nie potrzeba! —

pokiwał głową Mikołaj Iwanowicz. — A możebyśmy się, Głasza, zastanowili? Dobrze? — zwrócił się do żony. — Widzisz, jak ta dama... prawie zupełnie straciła wszelkie zmysły.

— Racja! Nie jedźmy! — poparł przyjaciela Konurin. — Niech wszyscy djabli wezmą tę kolej przeklętą.

— Nie, nie... Ja pojadę! Zamknę oczy w czasie jazdy, ale pojadę! — rzekła Głafira Siemionowna. — Naopowiadaliśmy wszystkim znajomym w Petersburgu, że będziemy na Wezuwjuszu, więc jak można nie jechać.

— W Petersburgu możemy opowiedzieć, żeśmy byli na samym szczycie, że nawet zapaliłem papierosa od Wezuwjusza. Myślisz, że oni nas zdradzą? — wskazał Mikołaj Iwanowicz na towarzyszów podróży. — Możesz być spokojna. Jak my nie pojedziemy, to oni też nie pojadą.

— Ja pojadę! — rzekł Pieriechwatow.

— I ja! I ja z panem! A wy panowie, jak chcecie! — zdecydowała się odważnie Głafira Siemionowna.

Obejrzawszy kolejkę, wszyscy skierowali się do restauracji, znajdującej się przy stacji. Wszyscy czuli się niezbyt dobrze, ale każdy udawał odważnego. Angielskie towarzystwo, przybyłe razem z nimi, siedziało już przy stole i jadło śniadanie. Razem z nimi siedzieli również i ci Anglicy, którzy przed chwilą przyjechali ze szczytu, również oryginalnie ubrani, jak i ich towarzysze. Jeden z nich miał na głowie szkocką czapeczkę w zielone i czerwone kraty na białem tle i taką samą marynarkę, zapiętą na wszystkie guziki; przez ramię miał na ramieniu przewieszoną flaszkę w skórzanym futerale, portcygar skórzany, lunetę, barometr okrągły. Śniadanie podawano a la carte. Anglicy jedli jakieś mięso. Grablin podszedł do stołu, zajrzał w pierwszy talerz i zawołał:

— Wiedziałem, że tak będzie! Znów barania habanina z bobkowem mazidłem z pomidorów. A niech was! To wszystko dla tych Anglików! W Neapolu starają się dogodzić tylko tym parszywym Anglikom!

— To dlatego, że ich jest tutaj najwięcej we Włoszech! — odpowiedział Pieriechwatow. — Pomyśl tylko, czy dużo tutaj jest Rosjan? Kilku zaledwie. Jeździmy z tobą już tyle czasu i dopiero po raz pierwszy spotkaliśmy rosyjskie towarzystwo...

— A co mnie to obchodzi?

Śniadanie przeszło w dość ponurym nastroju i zakończyło się awanturą. Wszyscy powstrzymywali się od picia, oprócz Grablina, który, jak się to mówi, żłopał na cały regulator i w rezultacie urżnął się i zaczął zaczepiać Anglików. Daremnie Pieriechwatow starał się go uspakajać. Grablin przedrzeźniał mowę angielską, pokazywał Anglikom pięści, przewracał ich szklanki, wylewając ich wino na obrus, Angielkę w dużym kapeluszu, podobnym do grzyba, która jechała razem z nimi w omnibusie, nazywał „mamzel - dekozel na

kurzych nóżkach". Anglicy byli oburzeni, podnieśli głos, wstali z za stołu i chcieli przesiąść się. Głafira Siemionowna podeszła do Grablina i zaczęła go prosić, aby nie robił awan-



tur i wreszcie z pomocą Pieriechwatowa zaprowadziła go do sąsiedniego pokoju, ledwie trzymającego się na nogach. Usadzono go w fotelu. Plotąc różne głupstwa i zapewniając Głafirę Siemionownę gorąco, że tylko dla niej nie pobił się z Anglikami, zażądał butelkę Asti, wypił duszkiem szklankę i zaczął drzemać, kiwając się w fotelu Po kilku minutach zasnął na dobre.

— Niech śpi, a my pojedziemy sami na szczyt! — rzekł Pieriechwatów. — Niech się porządnie wyśpi przed naszym powrotem. Nie możemy go brać ze sobą w takim stanie, napewno wypadnie nam z wagonu. Ponadto od wagonu do krateru jest jeszcze kawałek drogi... Tutaj mu będzie dobrze... Zostawmy go samego w pokoju. Damy służbie porządny napiwek, ażeby go przypilnowała i będzie mu tu doskonale...

— Straszny awanturnik z tego pańskiego przyjaciela! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Zupełnie, jak źrebię, dzikie źrebię. Możecie państwo wyobrazić sobie, ile ja wycierpiałem podczas tej podróży! — westchnął Pieriechwatow. — W każdem prawie mieście jakaś awantura, na każdym kroku. Gdyby nie gorąca chęć ujrzenia Włoch, pogłębienia wiadomości, obejrzenia arcydzieł sztuki, nigdybym się nie zgodził jechać zagranicę z takim człowiekiem.

Weszli do pokoju Konurin i Mikołaj Iwanowicz.

— Czy już uspokoił się snem spokojnym niewolnik boży, Grzegorz? — zapytał Konurin. —

— Śpi! To nawet lepiej. Nie mielibyśmy spokoju z nim ani w wagonie, ani na szczycie. Jedźmy teraz prędzej! — pośpieszał Pieriechwatow.

Wziął śpiącemu Grablinowi zegarek, portmonetkę i portfel,

wydał polecenia służbie i wszyscy poszli, ażeby zająć miejsca w kolejce.

— Głasza! Głasza! Zabrałem dla ciebie butelkę wody sodowej! Wrazie czego będziesz mogła napić się wody! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Pilnuj się lepiej, żebyś sam nie potrzebował zimnej wody! — odpowiedziała z pogardą Głafira Siemionowna.

— Wszyscy święci pańscy! Pozwólcie mi szczęśliwie wrócić z tej przeklętej kolei! — szeptał Konurin. — I pytam się wszystkich, poco my tam idziemy? Za swoje pieniądze leziemy djabłu prosto na rogi.

— W takim razie zostań tutaj razem z Grablinem i czekaj na nas! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

Konurin zastanawiał się:

— Może naprawdę lepiej zostać? Mam w kieszeni weksli przeszło na dwa tysiące. Jak wykopyrtnę się tutaj, kto weksle żonie odda? —rzekł, lecz po chwili machnął ręką i oznajmił odważnie: — Zresztą dla kompanji dał się cygan powiesić. Jak zginę, to przynajmniej w waszem towarzystwie!

— Czego pan nam psuje humor, jak puszczyk jaki! — zwróciła się do niego Głafira Siemionowna. — Ciągle tylko zginę, zginę... Zamiast dodać nam odwagi, pan ciągle z takiemi słowami... Przecież inni ludzie nie giną.

—Była już tutaj katastrofa! — rzekł Pieriechwatow. — Pękła lina, wagon zleciał na dół i rozbił się na drzazgi... Czytałem w gazetach.

— Niech pan nie opowiada! Niech pan nie opowiada! — zaczęła machać rękami Głafira Siemionowna i zbladła jak chustka. — Czy można przed samem wyruszeniem opowiadać takie rzeczy?... Jak się pan nie wstydzi?...

Stali już przy wagonie, w którym siedzieli ich towarzysze podróży — trzech Anglików, Angielka i jakiś starszy pan, chudy i bardzo wysoki, nieznanej narodowości, ubrany w szerokie palto w kraty.

— Gdybyś Głasza chciała zostać, to jeszcze możemy... Niech djabli wezmą te bilety! — rzekł do żony Mikołaj Iwanowicz.

— Nie, nie! Ja jadę!

Rzekłszy to, Głafira Siemionowna skoczyła do wagonu. Mikołaj Iwanowicz chciał iść za nią, lecz w trakcie tego konduktor, znajdujący się w wagonie, odepchnął go lekko, zatrzasnął drzwiczki i zatrąbił. Skrzypnęły bloki i wagon zaczął podnosić się do góry.

— Stój! Stój, draniu jeden! — krzyczał Mikołaj Iwanowicz na konduktora. — To moja żona! To moja małżonka! Sama sama! Ja muszę z nią!...

Naturalnie wagon nie zatrzymywał się.



— Co to takiego? — wrzeszczał Mikołaj Iwanowicz. — Dlaczego mnie nie wpuścił do wagonu? Przecież były jeszcze wolne miejsca? Czyżby te dranie, Angliki, zakupili cały wagon dla siebie? Boże, co tam moja Głasza sama będzie robić? Ach dranie, dranie! Purkua? Jakie prawo macie zatrzymywać męża, kiedyście żonę wpuścili do wagonu? — rzucił się prawie z pięściami na dozorcę kolejowego, stojącego na platformie.

Ten zaczął coś tłumaczyć łamanym językiem francuskim.

— Co on mówi? Co on bełkocze, kanalja przeklęta? — pytał Mikołaj Iwanowicz Pieriechwatowa.

— Mówi, że chociaż w wagonie są jeszcze miejsca, lecz obecnie pozwolono jest zabierać tylko najwyżej sześciu pasażerów. Przedtem wpuszczano dziesięciu, lecz po katastrofie, kiedy to pękła lina... — tłumaczył Pieriechwatow.

— Boże, Boże! Co teraz będzie! Żona tam, a mąż tutaj! A niech się pod wami ziemia zapadnie!

— Pojedziemy następnym pociągiem, a żona poczeka na nas tam na górze!

Ale Mikołaj Iwanowicz był w rozpaczy. Przestraszony i zdenerwowany patrzył w górę, machał żonie chustką i kijem i krzyczał:

— Głasza! Proszę cię, żebyś była ostróżną! Na Boga, bądź ostróżną! Przymknij oczy, przymknij oczy, nie patrz na dół! A jak przyjedziesz na górę, zatrzymaj się i ani kroku... Czekaj na nas! Za Anglikami nie waż mi się nigdzie chodzić! Rozumiesz! Ani kroku!

Ale zgóry nie było słychać żadnej odpowiedzi, nie było widać żadnego znaku.

LIX.

Na następny pociąg trzeba było oczekiwać około pół godziny. Mikołaj Iwanowicz zdenerwowany przygryzał wargi, wzruszał ramionami i wogóle zdradzał silne zaniepokojenie.

Wpatrywał się co chwila w górę, w kierunku wznoszącego się toru kolejowego i szeptał:

— Ach, oślica, oślica!... Ach, idjotka! Nie mogła poczekać na męża, sama pojechała... Nie daj Boże, jeżeli się coś przytrafi? Co ona tam sama pocznie?...

— Jeżeli ma się coś zdarzyć, to wszystko jedno, czy będzie sama, czy z panem — nikt z pasażerów nie uniknie śmierci! — odpowiedział Pieriechwatow.

— Za pozwoleniem... co pan wygaduje?... Żona moja nie ma nawet paszportu przy sobie! — gorączkował się Mikołaj Iwanowicz. — Mamy wspólny paszport, który mam w kieszeni...

— A po co żonie paszport?

— Jakto poco? A w jaki sposób dowiodę, że to moja żona, jeżeli ona zabije się? Jak pan chce, ale to jest niegrzeczność, to jest świństwo, co ona zrobiła... Pojechała sama... Czy nie widzi pan: dojechali już do miejsca, czy jeszcze jadą?

— Zdaje mi się, że jeszcze nie dojechali, bo wagon się rusza...

— Ani lornetki, ani lunetv... Musi pan wiedzieć, że mamy lornetkę, ale moja żona, oślica, zabiera ją tylko do teatru i teraz, kiedy jest naprawdę potrzebna, zostawiła ją w hotelu. Bite! Permete!... — zwrócił się Mikołaj Iwanowicz do Anglika w kratkowanej marynarce szkockiej, który też oczekiwał na pociąg i patrzył w górę przez lunetę morską i prawie siłą wyrwał mu ją z rąk.

— Keskese? — bełkotał zdziwiony Anglik, wytrzeszczając oczy.



— Ma fam, ma fam... Oślica, ma fam! — odpowiedział prędko Mikołaj Iwanowicz, kierując lunetę ku górnej stacji kolejki. — No, chwała Bogu, dojechali szczęśliwie. Wagon stoi już na stacji.

Uszczęśliwiony przeżegnał się nawet i zwrócił lunetę Anglikowi.

Niemniej od Mikołaja Iwanowicza niepokoił się i Konurin. Niepokoił się o swoją skórę i milczał dotąd, wreszcie jednak nie wytrzymał i rzekł:

— A możeby tak choćby ołówkiem napisać list do żony, że tak i tak... żegnaj ukochana, już jadę? Mam pocztówkę zaadresowaną i ołówek?...

— Poco? — zapytał Pieriechwatow.

— Zawsze znajdą list przy trupie i odeślą według adresu?

— Przestań gadać ciągle o tych trupach! — krzyknął nań Mikołaj Iwanowicz. — Ciągle chcesz straszyć ludzi? Czy nie widzisz, że dojechali szczęśliwie?

Tymczasem wagonik z pasażerami został spuszczony z góry i zaczął opróżniać się. Pierwszy wyszedł wysoki chudy człowiek w meloniku, blady i chwiejący się na nogach; przy ustach trzymał chustkę. Prawdopodobnie cierpiał on na zawroty głowy i podczas zjeżdżania z góry dostał ataku, podobnego do choroby morskiej. Wszyscy ustępowali mu z drogi. Konurin popatrzył nań z współczuciem i zawołał:

— Boże mój, Boże! Tyle udręki za własne pieniądze....

Konduktor zatrąbił i wzywał pasażerów do zajęcia miejsc. Pierwsi weszli do wagonu Pieriechwatow, Konurin i Mikołaj Iwanowicz. Za nimi wsiadł Anglik w kratkowanej marynarce. Więcej pasażerów nie było. Konduktor zatrąbił po raz drugi i trzeci i wagon zaczął podnosić się. Rosjanie przeżegnali się. Anglik wziął do ust jakąś pastylkę, którą wydobył z maleńkiego pudełeczka, spojrzał na przewieszony na pasku przez ramię barometr, na zegarek i zapisawszy coś do notesu, zaczął przez lunetę oglądać stoki góry. Widok Neapolu i zatoki stopniowo rozpływał się w mgle, przesłaniał jakby chmurami. Mikołaj Iwanowicz siedział z przymkniętemi oczami.

— Nic pan nie czuje? — zapytał go pocichu Pieriechwatow.

— Coś czuję, ale sam nie wiem, co...

— Możeby było dobrze weksel schować do buta?... I pieniądze?... — pytał się Konurin, nie zwracając się właściwie do nikogo.

Nikt mu nie odpowiedział. Anglik wydobył z kieszeni mały flakonik, podniósł go do ust, wypił kilka kropel, znów spojrzał na barometr i znów zapisał coś do notesu.

— Żegnaj, żono... Żegnaj ukochana małżonko moja... Wspomnij choć czasem swego męża, Iwana na wypadek, gdyby coś takiego... — mruczał Konurin. — Ach, kochana żonko moja... Siedzisz sobie teraz w domu, mądralo, wygodnie, jak w gniazdku i pociągasz herbatkę, a ja, osieł, gdzie jestem?... Włóczę się pod chmurami... Nie byłoby nic dziwnego, gdybym od wierzycieli drapnął na takie wysokości, ale od dobrego, spokojnego życia, od własnych kapitałów... Tfu!

Nagle Mikołaj Iwanowicz krzyknął i odsunął się od Anglika.

— Ratunku! — wrzasnął Konurin, chwytając się za oparcie ławki. — Boże! Co się stało?

Okazało się, iż Anglik wydobył z kieszeni pudełko i wypuścił z niego na ławkę dużą żabę, która skoczyła w kierunku Mikołaja Iwanowicza, lecz nagle zatrzymała się i zaczęła nadymać się wrogo.

— Musju! Co to takiego? Czy można żarty stroić z żabami?... Ze zwierzętami nie wolno wchodzić do wagonu! — zaczął krzyczeć na Anglika Mikołaj Iwanowicz, przyszedłszy do siebie.

— Wyrzuć ją! Wyrzuć ją z wagonu! — poparł przyjaciela Konurin, też zorjentowawszy się w położeniu. — Co to za muzyka?! Z żabami jeździ wagonem?!

— Dajcie mu spokój, panowie. To pewno jakiś uczony... Robi doświadczenia naukowe... Jakiś badacz... — powściągał towarzyszy Pieriechwatow.

— Badacz? To co, że badacz? Może być sobie nawet arcybadaczem! Pluję na niego!



Mikołaj Iwanowicz zrzucił żabę laską z ławki na podłogę a następnie wyrzucił przez okno. Widać było, jak leciała w przepaść. Anglik oburzył się i zaczął coś mówić po angielsku, błyskając oczami i wymachując rękoma przed Mikołajem Iwanowiczem.

— No, no, no! Przestań wykrzykiwać, bo i ciebie wyrzucę z wagonu, jak tę żabę! Lepiej zamknij gębę! Jesteś sam, a nas — trzech.

Zaczęło się wzajemne wymyślanie sobie. Anglik wymyślał po angielsku, Konurin i Mikołaj Iwanowicz wysypali nań w odpowiedzi cały słownik przekleństw rosyjskich.

— Trzeba będzie, jak dojedziemy, kazać spisać protokuł, że taki i taki rudy drągal angielski jeździ w wagonie z mlekożernem zwierzęciem i czyni zakłócenia niepokoju publicznego! — rzekł wreszcie z powagą Konurin.

— Panowie! Dosyć tego! Dajcie spokój!... Już przyjechaliśmy na miejsce! — uspakajał swych towarzyszów Pieriechwatow.

— Jakto dosyć? Niech podziękuje Bogu, że Głasza pojechała przed nami, bo gdyby się to było stało przy niej, to takbym mu mordę wylakierował i tak boki obsztorcował, żeby go w domu nie poznali. Głasza, widzi pan, nie może patrzeć na żmije i na żaby i napewno dostałaby zaraz nerwów, ataku histerycznego... — krzyczał dalej Mikołaj Iwanowicz.

Wagon zatrzymał się na stacji.

— Chwała Bogu! Anioł stróż wyniósł mnie na skrzydłach z tego piekła! — rzekł Konurin, żegnając się. — Jakto jednak będzie z tym powrotem na dół?...

Mikołaj Iwanowicz szukał oczami na stacji żony, lecz nigdzie jej nie było.

— Ma fam? U ma fam? — pytał się naprawdę przestraszony służby kolejowej. — Głasza! Głafira Siemionowna, odezwij się! Gdzie jesteś? Co tu się dzieje, do wszystkich djabłów?... Czyżby uciekła na sam szczyt Wezuwjusza? Ach oślica, oślica! Ach, podła baba! To ją ci Anglicy, którzy jechali z nami omnibusem, uprowadzili ze sobą! Poczekajcie, djabły zębate! Ja wam dam!

Otoczyli go przewodnicy w czapkach mundurowych z numerami na piersiach i przewodnicy bez numerów i proponowali swoje usługi. Wszyscy mieli w rękach długie kije alpejskie. Przewodnicy bez czapek mundurowych mieli nawet po dwa i po trzy kije a oprócz tego przerzucone przez plecy brudne koce i wiązki grubych lin.

— Idźcie do wszystkich djabłów! Precz! Żona mi zginęła! — krzyczał na nich Mikołaj Iwanowicz.

— Nie zginęła, lecz prawdopodobnie poszła dalej z urzędowym przewodnikiem! — tłumaczył Pieriechwatow. — Mamy prawo każdy do przewodnika, rekomendowanego przez towarzystwo Coocka. Napisane jest to nawet na biletach, które nabyliśmy przy szlabanie. Ci w czapkach mundurowych z numerami blaszanemi na piersiach — to nasi przewodnicy.

Jeden z takich przewodników już zapraszał do siebie Pieriechwatowa i Mikołaja Iwanowicza, kiwając na nich i mrucząc coś w łamanym włoskim języku.

— Odczep się ode mnie, przeklętniku! Żony szukam! Ma fam... Żona mi gdzieś się zapodziała! Znaleź ją a dostaniesz dwa franki na piwo... — gniewał się Mikołaj Iwanowicz. — Szersze ma fam a dostaniesz extra dwa franki pur buar!

— Panie Iwanow, pańska małżonka napewno poszła na szczyt z przewodnikiem i Anglikami. Chodźmy prędzej naprzód a napewno zastaniemy ją jeszcze przy kraterze. Niech pan patrzy, już niema tu nikogo.

— Ale dostanie baba ode mnie! Co dostanie, to dostanie!

Wszyscy ruszyli za przewodnikiem w czapce munduro-

wej. Trzech przewodników cywilnych szło z tyłu i proponowało turystom kije alpejskie .

— Wont! — krzyknął na nich Konurin, lecz to nic nie poskutkowało i przewodnicy szli dalej za nimi.

LX.

Od stacji kolejki ciągnęła się niezbyt szeroka ścieżka ku kraterowi. Wchodzenie po wijącej się zygzakami, wąskiej ścieżce, wznoszącej się dość stromo w górę, nie było rzeczą łatwą. Nogi więzły w piasku, składającym się z zwietrzałej rozsypanej lawy. Powietrze było przesiąknięte zapachem siarki oddech z każdą chwilą stawał się coraz trudniejszy. Ludzie szli gęsiego, jeden za drugim, pod przewodnictwem urzędowych przewodników towarzystwa Coocka. Na czele szedł Anglik w marynarce kratkowanej w dwuch krokach za swoim przewodnikiem, za nim znowu przewodnik, a za tym szedł Mikołaj Iwanowicz, opierając się na swojej lasce, zawierającej — jak wiemy — wewnątrz sztylet; z tyłu ciągnęli się Pieriechwatow i Konurin. W pobliżu nich, nie po ścieżce, lecz po rozrzuconych odłamkach i gruzach lawy biegło trzech przewodników cywilnych w kalabryjskich podartych kapelusbach i wymachując pękami lin, przy trudniejszych przejściach podbiegało do naszych podróżnych, podawało im ręce, popychało pod ramiona, proponowało swoje kije alpejskie. Mikołaj Iwanowicz starał się uwolnić od tych nadskakiwań.

— Czego te dranie ciągle do mnie lezą? — pytał, obcierając pot z czoła.

— Chcą zarobić coś na makarony! Głód ich zmusza do tego! — odpowiedział Pieriechwatow i wziął od jednego z przewodników kij z ostrzem na końcu. — Niech pan im odda swoje palto... niech niesie... Wtedy dadzą panu spokój. Przecież panu jest za gorąco tutaj w palcie.

— Może pan ma i rację.

Mikołaj Iwanowicz oddał jednemu z przewodników palto, lecz inni w dalszym ciągu nadskakiwali mu.

Widząc, że Mikołaj Iwanowicz z trudnością drapie się pod górę, wyciągali doń końce lin i gestami dawali mu do zrozumienia, żeby ujął mocno za koniec liny, za którą będą go ciągnąć i w ten sposób pomogą mu przezwyciężyć trudności stromego wejścia. Ażeby upewnić się, że Mikołaj Iwanowicz zrozumie, o co im chodzi, jeden z przewodników z pomocą swoich dwuch przyjaciół zademonstrował podobny sposób wchodzenia pod górę. Mikołaj Iwanowicz zgodził się wreszcie na propozycję. Przewodnik obwiązał go w pasie liną i ująwszy ją za drugi koniec, zaczął ciągnąć Mikołaja Iwanowicza pod górę. Rzeczywiście iść było daleko lżej.

— Ej ty, czarny djable! Pociągnij i mnie! — krzyknął Konurin do drugiego przewodnika.

Ten rzucił się do niego i też obwiązał go liną.



— Uważaj tylko, żebyś mnie nie zaciągnął do jakiejś przepaści!... — mówił dalej Konurin, idąc wyprostowany i pozwalając się ciągnąć przewodnikowi; po chwili dodał: — Dorośli ludzie, w poważnym wieku, z siwemi głowami, bawimy się jak dzieci w jakieś koniki... Gdybym to nawet opowiedział komuś w Petersburgu, splunie i nie da wiary. Nikt z krewnych za żadne skarby nie uwierzy, żeśmy w taki sposób bawili się w koniki z przewodnikami. Pytam się jednak wszystkich, po jakiego djabła tak męczymy siebie i innych i leziemy, Bóg wie gdzie. Co nam przyjdzie z tego całego Wezuwjusza?

— Żądza wiedzy, Iwan Kondratjicz! Żądza wiedzy, chęć ujrzenia cudu przyrody! — mówił przerywanym głosem Pieriechwatow, zmęczony trudnościami wchodzenia.

— Żądza wiedzy! To dobre dla jakiegoś pana, dla jakichś hrabiów, ale co z tego przyjdzie człowiekowi ze stanu kupieckiego?

— Co do tego, to możesz milczeć, albo mówić tylko za siebie! — przerwał przyjacielowi Mikołaj Iwanowicz. — Według współczesnych czasów, kto ma pieniądze ,ten jest panem i hrabią. Panie Pieriechwatow! Może pan się zapyta tych Etiopów, kiedy nareszcie dojdziemy do właściwego punktu. Kiedy nareszcie nastąpi koniec tego idjotycznego drapania się pod górę?

Pieriechwatow porozumiał się z przewodnikami i odpowiedział:

— Za 10 minut! Za 10 minut staniemy nad brzegiem czynnego krateru. Obecnie idziemy także po kraterze, ale już wygaśniętym.

— Ach! Co takiego? Dymi się! Chryste Panie, co się tu dzieje? — krzyknął naraz Konurin, zatrzymując się w przerażeniu i pokazał palcem w bok od ścieżki.

W odległości jakichś pięciu kroków ze szczeliny wydobywała się dość szeroka struga wstrętnego dymu o siarkowym zapachu.

— Właśnie mówiłem przed chwilą o tem. To jest ten nieczynny już, wygaśnięty krater! — odpowiedział Pieriechwatow. — Przewodnik mówił mi, że z tej szczeliny jeszcze 50 lat temu wyciekała lawa i tryskał ogień, odłamki skał i piasek.

— Za pozwoleniem... Dlaczego pan mówi, że przewodnicy nazywają ten krater nieczynnym i wygaśniętym, kiedy z niego leci dym? Mikołaj Iwanycz, możebyśmy się jednak zatrzymali i wrócili na stację? Przecież to naprawdę może być bardzo niebezpieczne.

— Jak ja mogę wracać, kiedy moja żona na mnie czeka, ośle jeden? Nie wiesz, że Głasza poszła naprzód? — krzyknął na przyjaciela rozgniewany Mikołaj Iwanowicz, rozglądając się bojaźliwie na wszystkie strony. — Co do mnie, to gotów jestem na wszystko, mogę iść wprost w ogień nawet, na pewną śmierć.

— Przestańcie panowie tchórzyć! Przecież widzicie, że inni ludzie chodzą tutaj codziennie i o żadnym wypadku nikt nic nie wie! — dodawał im odwagi Pieriechwatow.

Szczeliny z wydobywającym się z pod ziemi dymem siarkowym stały się coraz częstsze. Trzeba już było starannie wybierać miejsce, gdzie stąpnąć. Ziemia pod stopami była gorąca, co dawało się odczuwać nawet przez podeszwy obuwia.

— Chryste Panie! Gdzie my jesteśmy? Czuję, wyraźnie czuję, że pod stopami mi się pali... Zupełnie jak w piekle... Zdaje mi się, że idę po rozpalonej płycie kuchennej... — mruczał Konurin coraz bardziej przestraszony. — Mikołaj Iwanycz, błagam cię, wracajmy lepiej... Zaklinam cię na Boga... Poco pragniesz mojej śmierci? To nawet nieładnie z twojej strony!... Z jakiej racji ma zginąć dusza chrześcijańska bez pokuty? Ach! Skąd te grzmoty? Wracajmy! Na Boga, wracajmy!

Rzeczywiście w tej samej chwili dały się słyszeć grzmoty pod ziemią. W ten sposób dawał znać o sobie czynny krater. Przewodnicy uśmiechnęli się, pomruczeli coś pomiędzy sobą i zaczęli kiwać z uśmiechem w stronę ,skąd dochodziły odgłosy gromu.

— Na Boga, ludzie chrześcijańscy, zaklinam was, wracajmy! — błagał Konurin, zatrzymując się.

— Djable jeden! Ośle dardanelski! Pniu brzozowy! Jak ja mam wracać, kiedy żona moja jest tam?

— Przecież to twoja żona, a nie moja! Poco mnie tam wleczesz za sobą? Nie! Jak sobie chcecie, ja dalej nie idę ani na krok. Mam dwa tysiące rubli w kieszeni i weksel na tysiąc osiemset rubli...

Pieriechwatow dodawał mu odwagi:

— Na Boga! Czego się pan boi, Iwan Kondratjicz? Codziennie około stu ludzi wchodzi na Wezuwjusz i nie było dotąd żadnego wypadku. Dlaczego koniecznie panu ma się

co wydarzyć? Przecież pan widzi, że ścieżka jest wydeptana, że ludzie chodzą tutaj ciągle! — mówił, podchodząc do Konurina i biorąc go pod ramię.

Odgłosy grzmotu zaczęły się powtarzać coraz częściej i były coraz silniejsze. Wezuwjusz pokazywał, co umie. W powietrzu widać było obłoki popiołu, wyrzucanego przez krater. Podróżnicy nasi szli dalej.

Nagle strome zbocze skończyło się i weszli na obszerną płaszczyznę koloru prawie czarnego, poprzecinaną małemi wgłębieniami, żółtemi od siarki. Dymiące szczeliny widać było już teraz literalnie na każdym kroku. Cała ziemia naokół dymiła i zapach siarki był nie do wytrzymania. Mikołaj Iwanowicz blady i spocony szedł przed siebie i zgrzytał zębami:

— Och, Głaszka, Głaszka! Och podła żono! Gdzie cię, oślicę jedną, zanieśli djabli? — wykrzykiwał od czasu do czasu.

Anglik w kratkowanej marynarce, idący na czele pochodu, zatrzymał się, popatrzył na barometr, obliczył uderzenia pulsu swego, wreszcie wyjął z kieszeni pudełeczko i wypuścił z niego żywego, czerwonego motyla. Motyl nie poleciał, lecz natychmiast siadł na ziemi i stulił skrzydełka. Mikołaj Iwanowicz wyprzedził Anglika i prowokacyjnie splunął w jego stronę.

— Widzisz tego rudego durnia? Wynalazł sobie odpowiednie miejsce dla swoich głupich zabawek! — mruknął.

— Una moneta... Una moneta... — naprzykrzał się Mikołajowi Iwanowiczowi jeden z przewodników, pokazując mu kawałek lawy z wtłoczoną w nią miedzianą monetą, pokrytą zieloną patyną.

— Czego chcesz, djable jeden? Czegoś się przyczepił do mojej duszy?

— Niech mu pan da miedzianą monetę, zapiecze ją panu w gorącej lawie. Będzie pan miał pamiątkę z ekskursji dzisiejszej. Proszę, mój przewodnik zrobił mi już taką „zapiekankę", niech pan zobaczy, jakie to gorące. Z trudnością można utrzymać w ręku — tłumaczył Pieriechwatow.

— A niech go wszyscy djabli wezmą razem z jego zapiekanką! Mnie żona zginęła, a ten drań zawraca mi głowę jakąś zapiekanką! Oh, Głaszka! Głaszka, doczekasz się ty ode mnie.

Grzmoty słychać było teraz stale.

— Żegnaj, żono kochana! Żegnaj, mamusiu! Przyszedł koniec twojemu Iwanowi Kondratjewowi! — szeptał Konurin, ledwie powłócząc nogami.

— Czego ty ciągle stękasz z tą swoją żoną. Sprzykrzyłeś mi się gorzej od gorzkiej rzepy! — krzyknął na niego Mikołaj Iwanowicz.

— A ty nie stękasz po swojej żonie?

— To co innego... Moja żona zginęła na górze ognistej, a twoja napewno teraz w domu herbatę w siebie pompuje...

— Oto pańska małżonka! Oto Głafira Siemionowna! — krzyknął nagle Pieriechwatow, pokazując palcem.

— Gdzie, Gdzie?, — pytał gorączkowo Mikołaj Iwanowicz.

— Widzi pan, tam siedzi na kamieniu, a przy niej stoją Anglicy. Widzi pan, ten młody Anglik daje jej teraz coś do picia.

Mikołaj Iwanowicz chciał rzucić się w stronę żony, lecz przewodnik w kalabryjskim kapeluszu przytrzymał go za linę, a przewodnik w urzędowej czapce schwycił go pod rękę i mówił doń coś poważnym tonem, pokazując palcem na ziemię. Zaczęła się walka. Mikołaj Iwanowicz wyrywał się przewodnikom. Pieriechwatow podbiegł do walczących i rzekł:



— Co pan chce robić? Tutaj można tylko chodzić po wydeptanej ścieżce... W każdej chwili mógłby się pan zawalić... Mój przewodnik mówi, że bardzo niedawno jakiś bogaty kupiec brazylijski wpadł tutaj w przepaść razem z przewodnikiem.

Mikołaj Iwanowicz momentalnie uspokoił się.

— Przecież... ja do żony... Ma fam, ma fam... — pokazywał na stojącą opodal grupę Anglików.

Przewodnik w urzędowej czapce, nie puszczając jego ramienia, przeprowadził go po ścieżce. Konurin i Pieriechwatow szli z tyłu. Konurin szeptał:

— Wszyscy święci Pańscy! Dajcie mi szczęśliwie wybrnąć z tego nieszczęścia! Jak zejdę na dół szczęśliwie z tej góry przeklętej, postawię w cerkwi przed ołtarzem świecę woskową wagi czterdziestu funtów!...

LXI.

Wreszcie Mikołaj Iwanowicz, Konurin i Pieriechwatow zbliżyli się do grupy Anglików. Mikołaj Iwanowicz wyrwał się przewodnikowi, odepchnął Anglików i prawie z pięściami rzucił się na Głafirę Siemionownę.

— Głaszka! Bestjo jedna! Przecież to jest naprawdę świństwo z twojej strony, to zupełnie do niczego niepodobne! Jakiem prawem, pytam się, jakiem prawem... — krzyczał, lecz nagle głos mu się urwał.

Głafira Siemionowna siedziała na kamieniu blada, z zamkniętemi oczami, bez kapelusza, z rozpiętą bluzką na piersiach. Młody Anglik podtrzymywał ją za ramiona, a Angielka dawała jej do wąchania sole otrzeźwiające z flaszeczki, Anglik w poważnym wieku wsuwał jej do ust jakąś pastylkę, trzeci Anglik trzymał jej kapelusz. Głafirze Siemionownie zrobiło się niedobrze.

— Głasza! Kochanie! Co ci się stało? — bełkotał przestraszony Mikołaj Iwanowicz, zmieniając nagle ton.

Głafira Siemionowna nie odpowiadała. Anglik, który trzymał w ręku kapelusz Głafiry Siemionowny, zwrócił się do Mikołaja Iwanowicza i zaczął mówić coś po angielsku, gestykulując zawzięcie.

— Odejdź pan! Nic nie rozumiem, co mówisz do mnie swoim małpim językiem. Głasza, kochanie co ci się stało?

— Och, do domu, do domu!... Prędko do domu... do hotelu... — szepnęła wreszcie.

— Byłaś przy kraterze? Sparzyłaś się może? — wypytywał Mikołaj Iwanowicz.

— Byłam, byłam... Coś okropnego! To straszne! Prędzej do domu...

— Przyjdź naprzód do przytomności... Przecież w takim stanie nie mogę cię prowadzić... Do stacji kolejki jeszcze daleko...

— Teraz już nic... Teraz już mogę... — odpowiedziała Głafira Siemionowna, odsuwając ręką z pod nosa flakonik Angielki i probując zapiąć sobie bluzkę.

— Pomimo to musisz posiedzieć tutaj trochę i odpocząć. Powiedz mi jednak: oparzyłaś się może?

— Nie, nie. Ogień nie doszedł do mnie.

— Więc co ci się stało?

— Sama nie wiem. Spojrzałam, zobaczyłam płomień i nagle zakręciło mi się w głowie... To okropne...

— Zobaczyła pani płomień? — rzekł Konurin i podrapał się po głowie. — Panowie, chyba już nie pójdziemy dalej?

— Przecież już jesteśmy na miejscu?... Widzi pan, tam gdzie stoi ten Anglik w kratki z przewodnikiem... Zaledwie 20 kroków! — wskazywał Pieriechwatow.

— Ale co zrobię z żoną? — pytał Mikołaj Iwanowicz.

— Ach Boże, przecież to tylko chwilka. Zajrzymy do krateru i zaraz z powrotem. Przy żonie zostaną Anglicy. Jakby to wyglądało, przyszliśmy z takim trudem do samego krateru i zawracamy do domu.

— Głasza! Jak się czujesz? Czy mogę na chwilkę zajrzeć do krateru?

— Idź, zajrzyj, lecz błagam cię, zaraz wracaj!

— Za chwilkę! Masz tutaj butelkę z wodą selcerską, napij się. Widzisz, jakiego masz troskliwego męża: wziął butelkę z wodą dla ciebie, a ty uciekłaś od niego.

— Wcale nie uciekłam. Skoczyłam do wagonu, a konduktor nie chciał zatrzymać pociągu...

Anglik w poważnym wieku wziął od Mikołaja Iwanowicza butelkę z wodą i zaczął ją otwierać.

— W takim razie ja zaraz wracam... — rzekł do żony Mikołaj Iwanowicz i krzyknął do Konurina: — Iwan Kondratjicz! Biegniemy...

— Nie braciszku! Mnie życie miłe! — machnął ręką Konurin. — Ludzie mdleją od tej przyjemności, a ja mam tam chodzić? Za żadne skarby! Nie daj Boże zakręci mi się w głowie i wpadnę w ogień a mam przy sobie weksli i pieniędzy prawie za cztery tysiące rubli. Idź sam, ja tu zostanę przy twojej żonie.

— Idą panowie nareszcie, czy nie? — krzyczał Pieriechwatow, który już puścił się w dalszą drogę.

— Idę, idę! Dlaczego miałbym nie iść. Dałem sobie słowo, że zapalę papierosa od tego ognia wezuwjuszowego! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz i pobiegł za Pieriechwatowem, lecz przewodnik pociągnął do siebie linę, którą Mikołaj Iwanowicz był obwiązany, zatrzymał go i pogroził mu palcem, mrucząc coś pod nosem.

— A niech cię djabli wezmą! Czego trzymasz mnie na smyczy, mordo italjańska?

Drugi przewodnik wziął go pod rękę.

— Niech pan będzie ostrożny, panie Iwanow! Przewodnik mówi, że w odległości 30 kroków od tego miejsca w przeszłym roku jakiś Amerykanin wpadł razem z zawaloną ziemią do krateru! — krzyknął Pieriechwatow.

Mikołaj Iwanowicz zbladł.

— W Imię Ojca i Syna... Chryste Panie... — szepnął i przestał się wydzierać przewodnikowi.

Przewodnik prowadził Mikołaja Iwanowicza do brzegu przepaści, pokazał palcem na dół i zaczął coś mówić po wło-



sku, poczem odskoczył od niego na kilka kroków i naciągnął linę, na której był uwiązany Mikołaj Iwanowicz.

Bohater nasz spojrzał w przepaść i osłupiał. Na dnie wśród ryku grzmotu ujrzał olbrzymi snop płomieni i dymu i coś rozpalonego do czerwona. Duszący dym siarkowy zupełnie utrudniał oddech. Mikołajowi Iwanowiczowi zakręciło się w głowie i z trudem zawołał do przewodnika:

— Dosyć! Wracamy!

Przewodnik pociągnął za linę, wziął go pod rękę i zaczął coś mówić po włosku.

— Fu-u-u! — odsapnął Mikołaj Iwanowicz, nie słuchając, co mówi przewodnik. — A to sztuka!

Przed nim stał Pieriechwatow również blady i nie mniej wstrząśnięty.

— Wspaniały widok... — szepnął i uśmiechając się, zapytał: — Dlaczego pan nie zapalił papierosa? Przecież pan mówił...

— Hm, hm... Zupełnie sobie to inaczej wyobrażałem...

I Mikołaj Iwanowicz machnął ręką.

— Tak, tak... Tu nawet najodważniejszy człowiek straci przytomność, a cóż dopiero kobieta! — ciągnął dalej Mikołaj Iwanowicz. — Wcale nie dziwię się, że żonie zrobiło się niedobrze.

— A jednak Angielka nie straciła przytomności? — zauważył Pieriechwatow.

— Angielka? Czy to kobiety?

Po dwuch minutach Mikołaj Iwanowicz był już z powrotem przy żonie, która w trakcie tego zupełnie już przyszła do siebie. Konurin narzucił jej na ramiona płaszcz. Zwolna przyszedł do siebie również i Mikołaj Iwanowicz.

— Ach ty tchórzu! — rzekł do Konurina i uderzył go po ramieniu. — Byłeś na Wezuwjuszu i nie odważyłeś się podejść do krateru! Przecież to wstyd!

— Niech będzie tchórz, niech będzie wstyd, co mnie to obchodzi. Zawsze im dalej, tem lepiej... Co mnie obchodzi ten cały krater? Pluję na ten krater. To nie jest interes dla nas kupców! — odpowiedział Konurin.

— Widziałeś? — zwróciła się do męża Głafira Siemionowna. — To coś strasznego! Jak spojrzałam, to wszystkie nerwy we mnie zadrgały.

— Olbrzymia katastrofa! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz z emfazą. — Coś w rodzaju wybuchu gigantycznej katastrofy morskiej, coś w rodzaju...

— Dosyć już dosyć... Chodźmy prędzej do domu. Gdzie mój przewodnik?

— Jakto do domu? Nie zobaczą państwo potoku płynącej lawy? — dziwił się Pieriechwatow. — Przewodnicy nasi obowiązani są prowadzić nas również do potoku lawy, która wycieka ze szczeliny krateru. To z drugiej strony.

— Nie, nie, dosyć! Dziękuję! Wystarczy dla mnie tego, co widziałam! — zawołała Głafira Siemionowna.

— Przewodnik mówi, że to zaledwie pół godziny drogi.

— Czego pan żąda ode mnie, mosje Pieriechwatow! Już od krateru z trudnością doszłam na to miejsce, a teraz, kiedy zaledwie odzyskałam przytomność, chce mnie pan prowadzić do jakiejś lawy? Czy pan chce, żebym tutaj umarła? Na dół, na dół, Mikołaj Iwanycz!

— Tak, tak mamusiu! Dosyć dla nas tej historji i tak będziemy mieli o czem opowiadać w Petersburgu... I tak nam nikt nie uwierzy, żeśmy takie straszne rzeczy widzieli.

— A widzicie! A mówiłem, że niepotrzebnie się tutaj drapiemy! — dodał od siebie Konurin. — Prawdziwe piekło. Uciekajmy, Mikołaj Iwanow, z tej góry przeklętej!

— Ja jednak muszę zobaczyć potok lawy! — odpowiedział Pieriechwatow. — Anglicy już ruszają, zabiorę się z nimi.

— Szczęśliwej drogi!

— Przecież państwo i tak będą musieli czekać na dole na stacji kolejki linowej, dopóki nie wrócą Anglicy, ponieważ mamy wspólny omnibus. Proszę mi wybaczyć, że opuszczam państwa. Przyjechałem tutaj, ażeby coś zobaczyć, oświecić się. Państwo dobrze wiedzą, że przy tym moim towarzyszu podróży niewiele dotąd widziałem, ale zato wycierpiałem sporo...

— Niech pan nie przeprasza, niech pan nie przeprasza! Szczęśliwej podróży... Poczekamy na pana w restauracji. Prawdopodobnie będziemy jeszcze tam musieli potarmosić się z pańskim towarzyszem, rozbudzić go, otrzeźwić trochę! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

Pieriechwatow połączył się z Anglikami. Mikołaj Iwanowicz, Głafira Siemionowna i Konurin w towarzystwie przewodników skierowali się z powrotem ku kolejce.

— Obawiam się tylko, jak to tam będzie z tym zjazdem w wagoniku? Prawdopodobnie zjazd będzie jeszcze przykrzejszy, niż wjazd. Br... — mówiła Głafira Siemionowna i drgnęła. — Jak pomyślę, mrówki mi zaczynają chodzić po plecach...

— Wszyscy święci pańscy! Donieście mnie szczęśliwie do restauracji na dole! — szepnął Konurin.

Towarzystwo nasze prawie biegło. Przewodnicy szli przodem i co chwila powściągali zapał naszych bohaterów, przegradzając im drogę swemi kijami.

LXII.

Zjechano kolejką linową bez żadnych przygód, pomimo iż zjeżdżanie zawsze działa gorzej, niż wjazd. Głafira Siemionowna siedziała z przymrużonemi oczami i modliła się po cichu. Mikołaj Iwanowicz siedział naprzeciw żony i co chwila mruczał do niej:

— Zbierz siły, Głasza! Zbierz wszystkie siły, kochanie i wyobraź sobie, że jedziesz na saneczkach w zimie... Wyobraź sobie, że to zupełnie to samo, co zjeżdżanie z góry lodowej.

Kilkakrotnie probował wziąć ją za rękę, lecz za każdym razem Głafira Siemionowna wyrywała mu rękę i nawet raz uderzyła go.

Kiedy wagon znalazł się na dole, wszyscy wyszli na platformę. Konurin podskoczył zadowolony i zawołał:

— Zdrów! Zdrów! Widzisz, dymiąca górko, teraz mi już nic nie grozi! Hurra!



— Czego pan wrzeszczy? — rzuciła się na niego Głafira Siemionowna. — Wrzeszczy pan jak szalony!

— Jakże, mamusiu, mam się nie cieszyć, nie krzyczeć? Z dobrego życia osieł-kupiec uciekł gdzieś pod niebiosa, do gehenny ognistej i nic mu się nie stało, nie złamał sobie ani jednej kosteczki. Ech, gdyby teraz małżonce mojej czknęło się porządnie! Madam Konurin! Czy przeczuwasz tam w mieście stołecznem Sankt-Petersburgu, że małżonek twój, Iwan Kondratjicz, szczęśliwie przebył obszar Zabałkański...

— Przecież tutaj są góry Apenińskie, a nie Zabałkańskie. Skąd pan wymyślił we Włoszech jakieś Zabałkany?

— Mówi pani Opjanińskie, niech będą Opjanińskie! Wszystko mi jedno!

I w dalszym ciągu wykrzykiwał z radości:

— Na pamiątkę onej przygody szczęśliwego zjechania z owych gór Opjanińskich trzeba będzie kupić jakiś prezent dla żony. Z czego słynie tutejsza miejscowość? — zwrócił się do Głafiry Siemionowny.

— Z korali, wyrobów szyldkretowych, kamei. Będę musiała także coś kupić i dla siebie.

— Same głupstwa! Niech pani powie, co to jest grzebień szyldkretowy? Z powodu cudownegoocalenia z Wezuwjusza gotów jestem sto franków wyasygnować z rachunku bieżącego na prezent dla żony.

Mówiąc to, Konurin uderzył się dłonią po bucie.

— Ładnej kamei w złotej oprawie nie kupi pan nawet za sto franków! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— A co to takiego ta kamea?

—Medaljon z główką, wyciętą z perłowej macicy. Można także nosić takie główki w broszkach i bransoletkach. Marja Dementjewna Pałubowowa, wie pan ci, co mieszkają na przystani Kałasznikowskiej, kupiła w zeszłym roku podczas pobytu we Włoszech wspaniałą broszkę z kameą za sto pięćdziesiąt franków. Prześliczna!

— Ofiaruję z rachunku bieżącego półtorej setki franków!

Konurin znów podniósł nogę i uderzył się dłonią po bucie.

— Czyżbyś już pieniądze z portfelu schował do buta? — zapytał Mikołaj Iwanowicz.

— Wyobraź sobie, zdążyłem! — mignął okiem Konurin. — Kiedyś ty tam na górze tańcował koło swojej żony, siadłem sobie na jakimś kamuszku, zdjąłem buty i schowałem weksle i pieniądze. Myślę sobie, a nóż a widelec wydarzy mi się jakiś wypadeczek, choćby z powodu tego zaduchu siarkowego, który tam panuje, a te czarne djabły wyczyszczą mi portfel... Zawsze do buta tak prędko by się nie dobrali... Pamiętacie państwo ten zaduch na górze? Okropne! Zupełnie, jakby kto tysiąc pudełek zapałek siarkowych zapalił. Z trudnością już oddychałem i w oczach widziałem już jakichś chłopców małych... To małych chłopców, to trawki jakieś, to jakieś olbrzymy babilońskie. Można się było wszystkiego spodziewać! Ale teraz już skończone, amen! Jesteśmy uratowani! Hurra, Głafira Siemionowna!

Uradowany Konurin schwycił Głafirę Siemionownę wpół.

— Co takiego? Co to za manjery?

— To wszystko z radości, kochana paniusiu. Nie mam własnej żony przy sobie, więc chociaż za cudzą łapię. Pardon! Zaraz zażądam w bufecie buteleczkę Asti, ażeby wypić za nasze wspólne zdrowie.

W restauracji stacyjnej Iwanowowie i Konurin zastali całą awanturę. Pijany Grablin obudził się, zaczął szukać swego portfelu i portmonetki, które zabrał mu na przechowanie Pieriechwatow i przypuszczał, że został okradziony. Siedział teraz bez obuwia, z wywróconemi na wierzch kieszeniami spodni i marynarki, otoczony służbą z restauracji i krzyczał piskliwym głosem, domagając się wezwania policji i spisania protokułu. Kelner, któremu polecono opiekę nad Grablinem, już z dziesięć razy starał mu się wytłumaczyć łamanym języ-

kiem francuskim z domieszką włoskiego, że pieniądze jego są na przechowaniu u jego współrodaków, lecz Grablin nic nie rozumiał i potrząsając butami przed oczyma służby, krzyczał:

— Polis! Wołajcie natychmiast rewirowego, albo komisarza, małpy arabskie! Nie ruszę się z tego miejsca, dopóki nie będzie spisany protokuł! Rabusie! Rozbójnicy! Bandyci przeklęci! Urządziliście tutaj gniazdo złodziejskie w swojej restauracji!

Prawdopodobnie Grablin awanturował się już oddawna: świadczyły o tem dwie wybite szyby w oknie, na podłodze, przy stole i kanapie leżały potłuczone butelki i zastawa stołowa, sam Grablin miał zupełnie rozczochraną koafiurę i pienił się ze złości.



— Co takiego? Co się panu stało? — zapytał się przestraszony Mikołaj Iwanowicz.

— Okradli... Ograbili do nitki... Ani zegarka, ani portfelu, ani portmonetki... Wszystko wyciągnęli... — odpowiedział Grablin. — Ale państwo też jesteście ładna kompanja! Zostawiliście mnie tu, djabły przeklęte, samego na ofiarę tym bandytom. Ładni towarzysze, ładni rodacy, turysty przeklęte! Gdzie Rafael? Gdzie ten Pędzelkiewicz? Gdzie on jest, żebym mógł mu z mordy zrobić solniczkę!

— Niech się pan upokoi, Grygorij Awerjanicz. Poco pan robi te awantury? Pańskie pieniądze są na przechowaniu u mosje Pieriechwatowa. Nic panu nie zginęło! — krzyczała Głafira Siemionowna.

— Pieriechwatow zabrał? — zniżył głos Grablin. — A to drań! Dlaczego nie zostawił mi karteczki w kieszeni z zawiadomieniem, że zabrał pieniądze.

— Powiedzieliśmy kelnerowi tutejszemu, żeby pana zawiadomił o tem. Powiedzieliśmy mu, żeby natychmiast, jak

się pan obudzi, powiedział panu, że wszystkie rzeczy i pieniądze zabrał pański przyjaciel. Kelner zapewnia, że mówił panu kilkakrotnie o tem.

— Może i mówił, ale w jaki sposób miałem go zrozumieć, kiedy ja ani słowa nie umiem po tutejszemu! Pokazywał mi coś na swoją kieszeń, klepał się po brzuchu, ale nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi...

— Ach ty awanturniku, awanturniku! — kiwał głową Konurin.

— Awanturnik... Sam pan jesteś awanturnikiem! Zostawić człowieka samego w takiem gnieździe złodziejskiem?!

— Dlaczego pan nazywa tę restaurację „gniazdem złodziejskiem"? Przecież nie mogliśmy pana brać ze sobą na Wezuwjusz, kiedy pan był podobny do sandacza w galarecie? — próbowała wytłumaczyć Grablinowi Głafira Siemionowna.

— Proszę mi dać spokój... Nawet paniom nie pozwolę się obrażać! Dlaczego pani nazywa mnie sandaczem?

— Naturalnie, żona ma rację, zupełnie był pan podobny do sandacza z sosem prowansalskim. Nieprzytomny do nieprzytomności! — poparł żonę Mikołaj Iwanowicz.

— Milcz pan!

— Tylko bez krzyków! Sam milcz! Co za awanturnik!

— Gdzie Rafael?

Wytłumaczono mu.

— Niech tylko wróci, djable nasienie! Rozprawię się z nim! — mruknął i zaczął nakładać obuwie. — Przez całą godzinę szukam po kieszeniach, buty zdjąłem, a pieniędzy jak niema tak niema.

— Ach ty awanturniku, awanturniku! Patrzcie państwo, co on tu wyprawiał! — rzekł Konurin, rozglądając się po pokoju. — Szklanki i butelki potłukł, krzesło połamał, szyby wywalił...

— Pluję na to... Zapłacę za wszystko... Nie takie katastrofy morskie urządzałem i płaciłem zawsze za wszystko.

— Mógłbyś chociaż na nas poczekać, żeby się dowiedzieć, co się stało z pieniędzmi, łobuzie jeden!

— Jakiem prawem nazywasz mnie „łobuzem?" Sam jesteś ordynarny łobuz, kupczyk...

Wymyślanie trwałoby czas dłuższy, lecz Konurin zażądał butelkę Asti i dając Grablinowi szklankę, rzekł:

— Masz tutaj, wybij klin klinem... Może ci to co pomoże...

Grablin uśmiechnął się i przestał się awanturować. W oczekiwaniu na resztę towarzystwa omnibusowego mężczyźni zaczęli pić wino, lecz Głafira Siemionowna nie siedziała w ich towarzystwie. Poszła do drugiego pokoju i przeglądała książkę z nazwiskami podróżnych, którzy byli na Wezuwjuszu i pozostawili swe autografy w albumie restauracyjnem.

LXIII.

Przejrzawszy album z nazwiskami zwiedzających Wezuwjusz i znalazłszy w niem nazwisko rosyjskie jakiegoś Pietrowa z żoną „de Moscou", Głafira Siemionowna wzięła pióro i również podpisała się w albumie: „G. S. Iwanowowa z mężem z Petersburga"

W trakcie tego podszedł do niej służący z restauracji i zaproponował pocztówki z wizerunkiem dymiącego się Wezuwjusza i napisem po francusku i włosku „Stacja Wezuwjusz". Podobało się to Głafirze Siemionownie.

Mikołaj Iwanycz, Iwan Kondratjicz! Przestańcie napompowywać się winem! Chodźcie tutaj! — wołała męża i Konurina. — Mam tutaj pocztówki z widokiem Wezuwjusza, możemy napisać listy do znajomych.

— Dobrze, dobrze... Już dawno myślałem c tem, żeby napisać do żony czuły liścik... rzekł Konurin, wbiegając do pokoju.

— Mikołaj Iwanycz! Napisz i ty do kogoś. Musimy się przecież pochwalić w Petersburgu, że byliśmy na samym szczycie Wezuwjusza. Sprawi to wspaniały efekt. Pamiętasz, jaki popłoch wywołaliśmy w Petersburgu w czasie Wystawy Paryskiej, kiedyśmy przysłali znajomym listy z wieży Eifla. Wiele z naszych pań ze stanu kupieckiego dostało żółtaczki z zazdrości, że myśmy byli w Paryżu i drapaliśmy się na szczyt wieży a one musiały siedzieć w domu, jak kury. Nadzieja Wasiljewna nawet nie rozmawiała ze mną przez pół roku i nie odkłaniała mi się na ulicy...

— Pluję na pocztówki! Poco takie zawracanie głowy i wychwalanie się przed znajomymi? — wtrącił się Grablin, który wypił kilka szklaneczek wina i w samej rzeczy oprzytomniał troszeczkę.

— Ach, niech pan lepiej da spokój... Pan nie był na Wezuwjuszu, więc nie ma pan prawa zabierać głosu w tej sprawie. A myśmy byli, podchodziliśmy do samego krateru, ryzykowaliśmy życie, więc, jak pan chce, ale to jest odwaga z naszej strony. Dwa razy źle mi się zrobiło! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Koniecznie trzeba będzie napisać list! Koniecznie! — poparł żonę Mikołaj Iwanowicz. — Gdzie pocztówki? Daj mi parę!

Zaczęło się pisanie pocztówek. Konurin i Mikołaj Iwanowicz zaglądali przez ramię Głafiry Siemionowny do jej pocztówki, lecz ona nie pozwalała im na to i odsuwała się od nich.

— Chcę tylko. Głasza, dowiedzieć się, do kogo piszesz? — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Przedewszystkiem piszę do Nadziei Wasiljewny. Niech mi się znowu przez pół roku nie kłania:

— A ja przedewszystkem napiszę do naszego starszego subjekta, Pankracego Dawydowa.

— Poco piszesz do Pankracego? Czy warto do niego pisać? Otrzyma pocztówkę w kantorze i powiesi na gwoździu na ścianie. Trzeba pisać do takich, którzy będą biegać po Petersburgu i pokazywać znajomym. Trzeba, żeby mówiono o tem po całem mieście.

— Ja już tak napiszę, żeby starczyło dla wszystkich. Możesz być pewna...

Mikołaj Iwanowicz długo gryzł koniec obsadki i namyślał się, co napisać... Wreszcie napisał:

„Pankracy Dawydowyczu! Po otrzymaniu tego listu przeczytaj go wszystkim pracownikom w kantorze, w składzie i w domu i zawiadom ich, że dnia dzisiejszego, 16 marca według styiu tutejszego, a 4-go według stylu naszego, razem z małżonką moją, Glafirą Siemionowną, z narażeniem życia wdrapałem się na pałającą ogniem górę Wezuwjusz, byłem w piekle prawdziwem, wśród ognia i dymu, na wysokości 7 000 stóp od ziemi i szczęśliwie wróciłem na dół, zdrowy na ciele i na umyśle. Możecie z tego powodu odprawić nabożeństwo dziękczynne. Mikołaj Iwanow".



Przeczytawszy głośno to, co napisał, Mikołaj Iwanowicz tryumfalnie spojrzał na żonę i zapytał:

— Jak ci się zdaje, dobrze? Możesz być spokojna! Jak przeczyta to w sklepie i w kamienicy, to w ciągu dwuch dni cały Petersburg będzie o tem wiedzieć.

— Nie mówię, że źle, radziłabym ci jednak komuś ze znajomych wsadzić szpileczkę w bok: napisać coś w rodzaju, że... wy tam, w Petersburgu wędzicie się, a my tutaj na wysokościach... stoimy przy samym wybuchu wulkanu... — odpowiedziała Glafira Siemionowna.

— Naturalnie, naturalnie. Wiem już, kogo masz na myśli... Piotra Gawryłycza? Poczekaj. Temu jeszcze lepszą sztuczkę podsunę...

— Za pozwoleniem... — wtrącił się Konurin. — Czyśmy naprawdę byli na wysokości 7000 stóp?... Przecież to, o ile liczyć na wiorsty, będzie...

— A co cię to obchodzi? Niech sprawdzą!

Mikołaj Iwanowicz znów zabrał się do pisania i po pięciu minutach znów zawołał:

— Gotowe! Posłuchajcie, co napisałem do Piotra Gawryłycza: „Szanowny Panie i t. d..., Przesyłam ci pozdrowienie ze szczytu strasznego wulkanu, pałającego ogniem, który się nazywa Wezuwjusz. Naokoło straszny zaduch, dymy siarkowe i ogień palący. Odbywa się właśnie wybuch wulkanu, lecz Pan Bóg ma nas jakoś w swojej opiece. W tej chwili zapaliłem od Wezuwjusza papierosa i piszę pocztówkę do ciebie na gorącym kamieniu, który dopiero co wyleciał z krateru. Z tegoż krateru wylatują głownie pięciometrowej wielkości, rozlegają się straszne grzmoty, tak, że właściwie nic nie słychać. Gorąco jest takie okropne, że jeszcze gorsze, niż u nas w łaźni w czwartek na najwyższej półce. Tutaj na szczycie nic nie rośnie i nic nie żyje, nawet pchły, jeżeli ktoś je tutaj ze sobą przyniesie, giną natychmiast. Kończę ten list, gdyż żona moja nie może wytrzymać dłużej od gorąca, robi jej się niedobrze i prosi mnie, żebym ją sprowadził na dół. Opaliłem sobie zupełnie brodę. Za chwilę zjeżdżamy na dół na linach drucianych. Pozdrów ode mnie żonę Twoją, Martę Aleksiejewnę i od mojej żony też".



— Co za dużo, tego zawiele! Jak wam nie wstyd tak blagować! — zawołał Grablin, który przyniósł z drugiego pokoju butelkę i siedział razem z całym towarzystwem.

— Jakiem prawem pan twierdzi, że my blagujemy? Pana nie było z nami przy kraterze, spaleś sobie tutaj w restauracji. A tam, na górze działy się straszne rzeczy. Glafira Siemionowna parę razy traciła przytomność....

— A poco pan mówi, że list ten pisze pan na kamieniu

gorącym, który wyleciał z Wezuwjusza, kiedy pisze go pan w restauracji przy stole? A poco pan pisze o opalonej brodzie?

— To pana nic nie obchodzi.

— A właśnie, że obchodzi! A co będzie, jak po przyjeździe do Petersburga opowiem Piotrowi Kiryłowiczowi Buturewowi, do którego pan pisze, że to wszystko blaga i list był pisany na stole a nie na gorącym kamieniu? Znam Piotra Kiryłycza doskonale...

— Z jakiej racji ma mu pan to mówić? Byłoby to z pańskiej strony postępkiem głupim, nieprzyzwoitym i nietowarzyskim. Przecież wszystko, co piszę do Buturewa działo się naprawdę, ale nie mogę napisać listu bez upiększeń, bez ozdóbek...

— Wszystko tak było!—potwierdziła Glafira Siemionowna.

— Ale gdzie ten kamień gorący?

— Ciągle o tym kamieniu powtarza pan, jak sroka! Czy tu chodzi o kamień? To... do upiększenia stylu, rozumie pan! Niech pan też usiądzie i napisze do kogoś ze znajomych w Petersburgu, że był pan z nami przy samym krateerze i pisał na gorącym kamieniu.

— Dlaczego nie? Napiszę! Napiszę kilka słów do pewnego mojego przyjaciela... — rzekł Grablin, ale zastanowił się: — A nie wydacie mnie, że nie byłem na tym Wezuwjuszu?

— Co pan sobie o nas myśli? Zresztą nie znamy zupełnie pańskich przyjaciół.

Grablin wziął pióro, pocztówkę i zabrał się do listu, lecz po chwili odłożył pióro i rzekł:

— Nie mogę... Pijany jestem... I la mian (ręka) droże i esy floresy jakieś widzę w oczach...

— Niech pan weźmie pocztówkę do hotelu i jutro w Neapolu pan napisze — poradziła Glafira Siemionowna.

— Dobra rada! Wezmę nawet trzy! Ale pamiętajcie państwo, tajemnica?!

— Proszę nas nie obrażać!

— Posłuchajcie, co napisałem do żony! — zawołał nagle Konurin: — „Kochana moja małżonko, Tatjano Grygorjewna! Żebyś ty wiedziała, najukochańsza małżonko, na jaką górę ognistą wlazłem dzięki głupocie mojej. Nazywa się ta góra Wezuwjusz a ziemia na tej górze jest tak zbudowana, że pod spodem się pali, z pod nóg idzie dym i ogień parzy podeszwy, a obok z piekła samego wylatują płomienie i głownie ogniste. Zapewniam cię, że wlazłem na górę całkiem na trzeźwo, a nie po pijanemu, ale poco tam lazłem, nie wiem i sam sobie wymyślam, że człowiek poważny, żonaty, rodzinny może zrobić takie głupstwo. Przyjaciele zaciągnęli — ot cała sprawa. W czasie niebezpieczeństwa wybuchu myślałem ciągle o tobie, a teraz szczęśliwie zlazłem z góry na dół, czego i tobie życzę".

— Dlaczego pan na przyjaciół wszystko spędza i plotki robi? Nikt z nas nie ciągnął pana na Wezuwjusz siłą? — wtrąciła się Głafira Siemionowna.

— Co tu o tem gadać! — wzruszył ramionami Konurin. Sam bym wcale zagranicę nie pojechał, a tembardziej nie właziłbym na tego Wezuwjusza. Ach, żonko, żonko kochana! Co ty teraz tam robisz? Jeżeli sądzić według zegarka, pewno po obiedzie herbatę popijasz! — westchnął.

— A ty, Głasza, co napisałaś? — zapytał żonę Mikołaj Iwanowicz.

— Nic! To nie twój interes! Napisałam taką łamigłówkę, że Nadzieja Wasiljewna podrapie sobie twarz do krwi ze zazdrości! — uśmiechnęła się Głafira Siemionowna. — Patrzcie, na ścianie wisi skrzynka pocztowa, rzućcie listy!

Mówiąc to, pierwsza wrzuciła pocztówkę do skrzynki.

Wkrótce wrócili ze szczytu Anglicy i Pieriechwatow, którzy razem oglądali potok lawy. Pieriechwatow był zachwycony i mówił:

— Tego, cośmy widzieli, poprostu nie można opisać! Co za szkoda, że nie poszliście z nami obejrzeć płynącej lawy!

Przerwał mu Grablin, który zaczął mu wymyślać za to, że go nie obudził i nie wziął ze sobą na szczyt Wezuwjusza.

LIV.

Wymyślanie wzajemne pomiędzy Grablinem i Pieriechwatowem nie przerywało się i w czasie powrotnej drogi w omnibusie od stacji kolejki na Wezuwjuszu do Neapolu. Grablin ciągle przyczepiał się do Pieriechwatowa, wymawiając mu głównie, że jeździ na jego koszt. Zaczął wyliczać mu wypite butelki wina, ilość zjedzonych porcji, koszty kolejowe i wogóle wszystkie wydatki, jakie miał Grablin z powodu udziału Pieriechwatowa w podróży. Wreszcie Grablin zawołał:

— Czyje palto masz na sobie? Przyznaj się szczerze, że nawet w mojem palcie chodzisz.

— Kłamiesz! Chodzę w mojem palcie, ponieważ zasłużyłem nań służbą moją dla ciebie, zasłużyłem potem i krwią. Może powiesz, że mało krwi zepsułem sobie, wożąc takiego jak ty dzikusa po całej Europie! — odpowiedział Pieriechwatow.

— Ty mnie wozisz? Ach ty, włóczęgo! Za jakie pieniądze ty mnie wozisz, ty nędzarzu?

— Nie mówię o pieniądzach, lecz o języku! Bez mego języka nie dojechałbyś nawet do Berlina. Dlatego też wszystkie wydatki twoje na mnie zostały przezemnie zapracowane ciężko i korzystam z nich prawnie, jako z wynagrodzenia za moje towarzystwo i za przewodnictwo. Nająłeś mnie, jak robotnika i to jest moja zapłata robotnicza.

— Ładny robotnik, co rzuca swego pana na stacji i idzie włóczyć się po rozmaitych Wezuwjuszach. Jeżeli jesteś robotnikiem, to pilnuj się swojego pana!

Pomimo, iż Anglicy nie rozumieli języka, jednak z gestów i tonu Grablina i Pieriechwatowa domyślili się, że jest awantura, wzruszali ramionami i przerzucali się od czasu do czasu krótkiemi frazesami. Iwanowowie i Konurin próbowali wpłynąć na Grablina i przerwać tę niemiłą rozmowę, ale ten, popijając z buteleczki, której nie omieszkał zabrać ze sobą na drogę z restauracji, nie przestawał mówić. Wreszcie Głafira Siemionowna straciła cierpliwość i rzekła:

— Więcej z panem nigdzie nie pojadę! Dosyć mam pańskiego towarzystwa. Podróżować z panem — to jak kara za grzechy!

— A myśli pani, że jabym z wami gdzieś pojechał? — odpowiedział Grablin. — Jutro jedziemy do Paryża! Rafael! Pakuj manatki! Nie mamy tu nic do roboty. Pojechaliśmy zagranicę dla cywilizacji, dla wypolerowania się... A co za polerunek mamy tutaj, w Neapolu? Albo jakieś ruiny, albo góry... Czy to się nazywa polerunek europejski?

— Ty się nigdzie nie wypolerujesz... żeby cię nawet do gorącej wody z sodą wsadzić, zawsze będziesz szary jak... Na to niema rady.

— No, no, no... Za takie słowa, możesz...

Grablin rzucił się ku Pieriechwatowowi z pięściami. Mężczyźni z trudem odciągnęli go.

— A to sytuacja! — zawołała Głafira Siemionowna. — Nawet nie możemy pozbyć się tego awanturnika. Żeby była jakaś dorożka, albo coś takiego, chętnie wysiadłabym... Kto nam kazał jechać z takim awanturnikiem?

— Niech pani się nie boi! Jak zjedziemy z góry i spotkamy dorożkarza, sam opuszczę wasze piękne towarzystwo!

W samej rzeczy, jak tylko omnibus wjechał na przedmieście Neapolu, Gralbin, nie żegnając się z nikim, wyskoczył z pojazdu, wsiadł do pierwszej napotkanej dorożki, stojącej przed jakimś szynkiem i zaczął wołać do siebie Pieriechwatowa, który z pochyloną głową podążył za nim.

— Co robić?... — mruczał Pieriechwatow pod nosem. — Nie mogę go tak zostawić, nie mogę go porzucić pijanego w obcem mieście... Żal mi go... I takie bydlę jeszcze mówi, że wozi mnie za darmo! — westchnął. — Och Boże, Boże!

— Do Eldorady!... — krzyczał Grablin do dorożkarza. — Albo nie, nie do Eldorady... Jak się nazywa ta knajpa? Do Kasyno... Nie, nie do kasyna... Rafael! Powiedz mu, draniu, dorożkarzowi, dokąd ma jechać! Tam, gdzieśmy byli trzy dni temu... Tam gdzie była ta włoska hiszpanka...

— Słyszycie państwo? Jedzie do knajpy. Urżnie się znowu do nieprzytomności! — kręcił głową Konurin i dodał: — Ładny kwiatek, niech go wszyscy djabli wezmą.



W trakcie tego z tyłu za omnibusem, który wiózł całe towarzystwo, pędziły galopem muły dorożkarskie; dorożkarz palił z bicza i wciąż słychać było pijany głos Grablina:

— Wal na całego! Jazda, panie gwiazda! Wal, kochasiu, dostaniesz na piwo!...

Było już ciemno na dworze, kiedy omnibus podjechał przed hotel. Konurin wzdychał i mówił:

— Chwała Bogu, skończyliśmy z Neapolem! Kiedyż nareszcie wracamy do naszych palestyn petersburskich?

— Jakto skończyliśmy? Przecież nie widzieliśmy wcale miasta, nie byliśmy na Kapri? — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Chryste Panie! Jeszcze nie koniec? Co to takiego ten kapri?

— Wyspa... Prześliczna wyspa... A na tej wyspie — grota lazurowa... Musimy tam jechać morzem, na okręcie... W przeszłym roku na letniem mieszkaniu opowiadała mi żona pułkownika Kutjagina, że Kapri i grota, to są największe cuda na świecie. Pomyślcie sobie, choćby tylko sama wycieczka po morzu...

— Czego państwo nie wymagacie odemnie? I po górach i po morzu...

— To się samo przez się rozumie... A na Kapri będziemy jeździli na osłach...

— Jakto na osłach? Co pani mówi?

— Głasza, kochanie! — zwrócił się do żony Mikołaj Iwanowicz. — Zastanów się trochę... Morze to nie góry... Obawiam się, czy wytrzymasz tę podróż... A co będzie, jak będzie burza na morzu?

— O mnie się nie bój! Ja wszystko wytrzymam. Jutro rano jedziemy na Kapri.

Konurin siedział i mruczał:

— Góry... morze... Ciągną nas na górę na linach dru-

cianych .. teraz jedziemy mułami, jutro będziemy jeździć na osłach. Brakuje tylko jeszcze kozłów i wołów...

— W Paryżu w ogrodzie zoologicznym jeździłam i na koźle.

— Tak, tak... gdzie to kupiec rosyjski Iwan Konurin zajechał! Dziś byłem w ogniu, jutro muszę skakać do morza! Wprost z ognia do wody... Ładne historje!

Konurin naprawdę chciał już jaknajprędzej znaleźć się w domu. Nie przewidywał zupełnie, że będzie musiał jechać jeszcze na Capri, to też zmartwił się i zamyślił. Mikołaj Iwanowicz zauważył to, więc klepnął go mocno po ramieniu i rzekł:

— Nic, braciszku, na to nie poradzisz... Kiedyś wlazł pomiędzy wrony, musisz krakać, jak i one...

— Już czas do domu! Już wielki czas! Zupełnie straciłem tutaj z wami orjentację wszelką! — wzdychał w dalszym ciągu Konurin.

Pomimo, iż Głafira Siemionowna wybierała się na drugi dzień rano na Capri, wycieczka na Wezuwjusz tak bardzo ją zmęczyła, że przespała odejście statku i podróż trzeba było odłożyć na drugi dzień. Grablin dotrzymał słowa i nazajutrz odjechał z Pieriechwatowem do Paryża.

Około dwunastej w południe Iwanowowie pili w swoim numerze kawę ranną, gdy nagle usłyszeli w kurytarzu głos Grablina. Obliczał się on ze służbą hotelową i wymyślał wszystkim podniesionym głosem:

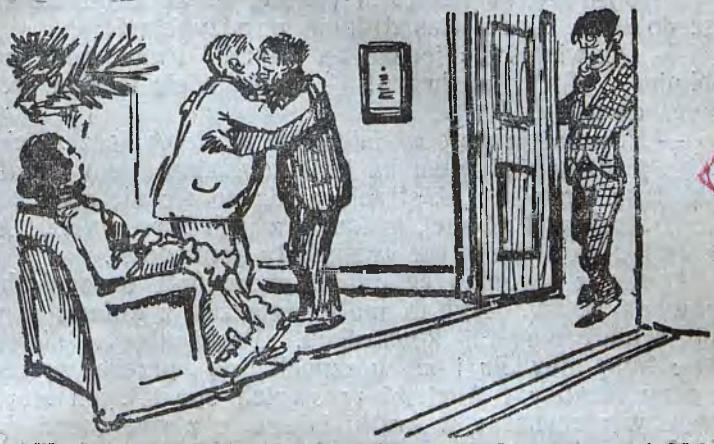
— Rabusie! Rozbójnicy! Bandyci przeklęci! Katarynіarze! Makaroniarze! Pomarańczarze! — słychać było jego głos. — Najprzód mówicie jedną cenę, a kiedy człowiek płaci rachunek, żądacie innej? A niech wszyscy djabli wezmą waszą parszywą Italję, niech się zapadnie pod ziemię. Z jakiej racji dopisaliście mi tu, djabły przeklęte, za cztery obiady, kiedy ani wczoraj, ani przedwczoraj nie jadłem nic u was! — słychać było jego zachrypnięty, pijacki głos. — Rafael, draniu jeden! Przetłumacz im, co do nich mówię! Przecież to do niczego niepodobne! To cóż, że wynajałem u nich hotel z pansionem? Dziesięć razy mówiłem im, że nie chcę ich przeklętego pansionu, że nie mogę źreć ich baraniej habaniny z mazidłem bobkowem! Precz odemnie! Żaden drań nie dostanie odemnie na piwo ani grosza! Rafael! Nawymyślaj im porządnie po włosku, albo podpowiedz mi kilka mocniejszych słów włoskich, żebym ja mógł ich zwymyślać po włosku, bo nie rozumieją nic, co do nich mówię. Jak świnia po włosku? Powiedz mi, jak świnia...

Przed samym wyjazdem Pieriechwatow wpadł do Iwanowowych, ażeby się pożegnać.

—Pozostają państwo w Neapolu! Ujrzycie Capri i cudowną grotę lazurową! — mówił z westchnieniem. — Zazdroszczę państwu! A ja, ofiara, muszę jechać z tym awan-

turnikiem do Paryża. Żegnajcie arcydzieła sztuki klasycznej! Żegnajcie ruiny starożytne! Żegnaj przyrodo włoska! Żegnajcie, Mikołaj Iwanowicz i Głafira Siemionowna i wspomnijcie czasami biednego inteligentnego rosyjskiego, którego los rzucił w szpony bogatego prostaka...

Pieriechwatow pocałował się z Mikołajem Iwanowiczem; pocałował również rękę Głafiry Siemionowny.



— A cóż tam twój awanturnik, pijany? — zapytał Mikołaj Iwanowicz o Grablina.

— Naturalnie... — machnął ręką Pieriechwatow. — Jak tylko się obudził, zażądał koniaku do kawy i znów jest pijany, jak wczoraj wieczorem. Żebyście państwo widzieli, co on wyprawiał wczoraj po pijanemu w tingeltanglach... poprostu niepodobna tego opisać. Z wielką trudnością o trzeciej nad ranem zaciągnąłem go do domu.

Chwiejąc się na nogach, wstąpił do Iwanowowych i Grablin.

— Do widzenia państwu! — bełkotał. — Uciekam do Paryża od też tutejszej hołoty... Fiuuuuu! — machnął ręką i z trudnością utrzymał równowagę... — Żegnajcie państwo... Taki mam już charakter... nie znoszę podłości ludzkiej. Do widzenia, madam... i pardon...

Wyciągnął rękę do Głafiry Siemionowny, uśmiechnął się niemądrze, zawrócił na piętach, o mało co nie upadł, przytrzymał się Pieriechwatowa i ze słowami: „prowadź mnie“ wyszedł razem z nim z pokoju Iwanowowych.

LXV.

Kiedy nazajutrz o godzinie dziewiątej z rana Iwanowowie i Konurin przyjechali dorożką na przystań, statek, odchodzący do Sorento i na Capri oczekiwał już w pewnem oddaleniu od brzegu i wypuszczał kłęby pary. Był wspaniały poranek. Niebieskie morze było gładkie jak szkło, na niebie — żadnej

chmurki. Daleko na horyzoncie widać było skaliste sylwetki Capri. Na lewo Wezuwjusz dymił zlekka. Widok niebieskiego morza zachwycił przybyłych. Iwanowowie mimowoli zatrzymali się i zaczęli zachwycać się widokiem. Konurin spojrzał na Wezuwjusz, uśmiechnął się, mrugnął po łobuzersku okiem i rzekł:

— Dym się, kochanie! Dym się, ale mnie już nie zamanisz do siebie nawet ciasteczkiem z rodzynkami!

— Obawiałeś się jechać na Capri? Patrz, jakie morze spokojne. Woda, jak lustro! — zwróciła się Głafira Siemionowna do męża.

— Przecież ja się obawiałem nie za siebie, lecz za ciebie! Ja już jeździłem okrętem na jeziorze Ładowskiem i przeszedłem taką burzę, że aż strach, a nic mi się nie stało... Ale co się tyczy płci pięknej, to każda z nich chorowała... A jak piszczały, jak stękały, jak wymyślały kapitanowi.

Łódka z dwoma żeglarzami przewiozła naszych bohaterów na statek. Był to mały stateczek z kołami zamiast śrub, brudny o starej konstrukcji. Pasażerów w pierwszej klasie było niewielu i znów rzucali się przedewszystkiem w oczy Anglicy i Angielki w swoich sportowych strojach. Anglik w marynarce w kratki i berecie z wstążkami, który jeździł razem z nimi na Wezuwjusz, był już na pokładzie. Znów był cały obwieszony pudełkami, przerzuconemi na rzemieniach przez ramię, barometrem, lornetką, manierką i znów zapisywał coś do notesu. Angielki miały w rękach przewodniki Bedekera w czerwonej oprawie i czytały je starannie. Jeden z Anglików, z długiemi jasnemi bokobrodami prawie do pasa, siedział już przy stole i jadł krwawy befsztyk z angielskiemi korniszonami w sosie musztardowym, zapijając to wszystko portweinem. Obok na półmisku leżał cały stos pustych muszelek od ostryg i wyciśniętych cytryn.

— Patrzcie, jaki przezorny? Jeszcze niema dziewiątej, a ten już źre śniadanie! - zauważył Konurin.



Usługujący w bufecie chłopiec, kędzierzawy czarny Włoszek, usłyszawszy rosyjską mowę Iwanowowych i Konurina, podskoczył natychmiast do nich z butelką i z dwoma kieliszkami i szczerząc zęby, zaproponował:

— Rius... Koniak?

— Idź do djabła! Jeszcze za wcześnie... — odsunął go ręką Konurin i zwracając się do Mikołaja Iwanowicza, dodał: — Patrz, jak zaraz poznali, że Rosjanie jadą, sami koniak proponują. Napewno do Anglików z koniakiem nie podskoczą...

— Widocznie zagranicą Rosjanie słyną ze swoich manjer koniakowych! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— W podróży morskiej to bardzo dobrze robi... Można nawet powiedzieć, że to jest konieczne... — zaczął wyjaśniać Mikołaj Iwanowicz.

— Proszę cię, proszę cię, tylko nie przymawiaj się! To prawdziwe skaranie boskie! Dopiero wczoraj pozbyliśmy się jednego pijanicy, a już nowy się zjawia! Gdzie to jest widziane, żeby naczczo pić koniak! Chodźmy lepiej na pokład, na górę! Po co mamy siedzieć tutaj w kajucie? Chodźmy zachwycać się widokami. Zaraz będzie trzeci gwizdek i statek ruszy!

Głafira Siemionowna wyciągnęła mężczyzn z kajuty. Na pokładzie pierwszej klasy w namiotach odbywał się handel rozmaitemi drobiazgami miejscowemi: wyrobami szyldkretowemi w postaci portcygarów, grzebieni, nożyków do rozcinania kartek, wyrobów koralowych, muszli, drobnych przedmiotów z drzewa palmowego z napisami „Sorento". Przed namiotami stali handlarze i natrętnie proponowali swój towar.

— Boże! Przecież tutaj zupełnie, jak w halach targowych! — zawołała Głafira Siemionowna. — Jakie ładne wyroby!...

— Mezzo lira... Mezzo lira (pół lira)!... — zbliżył się do nich jakiś handlarz i pokazywał sznurek drobnych rogatych koralików.

— Boże! Tylko pół franka za cały sznurek! A my wczoraj kupowaliśmy takie same sznurki po franku! Mikołaj Iwanycz, musimy tego więcej nakupić! Kupię parę sznurków! Patrz, jakie piękne szkatułki rzeźbione... Po ile? Una lira? Boże! A w sklepie wczoraj chcieli trzy franki...

Rozległ się trzeci gwizdek, statek zasyczał, koła zaczęły obracać się, uderzając miarowo w wodę i brzeg zaczął się oddalać. Mikołaj Iwanowicz, Głafira Siemionowna i Konurin przeżegnali się. Na pokładzie uwijał się kontroler i sprawdzał bilety pasażerów. Ujrzawszy, że Iwanowowie i Konurin przeżegnali się, podbiegł do nich i rzekł po rosyjsku:

— Proszę państwa o bilety!

— Boże! Co ja słyszę? Pan jest Rosjaninem? — zawołała Głafira Siemionowna.



— Rosjanin, łaskawa pani, pomimo, iż urodziłem się w Neapolu! — odpowiedział kontroler.

— I pracuje pan tutaj na statku?

— Trzeba jakoś zarabiać na chleb!

— Nie uwierzy pan, jakie to przyjemne spotkanie dla nas Rosjan! Po włosku nie umiemy ani słowa, po francusku troszkę lepiej, ale nikt tutaj nas nie rozumie. Zwłaszcza trudno porozumieć się z przekupniami, żaden z nich nie mówi po francusku.

— Chcą państwo zapewne kupić sobie coś na pamiątkę po Neapolu? Wyroby szyldkretowe są tutaj rzeczywiście bardzo piękne i bardzo tanie. W Rosji musiałaby pani zapłacić dziesięć razy drożej. Co jednak jest tu najtańsze, to kamee. Kupiła już łaskawa pani sobie kameę?

— Jeszcze nie, ale bardzo, bardzo chcę kupić? Towarzysz nasz również chce kupić kameę dla swojej żony! — wskazała Głafira Siemionowna na Konurina.

— Iwan Kondratjew Konurin, kupiec! — przedstawił się Konurin, wyciągając rękę do kontrolera. — Niefałszowany Rosjanin z Jarosławskiej gubernji.

— Mikołaj Iwanow Iwanow! — przedstawił się również Mikołaj Iwanowicz. — Bardzo mi przyjemnie spotkać się z rosyjskim człowiekiem wśród włoskiej nacji!

Kontroler powiedział swoje nazwisko i dodał, zwracając się do Głafiry Siemionowny:

— Jak tylko skończę rewizję biletów, zaraz będę do usług łaskawej pani! Jeżeli pani chce kupić kameę, będę mógł przedstawić pani wspaniałe kamee po bajecznie niskich cenach.

— Proszę bardzo, proszę bardzo... Niech pan mi również pomoże kupić taniej trochę tych drobiazgów... — wskazała Głafira Siemionowna na namioty z koralami.

— Doskonale! Jak tylko skończę rewizję!

Na pokładzie znów ukazał się opalony chłopiec z butelką koniaku i szczerzył zęby do pasażerów. Znów podskoczył do Konurina i Iwanowa i znów zaproponował:

— Riuss... Koniak?

— Mówiąc to, mlasnął językiem.

— Dawaj, dawaj koniaku, czarny djable! — klepnął go po ramieniu Konurin. — Musimy wypić po kieliszeczku z okazji znajomości z rosyjskim morskim człowiekiem na włoskiem morzu. Panie kontrolerze morski! Połkniemy po kieliszeczku koniaku? — zwrócił się do kontrolera.

— Później, później!... Najprzód muszę dokończyć rewizji biletów! — odpowiedział kontroler i podszedł ze szczypcami do grupy Anglików, obserwujących przez lornetki i lunety widoki morskie.

LXVI.

Stateczek wypłynął na otwarte morze, pozostawiając poza sobą w porcie okręty i statki różnej konstrukcji i wielkości. Zwolna roztoczył się przed oczami podróżnych wspaniały widok na Neapol, rozłożony na wysokich tarasach skalistego brzegu. Po chwili podbiegł do Głafiry Siemionowny kontroler-Rosjanin.

— Sprawdziłem już bilety wszystkich podróżnych i jestem do pani usług! — rzekł, kłaniając się. — Pragnie pani kupić kameę, proszę bardzo... Takich kamei nie znajdzie pani w żadnym ze sklepów, a jeżeli znajdzie, to będą one kosztowały trzy-cztery razy drożej. W sklepach neapolitańskich zdzierają straszne sumy, zwłaszcza z cudzoziemców, a specjalnie z Rosjan, tymczasem ja dostaję te kamee od majstrów w komis, nie płacę za sklep, ani podatków i zawsze mogę usłużyć swoim rodakom, sprzedając je taniej. Proszę zwrócić uwagę! Ta kamea kosztuje tylko 60 franków, a ta 75 franków.

Wydobył z jednej kieszeni futerał z kameą, z drugiej drugi i mówił dalej:

— Proszę zobaczyć, co za wyrób artystyczny! Te kamee oprawione są, jako broszki, lecz mam również i kamee bez oprawek. Po powrocie do domu będzie pani mogła oprawić je w broszkę, albo w bransoletkę, według swego życzenia. Proszę spojrzeć na tę kameę! Prawdziwe arcydzieło! Kosztuje tylko 80 franków, a ta 125.

Mówiąc to, wyjmował już kamee z kieszeni kamizelki.

— A jednak wydaje mi się to bardzo drogo! — rzekła Głafira Siemionowna.

— Bo to są wyroby artystyczne! Proszę się przyjrzeć, jak to jest wykonane, jak wykończone. Mogę panią zapewnić, że przy wyrobie tej kamei mistrz, który ją wycinał, stracił oczy... Co się tyczy ceny, to jest to cena minimalna, zapewniam panią. Do oryginalnej ceny mistrza doliczam zaledwie 10 proc. dla siebie, jako wynagrodzenie komisowe. A może pani woli wyroby szyldkretowe, mam także szyldkretowe wyroby! — dodał kontroler i wyciągnął z bocznej

kieszeni marynarki paczkę grzebieni ,nożyków do rozcinania książek, wachlarzyk. — Proszę wybierać! W całym Neapolu nie kupi pani taniej, niż u mnie.

— A po czemu pan sprzedaje te rzeczy? — zapytała Głafira Siemionowna i zaczęła się targować swoim zwyczajem.

— Proszę łaskawej pani, niech pani się nie targuje. Od rodaków biorę najniższe ceny! — odpowiedział kontroler, co mu jednak nie przeszkadzało na każdym przedmiocie ustępować dość znaczny procent.

— Iwan Kondratjicz, miał pan przecież kupić dla żony kameę, przecież pan chciał kupić? — zwróciła się Głafira Siemionowna do Konurina.

— Nie podoba mi się to wszystko. Co to za efekt? Co to za prezent? Myślałem, że ta kamea to jest coś takiego... A widzę, że to zwyczajny kawałeczek muszli i nic więcej. Żona moja będzie myślała, że to kosztowało kilka groszy. Chyba, żebym kupił jej grzebień szyldkretowy do włosów.

— Oto grzebień za 50 franków! — zaproponował kontroler.

— Co takiego? Ach ty... I to dla rodaków?

— Proszę zobaczyć, co to za artystyczna robota, proszę się przyjrzeć dokładnie, jakie cudowne wykończenie. Mogę sprzedać panu takiej samej wielkości grzebień i za 15 franków, ale to będzie zupełnie co innego. Proszę porównać... Nawet za czternaście franków oddam panu ten grzebień...

— Dziesięć!

— Nie mogę! Co najwyżej do grzebienia tego za czternaście franków mogę dodać maleńki grzebyczek kieszonkowy dla pana, do brody.

— Razem z kieszonkowym grzebyczkiem jedenaście franków i koniak na mój rachunek. Garson! Jak tam ciebie tu nazywają? Czarny djable! Chodź tutaj!

— Za koniak z góry bardzo dziękuję, ale za 11 franków sprzedać nie mogę. Chce pan za trzynaście?

— Dwanaście i przyjęcie koniakowe. Przyjęcie koniakowe będzie pirsza klasa!

— Niech pan daje pieniądze! Co mam robić z rodakami! — machnął ręką kontroler.

W trakcie tego Głafira Siemionowna zdążyła nakupić rozmaitych drobiazgów przeszło za półtorej setki franków, w tej liczbie dwie kamee. Kontroler, pomimo iż zapewniał, że sprzedaje po minimalnych cenach i prosił, ażeby się z nim nie targowano, ustąpił jednak prawie trzecią część żądanej sumy. Zakupiono również z pomocą kontrolera mnóstwo korali i wyrobów drewnianych u innych handlarzy, poczem nastąpiło oblewanie zakupionych rzeczy.

— Jak państwo przyjadą na Capri, prawdopodobnie będziecie chcieli pójść na śniadanie. Na brzegu otoczą was rozmaici pośrednicy i będą ciągnąć do przeróżnych restaura-

cyj. Radzę państwu nie chodzić z nimi nigdzie i odrazu iść do restauracji „Pod lazurową grotą". Oto pocztówka hotelu i adres! — mówił kontroler, dając Iwanowowi i Konurinowi kartkę z adresem hotelu. — Tam możecie państwo najeść się dobrze i tanio. Pierwszorzędna kuchnia. Ja tam również idę na śniadanie.

— Doskonale! W takim razie zjemy razem śniadanie i pan będzie naszym tłumaczem.

— Z najmilszą chęcią. Żebyście państwo wiedzieli, jakie ostrygi tam dają, poprostu można język połknąć!

— Tfu, tfu! — splunął Konurin.

— Co takiego?

— Ja nietylko nie jem ostryg, ale nawet patrzeć na nie nie mogę.

— Czy być może? A ja widziałem tylu Rosjan, którzy z wielką przyjemnością zjadali tutaj po kilka tuzinów.

— To napewno nie kupcy rosyjscy! Porządny kupiec poczytuje sobie za grzech jeść takie świństwo.

— Czego łżesz? To tylko niepolerowani kupcy nie lubią ostryg. Co do mnie, to jak sobie postanowię, a zwłaszcza jeżeli dodam musztardy i trochę cebuli, mogę śmiało zjeść dwie ostrygi. Skrzepię się na duchu i połknę! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Widzę, że i pan niebardzo jednak lubi ostrygi? Za to podadzą nam znakomite ryby.

— Ryb nie jada moja żona. Boi się, że mogą jej podać jakąś rybę żmijowatego pochodzenia.

— Za pozwoleniem, co państwo w takim razie będą jeść na wyspie Capri? Przecież wyspa głównie słynie z ostryg i ryb.

— No w takim razie zjemy coś takiego, czem się wyspa nie sławi.

— Rozumiem! Naprzykład młodej baraninki z makaronem!

— Naturalnie! Jak tylko wjechaliśmy do tego królestwa makaronowego, ciągle nas częstują baraniną i makaronami! — rzekł Konurin. — Sprzykrzyła mi się już.

— W takim razie krewetki, kraby...

— Tfu, tfu! To też nie kupieckie jedzenie. Ot mój panie, gdyby tak można dostać jajeczniki z szynką, albo jakiś pierożek z mięsem? Po znajomości powinni to zrobić dla pana.

— Niestety takich dań nie znają w całych Włoszech. Wytrzeszczyliby oczy ze zdziwienia, gdybym im powiedział o jakichś pierogach z mięsem.

— A może befsztyki nam zrobią? Przecież chyba befsztyk...

— Naturalnie, befsztyki podadzą bardzo dobre. Anglicy zawsze jedzą befsztyki.

— Widzi pan, co Anglicy lubią i jedzą, to można dostać,

a co Rosjanie tego niema. Dlaczego Anglicy tutaj mają takie szczęście specjalne?

— Widzi pan, Rosjanie rzadko przyjeżdżają do Włoch, a Anglicy siedzą tutaj prawie zawsze w olbrzymiej liczbie, mieszkają w Neapolu i na Capri. Niech pan przyjrzy się publiczności na statku, prawie sami Anglicy.

— Niebieska woda! Niebieska woda! — wołała Głafira Siemionowna, patrząc przez burtę statku. — Mikołaj Iwanycz, patrz, jaka lazurowa woda.

Mikołaj Iwanowicz i Konurin podbiegli na parapetu. Statek przepływał właśnie w pobliżu stromej skały, wyrastającej jakby z wody.

— A niech cię wszyscy djabli! Naprawdę niebieska woda, niebieska z zielonym odcieniem... — rzekł Konurin. — Może ją tutaj farbują? — zapytał kontrolera.

— Co pan mówi! Czy można zafarbować wodę w morzu? — uśmiechnął się kontroler.

— Ech, panie kontrolerze morski, zagraniczni ludzie wszystko umieją zrobić. To nie nasz prostak-Rosjanin. Zagraniczny człowiek nawet wodę zafarbuje w morzu, żeby w ten sposób manić do siebie głupców z obcych krajów.

— Zapewniam pana, że to niemożliwe. Nikt nie farbuje tutaj wody. To już taka właściwość wody tutejszej. Główną rolę gra w tem niebo niebieskie, które się przegląda w wodzie. Poczekajcie państwo, za pół godziny będziemy przy t. zw. grocie lazurowej, tam zobaczycie państwo jeszcze bardziej niebieską wodę.

— Ach tak, tak... Koniecznie musimy obejrzeć tę grotę lazurową! —odezwała się Głafira Siemionowna.

— Zatrzymamy się przy niej. Wtedy wsadzę państwa do łodzi z porządnym wioślarzem i pojedziecie państwo do groty! — rzekł kontroler. — Wstrząsające widowisko. Na całym świecie niema nic podobnego.

— A czy to nie jest niebezpieczne? — zapytał Konurin.

— Skąd tu może być jakieś niebezpieczeństwo? — odpowiedział kontroler. — Niech państwo patrzą, morze jak stół, gładkie jak lustro.

— Ja tylko tak dla upewnienia się... Zresztą właziłem już na górę ognistą przedwczoraj i też nic mi się nie stało.

— Trzeba tylko spieszyć się, żeby wjechać do groty i wyjechać z niej w czasie odpływu morza, bo jak kogoś zastanie przypływ morza w grocie, to musi w niej czekać dość długo, aż nastąpi odpływ.

— A widzi pan! W takim razie dajmy lepiej spokój tej grocie. Niech ją tam Pan Bóg ma w swojej opiece! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Niech panowie się nie obawiają zupełnie. Statek podpłynie do groty właśnie w czasie odpływu, a wioślarz doskonale wie, ile czasu potrzeba, żeby wpłynąć do groty i wypłynąć z powrotem.

— Proszę pana... Niech pan pojedzie z nami... Z panem nie będziemy się tak obawiali! — prosiła kontrolera Głafira Siemionowna.

— Zrobiłbym to, łaskawa pani, z największą przyjemnością, ale obowiązki moje zmuszają mnie do tego, że stale muszę być na statku.

— Naprawdę boję się jechać do tej groty. A co będzie, jeżeli nastąpi przypływ i nie zdążymy wypłynąć z niej.

— Ależ zapewniam państwa, że zdążycie. Czasu jest dosyć. Wioślarz doświadczony. Codziennie robi to samo.

— A gdybyśmy nie zdążyli?

— To musielibyście państwo poczekać w grocie kilka godzin na odpływ.

— Po ciemku? Brr... To straszne!

— Zupełnie nie po ciemku. Zobaczą państwo, jakie cudowne światło fosforyczne jest w tej grocie.

— Ale możemy się zadusić bez powietrza.

— Niech się państwo nie obawiają. Grota lazurowa — to jakby wielka sala z kopułą. Wstrząsający widok!

— Mikołaj Iwanycz! Jak sądzisz, czy mamy jechać do groty?

— Naturalnie, że pojedziemy. Nic się nie bój! Będziesz się trzymała mnie za rękę.

Konurin pokręcił głową.

— Dla nabrania odwagi radziłbym jednak wychylić jeszcze kilka kieliszeczków koniaku. Panie rodaku! Niech pan zadyryguje, żeby nam podali koniaku! — zwrócił się do kontrolera.

— Nie, nie! Z pijakami nie pojadę do groty za żadne skarby! — zawołała Głafira Siemionowna.

— Statek zaczął zwalniać; rozległ się gwizd.

— Grota lazurowa!... Podjeżdżamy! Chodźcie państwo prędzej do wyjścia, zarekomenduję państwu dobrego wioślarza! — rzekł kontroler i pobiegł z górnego pokładu na dół.

Iwanowowie i Konurin wolnym krokiem podążyli za kontrolerem. Głafira Siemionowna zbladła i przeżegnała się trzy razy.

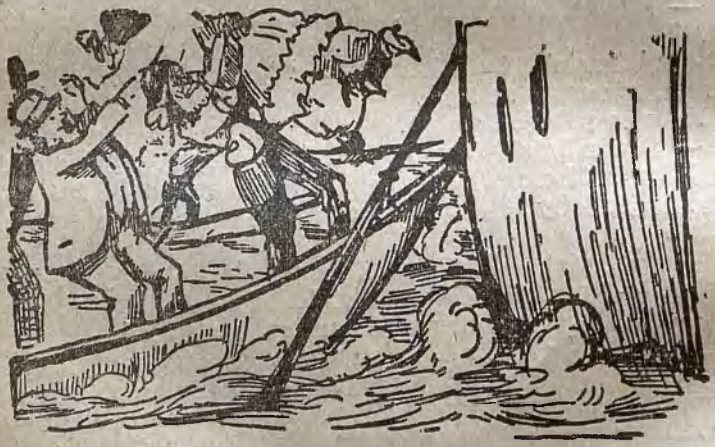
LXVII.

Przy schodkach ze statku zgromadził się tłum pasażerów wszelkich narodowości i powoli wszyscy zajmowali miejsca w czepiających się statku małych łódeczkach, ażeby zwiedzić grotę lazurową. Wioślarze, wymyślając jeden drugiemu, zabierali pasażerów i odpływali od statku, gdzie przy wyjściu panował tłok nieopisany. Wszyscy starali się jak najprędzej dostać do łódki, ażeby jak najdłużej móc zwiedzać grotę przed ukończeniem odpływu morza. Słychać było mowę włoską, francuską, niemiecką, głównie jednak angielską. Nawet Anglicy zawsze flegmatyczni i spokojni w ruchach pchali się do

yjścia i spieszyli do łódek. Anglik w kostjumie w kratkę i berecie na głowie oprócz lunety, barometru, manierki i dużej skórzanej torby, przewieszonych na paskach przez ramię, miał jeszcze w ręku pleciony koszyk z rączką. W koszyku tym widać było mnóstwo pudełeczek tekturowych z napisami czerwonym ołówkiem.

— Schodźcie państwo, schodźcie państwo prędzej do łódki i jedźcie z tym starym wioślarzem. Ma on coprawda tylko jedno oko, lecz jest bardziej doświadczony, niż taki, co ma dwoje oczu i rozumie nieco po francusku! — doradzał Iwanowym i Konurinowi kontroler, popychając ich w kierunku schodków.

Łódka, stojąca przy schodkach, skakała na drobnych falach morskich. Powykrzywiany, zreumatyzmowany stary wioślarz podał rękę Mikołajowi Iwanowiczowi i Konurinowi, którzy zeskoczyli ze schodków do łodzi, a Glafirę Siemionownę poprostu wziął jak dziecko na rękę i posadził na ławeczce w łodzi.



— Ostrożniej! Ostrożniej! Połamiesz mi grzebienie szyldkretowe, które mam w kieszeni! — krzyczała Glafira Siemionowna, lecz łódź odpłynęła już od statku.

Stary marynarz ujął za wiosła. Był on prawie nagi. Spodnie i rękawy brudnej koszuli były podwinięte do ostateczności, więcej podwinąć już ich nie było można. Przez rozwarte rozcięcie koszuli widać było bronzową włochatą pierś. Twarz miał także bronzową, obramioną siwą, krótko ostrzyżoną bródką i patrzył tylko jednem okiem. Na głowie zamiast kapelusza miał jakiś łachman czerwony. Łódka podjeżdżała do olbrzymiej skały prostopadłej, na której szczycie widać było kozy, wielkości kurcząt. Pod skałą w wodzie po kolana chodziło dwuch jakichś Włochów, których całe ubranie stanowiły jedynie krótkie spodnie. Wymachiwali rękami, krzyczeli i przyzywali do siebie zbliżające się łodzię

— Patrzcie, patrzcie w jakich ubraniach paradują ci ludzie! — odezwał się Konurin. — Czyżby na tej wyspie wszyscy ludzie tak chodzili ubrani? Przecież to zupełnie, jak Adam w raju.

— To napewno tylko kąpiący się! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz. — Głasza przyjrzyj się.

— Także coś... Będę na jakichś golasów patrzyła! — obraziła się Głafira Siemionowna.

— Za pozwoleniem, a może to jest wyspa z jakąś dziką nacją?... — Może tu jakaś dzika nacja mieszka? Przecież są takie wyspy, na których mieszkają dzicy ludzie? — znów zaczął Konurin. — Co w takim razie pani zrobi? Pomimowoli będzie pani musiała przyglądać się im, przecież nie będzie pani mogła chodzić z zamkniętemi oczami.

— Co za głupstwa pan wymyśla, Iwan Kondratjicz. Dzicy ludzie mieszkają w Afryce, a tutaj są Włochy.

— A skąd pani wie, że tutaj są Włochy? Może właśnie nas zawieźli do Afryki?

— W Afryce mieszkają Murzyny, a tutaj, jak widzisz, są biali ludzie! — wtrącił swoją uwagę Mikołaj Iwanowicz.

— Gdzie biali? Przypatrz się, czy nie widzisz, że to nie są biali ludzie. Powiedz mi, że to jest półbiały, to się zgodzę. Patrz, jakie mają bronzowe mordy.

Do nagich jegomości podjechały dwie pierwsze łodzie. Wówczas nagusy rzucili się do wody, zaczęli nurkować i po upływie pewnego czasu ukazali się z pod wody, trzymając coś w ręku wysoko nad głową.

— Pokazują coś! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Widocznie jakieś przedstawienie, Głasza! Możebyśmy podjechali? — zapytał żonę.

— Także coś! — krzyknęła Głafira Siemionowna i zwracając się do wioślarza, zaczęła go pytać: — U e grot ble? Czy daleko do groty ble? Luan?

Wioślarz odwrócił się i mruknął coś niezrozumiałego, pokazując na niewielki otwór w skale nad samą wodą. Jadące przodem łodzie podjeżdżały do tego otworu i znikały w nim. Przy samym otworze na kamieniach stał namiot, a przed nim dwuch żołnierzy w kepi z jasno-zielonemi kantami.

— Żołnierze jacyś stoją! — rzekła Głafira Siemionowna. — Widocznie pilnują porządku.

Wioślarz podjechał do namiotu. Żołnierze wyciągnęli ręce z maleńkiemi biletami kolorowemi i mówili coś, z czego Głafira Siemionowna zrozumiała tylko jedno słowo: „antre".

— De lira per person! — przetłumaczył wioślarz, pokazując na żołnierzy.

— Za wejście trzeba zapłacić po dwa liry od osoby. Dawaj prędzej Mikołaj Iwanycz sześć lirów! — rzekła Głafira Siemionowna. — Boże! Jaki mały otwór w skale! Jak my tam wjedziemy i wyjedziemy? Boże, miej litość nad nami.

— Za swoje pieniądze ciężko zapracowane jedziemy do jakiejś morskiej dziury? Kto mi każe kusić nieszczęście?

— Trzeba się nachylić! Widzisz, niektórzy kładą się na dnie łodzi. Inaczej się nie przejedzie!... — pokazywała Głafira Siemionowna i pierwsza stanęła na kolanach na dnie łódki.

Łódź znajdowała się przy samem wejściu do groty, skąd słychać było głuche szemranie wody. Wioślarz, opierając się wiosłem o skały, krzyczał coś do Mikołaja Iwanowicza i Konurina, lecz ci nie rozumieli, o co mu chodzi. Wówczas podbiegł do nich, chwycił ich rękami za szyję i zaczął przyginać do dna łódki. Konurinowi się to nie podobało i odepchnął wioślarza.

— Czego leziesz arabski djable? Zwarjowałeś, czy co? — zawołał i zamachnął się na wioślarza.

— Niech się pan pochyli, niech się pan pochyli... Niech się pan położy w łódce! Inaczej nie wjedziemy do groty! — mówiła Głafira Siemionowna, lecz mocny wioślarz upadł już razem z Mikołajem Iwanowiczem i Konurinem na dno łodzi i łódka prześlizgnęła się do wnętrza groty.



— Przeklęty draniu! Jak śmiesz mnie kupca... — krzyczał Konurin na wioślarza, podnosząc się z dna łodzi, lecz natychmiast zamilkł, olśniony cudownym widokiem.

Olbrzymia grota kilkunastu metrów wysokości oświetlona była jakiemś niebieskiem światłem fosforycznem. Woda, ściany, kopuła — wszystko świeciło się i wszystko było niebieskie. Ze ścian i z kopuły zwieszały się skalaktyty lazurowego koloru. Woda była tak przezroczysta, że na głębokości kilkunastu metrów widać było dno.

— Ach, co za cudo! Poprostu jakieś zaczarowane królestwo! — wyrwał się okrzyk z ust Głafiry Siemionowny.

— Ładnie to podmalowali! — mruknął Konurin.

— Co pan gada? To wszystko naturalnie, to wszystko tak od przyrody!

— Czy być może? A mnie się zdaje, że to Niemiec jakiś wymalował na niebiesko.

— Przecież z powodu tego właśnie tutaj przyjeżdża tyle ludzi... To wszystko tak od przyrody.

— Za pozwoleniem. A te sople, co się zwieszają z sufitu? Przecież takie same sople są u nas w Petersburgu, w restauracji „Arkadja"?

— I sople są też od przyrody! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz i dodał: — Ale jakby taka sopla oderwała się od sufitu i trafiła kogo w łeb, to winszuję...

— A gdzie oni mają tu ukryte lampy z niebieskiemi reflektorami? Rozglądam się i nic nie widzę! — dopytywał się Konurin, rozglądając się rzeczywiście na wszystkie strony.

— Niech pan zrozumie, Iwan Kondratjicz, że to oświetlenie jest także naturalne, od przyrody! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Co to, to nie uwierzę za żadne skarzby! Jakto? Grota jest bez okien, więc powinno tu być ciemno, bo skąd światło... A tymczasem wszędzie widno... i na niebiesko...

— Niech pan zrozumie, że to światło elektryczne, elektryczność!

— Doskonale! Zgadzam się, ale gdzie lampy elektryczne?

— Ach Boże! Przecież to elektryczność naturalna, elektryczność od przyrody!

— I bez lamp?

— Naturalnie, że bez lamp. Od przyrody...

— Co to, to, paniusiu, się nie zgadzam. Mikołaj Iwanycz, słyszysz?

— Słyszę, słyszę! — odpowiedział Mikołaj, ciągle jeszcze nieufnie patrzący na wiszące nad ich głowami stalaktyty. — Jak ona ci mówi, że to elektryczność, to elektryczność. Ona wie... Ona czytała... Ona wszystko wie z książek... Elektryczność jest różna: jest naturalna i nieturalna, a to jest właśnie magnetyzm... Wiesz, Głasza, zdaje mi się, że to właściwie nie jest elektryczność, lecz magnetyzm... Magnetyzm zwierzęcy... Magnetyzmy są też dwojakiego rodzaju: zwierzęcy i niezwierzęcy... Jak myślisz, Głasza?

— Niech będzie magnetyzm, ale to także od przyrody.

W pobliżu nich, w innej łodzi siedział Anglik w maryharce w kratki. Wydobył z koszyka pudełeczko, otworzył je i zaczął podrzucać do góry motyla, który tam był dotąd zamknięty, lecz motyl padał ciągle z powrotem na dno łodzi.

— Ten warjat już na Wezuwjuszu pokazywał te same

sztuki i wszędzie jeździ z rozmaitemi zwierzętami! — zauważył Konurin, pokazując na Anglika.

— Widocznie pomylony! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz i dodał: — Obawiam się tylko jednego, żeby taki sopel nie oberwał się z sufitu i nie trafił kogo z nas w głowę. Głasza, możebyśmy już kazali zawrócić.

— Ach Boże! Pozwól mi się zachwycać widokiem.

— A co będzie, jak nastąpi przypływ morski? Wtedy nie wyjedziemy z groty. Słyszałaś, co rodak opowiadał na stacji?

— Przecież nikt jeszcze nie wyjeżdża?

Anglik wypuścił z pudełka wróbla, który wzleciał i usiadł na jakimś stalaktycie, występującym ze ściany. Anglik wyjął notes i zaczął coś zapisywać.



— Kompletny warjat... Jeździ do groty z wróblami i motylami. — kiwał głową Konurin.

— Ach Boże mój! Tutaj są też nagusy! — zawołała Głafira Siemionowna.

— Gdzie, gdzie? — pytali mężczyźni.

— Stoją tam na tym progu skalnym.

— A nie mówiłem państwu, że jesteśmy w dzikiem królestwie, gdzie mieszkają dzicy ludzie? — rzekł Konurin.

Wioślarz, który dotąd płynął środkiem jeziora, machnął wiosłami i łódź podpłynęła do występu, nad którym stali nadzy ludzie.

LXVIII.

Nagusy, do których dowiózł wioślarz Iwanowowych i Konurina, byli to pływacy miejscowi, którzy w grocie wyczekiwali na turystów, aby popisywać się przed nimi swą zręcznością w nurkowaniu i wypraszać za to datki pieniężne. Prosili na migi turystów, aby ci rzucili im do wody srebrnego lira, dawali nurka i wydostawali monetę z wody, zabierając ją naturalnie dla siebie. Paru turystów rzuciło do wody po srebrnej monecie, pływacy wydostali je i podpłynęli do łodzi Iwanowowych i Konurina, szczękając zębami z zimna i prosili, aby i oni rzucili do wody „una moneta".

— Jazda! Jazda od nas! Wont! Wolę przepić te pieniądze na statku, wolę się napić za to koniaku! — krzyczał Konurin i wymachiwał rękami.

Głafira Siemionowna, zakrywając twarz chusteczką od nosa, krzyczała do wioślarza:

— Sinjor! Alle! Alle wout! Asse dla nas! Dosyć! Dosyć pur nu!

— A la meson! — krzyknął wreszcie Mikołaj Iwanowicz, ucieszony, że żona ma już dosyć groty z strasznemi stalaktytami. — Wiosłuj do statku, krzywa mordo!

Wioślarz zaczął wiosłować z całych sił. Kiedy łódka zbliżyła się do otworu w grocie, przypływ już dawał znać o sobie. Woda głośno pluskała o ściany skalne i otwór był znacznie mniejszy.

— Kładźcie się na dno! — zadyrygował Mikołaj Iwanowicz i pierwszy rozciągnął się jak długi w łodzi. — Głasza, połóż się na moje plecy i pilnuj bransoletki w ciemnościach.

— A ja tu koło was! Buums! — krzyknął Konurin i położył się w łódce tuż koło Głafiry Siemionowny.

— Aj, aj! Okropnie boję się łaskotania! — piszczała pani Iwanowowa. — Mówię panu, Iwan Kondratjicz, że boję się łaskotania.

— Pardon, mamusiu, pardon! Muszę się jednak za coś trzymać? — tłumaczył się Konurin.

Ale łódka wyskoczyła już z groty. Na lazurowej fali połyskiwało złote słońce. Niebieskie niebo było bez chmurki. Wszyscy powstali w łódce i siedli na ławkach.

— Chwała Bogu! Wydostaliśmy się na światło Boże! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Przyznam się wam teraz, że obawiałem się strasznie, aby te sopelki lazurowe nie oberwały się od sufitu i nie spadły nam na kark w nagrodę za naszą odwagę. Ładny interes. Sopelki po kilka metrów! I łódkę wzięli djabli i z nas zostałyby tylko kotlety dla ryb.

— Żegnaj wtedy braciszku, Iwanie Kondratjiczu! Pani Konurinowa zostałaby wdową z małemi dziećmi — westchnął Konurin i dodał: — Co ona. kochanie moje, robi tam teraz w Petersburgu?

— Wiemy, wiemy! Może pan nie mówić! Herbatę pije! — przerwała mu Głafira Siemionowna.

Łódka przybiła do statku. Kontroler czekał już na Iwanowowych i Konurina: Krzyczał im z pokładu.

— Wioślarzowi dajcie panowie dwa franki i coś na makarony!

— Masz, mordo bronzowa, udław się! — rzekł Konurin, rozliczając się z wioślarzem. — Masz tu na makarony, masz tu oprócz tego na kąpiel, żebyś wymył sobie dobrze fizjomordę twej osobowości.

Łódki z pasażerami zbliżały się kolejno do statku. Ostatnia przypłynęła łódka z Anglikiem w kratkowanem ubraniu. Siedział w łódce i zapisywał coś w notesie. W koszyku obok pudełeczek leżały żywa rybka i maleńki żółw.

— Czego ten dureń stale z mlekożernemi zwierzętami się włóczy? — dziwił się Konurin, wzruszając ramionami.

Statek zaczął gwizdać, nawołując w ten sposób spóźnionych turystów, poczekał jeszcze chwilę i wreszcie zaczął uderzać kołami po wodzie, płynąc pod stromą skałę. Wkrótce skały stały się mniej strome, ukazały się niewielkie wioski z małemi białemi domkami i wreszcie podróżnicy nasi ujrzeli miasto, rozłożone na tarasach skalnych.

— Widzicie, państwo, tam na brzegu niebieski domek? To jest właśnie hotel „Grota Lazurowa" — wskazywał kontroler. — Jak zatrzymamy się i popłyniecie państwo łódką na brzeg, idźcie wprost do tego hotelu.



— Czy to Kapri? — pytała Głafira Siemionowna.

— Capri! Capri! W hotelu żądajcie państwo również wina Capri! Wspaniałe wino!

Tymczasem od brzegu już odpłynęły łódki na spotkanie statku. W łódkach znów widać było półnagich wioślarzy. Oprócz wioślarzy w niektórych łódkach byli również mali chłopcy. Statek zatrzymał się. Wioślarze, starając się jeden przez drugiego jak najbardziej zbliżyć się do statku, wymyślali

sobie nawzajem w straszliwy sposób. Chłopcy w łodziach również krzyczeli, podnosząc ponad głowy koszyki z ostrygami, z kolorowemi muszlami, z maleńkiemi żółwiami żywemi i proponowali ich turystom.

— Siadajcie, państwo, siadajcie prędko do łodzi! — pospieszał Iwanowowych i Konurina kontroler.

— A pan tam przyjedzie?

— Przyjadę natychmiast, jak tylko wyprawię wszystkich pasażerów ze statku.

Łódź przewiozła Iwanowowych i Konurina na brzeg.

Otoczyli ich mali chłopcy, brudni i bosi. Proponowali im ostrygi, korale, pomarańcze na gałązkach. Głafira Siemionówna kupiła sobie taką gałąź, obarczoną prawie dziesięcioma pomarańczami i przerzuciła sobie przez ramię.

— Koniecznie postaram się dowieźć tę gałązkę do Petersburga, nieuszkodzona na dowód tego, żeśmy naprawdę byli w kraju pomarańcz! — rzekła.

Kierując się do niebieskiego domu, w którym mieścił się hotel „Grota lazurowa" mijali inne hotele. Z hotelów tych wybiegli lokaje z serwetkami, przerzuconemi przez ramię i zapraszali ich do siebie na śniadanie. Jeden z lokajów schwycił nawet Konurina za rękę i powtarzając na różne sposoby słowo „ostryche", ciągnął go do drzwi wejściowych swego hotelu. Konurin odepchnął lokaja i rzekł:

— A to djabły natrętne! Zupełnie jak u nas na placu Aleksandrowskim subjekci wołają klientów i ciągną ich za ręce! A to drań, o mało mi rękawa z korzeniem nie wyrwał!

Oto i hotel „Grota lazurowa". Niebieski domek stał w ogrodzie, rozłożonym na tarasie skalnym. W ogrodzie pod drzewami pomarańczowemi i cytrynowemi stały stoliki, przykryte białemi serwetami.

— Patrz, patrz Mikołaj Iwanycz, pomarańcze wiszą na drzewach. — zachwycała się Głafira Siemionowna. — Nareszcie jesteśmy w prawdziwej Italji! Ani razu dotąd jeszcze nie mieliśmy sposobności siedzieć pod drzewami pomarańczowemi.

Wyciągnęła rękę w kierunku drzewa i zapytała lokaja:

— Garson! Botega! Czy można zerwać uno aranczio, portogalo?

— Si, signora!... — odpowiedział garson, zrozumiawszy o co chodzi i nawet sam pochylił ku niej gałąź z pomarańczami.

— Poraz pierwszy w życiu zrywam pomarańczę z drzewa! — zawołała Głafira Siemionowna z tryumfem.

Konurin siadł przy stole i zatarł ręce:

— Koniecznie dzisiaj muszę napisać list do żony, że piłem sznapsa pod pomarańczowem drzewem. Garson! Przedewszystkiem dawaj tutaj butelkę Kapri, a pozatem koniak!

— Ostryche, monsieur? — pytał garson, szczerząc zęby i poufale opierając się rękami o stół.

— Ostrygi? I ten z ostrygami wyjeżdża! Idź do djabła z takiem jedzeniem! Żryj sam ostrygi, draniu jeden, kiedy ci smakują! Nam podaj befsztyki! Trzy befsztyki! Trzy...

Pokazał garsonowi trzy palce.

— Si, monsieur! Minestra?... Zuppa?... — pytał dalej garson.

— Dawaj! Dawaj i zupę! Nie zawadzi przełknąć coś gorącego! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Macaroni al buro (makaron z masłem?) — proponował w dalszym ciągu lokaj.

— Chyba dlatego, żeby wam przyjemność zrobić, makaroniarze. No, si, si! Dawaj i trzy porcje makaronów. Trzy!...

Teraz Mikołaj Iwanowicz z kolei pokazał garsonowi trzy palce i dodał zwracając się do żony:

— Powiedz, kochanie, jak my dobrze nauczyliśmy się mówić tym ich psim językiem? I my wszystko rozumiemy i oni nas rozumieją. Oni mówią „ostrygi" i my mówimy „ostrygi", po włosku mówią „bani" i po naszemu też „bania" *)...

— Mówiłam ci już, że włoski język jest bardzo łatwy! — odpowiedziała Glafira Siemionowna i krzyknęła za oddalającym się garsonem: — Żelato, żelato! Przynieść nam również porcję lodów! Una porcja!

— Si, signora! — odpowiedział lokaj i znikł w drzwiach hotelu.

Nadszedł kontroler i rzekł:

— Czy nieprawda, że ładny hotel? Ogród... Na skale... Sam widok na morze wart jest dużo!

LXIX.

W ogrodzie hotelu „Grota Lazurowa" powoli zebrało się dużo pasażerów ze statku. Przyjechał również łódką okrętową i kapitan statku, stary Włoch w granatowej marynarce dwurzędowej, zapiętej na wszystkie guziki i w niebieskiej czapce ze złotym galonem. Przysiadł się do stołu i natychmiast zabrał się do jedzenia ostryg, których przynieśli mu cały półmisek. Kontroler jadł śniadanie z rodakami. Podczas śniadania zdołał wsunąć Glafirze Siemionownie jeszcze dwie kamee, papierośnicę szyldkretową i trzy grzebienie. Śniadanie zakropiono obficie. Butelki z czerwonem, gęstem winem kapryjskiem i z pieniącem się Asti nie schodziły ze stołu. Pogoda przez cały czas była wspaniała. Słońce świeciło jaskrawie z jasnego nieba. Przez cały czas śniadania grała muzyka. Trzech dobrze zbudowanych, brodatych wędrownych mandolinistów wygrywało wesołe motywy operetkowe, oraz piosenki włoskie i śpiewało solo i chórem. Turyści szczodrze sypali im do kapeluszy srebrne i miedziane monety. W dole pod skałą stanęło kilku poganiaczy osłów i krzyczało na górę, proponu-

*) Bagni — po włosku: „kąpiele; „bania" — po rosyjsku: „łaźnia".

jąc turystom zwiedzenie wyspy. Obok wyskakiwali bosi i brudni chłopcy, proszący turystów o datki na makarony. Turyści rzucali im ze skały drobne monety i bawili się bijatyką, jaka powstawała śród malców. Jakiś tłusty Niemiec w jasnej marynarce i gęstym wiechciem wąsów pod nosem, bawił się w ten sposób, że starał się trafić miedziakami w twarze uliczników i zdołał dokonać tego, że dwum z nich poszła krew z nosa.

— Trzeba będzie przejechać się na osłach! — rzekła Głafira Siemionowna. — Wyjedziemy z Kapri i nawet nie będziemy mogli powiedzieć, że jeździliśmy na osłach?

— Jedźcie, państwo, jedźcie! — rzekł kontroler. — Natychmiast zarekomenduję wam najlepszego osła i najbardziej doświadczonego przewodnika. Poczekamy tu na państwa. W ciągu pół godziny objedziecie całą wyspę.

— Nie, nie! Sama nie pojadę! Jeżeli mamy jechać, to jedziemy wszyscy, w całem towarzystwie.

— Wiesz, Głasza, jeżeli mam prawdę powiedzieć, to nie bardzo mi się chce jechać... Powiedz sama, co to jest jazda na ośle? Niech go djabli wezmą! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Wolisz siedzieć tu, przylepiony do butelek?

— Jedziemy, paniusiu! Ja pojadę z panią chętnie! — odezwał się Konurin. — Co się tyczy jednak butelki, to proszę mi darować, ale wezmę ze sobą buteleczkę na drogę... Bez pokrzepienia sił można się zmęczyć i łatwo zlecieć z osła...

— Ach, niech pan do spokój... Pan i tak już jest pijany!

— Ja? Ja pijany? Zupełnie nie jestem pijany!... Z czego pani wnosi, że jestem pijany. Pewno się pani zdaje dlatego, że tutaj w ogrodzie jest wiatr i drzewa się kiwają... Jedziemy, paniusiu!...

Konurin wstał z za stołu, lecz zachwiał się na nogach. Głafira Siemionowna zauważyła to natychmiast.

— Ach Iwan Kondratjicz, pan się zatacza!... — rzekła.

— Potknąłem się w samej rzeczy troszeczkę, ale może pani być spokojna, na ośle będę siedział jak przyklejony. Siedzieć mogę znakomicie. Żeby tylko osieł nie potknął się gdzieś... Jedziemy, paniusiu! Komenzi, madam! — wyciągnął ramię ku Głafirze Siemionownie.

— Nie, nie! Ja pójdę sama! Niech pan idzie sobie pod rękę z butelką!

Głafira Siemionowna z Konurinem zeszli ze skalistego tarasu ku grupie poganiaczy osłów. Odprowadza. ich kontroler. Mikołaj Iwanowicz pozostał na górze i kiwał im ręką. Wybrany przez kontrolera poganiacz wyciągnął ku Głafirze Siemionownie rękę i mruczał coś po włosku, wyszczerzając zęby. Głafira Siemionowna nie rozumiała, o co mu chodzi.

— Niech mu pani postawi nogę na dłoni! W ten sposób chce pomódz pani wsiąść na osła! — tłumaczył kontroler.

— Dobrze, dobrze! Niech pan mu tylko powie, żeby Broń Boże nie chwytał mnie za nogę! Okropnie boję się łaskotek.

— Ostrożnie, Głasza! Ostrożnie! — krzyczał Mikołaj Iwanowicz z góry, z ogrodu.

— Aj! Aj! — piszczała Głafira Siemionowna, lecz przy pomocy poganiacza wkrótce znalazła się na siodle.

Konurina kilku poganiaczy musiało ładować na osła. Przeszkadzała mu strasznie butelka z winem, z którą nie wiedział, co zrobić.

— Niech pan odda butelkę poganiaczowi! Będzie niósł ją za panem! — doradził mu kontroler.

— Wypije, drań, po drodze... Masz, ale nie wypij, mordo italjańska! Łeb ci urwę!

Poganiacz wziął butelkę i krzyknął. Osły pobiegły truchtem.

— Nie tak prędko! Nie tak prędko! — piszczała Głafira Siemionowna.

Konurin wrzeszczał:



— Czujesz tam w Petersburgu, małżonko moja, że mąż twój, Iwan Kondratjew, na ośle jedzie?

Po kwadransie wycieczkowicze wrócili i Głafira Siemionowna weszła na taras z zaczerwienionem z gniewu obliczem.

— Nie można było zupełnie jeździć... Konurin pijany jak bela!... Trzy razy spadł z osła...

Konurin szedł z tyłu. Na szyi miał kilka sznurków korali, które kupił po drodze.

— A zaraz pijany... Trzy razy spadł z osła... — bełkotał, chwiejąc się na nogach. — Zaledwie jeden raz spadłem i wyciągnąłem się jak długi na drodze, a raz jeden ześlizgnąłem się z siodła, ale to z winy osła...

Statek powinien był odbić od wyspy o godzinie wpół do czwartej i do odejścia pozostawała jeszcze cała godzina. Kapitan statku objadłszy się należycie przy śniadaniu, pił teraz kawę z koniakiem i podejrzliwie spoglądał na daleki szczyt Wezuwjusza. Nad szczytem ukazała się ciemna chmura i rosła z każdą chwilą. Zawołał do siebie kontrolera, pokazał mu

palcem na chmurę i coś powiedział. Kontroler ukłonił się, podbiegł do Iwanowych i rzekł:

— Proszę mi darować, ale muszę udać się na statek. Kapitan obawia się, żebyśmy nie mieli „sztormu" w drodze powrotnej i posyła mnie na statek, żebym uprzedził o tem załogę.

— Sztormu? Co to znaczy? — zadała pytanie Głafira Siemionowna.

— Może być silny wiatr i pokiwa nas troszeczkę. Widzicie państwo tę chmurę nad Wezuwjuszem? Wygląda bardzo podejrzanie.

Głafira Siemionowna zbladła.

— Może będzie burza? — zapytała.

— Burza nie burza, ale może nas pokiwać. Czego się pani boi? Niech się pani nie obawia. Może zdążymy przyjechać bez burzy...

Kontroler uścisnął wszystkim ręce i pobiegł do łódki.

Tymczasem chmura nad Wezuwjuszem stawała się coraz większa. Powoli zupełnie zakryła słońce. Niebieska woda w morzu nagle nabrała szarego koloru. Na powierzchni wody ukazały się zmarszczki. Kapitan wstał nagle od stołu. W tej samej chwili zerwał się silny wiatr.

— Mikołaj Iwanycz, możebyśmy lepiej zostali na Kapri i zanocowali w hotelu? — zwróciła się Głafira Siemionowna do męża.

— Także coś! Przecież tutaj na tym Kapri można umrzeć z nudów. Pozatem mamy przecież bilety na dzisiejszy wieczór do teatru Sankarlo? Nie, nie! Lepiej jedźmy do Neapolu!

— A jak będzie burza? Okropnie boję się burzy.

— A widzisz! A mówiłem ci, że nie trzeba było jechać na ten głupi Kapri! Cośmy tu widzieli? Lazurowa grota i wszystko.

— Czy to mało? Przecież ta lazurowa grota, to prawdziwy cud! Oprócz tego nakupiłam sobie na statku bardzo tanio grzebieni szyldkretowych, kamei... A gałąź z pomarańczami?

— Jeź...dziliśmy na osłach... — bełkotał pijany Konurin.

— O osłach lepiej niech pan milczy! Całą zabawę mi pan zepsuł! — odezwała się gniewnie Głafira Siemionowna.

— To nie ja, kochana paniusiu! To osły były winne...

Tymczasem chmura rozciągnęła się już i nad wyspą. Zaczęły padać pierwsze krople deszczu. Iwanowowie i Konurin zapłacili rachunek i spieszyli na statek.

— Boże! Boże!... Co to będzie? Strasznie boję się burzy... — szeptała Głafira Siemionowna.

— Kiedy znaleźli się na przystani, statek zaczął przeraźliwie gwizdać. Pasażerowie tłumnie dążyli do łódek, aby jak najprędzej znaleźć się na statku. Konurin kupił na przystani kilka gałęzi pomarańczowych z owocami i siedział w łódce, niby w lesie pomarańczowym. Sznury korali, kupione od

przekupniów na wyspie i od chłopców na przystani, wisiały już mu nietylko na szyi, ale i na guzikach marynarki, na ramieniu. Koralami miał również owinięty kapelusz.

— Czego pan udaje jakiegoś błazna cyrkowego? Co za maskaradę urządza pan tutaj? Obwiesił się pan koralami, jak jakiś warjat! Niech pan to zdejmie! — krzyczała na niego Głafira Siemionowna.

— Pro...dukty miejscowe!... Prosiętom swoim do Petersburga zawiozę w pr...ezencie! — odpowiedział, jąkając się Konurin.

Fale porządnie kiwały łódką. Mikołaj Iwanowicz siedział blady i przygryzał wargi.

— Jeżeli kto boi się wody, nie powinien wcale jeździć na Kapri! — odezwał się.

Deszcz zaczął padać na dobre i kiedy podjechano do statku, lało jak z cebra. Wiatr również wzmocnił się. Głafira Siemionowna weszła na statek blada, z drżącemi wargami i szeptała pocichu:

— Boże! Boże! Co to będzie, jak się zacznie naprawdę burza?...

Na statku stał Anglik w kratkowanem ubraniu, pokazywał wszystkim na swój barometr i kiwał znacząco głową.

LXX.

Statek podniósł kotwicę i popłynął do Sorento, gdzie miano wysadzić kilku pasażerów. Wiatr i deszcz nie ustawały ani na chwilę. Kołysanie statku wzmagało się stale. Pasażerowie zebrali się w kajucie i siedzieli bez humoru, spoglądając jeden na drugiego. Niektórzy starali się nadrabiać miną, przechodzili z miejsca na miejsce, czepiając się ławek, stołów i ścian. Damy siedziały blade i zmęczone jakby, niektóre wysysały cytryny. Służba z bufetu biegała z imbrykami i butelkami i proponowała kawę albo koniak. Anglicy pili konia przez słomkę. Opalony chłopiec z bufetu znów podbiegł do Mikołaja Iwanowicza i Konurina i zawołał:

— Riuss.. Koniak?... Wkusne (smaczne)?...

— Ach ty diable! Już się nauczyłeś mówić po rosyjsku?... — rzekł Konurin. — Kto cię nauczył? Może kontroler? Dawaj nam dwa kieliszki koniaku!

— Nie pijcie, nie pijcie! Niech pan nie pije, Iwan Kondratjicz, pan już i tak jest pijany! — mówiła półgłosem Głafira Siemionowna.

Blada jak płótno siedziała w kąciku kajuty i trzymała przy wargach obraną pomarańczę, wysysając z niej kroplę po kropli.

— Mamusiu, my tak od burzy chcemy się zabezpieczyć... Mówią, że w czasie burzy koniak doskonale robi! — odpowiedział Konurin. — Widzi pani, Anglicy piją, a oni muszą znać się na tem, bo to jest nacja morskich handlarzy.

— Anglicy są trzeźwi! Anglicy zupełnie co innego...

— Wypij, Głasza, chociaż kafy trochę! — zaproponował Mikołaj Iwanowicz.

— Daj mi spokój! I tak mnie mdli...

— Mówią, że kafa pomaga na mdłości.

— Proszę cię, nie mów ze mną, nie drażnij mnie! Prosiłam cię, żebyś został na Kapri do jutra, nie chciałeś. Pokusili cię djabli, żeby w taką burzę jechać. Ładny mąż! Podły człowiek tak postępuje z żoną...

— Co to za burza, kochanie! Pamiętam, jak jechaliśmy kiedyś jeziorem Ładoskiem...

— Milcz, bo rzucę w ciebie pomarańczą.

— Wobec angielskiej nacji chcesz takie bombardowanie urządzać? Miersi...

— Może się pani położy!? Niech pani się położy na kanapce, może będzie pani lepiej! — poradził Konurin.

— Niech pan odejdzie ode mnie, nie mogę patrzeć na pana w tem przybraniu z korali. Jakaś idjotyczna maskarada! Obwiesił się pan sznurami korali jak błazen jakiś... Wstydziłby się pan obcych ludzi.

Zamachnęła się nawet na Konurina. Konurin odskoczył i mruknął:

— Czegoż mam się wstydzić? Przecież to za moje własne pieniądze...

Mikołaj Iwanowicz pociągnął go za rękaw i szepnął:

— Daj jej spokój... Teraz już nie dasz jej rady... Jak przygryzie wędzidło, to... Nerwy...

Głafira Siemionowna jęczała:

— Oh, oh... A ten kontroler, a ten kapitan, to banda opryszków... Nie mógł zostać na Kapri, przeczekać burzę...

Zatrzymano się w Sorento. Wiatr wzmocnił się do tego stopnia, że ledwie można było wysadzić pasażerów do łódek, które skakały jak szalone na fali.

Od Sorento droga szła wprost do Neapolu. Trzeba było tylko przeciąć zatokę. Falowanie morza wzmocniło się. Dwie panie zachorowały na morską chorobę. Usługa zaczęła biebać z miskami i wiadrami z wodą. Głafira Siemionowna jęczała coraz głośniej. Od czasu do czasu z ust jej wydobywały się narzekania.

— Poczekaj! Odpłacę ci za to, nauczę cię, co to znaczy nie słuchać żony.

Konurin stał pośrodku kajuty, objąwszy obiema rękami kolumnę i mruczał:

— A to historja... Poczęstowali nas pięknie huśtawką... Ładnie z nami postępują! Boże! Co to będzie? Czyżby naprawdę przyszła już ostatnia moja godzina?... Ginąć bez odpuszczenia grzechów... Gdzie ten chłopak arabski? Możeby jeszcze przynajmniej połknąć kieliszek koniaku? Może ostatni... Ej, koniak!



Obwieszony cały sznurami korali i muszelkami wyglądał tak komicznie, że każdy, spojrzawszy nań, musiałby wybuchnąć śmiechem, gdyby w tej chwili mógł się wogóle ktoś śmiać. Kołysanie statku dawało się wszystkim we znaki.

— Koniak! Gdzie jesteś, małpo arabska! — krzyknął Konurin po raz drugi, chciał odejść od kolumny, lecz nie utrzymał się na nogach i rozciągnął się jak długi na podłodze. Mikołaj Iwanowicz pobiegł pomagać mu, lecz też upadł na niego. Statek kołysało w tej chwili tak mocno, że od czasu do czasu słychać było, jak skrzypią ściany w kajucie.

Głafira Siemionowna jęczała w dalszym ciągu:

— Co za podły człowiek wymyślił statki?... Och, już nie mogę, już nie mogę! — jęknęła głośniej i runęła na kanapę.

Mikołaj Iwanowicz podniósł się z podłogi i pobiegł do żony z pomocą, lecz ta zrzuciła mu ręką kapelusz z głowy. W tej chwili zjawił się w kajucie kontroler.

— A to burza! — zwrócił się do niego Mikołaj Iwanowicz. — Czy jest jakie niebezpieczeństwo?

— Głupstwo! Co za niebezpieczeństwo może być tutaj! Poprostu pokiwa nas trochę i już.

— Za takie głupstwo chętnie bym wydrapała panu oczy... Panu i pańskiemu kapitanowi... Podły człowiek... Nie mógł przeczekać burzę na Kapri? — jęczała Głafira Siemionowna.

— Szanowna pani, nas obowiązują terminy. A pozatem, czy to jest burza? To nie burza.

— Pan pewnie chciałby, żeby okręt przewrócił się do góry nogami? Niech się pan wstydzi! Jak pan śmie coś podobnego mówić?... Jeszcze pan mówi, że pan jest Rosjanin... Chrześcijanin prawosławny... Pewno pan jest zwyczajnym żydem i dlatego kręci się tu pan we Włoszech!... Oh, już nie mogę, już nie mogę! Umieram!...

— Niech pani nie leży na kanapie... Niech pani lepiej wstanie... Trzeba walczyć z chorobą... Gorzej jest leżeć! — doradzał kontroler.

Ale Głafira Siemionowna dostała w tej chwili ataku morskiej choroby. Dwuch Anglików, jeden siwy, a drugi młody blondyn wybiegli z kajuty, trzymając przy ustach chustki od nosa i zaczęli pospiesznie wchodzić po schodach.

— Oho! Już i mężczyźni zaczęli chorować! — mruczał Konurin. — Co to będzie? Pewno już nie zobaczę mojej małżonki i kochanego Petersburga! Słuchaj rodaku!... Macie pęcherze do pływania? Przywiązałbym sobie pęcherze pod pachy na wszelki wypadek! — zwrócił się do kontrolera.

— Po co?

— A co będzie, jak się przewrócimy razem ze statkiem do góry nogami? Ja nie umiem pływać...

— Niech się pan uspokoi... Wszystko będzie dobrze. Nic się nikomu nie stanie.

— Wszystko będzie dobrze! Niech pana djabli wezmą... Mówi pan, że wszystko będzie dobrze, kiedy już wszyscy chorują!... Pan możesz sobie tak łatwo mówić, bo cały twój majątek składa się z trzech grzebieni szyldkretowych i paru mord kamejskich z muszli, a ja mam przy sobie razem z wekslami przeszło cztery tysiące rubli! Rozumiesz? Dawaj pęcherze!

— Pęcherzy nie mamy. Mamy koła ratunkowe... Może pan wziąć koło ratunkowe... ale to do niczego niepodobne. Niech pan lepiej wyjdzie na powietrze, na pokład! Tam na górze pada coprawda deszcz, ale zawsze lepiej, niż tutaj, w dusznej kajucie... Można ukryć się pod mostkiem kapitańskim.

Mikołaj Iwanowicz próbował wyjść z kajuty, lecz statek w tej chwili tak się przechylił, że poleciał na ścianę i po drodze wpadł na jakąś leżącą na kanapie damę. Kontroler schwycił go pod ramię i pociągnął na górę.

— Bandyci... Krwiopijcy... Rozbójnicy... Hycle... Nie mogli przeczekać burzy i zawieźli nas na pewną śmierć! — jęczała Głafira Siemionowna!

Przytrzymując się ławek i stołów wyszedł na pokład i Konurin. Ujrzawszy koło ratunkowe, wiszące na maszcie, zdjął je i zaczął przywiązywać sobie do brzucha.



— Ach żonko moja, żonko ukochana. Ach Taniusza moja! Czy przeczuwasz, kochanie, tam, w Petersburgu, w jakiej katastrofie się w tej chwili znajduję? — wzdychał i zwracając się do kontrolera zapytał. — Czy mogę teraz wysłać telegram do żony?

— Skąd na statku może być telegraf?

— Prawda, prawda... Boże miłościwy! Nawet nie mogę uprzedzić żony, że nadszedł mój koniec. No, kiedy niema telegrafu, to niech mi dadzą koniaku.

— To można!

Kontroler wydał rozkaz i zjawił się chłopiec z koniakiem. Mikołaj Iwanowicz przygryzał nerwowo wargi i też przywiązał sobie do brzucha koło ratunkowe.

— Poco pan to robi? Zapewniam pana, że niema najmniejszego niebezpieczeństwa! — uspakajał go kontroler.

— Nic nie szkodzi... Zawsze będzie lepiej... Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Zaraz zaniosę koło ratunkowe i dla żony.

Zjawienie się Mikołaja Iwanowicza w kajucie z kołem ratunkowem na brzuchu i z drugiem kołem w ręku wywołało panikę wśród pasażerów. Anglicy z przestrachem spojrzeli po sobie i zaczęli się pytać Mikołaja Iwanowicza po angielsku, lecz ten nic nie rozumiał.

— Co takiego? Giniemy? Boże! Przebacz mi wszystkie grzechy moje! — zaczęła szlochać Głafira Siemionowna. Ujrzawszy męża, chciała wstać z ławki i jak długa runęła na podłogę.

— Zaczęły płakać i inne panie, cierpiące na morską chorobę, próbowały podnieść się z kanapy, lecz natychmiast padały z powrotem. Kto miał trochę sił, starał się wyjść na pokład, zaczepiając po drodze o walizki, laski, parasole... Służba, która dotąd pielęgnowała chorych, straciła głowę i nie wiedziała zupełnie, o co chodzi. Mikołaj Iwanowicz starał się podnieść żonę z podłogi. Koło Głafiry Siemionowny jakaś kobieta w czarnem ubraniu dostała histerycznego ataku.

LXXI.

O panice w kajucie zawiadomiono kapitana okrętu. Przybiegł on do kajuty w gumowem palcie, cały mokry i starał się uspokoić pasażerów. Mikołajowi Iwanowiczowi i Konurinowi siłą odebrano koła ratunkowe. Kapitan długo mówił coś doń po włosku, groził palcem, pokazywał na niebo, lecz naturalnie ani Mikołaj Iwanowicz ani Konurin nic nie rozumieli. Głafira Siemionowna w czasie przemowy kapitana krzyczała na niego po rosyjsku:

— Bandyta, rozbójnik, łotr! Powinni wieszać na szubienicy takich kapitanów, którzy prowadzą pasażerów na pewną śmierć...

Na szczęście kapitan też nic nie rozumiał, jeszcze raz pokazał palcem na niebo i z powagą opuścił kajutę.

Kontroler z pomocą służby doprowadzili do przytomności damę w czarnem ubraniu, która dostała ataku histerycznego. Dawał jej do wąchania amoniak i poił ją wodą sodową z koniakiem. Około damy w czarnem ubraniu, która okazała się Niemką, uwijał się również i Anglik w ubraniu kratkowanem i łamanym językiem niemieckim starał się wytłumaczyć jej, że nie powinna rozpinać bluzki i gorsetu, a przeciwnie zapiąć się i nawet przepasać mocno paskiem, gdyż to tylko pomaga na morską chorobę. Mówiąc to, zaczął demonstrować, jak to trzeba zrobić: odpiął od lornetki rzemień, przepasał się mocno, lecz nagle zatrzymał się, wybałuszył oczy, prędko podniósł do ust chustkę od nosa i chwiejnym krokiem zaczął dążyć w kierunku schodów, aby wydostać się na pokład. Za chwilę też dostał ataku morskiej choroby.

— Głasza, kochanie, pocierp jeszcze troszkę! Za chwilę będziemy już w Neapolu! Rodaku! Czy prędko będziemy w Neapolu? — zwrócił się do kontrolera.

— Według rozkładu powinniśmy być w Neapolu za trzy kwadranse, ale ponieważ mamy wiatr przeciwny, będziemy dopiero pewno za godzinę.

— Jeszcze cała godzina tych męczarń! — zaczęła znów jęczeć Głafira Siemionowna. — Ach hycle, rozbójnicy, bandyci!

— Łaskawa pani! Niech pani zbierze siły i wyjdzie na pokład. Jestem pewien, że wiatr chłodny i bryzgi wody oświeżą panią! — pobiegł do Grafiry Siemionowny kontroler, opuszczając damę w czarnem ubraniu. — Proszę mi podać rękę i oprzeć się na mnie. Zaprowadzę panią na powietrze.

— Odejdź, oprawco! Nie zbliżaj się do mnie! — piszczała Głafira Siemionowna, leżąc na kanapie i kopnęła nogą zbliżającego się kontrolera.

Tymczasem wiatr, zamiast uspakajać się, wzmacniał się z minuty na minutę i statek kołysał się coraz rozpaczliwiej.

Po pół godzinie zjawił się w kajucie Konurin. Głowę miał przewiązaną chustką od nosa.

— Brzeg! Brzeg! — wykrzykiwał radośnie. — Widać już Neapol.

W tej chwili statek zakołysał się tak silnie, że Konurin upadł, jak długi, a podniósłszy się na kolana, znalazł się przed siedzącym na fotelu z cytryną w ręku starym Anglikiem.

— Boże! Statek omało się nie przewraca do góry nogami, a on figle jakieś stroi! — wzruszył ramionami Mikołaj Iwanowicz, spojrzawszy na głowę Konurina. — Pocoś tę chustkę zawiązał na głowie?

— Kapelusz poleciał z wiatrem!.. Wychyliłem się za burtę a kapelusz fiuut! Teraz rekin jakiś napewno spaceruje po morzu w moim kapeluszu... Niech się pani uspokoi, mamusiu, Głafira Siemionowna... Niech się pani uspokoi... Zaraz będzie Neapol... zaraz dojeżdżamy... — zwrócił się Konurin do Głafiry Siemionowny.



Anglik w ubraniu w kratki wrócił do kajuty blady, z zsiniałemi wargami, z osowiałemi oczami. Siadł na ławce, zaczął badać sobie puls na ręku, po chwili rozpiął kamizelkę i koszulę i włożył sobie termometr pod pachę... Po jakimś czasie wydobył termometr, popatrzył nań i zaczął zapisywać coś do notesu.

Minęło znów pół godziny i statek zaczął zwalniać biegu. Koła uderzały wolniej w wodę i wreszcie zupełnie zatrzymały się, chociaż kołysanie okrętu nie zmniejszyło się wcale. Śród wycia wiatru i szumu fal z pokładu dolatywały słowa komendy kapitana i okrzyki służby, biegającej po pokładzie. Wkrótce rozległ się szczęk łańcuchów, odgłos upadku czegoś ciężkiego, od czego drgnął cały statek. Zarzucono kotwicę. Statek był już w przystani, lecz w dalszym ciągu kołysał się mocno na falach.

Konurin, który był wybiegł na chwilę na pokład, wrócił znów do kajuty i obwieścił:

— Przyjechaliśmy... Statek już stoi... Zaraz będą nas spuszczać do łódek.

— Chwała Bogu! — jęczała Głafira Siemionowna i zebrawszy wszystkie siły, podniosła się z kanapy i zaczęła doprowadzać do porządku ubranie.

Zakrzątali się również Anglicy i zaczęli rozwijać pledy, aby okryć się przed lejącym na dworze deszczem. Kilku z nich wybiegło na górę, lecz za chwilę wrócili i zaczęli tłumaczyć coś pozostałym, wymachując rękami. Anglik w szkockiem ubraniu, wysłuchawszy ich wyjaśnień, popatrzał na barometr, pokiwał głową i rzekł kilka słów po angielsku. Mikołaj Iwanowicz i Konurin wzięli pod ramiona Głafirę Siemionownę i poprowadzili ją ku schodom, lecz w tej samej chwili do kajuty wpadł kontroler i zatrzymał ich:

— Nie można schodzić ze statku... Wracajcie państwo!...

— Dlaczego? Co takiego? Dlaczego? — zasypali go pytaniami Iwanowicz i Konurin.

Mikołaj Iwanowicz podniósł głos i zaczął wymyślać zarządzającemu hotelem, lecz Konurin powstrzymał go i zaczął mu tłumaczyć:

— Pluj... Kichaj na ich rachunek... Pokaż im swoją pogardę... Niech zdzierają... Żeby tylko jak najprędzej wydostać się z tej przeklętej Italji. Niewiele już kataryniarze z nas zedrą. Została nam tylko Wenecja. Prawda, tylko Wenecja, a potem jedziemy do domu, do naszej prawosławnej Rosji? — zwrócił się do Głafiry Siemionowny.

— Do Rosji, do Rosji! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Chwała ci Panie Boże!

I Konurin przeżegnał się pobożnie.

Pociąg, wiozący Iwanowowych i Konurina do Wenecji, zatrzymywał się na dłuższe przystanki we Florencji i innych miastach, lecz Konurin prawie nie wychodził z wagonu. Nie wychodził nawet do bufetów na stacjach, karmił się bułkami z kiełbasą, serem, baraniną i zapijał to wszystko winem, Chianti, które kupował u roznosicielek na peronach kolejowych. Nie chciał się nawet umyć na drugi dzień, chociaż Głafira Siemionowna bardzo go do tego namawiała.

Po drodze było dużo ciekawych widoków. Iwanowowie co chwila zwracali jego uwagę na to i owo, lecz Konurin ciągle odnosił się do wszystkiego apatycznie i odpowiadał:

— Co mnie to wszystko obchodzi? Nawet patrzeć mi się na to nie chce! Aby tylko jak najprędzej znaleźć się w domu!

Zaczął wyliczać już nie tylko dni, ale i godziny, kiedy się znajdzie w Petersburgu. Ciągle obliczał coś na palcach i mówił:

— Dzisiaj mamy piątek, jutro sobota... Pani mówi, że jutro rano będziemy w Wenecji? — pytał.

— Tak, tak! — odpowiadała Głafira Siemionowna.

— O której godzinie?

— Mówią, że wcześnie, o godzinie 6 rano.

— O godzinie 6 rano będziemy w Wenecji. Sobota i niedziela — na oglądanie Wenecji... W niedzielę wieczorem zatem wyjedziemy z Wenecji do Petersburga?

— Ach, Iwan Kondratjicz, czy to można powiedzieć napewno... Jeżeli nam się Wenecja bardzo podoba...

— Za pozwoleniem... Co się może państwu podobać w Wenecji? Miasto jak miasto. Ci sami makaroniarze, ci sami kataryniarze, ci sami pomarańczarze...

— Wprost przeciwnie... Wenecja jest niezwykłem miastem, zupełnie niepodobnem do innych miast.

— Przecież, mamusiu, nie widziała pani tej Wenecji?

— Nie widziałam, lecz znam dobrze to miasto z obrazków i z opisów. Takiego drugiego miasta, jak Wenecja, nie znajdzie pan na całym świecie... Przedewszystkiem całe miasto stoi na wodzie.

— W wodzie? Hm... Czy mało pani miała wody w Nea-

polu? Zdaje mi się, że Josyć dała się pani we znaki i będzie ją pani pamiętała do nowych żniw.

— Ach Wenecja zupełnie co innego. Wenecja stoi na kanałach i tam nie może być żadnej burzy. Takie kanały, jak u nas naprzykład w Petersburgu. Ale w Wenecji te kanały liczą się na tysiące.

— Co też pani mówi? Zdaje mi się, że pani przesadza...

— Mówię panu, tysiące! A wie pan, że w Wenecji niema zupełnie dorożkarzy? Zamiast dorożek — łódki!

— Jakto? Dorożkarzy niema? W to za nic na świecie nie uwierzę!

— Zapewniam pana, że niema zupełnie dorożkarzy. Tam wszyscy jeżdżą łódkami... Gondolami... Wychodzisz sobie z domu, a dom stoi nad kanałem... Nawet wybrzeża niema... Wprost z bramy wsiadasz do łódki i jedziesz, gdzie ci się podoba.

— A jeżeli chcę jechać do teatru, albo do restauracji... albo do cerkwi?...

— I do teatru i do restauracji może pan popłynąć ślicznie w łódce, wprost do wejścia. Chce pan do cerkwi, — popłynie pan wprost do samych schodów. Schody z kościoła prowadzą wprost do wody.

Konurin uśmiechnął się i rzekł:

— Zdaje mi się, że pani ma mnie za idjotę?

— Zobaczy pan sam! Tam zupełnie niema ziemi!

— Za pozwoleniem... A na czem stoją domy?

— Na wodzie... Wprost występują z wody! Czego się pan śmieje? Przecież widziałam to na obrazkach. Dziwię się, że pan nie widział. Obrazków z Wenecją jest dużo w Petersburgu. Są olejne obrazy, są rysunki, oprócz tego można zobaczyć Wenecję w ilustracjach, w książkach.

— Czy to kupiecka rzecz oglądać jakieś ilustracje? Nasza sprawa: handel i nic więcej. Po całych dniach w sklepie... Nawet książek zupełnie nie czytamy.

— A ja widziałem Wenecję na obrazkach! Nawet wiele razy widziałem! — pochwalił się Mikołaj Iwanowicz. — Ty, Konurin, nie sprzeczaj się z żoną. Ona mówi prawdę... W Wenecji niema zupełnie ziemi, a tylko woda i woda...

— Miasto bez ziemi?... Trudno uwierzyć! — kręcił głową Konurin. — A gdzie oni chowają swoich umarlaków, jak nie mają ziemi?

— Gdzie chowają? — zapytał Mikołaj Iwanowicz i stracił rezon. — Głasza! Gdzie w samej rzeczy chowają zmarłych w tej Wenecji? — zwrócił się do żony.

— Widocznie na łódkach odwożą do jakiegoś innego miasta i tam chowają, odpowiedziała Głafira Siemionowna i dodała: — Wenecja właśnie dzięki tym kanałom jest najbardziej interesującem miastem na świecie. Woda, woda i woda, zamiast ulic.

— I trawy niema, i ogrodów niema? — dopytywał się Konurin.

— Niema, niema i niema!

— A niech cię... Trzeba będzie do żony list napisać, że przyjechaliśmy do miasta bez ziemi. Zresztą poco pisać, przecież i tak wkrótce się zobaczymy. W sobotę i w niedzielę będziemy w tej Wenecji... — zaczął znów wyliczać Konurin. — W niedzielę wyjedziemy z niej... Ile dni drogi od Wenecji do Petersburga? — zapytał Głafirę Siemionownę.

— Pewno ze cztery dni. Ale musimy chociaż przez dzień odpocząć w Wiedniu.

— Paniusiu, kochanie! Jedźmy do domu bez odpoczynku! — zaczął błagać Konurin. — Co za odpoczynek w tej zagranicy. W wagonie odpoczniemy! W wagonie nawet lepiej... Siedzi się spokojnie, miękko...

— Koniecznie musimy pokazać ci Wiedeń! — wtrącił się Mikołaj Iwanowicz. — Myśmy już widzieli Wiedeń podczas naszej pierwszej podróży do Paryża, więc i ty musisz zobaczyć.

— Nie potrzebuję żadnego Wiednia... Niech go wszyscy djabli wezmą! Zlitujcie się, mam przy sobie weksle... W przyszłym tygodniu nadchodzi termin, mam odebrać pieniądze... Za żadne skarby! Słyszysz, Mikołaj Iwanow, jeżeli wy zostaniecie w Wiedniu, to wsadźcie mnie do wagonu, idącego do granicy rosyjskiej... Pojadę sam... Będę po drodze rozmawiał rękami i nogami, ale jakoś dojadę. Poco mi Wiedeń? Niech się zapadnie ten cały Wiedeń. Do żony chcę jechać, rozumiecie, do żony! Do Petersburga! Co tam żonka moja teraz porabia?

— Co ma porabiać... Herbatę pije! — przerwała mu Głafira Siemionowna i uśmiechnęła się.

— A skąd pani wie? — zapytał Konurin i spojrzawszy na zegarek, dodał: — A może pani ma rację. Prawdopodobnie pije teraz herbatę... Od Wenecji do Petersburga, mówi pani, cztery dni... Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek... W czwartek będę siedział z żoną przy samowarze! Hura! Za sześć dni będę w domu!

— Czego pan krzyczy? Niech się pan ludzi wstydzi! Przecież nie sami siedzimy w przedziale! — powściągała Konurina Głafira Siemionowna. — Niech pan spojrzy! Sąsiadka-Włoszka, która siedzi koło pana, przeraziła się!

— Pluję na sąsiadki! Co mnie obchodzi jakaś sąsiadka-makaroniarka? Mało od nas wyciągnęli pieniędzy w czasie tych naszych pielgrzymek po Italji? Paniusiu kochana! Kataryniarko, moja kochana! Za sześć dni będę u żony! — przysunął się Konurin do sąsiadki-Włoszki i z radości klasnął w dłonie przed samym jej nosem tak, że przerażona kobieta, nie wiedząc o co chodzi, pomyślała, że ma z warjatem do czynienia i odsunęła się od niego aż w kąt wagonu.



LXXIII.

Obudziwszy się na drugi dzień rano w wagonie, Głafira Siemionowna spojrzała w okno i zdziwiona przekonała się, że pociąg idzie po wodzie. Rzuciła się do okna po przeciwnej stronie wagonu, lecz i z tej strony ujrzała przed sobą powierzchnię wody. Pociąg biegł po wąskim przesmyku ziemi, na którym były położone szyny.

— Boże! Przecież to już Wenecja! — zawołała i zaczęła budzić męża i Konurina, śpiących twardym snem. — Wstawajcie! Nie można teraz spać! Przyjechaliśmy do Wenecji! — powtarzała: — Pociąg idzie po wodzie!

Mikołaj Iwanowicz i Konurin zerwali się z ławek, przetarli oczy i też rzucili się do okien.

— Ojcowie niebiescy! Naprawdę woda!? A niech tę Wenecję!... — dziwił się Konurin i po chwili zaczął śpiewnym tonem:... — Skończona droga daleka. Widzę już kraj rodzinny...

— Poczekaj, braciszku! Do rodzinnego kraju jeszcze daleko! — zawołał Mikołaj Iwanowicz.

— W każdym bądź razie będzie to już ostatnia stacja na ziemi włoskiej. Kochanie, Głafira Siemionowna, niech się pani aby nie zasiedzi długo w tej Wenecji! Błagam panią, na Boga! — prosił Konurin.

— Nie, nie! Obejrzymy miasto i to, co w niem jest ciekawego i jazda dalej. Może pan być pewny, że po Kapri i naszej przejażdżce po morzu na okręcie, nie wyciągnie mnie nikt na morze. Mam dosyć morza na całe życie. Będziemy jeździć tylko kanałami.

— Doskonale... Bardzo dobrze... Prześlicznie... Ale naprawdę, woda na prawo, woda na lewo... — dziwił się Konurin, patrząc przez okna i dodał: — A niech was... Gdzie tu ludzie mieszkają?

— Przyjedziemy pewnie zaraz na jakąś wyspę, zobaczymy ludzi...

— Dróżnika nawet niema po drodze. Nie widzę budek dróżniczych...

— A nie widział pan łódek z maleńkiemi flagami? Prawdopodobnie na tych łódkach siedzą dróżnicy i pilnują toru. Gondoljer! Patrzcie, gondoljer! Widzicie, gondoljer płynie w gondoli! — zawołała Głafira Siemionowna, pokazując palcem. — Poznałam go z obrazków. Takich samych widziałam na obrazkach.

W samej rzeczy w pobliżu tamy kolejowej ukazała się typowa wenecka czarna gondola z wysokim stalowym nosem i z gondoljerem, stojącym z tyłu i wiosłującym jednem wielkiem wiosłem.

— Jak się to nazywa? — zapytał Konurin.

— Gondoljer... Gondola... Widzi pan, to są właśnie ci weneccy dorożkarze, o których panu mówiłam. Oni to wożą publikę po kanałach.

— A dlaczego on stoi w łódce i tylko jednem wiosłem wiosłuje?

— Takie tutaj widocznie porządki. Nikt tutaj nie wiosłuje dwuma wiosłami. Gondoljer ma zawsze tylko jedno wiosło i zawsze stoi.

— Dziwne, dziwne... Każde miasto, każda wieś ma swoje obyczaje...

Rozległ się gwizd lokomotywy. Pociąg podjeżdżał do stacji, zwolnił bieg i oto wtoczył się na szeroki, pokryty żelazem i szkłem dworzec kolejowy. Na peronie widać było tłum publiczności, tragarzy w niebieskich kurtkach, stali żandarmi w fraczkach i trójkątnych kapeluszach. Głafira Siemionowna wychyliła się przez okno i zaczęła wołać tragarza:

— Fakino! Fakino! Isi! — krzyczała.

— A jednak mają tutaj trochę ziemi! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — Jednak dworzec ten musi stać na ziemi? A ja już myślałem, że wprost z wagonów trzeba będzie siadać do łódek...

Pociąg zatrzymał się. Do wagonu wbiegł tragarz.

— Do hotelu. To znaczy do albegro! — rozkazywała Głafira Siemionowna. — U e gondoljer?

— Gasthaus? O, ja, madame. Komensie mit... — odpowiedział tragarz łamanym językiem niemieckim, zabrał rzeczy i pociągnął ich za sobą.

— Co to? Już po niemiecku mówią? Czuć już niemiecki duch w Wenecji? — zapytał Mikołaj Iwanowicz żony.

— Tak, tak... Widocznie już zbliżamy się do granicy niemieckiej. Wczoraj patrzałam na mapie... Bardzo blisko Wenecji idzie już granica austrjacka.

Tragarz wyprowadził ich przed dworzec na wybrzeże, gdzie słychać było plusk wody. Przy schodach stało mnóstwo gondo` Widać było gondole odkryte i gondole zakryte, przy-

pominające karety. Gondoljerzy w pantoflach na bosych nogach, w wąskich, brudnych, płóciennych spodniach, bez marynarek i kamizelek, w kapeluszach z szerokiemi podartemi rondami, krzyczeli i wymachiwali rękami, wzywając do siebie pasażerów, chwytali nawet podróżnych za ręce i wciągali do swoich łódek.



Iwanowowie i Konurin wsiedli w pierwszą z brzegu gondolę i popłynęli po Canale Grande, kazawszy wieźć się do hotelu. Woda w kanale była mętna, śmierdząca, wszędzie pływały wióry, kawałki drzewa, słoma, siano. Na prawo i na lewo stały domy starożytnej architektury z osypującym się tynkiem, z oberwanemi gzymsami, z poszczerbionemi stopniami schodów marmurowych, wychodzących wprost na wodę kanału. Przed pałacami sterczały z wody pochyłe pale z przywiązanemi do nich prywatnemi gondolami. Miasto dopiero się budziło. Tu i ówdzie zaspani lokaje zamiatali schody i przedsionki, wyrzucając śmieci wprost do wody. W otwartych oknach widać było służbę kobiecą, wywieszającą przez okna prześcieradła, suknie, kołdry, nawet materace. Gondola, w której jechali małżonkowie Iwanowowie i Konurin, co chwila wyprzedzała wielkie barki, naładowane mięsem, owocami, mlekiem w blaszanych bańkach, wiezionemi na targ. Oto widać po prawej stronie targowisko jakieś, rozłożone pod żelaznemi arkadami i blaszanemi dachami. Widać było w gondolach kucharki z koszykami i czerwonemi parasolami, jadące po prowizję na targ. W pobliżu stoisk targowych można było odróżnić gołem okiem postacie brudnych przekupek, wymachujących rękami i wykrzykujących coś. W pobliżu rynku woda w kanale była jeszcze bardziej zaśmiecona i smród był jeszcze większy. Glafira Siemionowna pomimo woli zacisnęła palcami nos i rzekła:

— A to smród! Przyznam się, że zupełnie inaczej wyobrażałam sobie Wenecję!

— Mnie już w Petersburgu mówili o Wenecji: miasto bar-

dzo malownicze, ale strasznie śmierdzące! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— A ja nawet nie widzę tu nic malowniczego! — wtrącił się Konurin, wydymając pogardliwie wargi. — Zlitujcie się, co tu widzicie malowniczego? Domy — ruiny jakieś... Czy można utrzymywać domy w takim stanie? Założę się, że żaden z nich nie był odnawiany w ciągu ostatnich 25 lat. Patrzcie na ten balkon!... Parapet dawo już spoczywa na dnie kanału. Albo patrzcie na ten gzyms!... Ledwie się trzyma i napewno nie dziś, to jutro zleci i poczęstuje kogoś z przechodniów porządnie po łbie...

— Za pozwoleniem... Jak może gzyms upaść na jakiegoś przechodnia, kiedy tu nikt pieszo nie chodzi? — przerwała Konurinowi Głafira Siemionowna. — Czy pan nie widzi, że tam niema zupełnie przejścia pod domami? Nawet wąskiego trotuaru niema. Woda i woda...

Tymczasem gondoljer, stojąc w tyle gondoli i miarowo uderzając wiosłem, od czasu do czasu wskazywał pałace, które mijano i wygłaszał ich nazwy:

Maria dela Salute... Palazo Giustinian-Lolin... Palazo Foscari! — rozlegał się jego głos, lecz Iwanowowie i Konurin nie słuchali go zupełnie.

LXXIV.

W ten sposób upłynęło dobre pół godziny. Canale Grande skończył się, widać było obszerne rozlewisko laguny. Nagle Głafira Siemionowna drgnęła i zawołała:

— Pałac Dożów!... Pałac Dożów!... Oto znakomity pałac Dożów!...

— Skąd wiesz, że to pałac Dożów? — zapytał ją mąż.

— Zlituj się, poznałam go z obrazków. Zupełnie, jak na obrazku. Czyś nie widział u wujka na obrazie, który wisi w stołowym pokoju?

— Ach tak... Przypominam sobie... Teraz sam widzę, że to ten sam pałac, który wisi u wujka w stołowym pokoju. Ale nie wiedziałem, że to jest pałac Dożów... A co to są ci Doże?

— Ach, czytałam o nich bardzo dużo w różnych powieściach i romansach. I o pałacu też czytałam... Tutaj niedaleko musi być Most Westchnień, skąd dozorcy więzienni zrzucali do wody skazańców.

— Most Westchnień? Co to znaczy? — zadał pytanie Konurin.

— Ach, to dużo, dużo znaczy! Tutaj odbywały się wszystkie tajemnice inkwizycji. Kto przechodził przez ten most, ten wydawał swoje ostatnie westchnienie i nigdy już nie wracał nim za życia. Czy być może, Mikołaj Iwanycz, żebyś zapomniał o tem? Przecież dawałam ci do przeczytania ten romans? Jakto on się nazywa? Pamiętam tylko, że występuje w nim Franczeska, córka gondoljera... Oprócz tego Katarzyna Medyceuszka... Albo nie, nie Katarzyna Medyceuszka... Pamię-

tam tylko, że tej Franczesce dano do zjedzenia zatrute jabłko... Nie pamiętasz?

— Czytałem, czytałem, ale czy można wszystko spamiętać?

— Była tutaj jeszcze Rada Trzech... Ludzie w maskach na twarzy... Więźniowie... Kat-dozorca... Bardzo straszne i bardzo zajmujące... Nie rozumiem, jak mogłeś zapomnieć o Moście Westchnień?

— Przecież ty znasz moje czytanie... Wezmę książkę, położę się na kanapie i... zaraz sen... Człowiek przez cały dzień zajęty handlem... Cały dzień na nogach... Ale o tych inkwizycjach pamiętam doskonale... Zdaje mi się, że tam wyciągano żyły z ludzi, wbijano im gwoździe w podeszwy?

— Tak, tak, tak... Ale jak mogłeś zapomnieć o Moście Westchnień? A pamiętasz o tej Marji de Rohan?... Albo nie, nie Marji de Rohan... to z innego romansu... Ach, ile ja romansów o Wenecji czytałam!

— Poczekaj... Maur wenecki — to doskonale pamiętam! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— Także coś! Co ty bredzisz o jakimś maurze? Maur to zupełnie co innego. „Otello", czyli „maur wenecki", to sztuka sceniczna, a nie romans.

— Ach tak, tak... opera... Otello...

— Wcale nie opera, tylko tragedja... Pamiętasz, jak on dusi ją poduszką?

— Właśnie, właśnie... Poduszkę pamiętam doskonale. Maur wenecki.

— Patrzcie, patrzcie lwy! Słynne lwy św. Marka na słupach! — zawołała nagle Głafira Siemionowna, wskazując na kolumnę, na której szczycie stał lew skrzydlaty.

Gondola właśnie przepływała koło pałacu Dożów.

Po lewej ręce było wybrzeże Riva degli Schiavonii. Widać było spacerującą publiczność, kolorowe parasolki pań, żołnierzy z koguciemi piórami na kapeluszach, biegali chłopcy z koszyczkami na głowach, szli księża w długich czarnych płaszczach i okrągłych czarnych kapeluszach.

— Ach, jak to jest podobne do tego, co widziałam na obrazkach! — wykrzykiwała od czasu do czasu zachwycona Głafira Siemionowna. — Zupełnie tak samo, jak na obrazkach... Patrzcie, patrzcie te okręty z masztami... I ta wyspa z kościołem i wieżą... Podobne do obrazka, jak dwie krople wody. A pałac Dożów jaki podobny. To zadziwiające. Sądząc z opisów, musimy być bardzo blisko placu św. Marka.

— Acha! A więc i place są tutaj? — odezwał się Konurin. — A cóż pani mi mówiła, że w Wenecji jest tylko woda i niebo!?

— Jest plac. Największy plac na świecie. Spotkanie Franczeski z Pietro miało miejsce właśnie na placu św. Marka. Tutaj właśnie wyszpiegował ich stary ojciec i kiedy ona karmiła gołębie...

— Jaki ojciec? — zapytał Konurin.

— Nie zważaj! Ona to wszystko z romansu ci jakiegoś opowiada. I tak nic nie zrozumiesz. Nie pytaj... Ale musisz przyznać, że moja żonka jest mądra baba! Nie była w Wenecji, a wszystko wie! — mlasnął językiem Mikołaj Iwanowicz i uśmiechnął się do żony.

— Znam doskonale całą Wenecję! — chwaliła się Głafira Siemionowna. — Książki... obrazy... Wogóle jestem kobieta inteligentna, więc znam te rzeczy doskonale. O Wenecji czytałam okropnie dużo.

— A może mi pani powie, czy są tutaj konie? Płyniemy i płyniemy tą łódką, a nie widziałem jeszcze nigdzie na brzegu konia? — zapytał ponownie Konurin.

— A po co mieliby tutaj mieć konie?

— Przecież jeżeli jest wybrzeże szerokie, jeżeli jest plac, jak pani mówi, to i koński się przydał?

— Le szewal... Eskwe wuzawe isi szewal? — zwróciła się Głafira Siemionowna do gondoliera.

— Cheval... Cabalo... — mruczał stary gondolier i dodał mieszaniną języków francuskiego i niemieckiego: — Och, non madame... Pferde nicht... Cheval nicht...

— Widzicie, wcale niema tutaj koni! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Ładne miasto! — pokiwał głową Konurin. — A psy są tutaj? Czy psów może też niema?

— E szian? Szian? Wuzawe szian?

— Gondolier nie zrozumiał pytania i zaczął mruczeć coś po włosku z dodatkiem kilku słów niemieckich.

— Zapytaj go się Głasza po niemiecku. Nie widzisz, że tutaj właściwie w modzie jest język niemiecki, a nie francuski! — rzekł do żony Mikołaj Iwanowicz.

— Poczekaj... Jak po niemiecku pies? Ach prawda... Hund... Hund habenzi in Wenecja? — zapytała znów gondoliera Głafira Siemionowna.

— O, ja, madame! O ja... Da ist Hund...

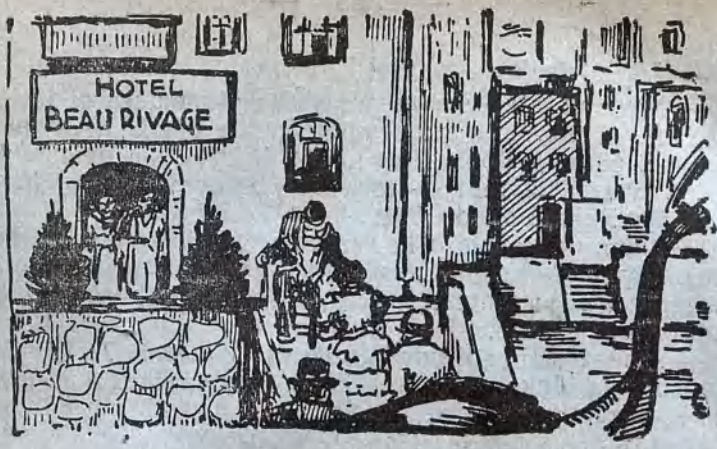
I gondolier wskazał palcem na wybrzeże, po którem biegał mały piesek.

— Chwała Bogu, że chociaż psy mają w tem mieście. Myślałem, że tu zupełnie bez zwierząt żyją! — rzekł Konurin.

Tymczasem gondola podpłynęła do kamiennego wybrzeża o kilku stopniach. Brudny obdarty staruszek w czarnym starym kapeluszu o niezwykle szerokiem rondzie przyciągnął gondolę bosakiem do brzegu i wyciągnął do Głafiry Siemionownej pomarszczoną, opaloną, bronzową rękę, chcąc pomódz jej wysiąść z łodzi. Naprzeciwko stał wysoki trzypiętrowy wąski dom z kilku balkonami i napisem: „Hotel Beau Rivage".

— Przyjechaliśmy do hotelu? — zapytał Konurin.

— Tak, tak... Wychodźcie prędzej z gondoli! — komenderowała Głafira Siemionowna.



Z hotelu wybiegł portjer w czapce z galonem i służący w białym fartuchu.

— De szambr! — mówiła Głafira Siemionowna portjerowi, żądając 2 pokoi.

— Oui, madame! — rzekł portjer po francusku, lecz natychmiast przeszedł na niemiecki język: — Zwei Zimmer... Mit drei Bette... madame...

— Zaczęła się już kochana niemiecka paplanina! Ham, ham, ham i nic więcej... Żegnaj francuska mowo! — rzekł Mikołaj Iwanowicz i chciał zapłacić gondolierowi, lecz portjer hotelowy zatrzymał go.

— Lassen Sie bitte... Das wird bezahlt... — rzekł portjer.

— Oni sami zapłacą za gondolę! Sami zapłacą! — przetłumaczyła Głafira Siemionowna, kierując się ku wejściu do hotelu.

Staruszek, który przyciągnął bosakiem gondolę do brzegu, przegrodził im drogę i zdjąwszy kapelusz, skrzywił ucieszne swą pomarańczową twarz i zaczął prosić.

— Macaroni... Moneta...

— Znowu jakiś żebrak! Nie mam drobnych. Wont! — krzyknął Mikołaj Iwanowicz, odsuwając staruszka od Głafiry Siemionowny.

Ale staruszek nie dał za wygraną i podniósł głos.

— Wont! Jak mówię ci wont, to wont! — krzyknął na niego Konurin. — Czego chcesz?

Staruszek schwycił Mikołaja Iwanowicza za rękaw palta i już krzyczał na cały głos, żądając monety na makarony.

— Ach Boże! A to się przyczepił! Co za natrętni żebracy w tej Wenecji! — rzekła Głafira Siemionowna. — Masz tutaj i odczep się...

Przeszukała kieszeń i rzuciła staruszkowi kilka miedzianych monet.

Staruszek natychmiast zmienił ton, zaczął się nisko kłaniać i dziękować po włosku szczodrej podróżniczce.

LXXV.

Kiedy Iwanowowie i Konurin w pół godziny potem opuszczali hotel, aby udać się na zwiedzanie miasta, wszyscy byli zachwyceni Wenecją.

— Jak tutaj tanio! — mówiła Głafira Siemionowna. — Za pokój z dwoma łóżkami i balkonem, wychodzącym na kanał, wzięli od nas zaledwie pięć franków, tymczasem wszędzie płaciliśmy 8—10. I nie żądają wcale, żebyśmy koniecznie jadali u nich obiady. Gdzie chcesz, możesz jeść, nikt cię nie zmusza.

— Ładne miasto, porządne miasto! Zaraz widać, że porządne miasto! — rzekł Mikołaj Iwanowicz.

— A mnie najwięcej się podoba to, że nie widzę więcej tych małp angielskich w zielonych wualach na kapeluszach! — dodał Konurin. — Znudzili mi się i obrzydli.

Towarzystwo szło wybrzeżem Riva degli Schiavoni, kierując się ku Pałacowi Dożów. Domy, które mijano, były niepozorne, z osypanym tynkiem, ale przed każdym domkiem była przystań, przed którą pływały gondole. Gondolierzy, stojąc na wybrzeżu, zdejmowali uprzejmie kapelusze i zapraszali pasażerów. Na lewo widać było wyspę Giorgio Magg or z kościołem tej samej nazwy. Po kanale pływały małe stateczki, leniwie snuły się gondole z stojącymi w tylnej ich części gondolierami, wiosłującymi jednem wiosłem. Konurin przyjrzał się uważnie godolom i zauważył:

— Patrzę i patrzę na te ich głupie łódki i nie mogę się nadziwić. Przecież to idjotyczny wynalazek! Wioślarz stoi z tyłu, ma tylko jedno wiosło, na nosie łódki — jakiś żelazny topór... Poco ten topór?

— Taki już zwyczaj tutaj, nic na to nie poradzimy. U nas w Petersburgu niektóre łódki mają z tyłu wzniesienie, coś w rodzaju żelazka do prasowania, a tutaj w Wenecji znowu mają na przodzie coś w rodzaju topora... — tłumaczył Mikołaj Iwanowicz.

Zbliżano się do Pałacu Dożów. Głafira Siemionowna zatrzymała się i znów zaczęła zachwycać pałacem. Przeszła razem z mężem i Konurinem wzdłuż wybrzeża i co chwila wydawała okrzyki:

— Zupełnie jak na obrazkach! Zupełnie!

— Cóż w tem dziwnego, że pałac jest taki, jak na obrazkach? Przecież obrazki były malowane według jego modelu! — zauważył Mikołaj Iwanowicz, któremu już sprzykrzyło się spacerowanie przed pałacem.

— Nie odzywaj się lepiej! Co ty się znasz na tem? Zupełnie się nie znasz na sztukach pięknych! — skarciła go żona i w dalszym ciągu zachwycała się. — Ale gdzie jest ten słynny Most Westchnień? Przecież Most Westchnień powinien być przy Pałacu Dożów? Czy być może, żeby ten most, na którym teraz się znajdujemy, był Mostem Westchnień?

Stali właśnie na moście, noszącym nazwę Ponte della Paglia, znajdującym się na wybrzeżu.

— Most Westchnień... A możeby zapytać się kogoś? — mruczała Głafira Siemionowna pod nosem. — Jak Most Westchnień po francusku? Ach prawda... Most — pon, westchnienie — supir...

— Supir, to zdaje mi się taki kamień, który się nosi w pierścionku? Przecież mówi się: pierścionek z supirem! — zwrócił uwagę Mikołaj Iwanowicz.

— Ach Boże, odczep się odemnie z tym swoim grubiaństwem! Wiem dobrze, że westchnienie znaczy po francusku, supir. Pon supir... U e pon supir, monsje? — zwróciła się do przechodzącego młodego oficera w wąskich szaro-liljowych spodniach.

Oficer zatrzymał się.

— Pont des Soupirs... Ponte del Sospiri... Voila, madame! — rzekł i wskazał na wiszący niedaleko nad wodą, na wysokości pierwszego piętra most, który łączył w rodzaju wiszącej galerji Pałac Dożów z leżącem po drugiej stronie kanału starożytnem więzieniem.

— Sela? — rzekła zdziwiona Głafira Siemionowna, patrząc na wskazany most.

— Oui, oui, madame... C'est le Pont des Soupirs! — kiwnął oficer, uśmiechnął się i odszedł.

Głafira Siemionowna zapomniała nawet podziękować oficerowi za objaśnienie, tak była zdziwiona nieefektownym widokiem słynnego Mostu Westchnień, o którym tyle czytała w romansach.

— I to się nazywa Most Westchnień? To jest ten most, na którym odbywały się te wszystkie straszne rzeczy?! Przyznam się, że zupełnie sobie go inaczej wyobrażałem! Przecież w tym moście niema nic strasznego. Taki sobie zwyczajny mostek i już. Mikołaj Iwanycz! Widzisz Most Westchnień?

— Widzę, widzę mamusiu... — ziewał mąż. — Do naszego Mikołajewskiego mostu, albo do Aniczkinowskiego zupełnie niepodobny.

— Mówisz, jak osieł! — oburzyła się Głafira Siemionowna i dodała: — Ach jak trudno inteligentnej kobiecie przebywać ciągle w towarzystwie prostaków!

— Dlaczego nazywasz mnie prostakiem? Przecież...

— Milcz!

Towarzystwo nasze ruszyło dalej.

Oto obszerny plac św. Marka... Wprost przed nimi słynna starożytna wieża zegarowa z dwuma bronzowymi Wulkanami, wybijającymi młotami w wielki dzwon bronzowy godziny; na prawo katedra św. Marka, oszałamiająca widza swoją architekturą i swemi marmurowemi ozdobami.

— Proszę, proszę! Placyk jak się należy! — dziwił się Konurin. — Widzi pani, jaki plac mamy przed sobą, a pani mówiła nam, że wszędzie tylko kanały, kanały, a domy i kościoły sterczą wprost z wody?

Głafira Siemionowna nie odpowiadała.

— Co to za zegar? Boże! Patrzcie, przecież na tym zegarze cyferblat pokazuje 24 godziny? Patrzcie, na cyferblacie nie 12, lecz 24 godziny... — mówił w dalszym ciągu Konurin.

— Naprawdę 24 godziny... — zgodził się Mikołaj Iwanowicz. — Głasza! Co to znaczy?

— Ach Boże! Skąd ja mogę wiedzieć?

— 24 godziny... A niech was kaczki zdziobią! Ładne miasto! Wskazówki pokazują teraz 10 godzinę. Kiedy u nich bywa osiemnasta, albo dziewiętnasta godzina, Głasza?

— Nie wiem, nie wiem! — odpowiadała niemniej zdziwiona Głafira Siemionowna.

— A przecież chwaliłaś się przed chwilą, że jesteś kobietą inteligentną! Kobieta inteligentna powinna wszystko wiedzieć!

— Naturalnie, że jestem kobietą inteligentną, ale o zegarze nic nie wiem.

— Zapytaj się... Widzisz, ilu tu ludzi wałęsa się po próżnicy!

Do podróżników naszych podbiegł bosy chłopiec z plecionym koszykiem, napełnionym jeszcze mokremi różowemi i żółtemi muszelkami.

— Frutti di Mare (owoce morskie)... — proponował, podsuwając koszyczek.



— Wont! — krzyknął na niego Konurin.

Chłopiec nie odchodził i uśmiechając się szczerząc białe zęby, natrętnie mówił coś po włosku, wreszcie wziął jedną muszelkę ,otworzył ją, oderwał wierzchnią połówkę, a z pozostałej zjadł przylepioną do niej ostrygę, smakowicie mlaskając językiem.

— Fuj! Co za świństwo źre ten chłopak! — rzekła z obrzydzeniem Głafira Siemionowna i natychmiast zwróciła

się do chłopca, wskazując na zegar: — Se orłoż... Keskese sa? Wen katr er? (Ten zegar... Co to takiego... 24 godziny...)

— Torro dell'orologia, madame! — odpowiedział chłopiec.

— Purkua non duz er (dlączego niema dwunastu godzin)? — dopytywała się Głafira Siemionowna, lecz nie mogła się niczego dowiedzieć od chłopca.

Chłopiec widząc, że nie sprzeda ostryg, poprosił o monetę na makarony.

— Weź i udław się! — rzuciła mu małą monetkę.

— Dwadzieścia cztery godziny... A niech was... — dziwił się Mikołaj Iwanowicz i dodał, zwracając się do Konurina: — Wiesz co, Iwan Kondratjicz, koniecznie musimy dzisiaj połknąć kilka kieliszków, jak zegar będzie pokazywał dwudziestą czwartą godzinę. Wypijemy za zdrowie twojej żony i będziesz mógł napisać do niej list: „O godzinie dwudziestej trzeciej siedliśmy do stołu, a punktualnie o godzinie dwudziestej czwartej pijemy za twoje zdrowie!" Zdziwi się twoja małżonka, jak dostanie taki list! Napewno pomyśli sobie, żeś zwarjował do reszty...

— Doskonały pomysł, napiszemy! — ucieszył się Konurin i zadarł głowę do góry, przyglądając się jeszcze raz zegarowi.

Odlani z bronzu Wulkani zaczęli właśnie w tej chwili wybijać w dzwon dziesiątą godzinę.

LXXVI.

W pobliżu Iwanowowych i Konurina zatrzymał się jakiś człowiek w zniszczonem, podartem ubraniu i kłaniał im się co chwila.

— Cicerone... — mówił. — Basilique de St. Marc...

— Z drugiej strony zbliżył się taki sam jegomość, też zdjął kapelusz i mruczał:

— Cattedrale... Palazzo Ducale... Je suis ciceroni, madame...

Głafira Siemionowna drgnęła z przerażenia, ujrzawszy nagle koło siebie dwuch obdartusów i dopiero po chwili zrozumiała, o co im chodzi.

— Co takiego? I tutaj są przewodnicy? Nie potrzeba, nie potrzeba! Sami będziemy oglądali! — odpowiedziała przewodnikom i pociągnęła mężczyzn do katedry św. Marka.

W katedrze znów otoczyli ich przewodnicy, proponując swoje usługi. Jeden z nich, nie żądając nawet ich zgody, w sposób niezmiernie natrętny szedł za nimi i łamanym niemieckim językiem zwracał im uwagę na ciekawsze rzeczy w katedrze. Mikołaj Iwanowicz kilka razy odsuwał go od siebie, kilka razy krzyknął mu „wont", lecz przewodnik nie odchodził.

— A niech idzie i mruczy! I tak nie odpędzisz go od siebie! — rzekł Konurin.

Towarzystwo niedługo bawiło w katedrze i znów wyszło na plac. Natrętny przewodnik nie odczepiał się od nich. Tym

razem zmienił już język niemiecki, na taki sam łamany język francuski i proponował Głafirze Siemionownie, żeby pojechała z nim obejrzeć hutę szklaną.

— Jak ci mówię „wont, to wont„! — krzyknął na niego Mikołaj Iwanowicz, lecz przewodnik nie zląkł się wcale i w dalszym ciągu mruczał coś, kłaniając się co chwila.

Głafira Siemionowna uśmiechnęła się.

— Proponuje swoje usługi za darmo: mówi, że nic od nas nie chce, ponadto obiecuje, że jeszcze dostanę od niego coś w prezencie na pamiątkę od fabryki! — rzekła.

— Za darmo? I w dodatku podarunek? — zapytał Konurin zdziwiony. — To warjat chyba jakiś! Jeżeli za darmo, to chodźmy z nim.

— Za darmo, za darmo! Mówi, że jest agentem tej fabryki! — tłumaczyła Głafira Siemionowna.

— Ładna musi być fabryka, jeśli trzyma takiego obrwańca w charakterze agenta! — kiwnął głową Mikołaj Iwanowicz.

Pomimo to całe towarzystwo poszło za przewodn[ikiem]. Szklana fabryka, o której mówił przewodnik, znajdowała niedaleko za galerją sklepów. Po zniszczonych, wydeptanych schodach kamiennych weszli wszyscy na trzecie piętro i znaleźli się w niewielkiej pracowni, gdzie robotnicy i robotnice przy pomocy lamp i rurek wyciągali szklane nitki i wyrabiali z nich różne wyroby galanteryjne szklane w rodzaju koszczyków, patarafek pod świeczniki i t. p. Agent-przewodnik podprowadził Iwanowowych i Konurina do elegancko ubranego subjekta i znikł. Subjekt zaczął oprowadzać naszych podróżników po pracowni. Przedewszystkiem zaprowadził ich do stołu, gdzie wyrabiano mozaikowe szklane obrazy i długo coś opowiadał, mieszając w mowie swojej słowa francuskie, niemieckie i angielskie. W pewnym momencie zapytał się Głafiry Siemionowny, jak się nazywa.

— Mua? Ach, Boże! Po co pan to chce wiedzieć? Purkua? — dziwiła się.

— Vous recevrez tout de suite le souvenir de notre fabrique (natychmiast otrzyma pani pamiątkę po naszej fabryce)...

— I ten mówi coś o jakimś podarunku! — dziwi się w dalszym ciągu Głafira Siemionowna. — No dobrze! Niech! Że sui Głafir Iwanow!

— „G“ et „I“! — rzekł subjekt do robotnika.

Robotnik wziął kulkę z niebieskiego szkła, wetknął w nią zaostrzoną szpilkę i zbliżywszy kulkę do płomienia lampy, za pomocą rurki do wydmuchiwania, zaczął na kulce wypisywać z mleczno-białego szkła inicjały Głafiry Siemionowny. W ten sposób powstała szpilka do kapelusza, zakończona główką niebieską z białemi literami imienia i nazwiska Głafiry Siemionowny.

— Voila, madame! — podał subjekt swój podarunek Głafirze Siemionownie.

— Ach, jak to uprzejmie z ich strony! — rzekła Glafira Siemionowna. — Kombien sa kut (ile to kosztuje)?

— Rien, madame (nic)!

— Boże! Jaki ładny prezent! Miersi, monsje! Mikołaj Iwanycz, patrz, jacy to uprzejmi ludzie... Podarowali mi szpilkę do kapelusza! Przewodnik nie skłamał jednak... Nie rozumiem tylko, co za wyrachowanie w tem mają?... Czy to nie dziwne?

— No, a my nic nie dostaniemy? — pytał Konurin.

— A panowie za co mają coś dostać? Wy jesteście mężczyźni, a ja jestem dama.

Z pracowni subjekt zaprowadził Iwanowowych i Konurina do składu z wyrobami fabryki. Był to wspaniały magazyn z cudownemi wyrobami ze szkła. Tysiące prześlicznych kieliszków, waz, szklanek i tualetowych drobnostek. Na każdym przedmiocie na karteczce — nalepiona cena. Glafira Siemionowna wpadła w zachwyt.

— Boże! Co za prześliczne rzeczy! Jak tu wszystko tanio! — wołała. — Mikołaj Iwanycz, patrz co za piękny kielich. Powinieneś stanowczo kupić dla siebie ten kielich ozdobny. Kosztuje zaledwie pięć franków.

— Poco dla mnie taki kielich, kochanie? Co ja z nim będę robił? Herbaty z niego w domu pić nie będę, bo pęknie, jak się naleje gorącej wody.

— Ach Boże! Kup poprostu na pamiątkę po Wenecji.

— Nie potrzeba, kochanie, nie warto!

— Jak chcesz, a jednak ja coś kupię dla siebie. Naprzykład te dwa kieliszeczki do likieru. W Petersburgu musiałabym za nie zapłacić trzy, cztery razy drożej. Patrz, patrz jakie prześliczne flakony na tualetę! Kosztują tylko ośm franków... To prawie za darmo.

I Glafira Siemionowna zaczęła wybierać sobie rozmaite rzeczy.

Po godzinie wychodzili ze składu, objuczeni pakunkami. Konurin kupił dla żony dwa kielichy i flakon do perfum.



— Dziewięćdziesiąt dwa franki, nie jadłszy, nie piwszy, wyrzuciliśmy przez okno! — wzdychał Mikołaj Iwanowicz i zwracając się do żony, dodał: — Pytałaś mnie niedawno, jakie wyrachowanie mają ci fabrykanci w tem, że dają damom za darmo szpilki na pamiątkę? Gdyby ten drań, przewodnik nie zaciągnął nas do składu obietnicą podarunku, nie wydalibyśmy niepotrzebnie 92 franków, a przecież frank tutejszy kosztuje nasze 40 kopiejek.

— Ciągle tylko liczysz i liczysz! Przecież poto wyjechaliśmy zagranicę, aby wydawać pieniądze. Za to jakie prześliczne rzeczy kupiliśmy! Cuda! Zachwycające rzeczy! — przerwała monolog mężowi Głafira Siemionowna.

— Naprawdę zręcznie biorą się tutaj do cudzoziemców! Umieją durniów nabić w butelkę! — mruczał Konurin. — Z tego to powodu ten oberwaniec nie odchodził od nas w katedrze i ciągle czepiał się nas. Napewno teraz dostanie swój procent od fabryki. Ach, dranie, dranie! Ach, oszuści, oszuści!... A możebym i ja tak w Petersburgu wynajął sobie takich oberwańców, żeby przyciągali do sklepu klijentów? — zwrócił się do Mikołaja Iwanowicza. — Niechby sobie biegali po Klińskim prospekcie i Obuchowskim i wołali klijentów do mego sklepu... „Każdy dostanie w prezencie pomarańczę, albo śledzia pocztowego, proszę tylko obejrzeć sklep Konurina!“ Podaruje się takiemu klijentowi głupią pomarańczę, a on kupi sobie funt herbaty, pół funta łososia wędzonego i głowę cukru...

— Nie licz na to! Takich durniów wielu u nas nie znajdziesz! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Może masz i rację! Durnie zjeżdżają do Wenecji, mądrzy zostają w domu.

— Bardzo ładnie! Prześlicznie! — przerwała mu Głafira Siemionowna. — Więc pan sam siebie też zalicza do durniów? Przecież pan także kupił dwa kielichy?

— Naturalnie, że zaliczam! Oddawna sam siebie nazywam największym durniem na świecie. Gdybym nie był durniem, czy pojechałbym z wami zagranicę? Po jakiego mi djabła potrzebna była ta zagranica?

Na placu spotkał ich przewodnik, który zaprowadził ich do fabryki.. Ukłonił się grzecznie i zaczął coś szeptać do Głafiry Siemionowny.

— Proponuje, ażeby z nim iść do fabryki koronek! — zwróciła się Głafira Siemionowna do męża. — Mówi, że jest również agentem tej fabryki...

— Nie, nie! Za nic na świecie! Dosyć! Zmiłuj się! Wynalazł teraz, drań, fabrykę koronek! — krzyczał Mikołaj Iwanowicz. — Jeżeli w składzie szkła umiałaś zostawić dziewięćdziesiąt dwie francuskie złotówki, to w fabryce koronek napewno wydasz trzysta...

— Ależ Kola, przecież w fabryce koronek również mogą mi dać jakiś prezent, mogę dostać jakąś serwetkę koronkową...

— Nie chcę żadnych prezentów! Rozumiesz? Pluję na wszystkie ich prezenty! Idź do djabła, panie agencie! Wont! Idź do wszystkich djabłów!

Mikołaj Iwanowicz podniósł nawet parasol. Przewodnik odskoczył od towarzysza i z daleka jeszcze pożegnał ich grzecznym ukłonem.

IXVII.

Pospacerowawszy jeszcze na placu św. Marka około dwuch godzin, zwiedziwszy wszystkie wystawy sklepów pod galerją, otaczającą plac z trzech stron, zjadłszy śniadanie w pobliskiej restauracji, towarzystwo zatrzymało się i zadało sobie pytanie, co robić dalej w Wenecji.

— Zdaje mi się, żeśmy już wszystko zwiedzili! — rzekła Głafira Siemionowna do towarzyszy.

— Paniusiu, kochanie! Mamusiu złota — zawołał radośnie Konurin. — Jeżeliśmy już wszystko zwiedzili, to naplujmy na tę całą Wenecję i dziś wieczorem jedźmy do Petersburga!

— Dziś wieczorem? To niemożliwe! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — Wieczorem tutaj na placu gra orkiestra i zbiera się całe wyższe towarzystwo. Wiem o tem z opisów.

— Niech kaczki zdziobią tę całą muzykę! Niech się zapadnie to całe wyższe towarzystwo. Przecież muzyki może się pani nasłuchać i w Petersburgu?

— Jeżeli nie macie nic przeciwko temu, to możemy jechać jutro rano, ale dzisiaj wieczorem chcę być tutaj na placu podczas koncertu orkiestry. Z opisów wiem, że wieczorem na tym placu damy z wyższych sfer flirtują na zabój z kawalerami i chciałabym to zobaczyć.

— Jakto chciałabyś zobaczyć? Czy to można zobaczyć? — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

— Naturalnie, że można... Możecie być spokojni, ja znam się na każdej intrydze... — obstawała przy swojem Głafira Siemionowna. — Tutejsze panie porozumiewają się z kawalerami za pomocą mowy kwiatów, a ja jako kobieta inteligentna doskonale znam się na mowie kwiatów. Wieczorami odbywają się tutaj wszystkie schadzki miłosne i chciałabym to koniecznie zobaczyć.

— Ależ tego nie można zobaczyć.

— Wszystko zobaczę! To tylko wy, mężczyźni, nigdy nic nie widzicie. Wy nawet nie wiecie, z czego przedewszystkiem słynie Wenecja? Z pięknych kobiet! Najpiękniejszych na świecie!

— Co to, to kłamiesz! Pół dnia włóczymy się już po mieście i widziałem tylko same mordy.

— Naturalnie w dzień na placu nikogo niema. Sama pani widzi, że tu pusto, jak w pustyni. Możnaby doskonale w kręgle grać! — rzekł Konurin i ziewnął.

— Ale za to wieczorami podczas orkiestry na placu bywają tłumy. Znam to doskonale z powieści i romansów. Hra-

bina Foskari... Albo nie... nie Foskari. Foskari to była starsza pani, ciotka, ale inna, młoda... Jak ona się nazywała?... Wszystko jedno... Otóż ta młoda hrabina poznała się tutaj podczas koncertu z pewnym korsarzem...

— Zaczęła już głupstwa opowiadać... — machnął ręką Mikołaj Iwanowicz.

Głafira Siemionowna obraziła się.

— A dlaczego ja nie nazywam głupstwem wasze popijanie koniaku? — Was interesuje koniak i wina, a ja zachwycam się widokami i rozmaitemi psychologicznemi zjawiskami. Wyście przed chwilą w restauracji żądali od kelnera jakiegoś wina weneckiego, jakiego niema na świecie, bo przecież w Wenecji nie mogą rosnąć winogrona z powodu tego, że w całej Wenecji jest tylko jeden plac i jedno wybrzeże, a wszędzie woda i woda...

— Nie sprzeczaj się! Pamiętam doskonale, że jest wino weneckie! — rzekł Mikołaj Iwanowicz. — W każdem mieście we Włoszech piliśmy miejscowe wino, więc powinno być także wino weneckie...

— Paniusiu kochana! Ale jutro rano napewno wyjeżdżamy? — zapytał Konurin.

— Jutro, jutro! — odpowiedziała Głafira Siemionowna. — A teraz chodźmy karmić grochem gołębie weneckie. Patrzcie, tam przy katedrze ludzie karmią gołębie. To należy do mody karmić gołębie. Policja codziennie na koszt rządu daje gołębiom cały worek grochu. Znam to doskonale z opisów. Otóż ta Franczeska, o której wam opowiadałam i o której czytałam w romansie, również chodziła codziennie na plac, ażeby karmić gołębie i tutaj właśnie zakochała się w jakimś tajemniczym Neapolitańczyku. Patrzcie, tam chłopcy sprzedają pokarm dla gołębi. Mikołaj Iwanycz, kup mi torebkę!

Mikołaj Iwanowicz kupił torebkę kukurydzy i grochu i wręczył żonie. Głafira Siemionowna zaczęła rzucać groch. Zbiegło się tysiące gołębi. Otoczyły ją ze wszystkich stron, chodziły koło nóg, siadały jej na ramiona. Obok stały małe dzieci w towarzystwie nianek, młode dziewczynki z bonami, kilku turystów z plecakami i lornetkami na paskach — wszystko to karmiło gołębie. Jakiś śmielszy gołąb siadł Głafirze Siemionownie na rękę i jadł wprost z dłoni, co jej się okropnie podobało.

— Właśnie owa Franczeska w ten sposób karmiła gołębia, a pod skrzydłem znalazła karteczkę miłosną od owego Neapolitańczyka... Od tego zaczął się ich romans.

Mikołaj Iwanowicz stał z boku i uśmiechnął się pogardliwie.

— Trzeba było po to przyjeżdżać aż do Wenecji, żeby karmić gołębie... To samo możesz robić u nas w Petersburgu... Idź na przystań i rzuć grochu, zobaczysz, ile gołębi przyleci.



— Jaki ty jesteś czasami ordynarny człowiek! Tam są proste gołębie, zwyczajne chłopskie gołębie, a tutaj weneckie, znakomite. To są potomki tych gołębi, które kiedyś uratowały Wenecję! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Jakto uratowały Wenecję? Zdaje mi się, że zaczynasz komponować... Jak gołębie mogły uratować miasto?

— Jak ją uratowały, nie wiem, ale wiem z opisów, że uratowały ją i dlatego właśnie policja karmi gołębie obecnie na koszt państwa.

— Przestań już! Chodźmy się trochę przejść!

Głafirze Siemionownie też się już sprzykrzyły gołębie, więc ziewnęła i odpowiedziała:

— Właściwie już niema gdzie iść, wszystko co jest w Wenecji do widzenia, już zwiedziliśmy i dalej iść nie możemy, bo wszędzie woda. Chyba, że weźmiemy łódkę i popłyniemy po kanałach.

Wrócili do hotelu, zostawili tam zakupy, poczem wsiedli na przystani do gondoli i kazali się wieźć po mieście.

Gondolier, wiosłując miarowo swem jedynem wiosłem, pokazał im najprzód stary arsenał, potem zawiózł ich pod most Rialto, zabudowany z obu boków sklepami kupieckiemi. Przy moście Głafira Siemionowna wyszła, obejrzała wystawy w sklepach i znów siadła do gondoli. Następnie gondolier popłynął po wąskich małych kanałach, w których dwie gondole mijały się z trudem. Nie było tu nic do widzenia, oprócz starych zniszczonych domów. Widok był naprawdę nieciekawy, a w dodatku w wąskich kanałach smród był tak silny, że całe towarzystwo co chwila zaciskało nosy palcami, a Konurin nawet spluwał co chwila.

— Ładne królestwo pomarańczańskie! — zauważył Mikołaj Iwanowicz. — Zupełnie nie pachnie tutaj pomarańczami.

— Królestwo pomarańcz już się skończyło. Wenecja także coprawda jest we Włoszech, ale tutaj pomarańcze rosną tylko



w sklepach! — odpowiedziała Głafira Siemionowna i kazała gondolierowi zawrócić do hotelu.

— Ala mezon! Plu wit... Gran kanal... Albergo bo riważ!

— Qui, madame... — odpowiedział gondolier i wypłynął na Canale Grande.

Znów ruiny starożytnych pałaców weneckiej arystokracji, na których od czasu do czasu widać szyld hotelowy.

— Palazzo Cesaro! — wykrzykiwał gondolier, pokazując jakiś obdrapany pałacyk w renesansowym stylu, a Głafira Siemionowna czytała na szyldzie napis „London". — Palazzo Palergi! — znów mówił gondolier, a Głafira Siemionowna czytała jakiś inny szyld hotelowy.

— Nie widzę tutaj nic ciekawego! — przyznała wreszcie Głafira Siemionowna, kiedy gondola podpłynęła pod hotel. — Przyznaję się, że zupełnie inaczej sobie wyobrażałam Wenecję!... Teraz zjemy obiad w hotelu, wieczorem pójdziemy na plac posłuchać orkiestry, a jutro rannym pociągiem jedziemy do naszego kochanego Petersburga! — zakończyła i uśmiechnęła się do Konurina.

Konurin rozjaśnił swą szeroką twarz w uśmiechu i radośnie zatarł ręce.

LXXVIII.

Nazajutrz Głafira Siemionowna wyjeżdżała z Wenecji zupełnie rozczarowana. Przejeżdżając gondolą na stację, mówiła do swoich towarzyszy:

— Jaka ta Wenecja jest poetyczna na obrazkach, w powieściach i romansach, a jaka nudna i śmierdząca w naturze!

— W samej rzeczy nie warta skorupki z jajka! — zgodził się Konurin. — Chyba tylko to, że stoi na wodzie, ale co to za miasto, gdzie nawet zegar pokazuje dwadzieścia cztery godziny.

— Mikołaj Iwanowicz, siedząc w gondoli, obliczał ołówkiem w notesie wydatki z całej podróży.

— Przeszło dwa tysiące pięćset rubli wydaliśmy, a jeszcze trzeba dojechać od Wenecji do Wiednia i od Wiednia do Petersburga — mruczał. — A to wszystko te twoje zakupy i ruletka. Zakupów wieziemy ze sobą cały magazyn.

Głafira Siemionowna nie słuchała go, lecz mówiła w dalszym ciągu:

— Według opisów Wenecja słynie z pięknych kobiet a tymczasem nie widzieliśmy ani jednej. Same, jak się to mówi, mordy i mordy. Nawet wczoraj na muzyce... nie widziałam żadnej nawet przystojnej!

— Ma pani rację, że mordy... tandeta! — zgodził się Konurin. — W przyszłym roku w lecie jeździłem na ojcowiznę, na wieś i nasze baby i dziewczęta wydały mi się daleko piękniejsze.

— Pan mnie nie rozumie, Iwan Kondratjicz... — skrzywiła nos Głafira Siemionowna i mówiła dalej: — Albo na tej muzyce na placu... Według powieści i ramansów na placu św. Marka zbiera się śmietanka towarzystwa, tymczasem cośmy wczoraj widzieli? Same pokojówki i kokoty...

— Ma pani rację, idjotyczne miasto, co tu mówić długo! Koniaku nawet porządnego nie mają. W hotelu i restauracjach piliśmy straszne świństwo.

— Pan ciągle o koniaku...

— Nie tylko o koniaku. Niech pani sobie przypomni to musujące wino, któreśmy pili po pięć franków w Neapolu i porówna z tą lurą, którąśmy pili wczoraj. A wzięli o dwa franki drożej. Wreszcie co za miasto, które nawet koni nie ma! Wstyd...

— Ja mówię o poezji, Iwan Kondratjicz, o poezji!

— Przyznaję się, Głafira Siemionowna, że poezji nie uczyłem się, ale co się tyczy miasta, to nie warto o niem wspominać, chyba tylko że stoi na wodzie. Zresztą i u nas w Petersburgu w czasie wysokiej wody na wiosnę można przy przystani widzieć wodę. To samo... Jedno tylko, że za numer w hotelu nie zdarli, ale to chyba nie wystarcza...

Mikołaj Iwanowicz zamknął notes, schował go do kieszeni i rzekł:

— Gdybyś Głasza w Paryżu nie zasiedziała się w Luwrze i nie zgrała się w Montekarlo, cała podróż nie kosztowałaby nawet tysiąca ośmiuset rubli.

Głafira Siemionowna nie odpowiedziała ani słowa i ciągnęła dalej:

— A gondoljerzy? Nawet w piosence śpiewa się: „Gondoljer, młody gondoljer"! We wszystkich romansach opisani są gondoljerzy, jako dzielni młodzieńcy z ognistemi oczami, tymczasem proszę się odwrócić i zobaczyć, co za karykatura stoi za nami z wiosłem, brzydsza od małpy brazylijskiej.

Przyznam się nawet, że nie widziałam ani jednego młodego gondoljera.

— Czy ci nie wszystko jedno, kochanie, czy gondoljer jest stary, czy młody?... — wtrącił się Mikołaj Iwanowicz.

— Co ty się na tem znasz! Ty umiesz tylko grosze liczyć! — oburknęła się żona i znów zwróciła się do Konurina: — A jak brudni są ci gondoljerzy! Brud poprostu z nich kapie. Z daleka czuć od nich czosnek i cebulę.

— Niech pani już nawet lepiej nie mówi! — przerwał Konurin. — Wczoraj, zanim siedliśmy popołudniu do gondoli, wyszedłem pierwszy na przystań. Czy wie pani, co zobaczyłem? Czy wie pani, co robią gondoljerzy? Czerpią łopatą błoto z dna kanału, dranie, wybierają z tego błota różowe muszle, otwierają je i żrą. Naprawdę żrą! Nie mogłem wytrzymać i splunąłem, a jeden z tych draniów wziął muszlę i podaje mi, jakby chciał powiedzieć: Zjedz, musju. Tfu!

A gondoljer, stojąc za nimi, z przyzwyczajenia pokazywał pałace, które mijano i mówił:

— Palazzo Tjepolo-Zuchello... Palazzo Contarini...

— I mężczyzn pięknych tu nie widziałam. W całej Wenecji nie spotkałam ani jednego przystojnego mężczyzny! — mówiła dalej Głafira Siemionowna. — Nawet oficerowie tutejsi — jakieś pokraki, z wąsami jak chrabąszcze, ale postawy żadnej...

Mikołaj Iwanowicz, który zajęty był obliczaniem i nie słyszał początku rozmowy, oburzył się:

— Nie rozumiem, co ciebie, kobietę zamężną, może obchodzić uroda oficerów! — rzekł złośliwie.

Głafira Siemionowna spojrzała z pogardą i nic nie odpowiedziała.

Oto i dworzec kolejowy. Żebrak przyciągnął gondolę bosakiem do przystani i kłaniał się, prosząc o datek na makarony. Mikołaj Iwanowicz zapłacił gondoljera. Przybiegli tragarze, wyjęli z gondoli kufry i walizy i zanieśli je na dworzec.

— Jakie bilety mamy teraz kupić, Głasza? Jeszcze w Petersburgu zapisałaś sobie! — denerwował się Mikołaj Iwanowicz.

— Wiena via Ponteba... — odpowiedziała Głafira Siemionowna, wchodząc po stopniach przystani. Stanąwszy na przystani, zwróciła się twarzą do kanału i rzekła: — Żegnaj śmierdząca Wenecjo! Rozczarowałaś mnie okropnie! Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie ciebie!

— Czy warto się z nią, mamusiu, nawet żegnać? Splunąć trzeba na takie miasto! — przerwał jej Konurin.

Po pół godzinie siedziano w pociągu. Głafira Siemionowna wyjęła z torebki maleńką paczuszkę w miękkim papierze i rzekła:

— Zadowolona jestem, że chociaż wczoraj wieczorem

zdążyłam jeszcze kupić bardzo tanio kawałek koronki, a koronki weneckie są znane. Trzebaby schować tę paczkę gdzieś, jak będziemy jechać przez granicę austrjacką, żeby z nas nie zdarli cła.

Wepchnęła sobie paczkę za gorset.

Mikołaj Iwanowicz zapisywał do notesu wartość kupionych przed chwilą biletów i wzdychał ciężko.

— Jeżeli we Wiedniu nie zatrzymamy się na noc, a machniemy wprost z dworca na dworzec, z pociągu na pociąg, to może ograniczymy się do ogólnej sumy dwóch tysięcy ośmiuset rubli!

— Przyjacielu! Kochany Mikołaju Iwanyczu! Zaklinam cię na Boga, nie zatrzymujmy się w Wiedniu! — zawołał nagle Konurin. — Po co nam ten Wiedeń parszywy? Niech się zawali! Do żony się spieszę! Napisałem jej już dawno, że za dwa tygodnie będę w domu, tymczasem już czwarty tydzień się kończy a my ciągle jeździmy i jeździmy. Prawdopodobnie oczekuje mnie z godziny na godzinę. Och, czknęło mi się... Prawdopodobnie wspomina mnie żona. Co ona tam biedactwo teraz robi.

— Co ma robić? Herbatę pije! — odpowiedział Mikołaj Iwanowicz.

— Może i prawda... Według tutejszego czasu pewno teraz siedzi przy herbacie! — zgodził się Konurin.

— Poproś moją żonę, żeby się nie zatrzymywała w Wiedniu.

— Paniusiu, kochanie! Komendantko najdroższa! Niech pani nam zrobi tę łaskę najwyższą i nie zatrzymuje się! — prosił Konurin Głafirę Siemionownę.

— Właściwie powinnam się zatrzymać w Wiedniu, żeby sobie kupić jedwabiu na suknię, ale już niech będzie ku pańskiemu zadowoleniu. Nie zatrzymamy się!

Konurin tryumfował. O mało nie skakał w przedziale.

Pociąg ruszył i wyjechał z dworca. Znów jechano po łące. Po jednej i drugiej stronie widać było wodę.

— Jedziemy po morzu, niby po suszy... — mówił Konurin, patrząc przez okno. — Do Petersburga jedziemy! Do Petersburga, do żonki kochanej! — wykrzykiwał radośnie.

LXXIX.

Droga z Wenecji do Wiednia przez Pontebę należy do najbardziej malowniczych w Europie. Tor kolejowy biegnie śród nieprzystępnych, dzikich gór.

Z Wenecji Iwanowowie i Konurin wyjechali w jasny i ciepły poranek. Na słońcu było przeszło dwadzieścia stopni ciepła, lecz w górach temperatura obniżyła się raptownie. Głafira Siemionowna zaczęła w wagonie otulać się pledem. Mąż

jej i Konurin, pomimo, iż rozgrzewali się koniakiem, którego zabrali każdy po butelce, też włożyli sakpalta. Pod Pontebą ujrzano śnieg w górach. Im dalej jechano, tem więcej widziano śniegu. W nieopalanych wagonach robiło się coraz chłodniej.

— Rosyjskim duchem pachnie! — mówił radośnie Konurin, patrząc przez okno na śnieżne połoniny górskie, wydobył z rzemieni czerwoną kołdrę flanelową i owinął nią nogi.

— Ho, ho, do rosyjskiego ducha jeszcze daleko! — odpowiedziała Głafira Siemionowna.

— Ja właściwie, paniusiu, tylko tak... z powodu śniegu. Zupełnie jak u nas, w Rosji prawosławnej. Patrzcie, ile śniegu nawaliło?!

W Pontebie — granica włoska. Przejechano granicę bez żadnych przygód. Głafira Siemionowna przewiozła szczęśliwie pod gorsetem koronki, mężczyźni ukryli resztę, więc Głafira Siemionowna odzyskała dobry humor. W Pontaflu po austrjackiej stronie słychać już było tylko język niemiecki. Ukazało się piwo w kuflach. Na peronie chodzili Tyrolczycy w swych charakterystycznych kapeluszach z piórkiem cietrzewiem. Tłuste tyrolki roznosiły na tacach kanapki, cienkie, jak papierek. Wagony były opalane, pomimo to jednak było zimno. Głafira Siemionowna otuliła się, czem mogła, położyła na kanapce i probowała zdrzemnąć się.

— Szkoda, że nie mamy naszych ciepłych palt! Przydałyby się! Po jakiego djabła zostawiliśmy je w kufrach bagażowych? — mówił Konurin, siedząc w narzuconej na sakpalcie czerwonej kołdrze i pożerając odrazu po trzy kanapki tyrolskie, razem złożone. — Ile, mamusiu, godzin musimy jeszcze do granicy rosyjskiej? — zwrócił się do Głafiry Siemionowny.

— Po dwuch dobach napewno staniemy na granicy! — usłyszał odpowiedź.

— Po dwuch dobach? Hurra! Na granicy natychmiast wyszlę czuły telegram do żony: „Jedziemy z miłością, jesteśmy zdrowi na całem ciele i umyśle! Wyjdź, kochana małżonko, na stację, aby spotkać swego mężulka!"

— Po co taka długa depesza? Zapłacisz dużo pieniędzy! — zauważył Mikołaj Iwanowicz.

— Pluję na pieniądze! W ruletkę w tej Montekarli wydarli mi czerwononosi krupierzy pięćset razy tyle, a miałbym teraz żałować na telegram czuły do żony? Pięć rubli niebieskie ofiaruję na telegram, żeby był jaknajczuliszy.

Rano nie zatrzymywano się w Wiedniu i nie było mowy o hotelu. Głafira Siemionowna dotrzymała słowa.

Zjedzono obiad na stacji, zapito dobrem piwem i ruszono w dalszą drogę.

— Na pierwszej stacji rosyjskiej wypiję cały samowar herbaty! — mówił Konurin. — Wątroba poprostu piszczy mi w brzuchu i prosi o herbatę...

Na stacjach, poczynając od Wiednia, śród obsługi zjawili się słowianie, którzy umieli kilka słów po rosyjsku, w Galicji każdy prawie rozumiał już naszych podróżników.

Konurin tryumfował.

— Zaczęli rozumieć po rosyjsku. Widzi pani, teraz dopiero czuję duch rosyjski! — rzekł, wróciwszy z bufetu na stacji i sadowiąc się wygodnie w przedziale. — Przed chwilą jakiś żyd zmienił mi trzy ruble rosyjskie na tutejsze pieniądze. Rozmówiłem się z nim po rosyjsku jak się należy. Sam czuję, że już blisko do prawosławnej Rosji! — dodał i zaczął dośpiewywać pod nosem: — „Skończona droga daleka, widzę kraj rodzinny. Przyjemnie będzie odpocząć z kochanką najmilejszą“...

W samej rzeczy zbliżano się do granicy rosyjskiej. Mikołaj Iwanowicz uśmiechnął się i rzekł:

— Za kwadrans pożegnamy się z austrjackiemi guldenami i powitamy ruble rosyjskie. Zaczniemy wydawać dziesiątki za kieliszki wódki i szklanki herbaty.

Konurin w odpowiedzi uśmiechnął się całą gębą.

Oto i rosyjska granica. Ukazał się żandarm rosyjski i żołnierz z pogranicznej straży. Pociąg szedł zupełnie wolno; za oknem słychać było słowa rosyjskie: jakiś urzędnik celny z blachą na piersiach wymyślał komuś.



— Po naszemu ktoś wymyśla!... Po naszemu... Przyjechaliśmy... — szepnął Konurin i czuł, że mu dech w piersiach zapiera.

Pociąg zatrzymał się. Konurin przeżegnał się. Przeżegnali się i jego towarzysze.

— Zadowolony pan? — zapytała Konurina Głafira Siemionowna.

— Jestem zachwycony... Zaraz wyślę czuły telegram do żony.

— Niech pan schowa dobrze ten kawałek jedwabiu, który pan wiezie dla żony.

— Ukryłem dobrze pod kamizelką!

Oględziny paszportów. Kontrola celna. Formalności przejazdu przez granicę skończone i oto Iwanowowie i Konurin siedzą w bufecie.

— Herbaty! Herbaty! Trzy szklanki herbaty! Dla mnie samego trzy szklanki! — krzyczał Konurin do kelnerów. — Podajcie mi też papieru i pióro, będę pisał depeszę do żony.

Rzucił się jak szalony do stołu i wylewając herbatę na podstawek, pił, parzył się i pisał telegram. Telegram był rzeczywiście długi i zaczynał się: „Kochanej małżonce mojej kłaniam się z miłością od nieba do ziemi"... Telegrafista uśmiechnął się, kiedy przeczytał telegram powyższy i zażądał przeszło cztery ruble.

Oto i dzwonek. Rosyjskie wagony. Pociąg ruszył. Konurin znów się przeżegnał.

— Za dwie doby będziemy w Petersburgu! — rzekł. — Dwie doby, to czterdzieści ośm godzin. Za 48 godzin spotkam się na dworcu w Petersburgu z żoneczką ukochaną.

Ale czekała go niespodzianka jeszcze przed Petersburgiem. Kiedy pociąg zatrzymał się w Ludze i Konurin wyszedł razem z małżonkami Iwanowowymi na stację, nagle zawołał:

— Chryste Panie! Żonka przyjechała! Przyjechała kochana, ażeby mnie spotkać! Mądrala moja! Najdroższa żoneczka!

Mówiąc to, rozpychał pasażerów i rzucił się w objęcia korpulentnej kobiety w grubem futrze, pokrytem suknem i w chusteczce dzierganej na głowie.



Nastąpiła czuła scena powitania. Żona całowała Konurina i mówiła:

—Ach ty durniu, ty durniu! Dlaczego pozwoliłeś sobie brodę obszczypać?

— To Francuzi, dranie, na francuskiej ziemi obszczypali mi brodę na modę francuską! — odpowiedział Konurin. — Nawet się nie zapytali, ale o czem tu gadać! W takich ziemiach, mamusiu, byłem, na takie wysokości właziłem, do takich dziur złaziłem, że należy dziękować Bogu, iż cały z tych wszystkich pielgrzymek wróciłem. A cóż broda! Broda znów wyrośnie po rosyjsku.

Od Ługi do Petersburga Konurin jechał już w towarzystwie małżonki.

KONIEC.



Biblioteka Śląska w Katowicach
Id: 0030000068351
II 750600